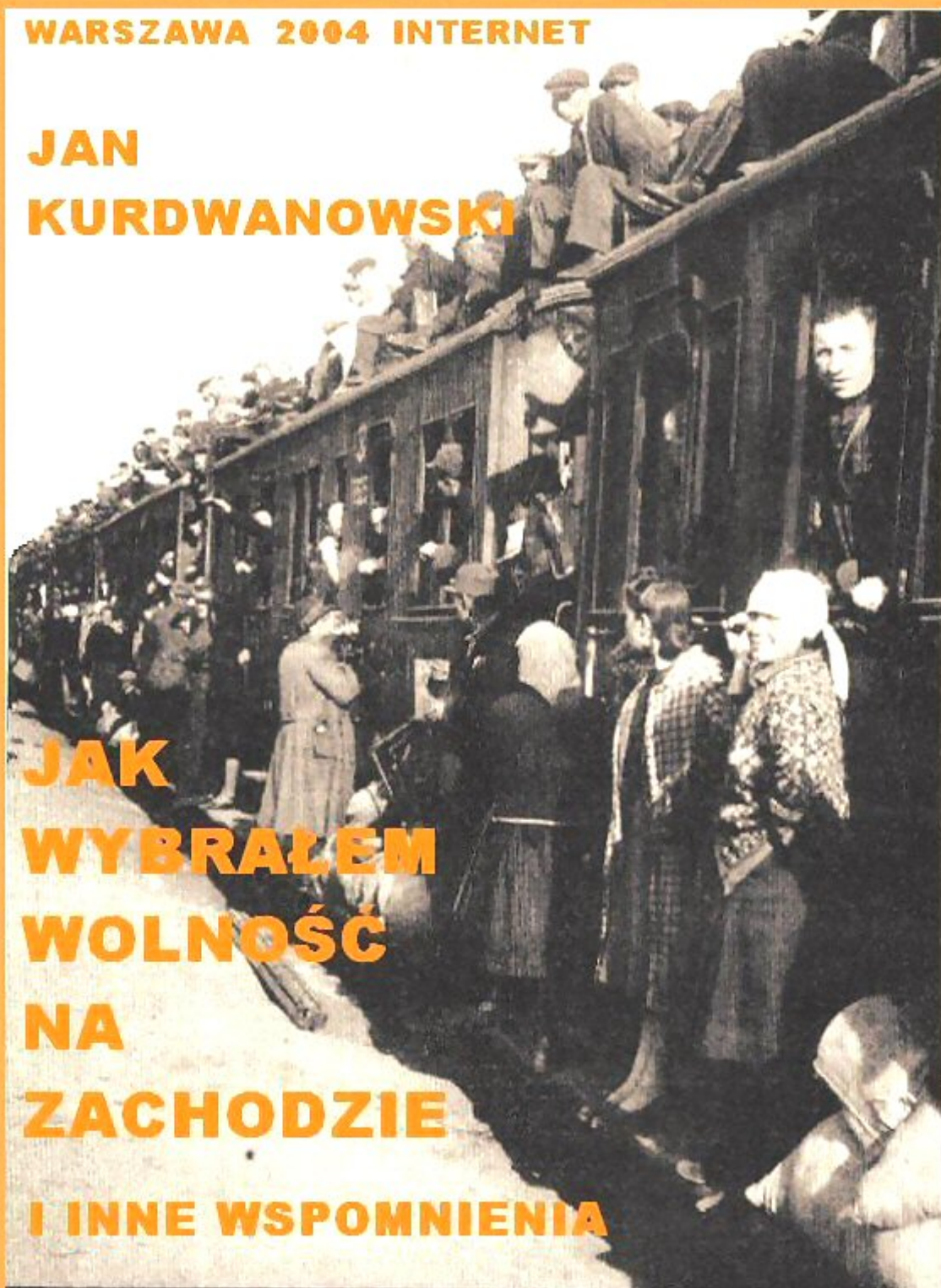


WARSZAWA 2004 INTERNET

**JAN
KURDWANOWSKI**

**JAK
WYBRAŁEM
WOLNOŚĆ
NA
ZACHODZIE
I INNE WSPOMNIENIA**



JAN KURDWANOWSKI

**JAK WYBRAŁEM
WOLNOŚĆ
NA
ZACHODZIE**

I INNE WSPOMNIENIA

**Warszawa 2004
Internet**

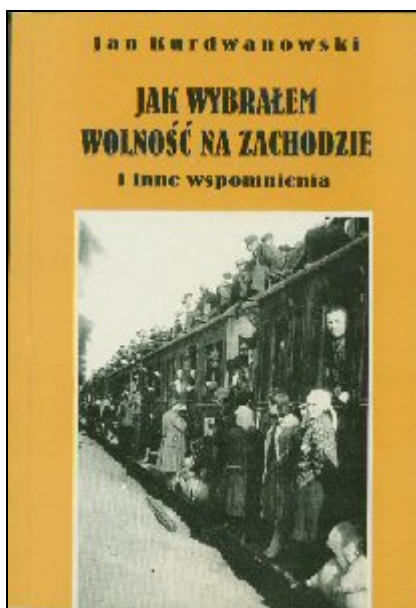
Wydanie I, POLIKART, Warszawa 1995

Wydanie II, rozszerzone MENTOR

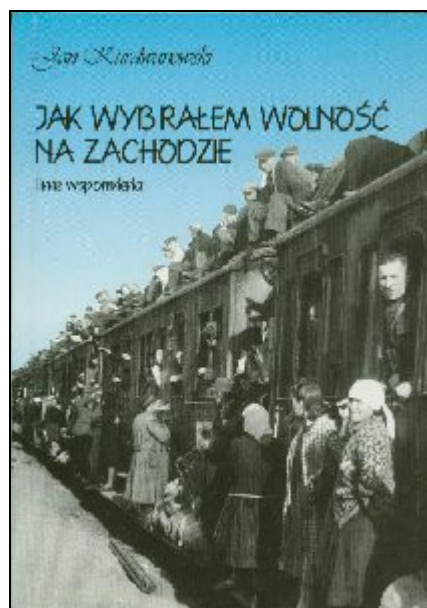
Książka wydana we współpracy z Fundacją Ośrodka KARTA w Warszawie
1999

Projekt okładki Aleksander Dąbrowski

Fotografie na okładkach Agencja Fotograficzna PAP



1995



1999

Wydanie III uzupełnione i poprawione

Przygotowane do publikacji w Internecie

przez

Agnieszkę Działik

Internet

Warszawa 2004

Część I

Jak wybrałem wolność...

1

ŻYRANDOL Z BRAZU

Było już ciemno, gdy pielęgniarka weszła do pokoju.

- Proszę się szybko ubierać, przyszli po pana.

Na słabych nogach zszedłem wąskimi schodami i za chwilę w izbie przyjęć szpitalika witałem się z panią Z. i jej siedemnastoletnią córką. Obie znałem z wakacji latem 1942 roku.

- Z dwoma babami będzie bezpieczniej - zażartowała pani Z. - gdyby mój mąż przyszedł po ciebie, wyglądałoby to podejrzenie, dwóch mężczyzn przemykających się pustymi ulicami tuż przed godziną policyjną.

Ruszyliśmy w drogę. Choć okna były zaciemnione, gdzieś tam przeświecało szczelinami. Nieliczne lampy uliczne rzucały stożki siniego światła. Pani Z. ruchem głowy wskazała wzmocniony bunkrem, masywny jak na to miasto budynek po przeciwnej stronie ulicy.

- To nasze gestapo.

Minęliśmy park po lewej, pod drzewami widać było zarysy wojskowych ciężarówek. Domy zaczęły się kurczyć i rzednać.

- To tu - rzekła pani Z.

Skręt w lewo i weszliśmy do podłużnej, parterowej, murowanej przybudówki, przyklejonej do większego, dwupiętrowego domu obok. Zaledwie drzwi się zamknęły, znalazłem się pośrodku półkola domowników: ojczym, matka, brat, gospodarz i nieznany mi starszy, łysawy, drobny, szary, niepozorny mężczyzna z fajką w ustach. Gospodarz, barczysty, o żywej wyrazistej twarzy, szpakowatych włosach zaczesanych do góry i pociągniętych pomadą, huknął tubalnym głosem:

- Witamy naszego bohatera, powstańca z Warszawy.

Jak zwykle w podobnych okolicznościach, wymieniliśmy uściski oraz pocałunki, po trzy na osobę.

Nie znany mi starszy pan, ściskając moją dłoń wyjął fajkę z ust, uśmiechnął się nieznacznie, bardziej zmarszczkami swej twarzy niż

ustami, i rzekł bezbarwnym głosem:

- Witamy, witamy - po czym włożył fajkę do ust i wydmuchnął kłębuszek dymu. Gospodarz zarzucił mnie pytaniami. Już przy kolacji opadła mnie nieprzeparta senność. Z największym wysiłkiem woli trzymałem oczy otwarte, aby nie sprawić wrażenia człowieka towarzysko nieobytego, choć chwilami nawet nie słyszałem i nie rozumiałem co do mnie mówiono. Samo poczucie bezpieczeństwa usypiało.

Przydzielono mi leżankę w alkwie jadalni, oddzieloną kotarą od reszty pokoju. Świat przestał dla mnie istnieć, zaledwie głowa dotknęła poduszki. Obudziłem się około ósmej rano, zjadłem śniadanie, pogadałem, pokręciłem się po mieszkaniu, wyszedłem na podwórze, popatrzyłem przez okno na ulicę. Nim wybiła dwunasta oczy zaczęły mi się kleić i uciałem sobie dwugodzinną drzemkę. Wkrótce po obiedzie znowu ogarnęła mnie nieprzeparta senność, której nie usiłowałem się przeciwstawić. Ocknąłem się po paru godzinach odświeżony, ale po kolacji, o ósmej, poszedłem do alkowy. W sumie sypiałem około szesnastu godzin dziennie. Po kilku tygodniach poranna „drzemka” zaczęła się skracać, aż wypadła. Potem popołudniowa zaczęła się skracać, aż też wypadła koło Nowego Roku. Bodajże w dniu, w którym przyszedłem do pp. Z., a był to koniec września, dotarła do nas wiadomość o upadku Mokotowa. Jeszcze tydzień temu, w ruinach przyczółka na Czerniakowie, nie miałem innych marzeń jak napić się wody i przeżyć do zachodu słońca, a teraz syty, wylegując się w ciepłym mieszkaniu, czytałem sobie komunikaty z walk na ulicach Warszawy i na frontach reszty świata.

Wkrótce po kapitulacji Warszawy matka pojechała po mojego młodszego brata, Cezarego, do Grodziska (najmłodszy był z nami) i wróciła razem z nim w połowie października. Dostać się do pociągu było niesłychanie trudno. Rozkład jazdy nie obowiązywał, i to nie tylko z powodu bliskości frontu. Tory były często wysadzane lub minowane przez partyzantów. Zwykle wylatywała w powietrze część najbardziej wartościowa z całego składu - lokomotywa. Niemcy uchytrzyli się w ten sposób, że przed lokomotywą doczepiali wagon, którym każdy mógł jechać bez biletu. Liczyli na to, że partyzanci nie podłożą min wiedząc, iż wysadzają Polaków. Podróżujący też musieli na to liczyć, gdyż wagon przed lokomotywą zawsze miał pasażerów.

Po tygodniu matka wróciła razem z bratem. Mieliśmy sobie

wiele do opowiadania. Podczas gdy cała rodzina była w Warszawie, brat przyglądał się powstaniu z okolic Grodziska. Przez dwa miesiące widział tylko dym i przysłuchiwał się odległemu dudnieniu artylerii. Pewnego dnia, pod koniec września, gdy razem z setkami ludzi pracował pod nadzorem Niemców przy kopaniu okopów, strzelanina podniosła się znacznie bliżej, słyszeć było broń maszynową. To partyzanci z Puszczy Kampinoskiej przebijali się na południe przez tory kolejowe, gdzie zagroził im drogę pociąg pancerny. Kilku w ubraniach cywilnych wpadło między kopaczy. Zaraz dano im łopaty i w ten sposób ocalili się przed pogonią.

A oto jak mnie udało się wymknąć na wolność. Trasa naszej grupy pod eskortą z kościoła na ulicy Wolskiej zakończyła się w hali obozu rozdzielczego w Pruszkowie, czyli w *durchgangslager*. Nie wiedząc, co dalej robić i co mnie czeka, postanowiłem „rozpoznać położenie” i rozejrzeć się po okolicy. Korzystając z tego, że doprowadzono nową grupę cywilów wyciągniętych z Czerniakowa, wziąłem litrową butelkę „herbaty”, dar pań z Czerwonego Krzyża, i gdy inni wchodzili, ja pociągając z butelki minąłem wartownika i wyszedłem na zewnątrz. Wokół były baraki. Mogłem przejść do innego, gdybym wiedział gdzie lepiej. Rozejrzawszy się wróciłem tam, skąd wyszedłem. Nie minęła godzina, gdy podeszła do mnie sanitariuszka z opaską Czerwonego Krzyża. Poznała mnie, choć ja jej nie pamiętałem. „Czy pan wie, że pana rodzice żyją i są tuż obok w baraku dla zwolnionych? Stąd, gdzie pan teraz jest, zdrowych zabierają do Niemiec na roboty i do obozów”. Wziąłem znowu butelkę i popijając z niej, w towarzystwie sanitariuszki wyszedłem z baraku obok strażnika i za chwilę witałem się z rodzicami i bratem. W baraku dla zwolnionych spędziłem trzy dni. Obandażowano mi lewe ramię i dostałem zaświadczenie o zwolnieniu jako chory z podrobionym podpisem dr. Keniga. Ludzie chyba zauważyli, że jestem głuchawy. Ktoś zrobił uwagę, że chłopców co byli na linii poznać po kiepskim słuchu. Frontowemu wilkowi niełatwo udawać cywila. Musiałem uważać na siebie cały czas, aby się nie zdradzić, nie tylko słowem, ale tonem głosu, gestem, postawą. W noweli Flauberta „Salambo” jest taka scena. Kartagińscy najemnicy buntują się, ponieważ nie wypłacono im żołdu. Dowództwo zgadza się wypłacić, aby ich uspokoić. Gdy wieść o tym rozchodzi się, wielu co nigdy nie służyło podszywa się pod żołnierzy. Celem wyłapania oszustów dowództwo zarządza, że każdy roszczący sobie zaległy

żołd ma pojedynczo przemaszerować przed oficerami. Tych, co nie wykazują żołnierskiej postawy, od razu zabija się.

Trzeciego dnia przyjechała do obozu szwajcarska komisja zaproszona przez Niemców. Tegoż dnia opróżniano barak dla zwolnionych. Mijaliśmy SS-mana, który przyglądał się wychodzącym. Dalsza podróż w zatłoczonym wagonie pod strażą trwała całą noc. Teraz, gdy znalazłem się poza niebezpieczeństwem, dostałem wysokiej gorączki i bólu gardła. Niemiec przechodząc zauważył, że ja siedzę a matka stoi i przyczepił się do mnie. Kazał mi ustąpić miejsca matce. Ojczym wytłumaczył, że jestem chory. Za dnia pociąg zatrzymał się w Kielcach, gdzie mieliśmy znajomych. Nie wolno było wychodzić z wagonu, ale kilka osób zeskoczyło na peron. Żołnierz odwrócił się tyłem, aby nie widzieć. Zeszliśmy więc i my. Ze stacji poszedłem do szpitala.

Matkę, ojczyma i najmłodszego brata Niemcy wygarnęli z domu przy ulicy Okrąg 4 i bez większych szykan przetransportowali do obozu w Pruszkowie. Tutaj matka raz najadła się strachu. Właśnie stał obok niej żołnierz w mundurze Wehrmachtu. Czy to na niego jakoś krzywo spojrzała, czy to mu się wydawało, a może w ten sposób chciał zacząć konwersację, bo warknął: „Cego tak się na mnie patsys?” Matka wystraszona zaczęła się tłumaczyć, a żołnierz, wpięty obojętnie, odwrócił się i do matki: „Biedne wy Poloki, z jednej strony mata dobrego wuja, z drugiej strony mata dobrego stryja”.

*

Podniecenie spowodowane przyjazdem nieoczekiwanych gości opadło. Życie potoczyło się normalnym okupacyjnym torem. Trzeba było jakoś sobie radzić. Ojczym znalazł pracę w ośrodku zdrowia i przynosił do domu masło, jaja, słoninę i trochę pieniędzy. Już nie musieliśmy objadać gospodarzy, którzy nam tego zresztą nie wymawiali, choć im się nie przelewało. Bracia poszli do szkoły legalnej, gdzie nielegalnie uczono niektórych przedmiotów. Panie, gospodyni z córką i matka, wychodziły rano na zakupy w poszukiwaniu żywności. Czasem wracały z pustymi rękami, ale zawsze pełne nowin. W parę dni po mojej przeprowadzce do państwa Z., bomba spadła na szpitalik, gdzie spędziłem prawie tydzień, kilka osób zginęło. Szpitalik stał blisko dworca kolejowego.

Mój obszar życiowy ograniczał się do wnętrza domu i przyległego podwórza, ogrodzonego dziurawym parkanem obrośniętym chwastami. Dalej, niecałe sto metrów poza parkanem,

stało kilka parterowych baraków służących Niemcom za magazyn żywnościowy. Chodził tam zawsze wartownik z karabinem, podjeżdżały furmanki, ciężarówki.

Czas wolny od snu i zajęć towarzyskich spędzałem czytając co popadło, kręcąc się po podwórzu lub wyglądając przez zamknięte okno na ulicę, gdzie wśród przechodniów było wielu Niemców.

Zwykle pod wieczór wpadali goście, podzielić się wiadomościami ze świata, posłuchać moich opowieści o powstaniu. Zachodziły często dwie dziewczyny, Lidka i Baśka, łączniczki z NSZ. Lidka opowiadała, jak to udało się jej przeniknąć do komórki PPR i jakie znakomite wyżywienie mieli w swojej melinie ci komuniści. Zdumiewała mnie nieostrożność wielu osób, otwarcie mówiono, że ten czy ów należy tu czy tam. Z upływem czasu zacząłem podejrzewać, iż to wszystko było wyssane z palca. Niemniej unikałem rozmów, gdy tematem była konspiracja, aby zbyt dużo nie wiedzieć i aby nie wzbudzić podejrzeń, iż się zbytnio tym interesuję. Jedni żartobliwie, inni złośliwie, przezywali warszawiaków kotami. Wszystko mieli, ale stracili. Miał dom, miał futro, miał fortepian, miał to, miał tamto, miał, miał, miał...

Niemal każdego dnia docierały pocztą pantoflową wieści o działaniach na pobliskim froncie, odległym zaledwie o 50-60 kilometrów. Każda rozmowa zaczynała się albo kończyła przewidywaniami, kiedy ruszy z miejsca. Pewnego dnia ojczym przyniósł wiadomość od pacjenta, który był przy samym froncie. Ów naoczny świadek twierdził, że Niemcy z pni drzewnych wyciosali coś na kształt luf armatnich i zakamuflowali tak jakby to były prawdziwe działa. Rosjanie zrobili to samo i po obu stronach frontu mierzy do siebie drewniana artyleria. Mijały tygodnie, a ja ani razu nie wyszedłem na ulicę. Żandarmeria wciąż legitymowała przechodniów, a mężczyzn, zwłaszcza młodych z warszawską kenkartą zatrzymywała i dokądś wywoziła. Codziennie czytałem podziemną prasę, głównie komunikaty radiowe odbijane na powielaczu, przeglądałem niemieckie magazyny ilustrowane, wypełnione fotografiami z walk na frontach Europy. Utkwiło mi w pamięci zdjęcie poległych Anglików obok kamienia drogowego z napisem „Arnheim 6 km” i twarze żołnierzy niemieckich umacniających płyty pancerne gdzieś na jednej z wysp u wybrzeża Holandii, wypoczętych, świeżych jakby dopiero co wojnę zaczęli. Trzecia Rzesza, waląca się w gruzy w lipcu i sierpniu, we wrześniu jakimś cudem odzyskała siły.

Rosyjskie natarcie na Prusy Wschodnie zostało odparte. Dzień po dniu komunikaty donosiły o ciężkich walkach w rejonie Suwałk i Niemna. Również Amerykanom nie powiodło się przełamanie frontu nad Renem, mimo że wystrzelili pięćdziesiąt tysięcy pocisków na minutę. Zajęli Akwizgran i Strasburg i utknęli. Rosyjski front na Węgrzech posuwał się ślimaczym krokiem. Dzień po dniu Niemcy odpierali natarcia w Przełęczy Dukielskiej. Zima nadchodziła, a końca ani okupacji, ani wojny nie było widać.

Stosunki z gospodarzami układały się poprawnie, co niewątpliwie było osiągnięciem; dwie obce sobie rodziny stłoczone pod jednym dachem. Nie brakowało napięć, ale nigdy nie doszło do otwartych starć. Spotykaliśmy się wszyscy przy kolacji. Gospodarz grał pierwsze skrzypce. On pierwszy sięgał do półmiska wybierając, nie zawsze największy i najlepszy kasek, ale zawsze pierwszy. Mówił najgłośniej, nie ustępował w dyskusji i przerywał innym bez ceremonii. Wtedy dopiero zdałem sobie sprawę, że głową naszej rodziny była matka. Gospodarz miał ten niemiły zwyczaj, że gdy mu w ustach utkwiał niepożądany strzęp jedzenia, okruch kości - nie krępując się, z odległości wypluwał go do stojącej na stole popielniczki, czasem trafiając w solniczkę.

Mój brat Cezary przyjechał spod Grodziska w letnich trepkach. Gdy zrobiło się zimno i mokro, dałem mu swoje buty. Używałem ich tylko wychodząc na podwórze, gdy on był w domu. Buty, zdarte od biegania po gruzach przyczółka na Czerniakowie, chłoneły wodę jak gąbka. Gospodarz pożyczył mi piękny zakopiański sweter, który nosiłem cały czas w domu. Musieliśmy oszczędzać węgiel, choć oziębiło się znacznie. Zapowiadano srogą zimą.

Codziennym zajęciem po kolacji było wyszukiwanie wszy. Gnieździły się zwłaszcza w szwach, a puszysty sweter musiał być dla nich prawdziwym rajem. Cezary, którego wszy oblaży jeszcze w sierpniu przy kopaniu okopów, uważał się za eksperta. Z jego to inicjatywy, ustawivszy pokrywkę od pasty do butów ponad zapaloną świecą, wrzucaliśmy wszy do środka. Cezary twierdził, że w ten sposób wytopi się trochę tłuszczu do smarowania butów. Niektóre wszy wyróżniały się czerwoną kropką na grzbiecie. Zwaliśmy je Czerwonym Krzyżem. Tak je ochrzczono w okopach pod Grodziskiem. Pomimo obfitych połowów każdego wieczora, wszy nie ubywało.

Pierwszego sierpnia 1944 roku rodzice z najmłodszym bratem

pojechali z letniska do Warszawy. Powstanie wybuchło i nie wrócili. Cezary, który liczył piętnaście lat, musiał sam siebie utrzymywać z pracy przy okopach. Niemcy płacili pieniędzmi i spirytusem. Sprzedawał spirytus i jakoś sobie radził.

Po posiłkach odbijało mu się głośno i wielokrotnie. Matka zrazu sądziła, że nabawił się choroby żołądka z powodu niewłaściwego odżywiania, gdy przez dwa i pół miesiąca żył na własną rękę. Wkrótce jednak okazało się, że nauczył się połykać powietrze i celowo wypuszczać je z głośnym beknięciem, jednych doprowadzając do śmiechu, w innych budząc zakłopotanie. Przebywanie w nieodpowiednim towarzystwie przy okopach, zdaniem matki, odbiło się ujemnie na jego manierach.

Gdy już wszystkie wieczorne zajęcia domowe były ukończone, zmywanie talerzy i statków, porządkowanie stołu, bicie wszy, przeczesywanie włosów gęstym grzebieniem, przystępowaliśmy do brydża czy też raczej gadanego brydżyka. Wolałem kibicować. Jeśli zasiadałem do kart, to zwykle wypadałem z gry wcześniej, gdyż między ósmą a dziewiątą ogarniała mnie nieprzeparta senność i wycofywałem się za kotarę do alkowy.

Po kolacji schodzili się sąsiedzi. Wprawdzie nieprzestrzeganie godziny policyjnej groziło śmiercią, ale na tyłach przyległych domów nie było żadnych zabudowań, panowała tam absolutna ciemność i dało się przejść dziurami w płotach od domu do domu, nie wysuwając się na ulicę. Każdego wieczora wpadał na brydża pan Łysakowski, ów drobny, szary, jakby ulepiony z kurzu, niemłody, choć i nie stary mężczyzna, o cichym bezbarwnym głosie, przeczczonych włosach, z nieodstępną fajką w ustach. Grał spokojnie, z rzadka odzywał się i jak większość karciarzy miał swoje ulubione powiedzonka. Zrzucając blotkę mawiał - malutka jak maczek. Gdy jego partner wahał się czy przebijać atutem, wyjąwszy fajkę z ust doradzał:

- Dziabnij go - zwykle z dodatkiem - malutką jak maczek.

- Ojczym, rodem z Bobrujska, zniecierpliwiony kunktatorstwem któregoś z grających, radził podnosząc głos:

- *Kak z nieczego, tak z bubion.*

Jako dziecko, nie znając jeszcze rosyjskiego, sądziłem że „z bubion” znaczy zgubiony, że jeśli nie masz z czego wyjść, toś zgubiony. Matka i pani Z. nie podchodziły zbyt poważnie do gry i nasłuchiwały się od mężów rad, z których dwie powtarzały się:

- Trzymaj karty przy orderach.
- Wychodź spod wielkiego palca.

Ojczym, gdy jego partnerka popełniała kardynalny błąd, czasem stawiał diagnozę:

- *Babuszka, bielienny ob'jechaś.*

Bielienna, miało to być ziele, po którego spożyciu dostawało się pomieszania zmysłów.

Czasem od ulicy dochodził odgłos kroków w podkutych butach. O niecałe dwieście metrów, przy drodze na Częstochowę, znajdowały się koszary żandarmerii. Zawsze starannie zaciemnialiśmy okna, aby nie sprowokować wizyty.

Brydż nieraz się ciągnął do późna w nocy. Zasypiając, oddzielony tylko kotarą od graczy, jeszcze słyszałem: *dziabnij go... przy orderach..., spod wielkiego palca..., jak z nieczego, tak z bubion.*

Sypiałem jak zabity. Nieraz jednak musiało mi się śnić, że byłem na Starówce. Macałem dokoła szukając karabinu i budziłem się wśród okropnego lęku, że mi go ukradli, że wszyscy się wycofali, że zostałem sam, nie wiedząc gdzie jestem. Czasem światło sączące się z pokoju i głosy graczy uspokajały mnie. Zdarzało mi się też zerwać w nocy pośród najgłębszego snu. Po jakimś czasie zauważyłem, że obudzeniu zawsze towarzyszył odległy warkot ciężkich motorów. W pobliżu znajdował się wojskowy park samochodowy. Ciężarówki wjeżdżające doń z wolna brały ostry zakręt. Warkot dieslowskich motorów na wolnych obrotach przypominał czołgi.

Pan Łysakowski był ważnym gościem z jeszcze innych powodów. Jego córka spała z gestapowcem. Okropnie nad tym bolał, mówiono. Dobrą stroną tego stanu rzeczy było, że córka przynosiła do domu informacje prosto z centrali gestapo na Focha. Niestety, nie było wiadomo, ile jej kochanek wiedział i z tego, co wiedział, ile powiedział.

Przy kartach, przy kolacji, przy biciu wszy, porównywaliśmy wiadomości pochodzące z trzech źródeł: z podziemnej prasy, z miasta i od kochanki gestapowca. Niemcy i żywność, te dwa tematy zaprzętały wszystkie umysły. Jeśli chodzi o pierwszy, nic nie dało się zrobić, więc cała energia koncentrowała się wokół rozwiązywania drugiego problemu. Nawet gdyby się wszystko zjadało, zawsze jakieś tam odpadki pozostały po ośmiu osobach, postanowiliśmy więc

zahodować sobie prosiaka. Z braku chlewu, a także aby nie ściągnąć uwagi Niemców, prosiakowi przydzielono punkt postoju w komórce piwnicznej. Narzuciliśmy słomy, ogrodziliśmy deskami i liczba mieszkańców wzrosła do dziewięciu. Prosiak pokwikał ilekroć ktoś schodził do piwnicy, zapewne w oczekiwaniu przysmaków. Odpadków nie brakowało, więc rósł jak na drożdżach.

Zafundowaliśmy sobie także żywą indyczkę, miała się znaleźć na stole wigilijnym. Ponieważ niewiele czasu pozostało do Bożego Narodzenia, odżywiano ją w trybie przyspieszonym. Należało to do obowiązków niejkiej Janowej, kobieciny już niemłodej, chudej i żylastej, która czasem wyręczała panie wykonując co brudniejsze posługi domowe. Janowa zajęła się tuczeniem indyczki bardzo gorliwie. Zabieg ten wyglądał następująco: Janowa unieruchamiała indyczkę ściskając jej tułów między swoimi kolanami i trzymając jej łeb w lewej garści. Otworzywszy przemocą dziób ptaka, wpychała palcem wielkie kluchy do gardła indyczki, po czym zacisnąwszy dłoń na jej szyi, przesuwiała kluchę w dół przełyku, aż do żołądka. Czasem indyczka siniała przy tych zabiegach. Jednego dnia udusiła się i musieliśmy ją zjeść jeszcze przed świętym Mikołajem.

Ku ogólnemu zaskoczeniu rozlepiono na mieście plakaty wzywające do ochotniczego wstępowania do armii niemieckiej. Miały to być oddziały złożone z Polaków-szeregowców z niemieckimi oficerami i podoficerami. Wziąłem to za dobry znak, nie tyle jako dowód rozpaczliwego położenia Trzeciej Rzeszy, co było oczywiste, ale co ważniejsze jako zapowiedź łagodniejszego kursu wobec ludności polskiej.

W dzień pojawienia się plakatów ojczym dostał się w sam środek łapanek ulicznej. Wypuścili go ze względu na wiek i zawód. Potrzebowali młodych mężczyzn do noszenia ciężkich paczek. Jeden ze złapanych zwrócił się do eskortującego żandarma o zwolnienie - stuknął się w pierś kilkakrotnie palcem mówiąc:

- *Wehrmacht, Wehrmacht.*

Nie pomogło.

- *Wehrmacht morgen* - odparł Niemiec.

Mijały dni podobne jak paciorki. Zwłaszcza moje dni. Palenie w piecu, posiłki, drzemki, bicie wszy, brydzyk. Wyglądanie przez okno na ulicę, wypadki na podwórko, wizyty u prosiaka w piwnicy. I oczywiście nie kończące się dyskusje na temat powstania i frontów Europy. Wkrótce zabrakło mi książek do czytania. Niemniej nuda mi

nie dokuczała, ani tak modne później w literaturze poczucie winy, że się nie zginęło jak inni. Wypełniała mnie radość, że żyję.

Na tym pogodnym niebie pojawiła się jednak chmura. Któregoś dnia opodal niemieckiego magazynu ukazało się kilkadziesiąt osób z łopatami i kilofami. Zaczęli kopać dół. Wkrótce ich liczba wzrosła do kilkuset, praca posuwała się wartko naprzód. Rów przeciwczołgowy pogłębiał się z dnia na dzień, a przed rowem, po stronie skąd można było oczekiwać nadejścia Rosjan, wyrastał wysoki wał ziemi. Do tego czasu wydawało się, że nasz niepozorny parterowy domek u skraju miasta stoi na uboczu, z dala od wielkich wydarzeń. A tu nagle pod samym nosem, o sto metrów zaledwie, budowano fortyfikacje. Przyszłość zarysowała się groźnie. Znaleźliśmy się wewnątrz trójkąta zakreślonego wałem i rowem przeciwczołgowym, magazynem żywnościowym i koszarami żandarmerii. Niech tylko front się zbliży, Niemcy wypędzą wszystkich z domów. Gdyby się na tym skończyło, nie byłoby to jeszcze najgorsze.

Od czasu rozpoczęcia budowy umocnień nie przesiadywałem na podwórzu zbyt długo, aby nie przyciągnąć uwagi Niemców dozorujących roboty.

Mieliśmy czasem gości - wysiedleńców z Warszawy. Raz odwiedziła nas pani w średnim wieku, która pełniła jakąś funkcję gospodarczą przy batalionie Chrobry II w Śródmieściu. Przyniosła wiadomość o śmierci mjr. Sosny, dowódcy mojego batalionu, a potem zgrupowania na Starym Mieście. Był on uwielbiany przez wielu za swoją spokojną odwagę, logiczne myślenie i oszczędzanie krwi żołnierzy. Po raz pierwszy od wyjścia z dymiących ruin przyczółka na Czerniakowie doznałem bólu. W oczach tej pani powstanie było wielkim sukcesem propagandowym, świat będzie podziwiał bohaterstwo Polaków tak jak trzystu Spartan spod Termopil. Najbardziej mnie rozdrażniła opowiadając, ile to tam u Haberbusza mieli cukru, który się w końcu spalił. Pamiętam to dobrze. Trzeciego dnia powstania o świcie przywieźliśmy do browaru na kwaterę dwie zdobyczne platformy załadowane workami z cukrem. A kawę nadal dawano nam nie osłodzoną. Jak to nas wtedy oburzyło, że intendentura schowała cukier na własny użytek.

Jednej nocy nagle szarpnięcie zerwało mnie z leżanki.

- Ubieraj się, ubieraj się, Niemcy wyciągają mężczyzn z domów.

Wysunąłem głowę spoza kotary. Za ledwie świtało. Powoli napływały wiadomości z miasta, głównie od kobiet, które wyszły na ulice. Jeszcze po ciemku wojsko obsadziło całe miasto, co kilkadziesiąt kroków stał żołnierz. Zatrzymywali i legitymowali wszystkich. Zwalniali tylko niewielu mężczyzn w wieku poborowym zatrudnionych w zakładach ważnych dla Niemców. Młodzi z warszawską kenkartą nie mieli żadnej szansy. Ukryty za firanką z ukosa zerkąłem na ulicę, przyglądając się nielicznym przechodniom i żołnierzom stojącym wciąż w tym samym miejscu, na rozwidleniu ulic, obok.

Tymczasem inne grupki żołnierzy przeczesywały dom za domem, mieszkanie za mieszkaniem i wygarniały młodych. Nie było się gdzie schować. Naciągnąłem dwie pary kalesonów, kilka koszul i sweter pana Z. Matka przyszykowała mi wałówkę na drogę. Włożyłem buty, które służyły mnie i bratu, dobre dopóki sucho. Panie wyglądały na ulicę i na tyły domów, meldując o postępach operacji.

Żołnierze coraz to eskortowali jezdnią grupy poławianych. Ci, co przeczesywali po tej stronie ulicy, zbliżali się powoli do naszego domu. W pewnej chwili gospodyni zawołała:

- Niemcy na podwórzu...
- Wchodzą do Łysakowskiego.

Prawie jednocześnie Niemcy weszli do kamieniczki z drugiej strony, do której nasza przybudówka przylegała, a także od tyłu, aby nikt się nie wymknął opłotkami. Narzuciłem palto, pożegnałem się. W bezruchu, pośród zupełnej ciszy czekaliśmy na łomotanie do drzwi. Czas już nie dłużył się, ale niemal stanął w miejscu, jak zwykle w takich sytuacjach, i dlatego nie zdałem sobie sprawy, ile minut upłynęło zanim gospodyni, wyjrawszy na podwórze, zawołała:

- Niemców nie ma!

Domyślaliśmy się, że żołnierze, którzy weszli do domu Łysakowskiego po prawej stronie, sądzili że przybudówkę przeszukali ci po lewej, a ci po lewej, iż ci po prawej.

Poławianych mężczyzn spędzono na stadion. Podawano liczbę trzydziestu, a nawet czterdziestu tysięcy. Mieli ich pilnować własowcy. Obie liczby wydawały się przesadzone, biorąc pod uwagę, że cała ludność miasta wynosiła tylko sto kilkanaście tysięcy. Część wyreklamowały niemieckie firmy: kolej, elektrownia. Niektórych zwolniono za łapówki, resztę wywieziono. Rów przeciwczołgowy był już na ukończeniu i swą obecnością przypominał okolicznym

mieszkańcom, że najgorszego może jeszcze nie doświadczyli. Głowiłem się co robić, gdy rozpocznie się rosyjska ofensywa. Uciec do lasu? I tam przeczekać dwa, trzy dni aż front się przetoczy. A jeśli potrwa dłużej, to albo umrę z zimna, albo zabije mnie angina. Zresztą nawet porządnych butów nie miałem. A może przenieść się do Śródmieścia? Front stał zbyt blisko, aby Rosjanom udało się zupełnie rozbić niemiecką obronę, zanim walki obejmą teren miasta. Cała nadzieja była w tym, że Rosjanie jakoś obejdą Kielce, zmuszając Niemców do szybkiego odwrotu. Opracowywałem różne warianty tego co robić, gdy rozlegnie się daleki grzmot artylerii. Wszystkie wydawały się jednocześnie i lepsze, i gorsze od siedzenia na miejscu. Im więcej nad tym się zastanawiałem, tym bardziej w mojej wyobraźni front nabierał podobieństwa do stalowego walca, który miał przetoczyć się po mnie.

Tydzień przed Bożym Narodzeniem dostaliśmy niezwykłą wiadomość: oto Niemcy rozpoczęli wielką ofensywę na Zachodzie i posuwają się naprzód. Wśród brydżystów od razu przeważała opinia, że to „ostatnie podrygi konającej ostrygi”.

Minęły święta i Nowy Rok - ani śniegu, ani Rosjan. Na Sylwestra, podobnie jak w latach poprzednich, wychyliłmy toasty za zwycięskie zakończenie wojny w nadchodzącym roku. Niemcy nie świętowali tak hucznie jak dawniej, o północy padło kilka strzałów i na tym się skończyło.

Wiadomość o ofensywie na Zachodzie zachwiała moje plany ucieczki do lasu. Niemcom zabraknie rezerw. Gdy front pęknie, nie będzie go czym podeprzeć. Walec wojny, zamiast z wolna toczyć się gniotąc wszystko po drodze, pomknie z taką szybkością, że nas przeskoczy. Przesuwały się dni bez wydarzeń, podobne do siebie jak płatki śniegu, który jeszcze nie spadł. Każdy dzień jednak przybliżał rosyjską ofensywę o jeden dzień. Okrążony Budapeszt wciąż się bronił. Wielkie niemieckie uderzenie na Zachodzie utknęło.

Spoza firanek często przyglądałem się ulicy. Kiedyś zdołały ją kolory złotej jesieni, teraz wszystko wyblakło. Wiatr przerzucał brunatne liście to tu, to tam. Cywile opatuleni czym się dało, bezbarwni, szli wydmuchując obłoczki pary. Jedynie żandarmi, zakwaterowani w pobliskich koszarach, odbijali od ogólnej szarzyzny jaskrawą zielenią mundurów. Mróz zamienił podmokłe podwórze w kamienną grudę. Czołgom będzie się lepiej jechało po zmarzlinie.

Miała się już ku końcowi pierwsza połowa stycznia, gdy miasto

obiegła wieść, że wielka ofensywa zaczęła się. Nowinę przynieśli ci, co podwodami jeździli na wschód, ku Wiśle. Niemcy ich zawracali. Na własne uszy słyszeli ogień artylerii. Minał jeszcze dzień czy dwa i już dobiegło nas odległe dudnienie armat, które zbliżało się, ale także przesunęło bokiem, jakby na południe od Kielc. Miasto zamieniło się w słuch. Córka pana Łysakowskiego przyniosła wieść od kochanka, że sytuacja na froncie jest opanowana i że gestapo pakuje się. Z nadejściem nocy kanonada nieco przycichła. Wczesnym rankiem ktoś wpadł wołając, że Niemców nie ma. Pierwszy raz odważyłem się wysunąć na ulicę. Rzeczywiście, jak daleko wzrok sięgał, ziało pustką - ani munduru. Koszary żandarmerii też były puste, zniknął wartownik przy magazynie żywnościowym. Córka pana Łysakowskiego wyszła poprzedniego dnia wieczorem i nie wróciła. Trudno było zrozumieć, dlaczego Niemcy nie cofali się obok naszego domu na zachód, drogą prowadzącą na Częstochowę, i dlaczego Rosjanie jeszcze nie przyszli, skoro Niemców już nie było. Widocznie odwrót na zachód został już odcięty i Niemcy, korzystając z ciemności, nocą odskoczyli na północ, a my znaleźliśmy się na ziemi niczyjej, Rosjanie wejdą lada chwila. Dudnienie artylerii stało się głośniejsze i dobiegało z różnych kierunków. Ktoś już zajrzał do magazynu, aby upewnić się, że Niemców tam nie ma. Poszedłem i ja. Wory mąki i góry wiecznie świeżego chleba. Był to właściwy czas, żeby się zaopatrzyć, nim tłum nabierze śmiałości i zacznie szabrować. Miejscowi, nie otrzaskani z wojną, siedzieli w domach wystraszeni hukiem. Na nas, warszawiakach, ten hałas nie robił wrażenia. Zarzuciwszy wór na plecy, zaniósłem go do domu z lekka się zataczając, bo ciężki był i kolebał się. Po krótkiej naradzie, całą rodziną, obaj bracia, matka i ojczym, udaliśmy się do baraku, zaopatrzeni w kosz na bieliznę. Podczas gdy ja zająłem się głównie dźwiganiem worów z mąką, najmłodszy brat i matka przenosili w koszu chleb. Ojczym i Cezary też przenieśli po worku. Mnie już po drugim nogi zaczęły trochę dygotać i bracia musieli mnie podpieierać, abym nie padł pod ciężarem. Każdy worek ważył siedemdziesiąt pięć kilo. Ostatni, szósty, miał dziurę, której w porę nie zauważyłem, i nim go doniosłem do domu, prawie połowa wysypała się po drodze. Skończywszy z mąką, bez zwłoki wziąłem się za chleb. Nie było czasu do stracenia, ponieważ coraz więcej osób dołączało, wielu z taczkami, z wózkami, i wkrótce tłum kłębił się przed wąskimi drzwiami, jedynym wejściem do magazynu. Wytworzył się zator.

Jedni pchali się do środka z pustymi rękoma, drudzy z łupem usiłovali wydostać się na zewnątrz. Barczysty chłop w maciejówce przepchnął się przez drzwi magazynu z workiem na plecach. Podskoczyła do niego od tyłu chuderlawa kobiecina, podstawiła miednicę i przecięła worek nożem. Chłop aż zachwiał się, gdy mu nagle ubyło ciężaru. Trochę mąki wpadło do miednicy, reszta rozsypała się wzbijając tuman białego pyłu. Nie można było precyzyjnie się z workiem przez drzwi, które przepuszczały najwyżej dwie osoby naraz. Ludzie wynosili mąkę wiadrami, garnkami, trzymając je ponad głowami, potracając się, rozpychając. Pobielało. Mąka na butach, mąka na głowach, mąka na wąsach, mąka wdeptana w ziemię.

Jeśli chodzi o wyżywienie, to już mogliśmy spokojnie spoglądać w przyszłość. Gospodarze wydawali się być wstrząśnięci widokiem takiego bogactwa i zapewne zawstydzeni, że przez własną ostrożność nie wytknęli nosa z domu i nie wykazali inicjatywy, aż stało się za późno. Tłum przed drzwiami magazynu spęczniał i wszelki ruch do środka i na zewnątrz ustał. Nie wiem, czy zazdrość miotła gospodarzami - miotłaby mną, gdybym był w ich skórze - więc aby ich udobruchać i z wdzięczności za gościnę, daliśmy im dwa worki i kilkadziesiąt bochenków.

Podczas gdy uwaga okolicznych mieszkańców skupiała się na magazynie, matka i obaj bracia, ze mną na czele, pomknęliśmy pośród dudnienia artylerii poprzez wymarłą ulicę do pobliskich koszar żandarmerii. Budka wartownika stała pusta. Butów, pościeli, bielizny już nie było. Rozmontowaliśmy kilka metalowych łóżek i objuczeni, ciągnąc także ze sobą materace z podglówkami, ruszyliśmy w drogę powrotną, uginając się pod ciężarem. Pociski zaczęły nadlatywać ze świstem i błyskając wybuchały w parku, gdzie jeszcze wczoraj stały ciężarówki. Na moją komendę wszyscy padli, rozplaszczając się w płytkim rynsztoku dla lepszej osłony przed odłamkami. Wkrótce ogień przeniósł się gdzie indziej, choć świst nie ustawał. Na moją komendę rodzina poderwała się i obolali od dźwigania, ale uszczęśliwieni nową zdobyczą dopadliśmy domu.

Można było tylko odgadywać, dlaczego artyleria ostrzeliwała pusty niemiecki park samochodowy. Czyżby Rosjanie nie wiedzieli, że Niemcy już opuścili Kielce? Wydawało się to nieprawdopodobne, zwłaszcza przy takim zwarcu bojowym. Wkrótce więcej niespodzianek nas oczekiwało. Zaledwie wróciliśmy z koszar, Focke-

Wulf, dwukadłubowiec, przeleciał wolno i bardzo nisko nad dachami w kierunku południowo-wschodnim, jakby ku frontowi. Nigdy by się nie odważył, gdyby Rosjanie byli w mieście. Można było go zestrzelić zwykłym karabinem maszynowym. Z samolotu na pewno zauważono tłum wokół magazynu. Jeszcze byliśmy pod wrażeniem Focke-Wulfa, gdy ktoś zobaczył Niemca na ulicy. Przykleiliśmy się do okien. Jezdnią szedł żołnierz z karabinem zarzuconym na ramię, od strony środka miasta, na zachód. Na wieść o Niemcu, umęczony tłum rozpierzchnął się natychmiast. Strach padł na wszystkich. Jeśli Niemcy wrócą, dadzą nam bobu. Największy strach padł na naszych gospodarzy, bowiem od drzwi magazynu, poprzez otwór w płocie aż do drzwi naszego domu prowadziła biała ścieżka rozsypanej mąki, odcinająca się na tle ciemnej ziemi. To przez ten ostatni worek, który miał dziurę, pewnie wygryzioną przez myszy. Sąsiadom też ciężko zrobiło się na sercu, wszystkim była znana zasada odpowiedzialności zbiorowej. Można nawet było przewidywać, co Niemcy zrobią... wezmą grupę mężczyzn i dla przykładu rozwalą przed wejściem do magazynu, na rozsypanej mące.

Przed godziną sądziłem, że wojna dla mnie skończyła się. Teraz wyglądało, że najgorsze mogło jeszcze przyjść. Stopniowo wszystkie czynności domowe ustały. Zgromadzeni na parterze wsłuchiwalismy się w huk artylerii, który nasilał się w miarę upływu czasu, zbliżał z różnych kierunków, choć wciąż wydawał się odległy. Kanonada musiała zaniepokoić i prosiaka. Chrząkał i pokwikał wystarczająco głośno, aby ściągnąć uwagę przechodzących ulicą żołnierzy nie tylko na siebie, ale i na mączną ścieżkę. Aby go uciszyć schodziliśmy od czasu do czasu do piwnicy z jakimś drobnym przysmakiem (wszystko co jadalne było dla niego przysmakiem), aby mu „zatkać ryj”. Skutek był odwrotny, prosiak musiał się czegoś domyślać i głośniejszym chrzäkaniem domagał się więcej. Gdyby któryś z domowników był rzeźnikiem, być może mniej ugodowe rozwiązanie wzięto by pod uwagę.

Ciężkie szare chmury zasnuły niebo, zanosilo się na śnieg, pierwszy tej zimy. Przy zapadającym zmroku grzmot armat toczył się pomiędzy chmurami a ziemią. Nikt nie przemykał się ulicą, nikt nie wystawał na podwórkach, lampy uliczne nie zapaliły się. My także nie zapaliliśmy karbidówek, aby nie przyciągnąć uwagi nie tylko Niemców, ale i rosyjskiej artylerii. Pomimo zasłon na oknach zawsze trochę światła wydostawało się przez szpary na zewnątrz. Sąsiedzi

musieli myśleć podobnie, w ciemnych prostokątach okien pobliskich domów nie było widać najmniejszego nawet blasku. Nieprzenikniona ciemność ogarnęła okolicę, nie rozjaśniona ani pożogą, ani światłem gwiazd. Czas mierzyl się nie tykaniem zegara, ale dudnieniem armat, i ani nie posuwał się, ani też nie stał w miejscu. Musiało już być koło północy, gdy zaświstały pierwsze pociski. Naciągnąwszy nauszники, czapki, rękawice, futra, palta, kto co miał najcieplejszego, okręciwszy się szalikami zeszliśmy do piwnicy, gdzie było niemal tak mroźno jak na dworze. Od kilku godzin dokuczał mi ból gardła. Musiało mnie zawiąć, gdy spocony dźwigałem worki. Jeśli teraz przemarznię w piwnicy, rozchoruję się na dobre - myślałem - angina, gorączka. A jeśli przyjdzie opuścić dom, jeśli Niemcy nas wygonią, to nie wytrzymam tułaczki. Wbrew protestom domowników wróciłem na parter. Zagrzałem wody, dosypałem soli. Zasiadłem w fotelu w przedpokoju, gdzie dwie ściany osłaniały mnie od strony rosyjskiej artylerii, i płucząc raz po raz gardło, przysłuchiwałem się bitwie. Rów przeciwczołgowy, choć ciemność nie pozwalała rozróżnić szczegółów, wydawał się nie obsadzony. Żadne głosy stamtąd nie dochodziły. Kilka razy zszedłem do piwnicy, na krótko. Ziąb, smród i nerwowa atmosfera wypędzały mnie z powrotem na górę. W piwnicy czułem się cywilem biernie wyczekującym swego losu, członkiem wylęknionej gromady.

Ten prostokątny domek o kształcie krótkiego baraku zawsze był pełen ludzi, ośmioro domowników, nie licząc gości. Teraz ja sam pośród pustych korytarzy i pokoi, przy grzmocie armat czułem się odrobinę jak kapitan okrętu bez załogi i bez steru podczas sztormu. Tu, na górze, wydawało mi się, byłem panem własnego losu, i choć bez broni, bardziej żołnierzem niż cywilem. Cisza, ciepło i ciemność wewnątrz domu odprężały i usypiały, kontrastując z szalejącą dokoła burzą, od której dzieliły mnie tylko kruche ściany i szkło werandy. Mijały kwadranse, może godziny, front pełzył ku nam powoli. Nikt nie napalił w piecach wieczorem i robiło się coraz chłodniej. Gwizd pocisków zbliżał się i zniżał. Szybki szklanej werandy pobrzękiwały. Trzeba było wracać do piwnicy.

Wkrótce pociski jeszcze bardziej zniżyły lot, rozrywały się niedaleko, na wschód od nas, chyba wzdłuż drogi niemieckiego odwrotu na Częstochowę, przy której stał nasz dom. Huk nabrał ostrości. Bliższym eksplozjom wtórował urywany kwik. Gdy przycichło na krótko, słysząc było odległe dudnienie armat,

przytupywanie marznących domowników i pochrząkiwanie prosiaka, który wiercił się nieustannie w swym kojcu. Schody z piwnicy wychodziły na podwórze, z tej właśnie strony strzelała artyleria. Skupiliśmy się wszyscy przy jednej ścianie, aby uniknąć odłamków. Poza kanonadą żadne inne dźwięki nie docierały do piwnicy -ani ludzkie głosy, ani warkot motorów, ani zgrzyt gąsienic. Noc ciągnęła się i ciągnęła. Nikogo nie obchodziło, która była godzina, ile czasu dzieliło nas od świtu. Zegar już nie regulował ludzkiego życia. Pośród huku odróżniłem odległy terkot karabinów maszynowych. A więc teraz front wtacza się na nas swym ostrzem. Gdy przycichło, wszedłem na górę schodami. Noc ustępowała, szarzało. Między naszym domem a magazynem migwały iskry. Szybko cofnąłem się. Nadeszła decydująca chwila. Drzwi celi śmierci, w której żyliśmy od pięciu lat, uchylały się.

Światło dnia już sączyło się do piwnicy, gdy znowu wspiałem się schodami na górę. Wysunąwszy tylko oczy ponad poziom progu rozglądałem się po okolicy. Śnieg padał grubymi płatkami, zacierając ślad mącznej ścieżki. Od strony rowu przeciwczołgowego ukazało się kilku żołnierzy. Od razu rozpoznałem ich po kolorze mundurów i pepeszach.

Przeżyłem wojnę.

Za chwilę byli obok. Wyszedłem z piwnicy.

- *Zdrastwujtie towariszczii!*

Przystanęli. Spyтали o Niemców. Powiedziałem, że od wczoraj ich nie widzieliśmy, po czym dodałem:

- *Pierwyj śnieg idiot, zimu z soboj priniesli.*

Poszli dalej. Kanonada, która szalała całą noc, ucichła z nastaniem dnia, jakby światło rozpędziło upiory nocy. Nim minął kwadrans, nadciągnęło wielu żołnierzy. Zaprosiliśmy ich do środka. Już nie pamiętam, czy panie coś na prędcie upitrasily, czy też przygrzały konserwy, które żołnierze nieśli ze sobą, czy tylko zaparzyły herbatę. Znalazła się wódka. Młody oficer, dwa lata starszy ode mnie, a już kapitan, w którym dostrzegłem coś z siebie samego, walnął dłonią w dno butelki. Złąłem się, że szkło pęknie i poharacze mu rękę.

- *Slizkom silno* - ostrzegłem.

- *Eto ruskaja kriepost'* - odpalił.

Walnął jeszcze dwa razy i korek wyskoczył pod sufit. Wychyliliśmy toasty. Rosjanie nie zagrzali długo miejsca, popędzili

dalej. My zaś, trzej bracia i ojczym, ruszyliśmy na miasto, aby coś jeszcze podłapać z ponemieckiego mienia, zanim wystraszeni strzelaniną kielecczanie ochłoną i wyjdą z piwnic. Na zachód, ku Częstochowie, drogę zaścielały ścięte gałęzie. Na ulicy widać było dużo mundurów, rzadko gdzie cywila.

Jakiś dziadyga, oberwaniec w wytartych łachmanach, z radości podskakiwał w miejscu wykrzykując raz po raz:

- Takie łapserdaki a takich panów pobili.

Obok na niskim murku przycupnęło dwóch żołnierzy. Ich bezruch zwracał uwagę pośród ogólnego pośpiechu. Podeszedłem do nich. Odpowiedzieli bardziej po ukraińsku niż po rosyjsku. Obaj byli ranni; właśnie szli całą grupą przez pole, gdy nagle spoza pobliskiego pagórka wyjechał czołg i strzelił z działa. Dwudziestu raziły odłamki. Zaskoczyło to mnie. Niemców, poza jednym żołnierzem, nie widzieliśmy od przedwczoraj, a byli tak blisko. Po chwili przy rannych zatrzymał się oficer, chyba podejrzewał, że markierowali. Coś mu długo tłumaczyli, wciąż siedząc.

Najbliższym niemieckim obiektem, jeszcze przez nas nie spenetrowanym, był gmach gestapo na Focha. Tam też skierowaliśmy swe szybkie kroki, aby ubiec miejscowych szabrowników. Brama stała otworem, a przy niej pusty bunkier. Na próżno przemierzaliśmy pokój za pokojem w poszukiwaniu „zdobyczy”: mundurów, butów, bielizny... czegokolwiek. Jeden z pokoi był wyłożony od środka izolacją, na haku jeszcze wisiała czapka z daszkiem i pejcz, jak w kinie. Już zrezygnowani wychodziliśmy z pustymi rękoma, gdy nagle naszą uwagę zwrócił wspaniały żyrandol w holu, wykuty z brązu, inkrustowany, zawieszony u sufitu na czterech grubych, ozdobnych łańcuchach. Pewnie go gestapowcy ukradli z pałacu albo muzeum. Zdjęcie żyrandola wymagało siły i zręczności. Trzeba było wpierw podsunąć stół, a na nim postawić krzesła, aby dosięgnąć sufitu.

W bramie przy bunkrze zatrzymał nas żołnierz.

- *A wy tak czto zdies dziełajecie?*

Najwidoczniej wziął nas za szabrowników. Ojczym nie stracił rezonu i z miejsca odpalił:

- *Eto majo, Niemcy mnie eto wziali.*

Żołnierz przyjął to oświadczenie za wystarczające i już bez żadnych trudności, przez nikogo nie nagabywani, dotarliśmy do domu, wprowadzając gospodarzy w stan oniemienia. Żyrandol na razie

złożyliśmy obok prosiaka w piwnicy, dla niepoznaki zarzuciwszy go szmatami.

Ledwo odsapnąwszy, ruszyliśmy z powrotem na miasto, tym razem bez ojczyrna, aby się przejść po bojuwisku, porównać nasze domysły robione w piwnicy z tym co się działo na ulicach, i może co podłapać z odzieży i obuwia. Ze sklepów, przez wybite szyby wystawowe, grupki cywilów wyciągały mizerne towary. Tu i ówdzie rosyjscy żołnierze niezdecydowanie rozpraszali szabrowników. Nieoczekiwana eksplozja szarpnęła powietrzem. Pocisk uderzył w róg Żytniej i Focha, nikomu nie wyrządzając krzywdy. Centrum miasta nosiło ślady zaciętej walki. Mury podziobane odłamkami, jezdnie opryskane gruzem. Blachy pozdzierane z dachów walały się dokoła. Szkielety dwóch wypalonych czołgów stały przy jednym z większych placów. Zerknałem do środka, pozostały tam tylko przepalone skorupy hełmów. Opancerzenie czołgów wydało mi się bardzo cienne, niemożliwe żeby to były groźne czołgi rosyjskie T-34.

Kręcąc się po mieście zobaczyliśmy dwóch zabitych Niemców. Zdumiewające, tylko dwóch po takiej bitwie. Jednemu z nich głowę przejechał czołg i zgniótł ją na kształt olbrzymiego naleśnika. U dołu naleśnika szczyrzyły się dwa rzędy zębów, u góry odcinał zarys oczodołów. Inny, blondyn koło trzydziestki, leżał na plecach, półotwarte oczy utkwione w szare niebo, ani śladu krwi, już bez butów i bez czapki. Nieswojo mi było na oczach tylu ludzi zdjąć mu kurtkę, więc tylko sięgnąłem do kieszeni i wyjąłem portfel; mieszkał w Monachium. Włożyłem portfel z dowodem z powrotem do kieszeni myśląc, że i tak zapamiętam personalia i po wojnie powiadomię rodzinę. Zaledwie wszedłem na placyk zarzucony gruzem i blachami, gdy Rosjanin złapał mnie za rękaw.

- *Zdies miny* - zawołał wskazując ręką obok, gdzie w małej kałuży krwi leżał żołnierz na własnych oberwanych nogach. Cofający się Niemcy założyli miny pod blachami. Nie było sensu dłużej kręcić się po mieście, tłumy wypełniły ulice, wróciliśmy do domu. Następnego dnia po śniadaniu zdecydowaliśmy obejść górę Kadzielnic, osłaniającą miasto od południa, gdzie, jak słyzałem, toczyły się zacięte walki. Zaraz za ostatnimi opłotkami stała porzucona pantera, pusta, nie uszkodzona, oprócz tego, że w grubym pancerzu z przodu pocisk wybił wgłębienie wielkości pięści i omal nie przebił się do środka. Zajrzałem do kabiny, czy aby czego czołgiści nie zostawili. Dokoła walały się pancerfausty różnych

kalibrów. Na zboczu Kadzielni porośniętej rzadkimi krzakami, w płytkim rowie irygacyjnym wijącym się wzdłuż wąskiej drogi leżał młody Niemiec, już bez butów, bez czapki i nawet bez kurtki, w spodniach tylko i w rozpiętej na piersiach koszuli, spod której wyglądało jaskrawo brązowe ciało, jak opalona pomarańcza, gdyby pomarańcza mogła się opalić. Nigdy takiego koloru na żywym człowieku nie widziałem. Zapewne dopiero co wrócił z urlopu w Alpach, bo gdzie indziej zimą operuje takie silne słońce. Wyglądałby jak zwalony posąg atlety, gdyby nie zamrożnięta krew na spodniach i odstrzelony czubek głowy. Rozejrzałem się dokoła, przeszedłem kilkadziesiąt metrów drogą. Wzdłuż rowu irygacyjnego mieniły się zamrożnięte rubinowe kropelki. Odnalazłem miejsce, gdzie dostał postrzał w brzuch i skąd czołgał się rowem krwawiąc, aż go dopadli wrogowie. Spróbowałem zdjąć koszulę. Sztywny był jak deska, ani mu zgąć ramion. Przy opukiwaniu ciało wydawało odgłos drewnianego manekina.

W ciągu pierwszych dni coraz to gościliśmy rosyjskich żołnierzy. Wpadali z drogi po kilku, czasem kilkunastu, głodni, zmarznięci, z własnym prowiantem. Panie odgrzewały konserwy, zaparzały herbatę. Szybko jedli i dalej na zachód. Raz jeden z żołnierzy wsadził do kieszeni kilka łyżek, widelcy i noży. Nie uszło to uwagi gospodyni. Żołnierz oddał wszystko, wyrażając przy tym zdumienie, że cudza własność znalazła się w jego kieszeni.

Następne dni już niewiele przyniosły zmian. Front oddalał się z niebywałą szybkością.

*

Na krótko zakwaterował u nas ze swoim ordynansem major tyłowej formacji, człowiek w średnim wieku. Obaj spali na materacach na podłodze w korytarzyku. Urządziliśmy im przyjęcie. Produkty mączne i konserwy stanowiły podstawę, prosiakowi udało się i tym razem. Karafki z wiśniakiem, śliwowicą, jarzębinówką barwnie odcinały się na tle białego obrusa. Ojczym wzniósł toast za zdrowie Stalina, wszyscy zauważyli jak major od razu zmarkotniał.

Gospodarz, człowiek rozmowny, znający rosyjski, omal że nie dostał się w tarapaty. Któregoś dnia przyszło NKWD sprawdzić kto on zacz. Ktoś doniósł, że wypytywał się żołnierzy skąd pochodzą, dokąd idą.

Nie minął dzień od zajęcia Kielc przez Rosjan, gdy przy magazynie stanął wartownik. Ku mojemu zaskoczeniu do

opuszczonej siedziby gestapo wprowadził się urząd bezpieczeństwa.

Na ścianach przy wejściu do nowych urzędów przybijano tabliczki z białym orłem bez korony. Pojawiła się milicja obywatelska w szaro-niebieskich mundurach.

Na skrzyżowaniach Rosjanie ustawili znaki drogowe w formie strzał zwróconych ostrzem w kierunku marszu wojsk na zachód. Na strzałach znajdował się napis „Berlin” i odległość w kilometrach. W kilku punktach miasta stały opatulone dziewczyny w walonkach, kierując ruchem pojazdów. Zapewne, aby wzmocnić ich autorytet, ustawiono tablice z napisem: „Signal regulowszczyka prikaz”. Już masa piechoty przewalała się na zachód, już padła Częstochowa, Łódź, Katowice, gdy śladem piechoty pogoniła artyleria. Przez dziesięć dni przed naszym domem jechały armaty przyczepione do ciągników. Tysiące armat.

Wkrótce przenieśliśmy się do mieszkania na ulicy Żytniej, opuszczonego przez folksdojczów. Prosiak pozostał u gospodarzy i słyszałem, że przeżył Wielkanoc.

Żyrandol wzięliśmy na nowe miejsce. Przez całe lata towarzyszył w przeprowadzkach naszej rodzinie. Zbyt ciężki, by go powiesić na zwykłym suficie, przy tym zbyt wartościowy, by go komu pokazać. Raz, przy próbie sprzedaży, ledwo uniknęliśmy konfiskaty na rzecz muzeum. Zalegał więc w piwnicach pod kartoflami - ani Bogu, ani ludziom.

2

JAK WYBRAŁEM WOLNOŚĆ NA ZACHODZIE

Upłynęły niecałe dwa tygodnie od oswobodzenia Kielc przez Armię Radziecką, gdy pewnego mroźnego styczniowego wieczoru 1945 roku wszedłem do niepozornej świetlicy przy ulicy Kolejowej. Plakaty rozwieszone po mieście zapraszały na pierwsze zebranie członków i sympatyków PPR. Zgromadziło się nas wszystkiego szesnaście osób - na każdego przypadało dziesięć tysięcy mieszkańców, którzy nie przyszli.

Podczas zebrania ktoś poruszył sprawę wolnych wniosków. Na to poderwał się młody mężczyzna w chłopskich butach z cholewami i zawołał: - Wysyłamy depezę do Stalina, tylko żeby miała i ręce, i nogi.

Po tylu latach już się nie pamięta, o czym tam rozprawiano. Zakończenie jednak utkwilo mi w pamięci. Wstał siwy mężczyzna, przedwojenny komunista. Swe krótkie przemówienie zakończył wołając: - Na murach, gdzie dziś czerwoną farbą malują... PPR - ZDRAJCY..., kiedyś zakwitną czerwone róże.

Słowa jego wzruszyły widownię. Wyobrażając sobie róże, nie myśli się o kolcach ukrytych pod kwiatem, a co dopiero o samych kolcach bez kwiatu, a już nigdy o więzieniu otoczonym lasem róż kolczastych zamiast kolczastego drutu.

Poznałem na zebraniu, tym i kilku następnych, niebrzydką brunetkę o zawziętych rysach i wesołego lwowiaka. Oboje członkowie partii od dawna.

Najważniejsi, towarzysz Demianow i towarzysz Kula, na zebrania nie przychodzili. Czasem można ich było spotkać w sekretariacie partii. Przysadzisty towarzysz Kula niczym szczególnym się nie wyróżniał. Za to wyschła twarz chudego towarzysza Demianowa przykuwała uwagę. Wryte na niej były jakieś mocne przeżycia osobiste. Mógłby to być wieloletni staż w roli i ofiary, i oprawcy.

Pod koniec lutego wybrałem się z matką na kilka dni do Warszawy zobaczyć, czy nasz dom stoi. W Częstochowie przenocowaliśmy u kuzynów znajomych z Kielc. Inaczej trzeba by było spać na nieopalanym dworcu. Następny postój przypadł w Ursusie. Tutaj wuj pożyczył mi swoje buty. Moje przemokły i

zaczynały się rozłazić. Buty wuja wykonał chyba stolarz. Składały się z drewnianej podeszwy, do której gwoździkami przybito czarną ceratę zamiast skóry. Wuj bardzo je chwalił.

Od najbliższej szosy do Warszawy dzieliły nas dwa kilometry marszu w topniejącym śniegu i rozmięklej glinie. Wkrótce zachlupało mi w butach. Szczęściem nawierzchnia szosy była względnie sucha. W kierunku przeciwnym, na zachód, ciągnęły kolumny polskiej piechoty.

W miarę gdy zbliżaliśmy się do miasta, wśród zaśnieżonych pól coraz częściej widzieliśmy domy. Pierwsze zgłiszcza wskazywały, że to już Warszawa. Po lewej minęliśmy stojący na podwyższeniu kościół w stylu gotyckim, gdzie gestapo przeprowadzało selekcje. Wtedy, pół roku temu, 21 września, w południe, u szczytu schodów przed wrotami stało dwóch w mundurach SS. Kto podpadł, temu w czapę. Pozostałych wpuszczano do kościoła.

A oto Kercelak - tu pierwszy raz w życiu zobaczyłem wybuch pocisku.

Skrzyżowanie Wroniej z Chłodną - tu pierwszy raz w życiu strzeliłem z karabinu, a obok za rogiem otrzymałem awans na kaprała.

Już nie czułem wody w butach, może zagrzała się.

Gdzieś daleko, po przeciwnej stronie morza ruin, rok temu stał nasz dom. Niesamowita była ta wędrówka przez umarłe miasto, wśród takiej ciszy, że czasem słyszało się echo własnych kroków. Zwały gruzu, leje, coraz to grodziły drogę. Śnieg grubą warstwą okrywał jezdnie, chodniki. Białymi czapami siedział na szczytach osmolonych ruin, na barykadach, nadając miastu podniosły charakter, przywołując myśl o majestacie śmierci. Zastanowiło mnie, że tyle piękna może być w zniszczeniu.

Łatwo dało się odróżnić te budynki, które Niemcy obsadzili od samego początku powstania. Nie nosiły śladów walki, nawet jeśli były wypalone. Na ważniejszych arteriach miasta Niemcy rozebrali barykady, zasypali przekopy i rowy przeciwczołgowe, odrzucili gruz, aby sobie ułatwić poruszanie. Wzdłuż tych ulic wiodły ścieżki wydeptane w śniegu przez wracających warszawiaków. Na placu Trzech Krzyży odruchowo obróciłem głowę w lewo, jak to robiłem dawniej, zerkając na wielki zegar umieszczony wysoko w ścianie Instytutu Głuchoniemych. Teraz u szczytu, w osmalonym murze, w miejsce tarczy zegara, przeświecał okrągły otwór.

Ponad pokryte śniegiem trawniki i klomby wystawały krzyże

zbite z byle czego. Masywny budynek hotelu sejmowego - koszary Ordnungspolizei, stał nietknięty, podobnie jak pobliski dom akademikzek, gdzie kwaterowała ukraińska policja.

A oto ulica Rozbrat. W masywnych kamienicach olbrzymie wyrwy od bomb. Dawne Żeńskie Gimnazjum Handlowe zamienione w Soldatenheim, tędy wdarli się Niemcy. Wchodzimy w Śniegocką. Narożnik ulicy Kuźmińskiej odcięty równo, jak toporem. Na ścianach dzioby po odłamkach i kulach. Nasza kamienica wygląda tak samo jak wtedy, gdy uciekałem. Środkiem podwórza, ścieżka wydeptana w śniegu prowadzi do parterowej dozorcówki. Okno zabite dyktą - znak życia. Wewnątrz ciepło. Dozorca wrócił pierwszy i był jedynym mieszkańcem domu. Z opalaniem nie miał trudności. W piwnicach leżało mnóstwo niczyjego węgla. W mieszkaniu dozorca matka rozpoznała nasze srebro stołowe, ale dyplomatycznie udała, że nie widzi.

Rozmowa od razu zeszła na powstanie. W dwa dni po moim wyjściu i w dzień po wyjściu rodziców, dom zajęli Niemcy. Odbyło się to bez walki, ponieważ powstańcy wycofali się przed świtem na linię ulicy Czerniakowskiej. Jeden z nich, o nazwisku Mrowieć, zasnął we własnym mieszkaniu. Gdy go obudzono, Niemcy stali już na podwórzu. Zdążył się jeszcze przebrać w cywilne ubranie, dołączył do reszty i ocalał.

Zdrowych młodych mężczyzn Niemcy zabrali do różnych robót na linii frontu: rozbierania barykad, grzebania trupów, wynoszenia z pola walki własnych rannych i zabitych żołnierzy. Podczas tych zajęć dwaj synowie dozorca widzieli jak esesmani prowadzili mojego kolegę Adamczyka. Mieszkał w naszej kamienicy. Przypadek sprawił, że w południe 15 września czterech nas znalazło się w ciasnej, niegłębokiej, półtorametrowej, ocembrowanej studzience, chroniąc się tam pod obstrzałem karabinu maszynowego. Spędziłem wtedy straszne dwanaście godzin, w mroku pod pokrywą, zawieszony pomiędzy życiem a śmiercią. O północy, ja z niejakim podchorążym Romanem wypęziliśmy i przed świtem dotarliśmy do polskich pozycji na Wilanowskiej. Adamczyk postanowił zaczekać na przyjsie Rosjan, najwidoczniej uważając, że nie uda nam się przedrzeć przez stanowiska Niemców, których głosy było słyszeć w pobliżu. Razem z nim pozostał piętnastoletni chłopak. Przed paroma tygodniami chłopak wrócił do Warszawy. Jeden z synów dozorca niedawno z nim rozmawiał i oto czego się dowiedział:

Po naszym wyjściu w studzience zrobiło się luźniej,

przynajmniej mogli trochę wyprostować nogi. Z nadejściem dnia nic nie zmieniło się na lepsze. Aż do zmroku trwała strzelanina, dokoła rwały się pociski, nie wiadomo czyje. Potem przyszła spokojniejsza noc i znowu straszny dzień. Skurczeni, w kucki, w mroku pod pokrywą, bez jedzenia i wody, przetrwali tak ze dwa dni i dwie noce. W końcu wyszli na wierzch. Syn dozorczy krótko rozmawiał z chłopakiem i nie dowiedział się bardziej szczegółowo, co zaszło później.

Wysuszywszy się przy piecu, wyruszyłem na pobojuwisko obok. Czworobok ograniczony ulicami Czerniakowską, Zagórną, Wilanowską oraz rzeką zawierał tylko strzepy miasta. Niedawna historia tej dzielnicy zapisana była na murach żelazem i ogniem. W ciągu zaledwie godziny przeszedłem swoim tropem, czyli inaczej mówiąc szlakiem bojowym (i nie bojowym) od Zagórnej, przez Okrąg, Wilanowską do Solca, co wówczas zajęło mi cały tydzień. Teraz będąc niezaangażowanym spacerowiczem, odnajdując na murach ślady po tych kulach i pociskach, których uderzeń byłem świadkiem, starałem się zrozumieć lepiej to, co się wtedy działo.

A oto miejsce, gdzie pod obstrzałem zgubiłem moich przyjaciół. Odkrywając dziurę w murze, której wtedy nie zauważyłem, teraz rozumiałem dlaczego zniknęli bez śladu.

Stamtąd wyszedłem na otwartą przestrzeń zwaną Magajem. Pośrodku stała tak jak wtedy ugniatarka asfaltu, obok studzienka, a przy niej pokrywa. Na dnie studzienki leżała butelka po cacao chois. Wówczas, ukryci pod pokrywą, usłyszawszy niemieckie głosy, szybko wypiliśmy jej zawartość. Adamczyk zaś wyjął z portfela legitymację AK,łożył ją i wcisnął w szparę pomiędzy deskami.

Zeskoczyłem na dno studzienki. Legitymacji nie było. Jej brak zaskoczył mnie tak jak i odnalezienie butelki, dowodu i świadka tamtych wydarzeń.

Wkrótce zwłoki Adamczyka odnaleziono w masowym grobie.

Dlaczego jego rozstrzelali a puścili chłopaka, który przecież wzrostem dorównywał dorosłym. Zabijali i dzieci. Czyżby po dwóch dobach siedzenia w kucki, w mroku pod pokrywą, bez wody, Adamczyk uwierzył, iż pokazując legitymację AK uzyska prawa kombatanckie zagwarantowane konwencją genewską? Przecież nie miał na sobie nic wojskowego, co by wskazywało na jakiekolwiek powiązanie z powstaniem, nawet sznurowadeł. Bezbarwna legitymacja w szparze pomiędzy deskami była prawie niewidoczna.

Czyżby Niemiec zeskoczył na dno studzienki szukając czegoś?

Ukrytej radiostacji? I zauważył mały zwitek papieru w szparze? Adamczyk mówił płynnie po niemiecku. Może to mu zaszkodziło? Może powiedział za dużo?

Poszedłem obejrzeć Okrąg nr 2, gdzie po raz ostatni, przez trzy dni byłem żołnierzem. I dalej na Wilanowską i Solec. Spadło tam tyle pocisków, iż - wbrew temu co się powszechnie uważa - uderzały więcej niż raz w to samo miejsce.

Następnego rana wyruszyłem na Stare Miasto. Mróz chwycił, obracając błotko i rozmiękły śnieg w twardą grudę. Buty wuja tym razem nie sprawiły zawodu. Minawszy Ogród Saski zgubiłem się wśród zaśnieżonych zgliszcz. Nie było kogo spytać o drogę na tym pustkowiu. Na północ od Alei Jerozolimskich rzadko kiedy napotykało się człowieka. Gdy tak rozglądałem się, kręcąc w kółko, dostrzegłem w oddali mężczyznę, który także rozglądał się. Podeszedłem do niego, aby zasięgnąć języka i ku swemu zdumieniu poznałem kolegę gimnazjalnego, Kulczyckiego. Mieszkał niedaleko mnie, na Wilanowskiej. Interesował się fotografią. Kilka lat temu zrobił mi portretowe zdjęcie z fajką w zębach. Robił portretowe zdjęcia i innym kolegom, też zwykle z fajką. Miał ich kilka do wyboru. Kulczycki wiedział czego szukam. Podążyłem za nim i wkrótce znaleźliśmy się przed imponującym wypalonym budynkiem. Przejście pomiędzy jego dwoma skrzydłami pokrywał szkielec szklanego dachu. Kulczycki twierdził, że to Pasaż Simonsa. Wytłumaczyłem mu dokładnie położenie Pasażu. Zawrócił i za kilka minut wyszliśmy na skrzyżowanie Bielańskiej z Długą. Stałem. Stąd ostrzeliwały nas czołgi i działa szturmowe. Na wprost groteskowe rumowisko przyprószone śniegiem -Pasaż Simonsa.

Każda szczerba, każda wyrwa, każda zgięta stalowa belka należała do historii mojego życia. Choć spędziłem tam kilkanaście pamiętnych dni i nocy, nie mogłem wiedzieć, jak wygląda nasza pozycja od niemieckiej strony. Od polskich stanowisk dzieliło mnie wąskie pasmo ziemi niczyjej. Jakby niewidoczna ściana pomiędzy życiem a śmiercią, ja zaś stałem po stronie śmierci.

Doświadczyłem niezwykłego zamętu. Jakby teraźniejszość zderzyła się z przeszłością i obie stopiły się w jedno. Śnieg stycznia i żar sierpnia. Cisza i ryk armat. Odległości, do których przebiegnięcia wtedy nie wystarczyłoby życia, teraz zrobiły się śmiesznie krótkie.

Dowiedziałem się, że Edek żyje. Dotąd byłem niemal pewny, że zginął. Odwiedziłem go w Milanówku. On także nie oczekiwał, że mnie kiedykolwiek zobaczy.

Na wieść, że organizuje się uniwersytet na dalekim Grochowie, udałem się tam natychmiast. Widok tego, co ocalało na Pradze, przynębiał równie jak widok zniszczenia po warszawskiej stronie rzeki.

W drodze powrotnej do Kielc przyszło mi na myśl, czy w ogóle będę mógł znaleźć sobie miejsce w Polsce.

Front przebiegał gdzieś daleko na niemieckiej ziemi, a wojna zdawała się nie mieć wpływu na wydarzenia codziennego życia. Ojczym pracował, bracia chodzili do szkoły, matka gospodarowała. Jak długo mogłem się obijać i po co?

Trzeba było iść do jakiejś pracy lub powrócić do przerwanych studiów lekarskich. I jedno, i drugie wymagało stałego miejsca zamieszkania. Kielce były nudne i obce, a Warszawy nie było. Jedno i drugie wymagało osiadłego trybu życia. Po pożodze wojny i fajerwerkach powstania, sama myśl o tym wzbudzała we mnie wstręt.

W marcu Komitet Miejski PPR powiadomił członków i sympatyków o formowaniu grupy pionierskiej celem wyjazdu na ziemie, które właśnie zaczynano nazywać odzyskanymi. Do nas, kilkunastu kielczan, dołączyli ochotnicy ze Starachowic i Ostrowca. Z PPR, PPS i nawet ze Stronnictwa Demokratycznego. Głównie robotnicy, kilku półinteligentów i ja. Razem trzydzieści osób, w tym parę kobiet.

Szron bielił gałęzie i zeschłe liście, gdy o świcie ładowaliśmy się do wagonów. Do Częstochowy dojechało się gładko w zarezerwowanych przedziałach. Dalej szły już tylko wojskowe pociągi zwane eszelonami. Zapewne ta wyprawa była zaplanowana na wyższym polsko-radzieckim szczeblu, jako że dostaliśmy pozwolenie na dalszą podróż wojskowym transportem. Cały pociąg składał się z otwartych płaskich platform. Na każdej stał czołg okryty grubą plandeką, czy to dla kamuflażu, czy po to, by nie przemókł. Zima zaledwie ustąpiła, na polach do niedawna śnieg jeszcze leżał płatami. Na otwartej platformie można było zmarznąć, jeśli nie na śmierć, to na kość. Mżyło i dmuchało. Przyszło mi do głowy schronić się wewnątrz czołgu. Wchodziło się przez wieżyczkę, ale ciężka plandeka nie dała się unieść. Wsunąłem się więc między zwisającą na boku plandekę a czołg. Jeśli nie było tu cieplej, to w każdym razie nie padało i nie wiało. Tylko wąska przestrzeń pozostawała pomiędzy gąsienicą a brzegiem platformy i łatwo było spaść z wagonu. Eszelon włókł się, przystawał. Tory zerwane przez ustępujących Niemców, zreperowane naprędce i to po jednej stronie tylko, nie nadawały się

do szybkiej jazdy. W wąskiej przestrzeni między czołgiem a plandeką panował mrok. Mdłe światło zaledwie sączyło się szczeliną od dołu. Monotonne, miarowe, powolne postukiwanie kół usypiało. Znużenie dopełniało reszty. Zapadałem w sen stojąc. Szczęściem gruba plandeka bardzo powoli ustępowała pod naciskiem ciała. Tracąc równowagę budziłem się pośród lęku.

Nocowaliśmy na kwaterze w Trzebnicy nietkniętej wojną. Później usłyszałem, że spaliła się. Zabroniono kręcić się po bezludnym mieście - była to strefa przyfrontowa. Potem znowu jechaliśmy normalnymi wagonami z transportem wojskowym - niedługo. Trzeba było wysiadać i dalej iść piechotą. Wrocław wciąż się bronił, dudnił artylerią i dymił. Obchodziliśmy miasto szerokim łukiem, polnymi drogami. Pogoda odmieniła się: zaświeciło słońce; zapachniało wiosną. Szliśmy krajem zagospodarowanym, bogatym. Schludne kamienne wioski, murowane stajnie, chlewy, obory. Porzucone zaprzęgi stały gotowe do jazdy. Tu i ówdzie wschodziły oziminy zieleniąc pola. W sadach pączkowały drzewa. Natura budziła się do życia, podkreślając tylko martwość i cmentarną ciszę. Minęliśmy zabudowania gospodarskie. Na podwórzu leżały świny, rozdęte, podobne do różowych baloników z przyklejoną głową i ogonem. Albo je zastrzelili Niemcy, aby żywe nie wpadły w ręce wroga, albo Rosjanie, podejrzewając, że są zatrute. Nie zaczerpnąłem wody ze studni, choć wielu ją piło, z obawy, że zawiera wolno działającą truciznę, lub że jest zakażona tyfusem i czerwonką. Za to narwałem rabarbaru i żując go wyssałem sok. Szliśmy cały dzień nie napotykając ani żywego cywila, ani żywego zwierzęcia. Jedną noc przyszło nam spędzić w przyklasztornej sali noclegowej. Zakonnice, które zaopiekowały się nami, mówiły płynnie po polsku, choć z jakimś akcentem. Wziąłem je za Polki mieszkające w Rzeszy. Opowiadając o niedawnych wydarzeniach, używały nieraz zwrotu „nasi żołnierze”. Nie od razu odgadłem, że „nasi żołnierze” to Niemcy. W czasie tej wędrówki nie opuszczało mnie uczucie, że tym razem należę do zwycięzców.

Po kilku dniach dotarliśmy do celu wyprawy, do Lignicy, którą dziś zwą Legnicą. U naszych stóp, trzydziestu pionierów z Kielc, Ostrowca i Starachowic, leżało miasto znane z podręczników historii. Tu przed siedmiuset laty Mongołowie pobili sprzymierzone wojska polskie i niemieckie. Miasto rozległe, bogate i bezludne. Czyste, niemal wymuskane. Z ludności Lignicy podobno pozostało siedmiuset Niemców zamkniętych za drutami, pracujących w

elektrowni. Rzadko, nie każdego dnia, spotykało się na ulicy Niemca. Zawsze byli to mężczyźni w bardzo podeszłym wieku. Mijając nas, młokosów, zdejmowali kapelusz kłaniając się i pozdrawiali: „*Guten Morgen, Guten Tag, Mahlzeit*” lub inaczej w zależności od pory dnia. Czułem się odrobinę zaambarasowany. Nikt od nich nie wymagał, aby tak się upokarzali.

W Ostrołęce, przyłączonej do Reichu w 1939 roku, władze niemieckie zarządziły, aby każdy Polak mijający Niemca zdejmował swe nakrycie głowy. Mój dziadek, wtedy już dobrze po siedemdziesiątce, widząc z dala mundur, przechodził na drugą stronę ulicy.

Punktem centralnym naszego życia stała się stołówka wydająca gorące, głodowe racje. W pamięci utkwiły mi kolacje składające się zwykle z kromki chleba i „miętówki”, czyli herbaty miętowej bez cukru. Kiedyś jeden z pionierów pobrał wielokrotnie dolewkę miętówki. Na moją uwagę, że przeciąża nerki, odparł: - woda przeleci, mięta zostanie.

Miasto stało otworem... Można było wziąć w posiadanie mieszkanie, willę, kamienicę... Po lekarzu, po bankierze, po generale. Można było dom podpalić.

Prawdę mówiąc my, pionierzy, nie byliśmy jedynymi mieszkańcami Lignicy. Założył tu swoją siedzibę radziecki szpital wojskowy. Widziało się od czasu do czasu rekonwalescentów spacerujących grupami po mieście.

Ze względów bezpieczeństwa pionierzy na razie zamieszkali w promieniu ćwierć, może pół kilometra od stołówki. Właściwie to nic nie groziło, nie więcej niż na cmentarzu nocą. Zaprzyjaźniłem się z nieco starszym starachowiczanie, łysiejącym blondynem. Postanowiliśmy nie rozstawać się i zamieszkać w tym samym domu. Rozejrzawszy się po okolicy, wprowadziliśmy się do eleganckiej kamienicy pod numerem drugim przy krótkiej ulicy Raupachstrasse. On na pierwsze, ja na drugie piętro. Dzielnica była ładna, naprzeciw mały park, a w pobliżu rozległy plac. Ten wybór był nietypowy, moda bowiem nakazywała zajmować jednorodzinne wille.

Poza nami dwoma nikt nie zamieszkał przy Raupachstrasse. Naszym najbliższym sąsiadem, jakieś dwieście metrów za rogiem, był trup starszego mężczyzny. Leżał na podłodze w jadalni. Sądząc po rdzawej plamie na spodniach, umarł od kuli. Natknąłem się na niego, szukając skarbów i jedzenia. Zachodziłem tam od czasu do czasu. Choć się ocieplało, ledwo zmieniał kolor. Nawet po kapitulacji

Niemiec, gdy do miasta już mnóstwo ludzi zjechało, nikt nie wprowadził się do kamienicy, gdzie zakończył życie. Pozostał sam w pustym domu, jak we własnym mauzoleum.

Na razie pionierzy nie mieli żadnych obowiązków poza zasiedleniem miasta. Trzy razy dziennie spotykaliśmy się w stołówce. Na obiad zupa, śniadanie i kolacja - miętówka z razowcem. Nikt nie padał z głodu, ale nie można było przestać myśleć o jedzeniu. Trzeba było dożywiać się samemu. Ludność uciekając na Zachód zabrała co lepsze zapasy. Pozostały tylko owocowe kompoty bez cukru. Miały one znikomą wartość odżywczą. Niemniej każdego dnia dużo czasu poświęcało się myszkowaniu po piwnicach w poszukiwaniu czegoś jadalnego. Wkrótce kompotów zabrakło. Pozostały tylko, i to w dużej ilości, marynowane owoce, kształtu i wielkości wiśni o obrzydliwym smaku. Kilka razy naciąłem się i od razu wyplułem.

Niedostatek jedzenia kompensowała nieograniczona wolność. Nie było żadnej władzy. Nie obowiązywało żadne prawo poza moralnym. Nie było własności prywatnej zatruwającej stosunki pomiędzy ludźmi. Wszystko należało do wszystkich i do nikogo. Można było brać w posiadanie, nie odbierając innemu. Można było niszczyć, nie niszcząc cudzego.

Elektrownia pracowała pełną parą i prądu dla miasta nie wyłączono. W wielu mieszkaniach bez przerwy paliły się żarówki. Po zapadnięciu zmroku to miasto nietknięte wojną sprawiało niezwykle wrażenie. Ciche jak cmentarz o północy, ze światłami jarzącymi się tu i ówdzie w oknach, w bramach, rozpraszającymi ciemności jak świece w dniu Zaduszek. Prawdopodobnie mieszkańcy opuścili Lignicę pomiędzy zachodem a wschodem słońca i nie wszyscy wyłączyli elektryczność. Oszczędni Niemcy musieli uciekać w wielkim pośpiechu. Front przebiegał niedaleko. Podobno o niecałe dwadzieścia kilometrów. Czasem słyszać było jego pomruk, gdy wiatr wiał ku nam, zwłaszcza nocą.

Poszukiwanie żywności było koniecznością życiową coraz rzadziej uwieńczoną mizernym sukcesem. Za to szaber obfitował w niezapomniane przeżycia. To bogactwo - którego można było brać, ile się chciało, ale które miało wartość przysłowiowych diamentów na pustyni - wielu ludziom odbierało rozum. Podczas gdy ja i starachowiczanie już po dwóch czy trzech dniach wprowadziliśmy się na Raupachstrasse, większość pionierów, oszołomiona i oślepiona nieograniczonymi możliwościami, nie potrafiła znaleźć sobie miejsca

zamieszkania. Nawet ja, choć z doktorskiej rodziny, chwilami traciłem zdrowy rozsądek na widok tych nagromadzonych przez wieki dóbr, a co dopiero ci biedacy z suterren i lepianek, którzy w życiu niewiele zaznali poza ciężką pracą i marnym zarobkiem. Ci „bezdumni” sypiali obok stołówki, a dniem chodzili, zwykle po kilku, od willi do willi, nie mogąc podjąć decyzji. Temu nie odpowiadało, że weranda wychodziła na północ; tamtemu, że fortepian był w nieodpowiednim kolorze; okna to za duże, to za małe; żyrandol nie przypadł do gustu; nie takie meble.

Czasem dwaj kumple chcieli zamieszkać obok siebie. Jednemu podobala się willa, drugi nie mógł znaleźć odpowiedniej w pobliżu, więc obaj szli dalej. Nasłuchiłem się tych smutnych opowieści przy wieczornej miętówce. Zachodzili ci „bezdumni” do stołówki po całodziennych poszukiwaniach, utrudzeni, mając w nogach wiele kilometrów i pięter, w stanie pogłębiającej się frustracji. Byli i tacy, którzy znaleźli wymarzony dom, wprowadzili się, a potem znaleźli jeszcze bardziej wymarzony. A było w czym wybierać. W Lignicy mieszkało wielu emerytów, ludzi zamożnych, oficerów, przemysłowców. Do skromniejszych dzielnic nikt nie zachodził.

Szabrem mienia porzuconego zajmowali się chyba wszyscy, nie porzuconego nie było. Typowy szabrownik, z pustym workiem przerzuconym przez plecy, ruszał w drogę po porannej miętówce. Szedł od domu do domu wypatrując najwartościowszych i najlżejszych przedmiotów. Tym wymaganiom najlepiej odpowiadały dwa towary, czółenka do maszyn do szycia i skóra. Potem dopiero szły kryształ, srebro stołowe i cokolwiek, co wyglądało na srebro. Na widok fotela obciągniętego skórą, szabrownik sięgał po nóż, wycinał połec skórę i wrzucał do worka. Wydawać by się mogło, że gdy worek wypełnił się, szabrownik powinien wrócić do domu. Wcale nie. Szedł dalej pomimo ciężaru na plecach z nadzieją, że trafi na coś jeszcze lepszego. I trafiał. Skóra na innym fotelu prezentowała się bardziej okazale, więc wycinał nowy połec, wyrzucał poprzedni. I tak pełny worek zmieniał powoli swą zawartość.

Nigdy nie spotkałem tylu osób opukujących ściany w poszukiwaniu ukrytych skarbów. Czasem pruli podejrzaną kanapę, materace, pierzyny. Ja sam nabrałem znacznej wprawy w opukiwanie po prostu z ciekawości, nie wierząc, że cokolwiek znajdę. Sądzę, że ten staż przydał mi się w późniejszych studiach lekarskich.

Widywało się ludzkie ekskrementy w najbardziej nietypowych miejscach. Pośrodku łóżka na poduszce, w damskich kapeluszach, w

cylindrach, w kryształowych wazonach. Bardziej cywilizowani wypróżniali się na podłogę. Wody na piętrach nie było, zaledwie sączyła się w piwnicach, więc chodzenie do ubikacji częściowo miało się z celem. Wydawało mi się to i obrzydliwe, i zabawne.

Raz kręcąc się po mniej eleganckiej dzielnicy wszedłem do fabryki. Przez chwilę zdawało mi się, że odkryłem żyłę złota. Szeregami, jak żołnierze na musztrze, stały maszyny do szycia. Rozczarowanie przyszło szybko. Były to elektryczne przędzalki, czy coś w tym rodzaju, a ich duże czółenka nie pasowały do singerowskich maszyn.

W bezludnym mieście powinno być obojętne, czy się spało przy otwartych, czy przy zamkniętych drzwiach wejściowych. Przyzwyczajenie jednak sprawiało, że nie tylko je zamykałem, ale barykadowałem kilkoma krzesłami ustawionymi jedno na drugim, a pod poduszkę na wszelki wypadek kładłem żelazny pręt. Wychodząc zatrzaskiwałem drzwi mieszkania. Wracając otwierałem je śrubokrętem lub nożem, uprzednio poluzowawszy w tym celu listwę przy zamku. Zamknięte drzwi naturalnie pobudzały ciekawość. Zdarzało się, gdy już przybyło ludności, że ktoś usiłował je wyważyć. Próby włamania ustawały natychmiast, jak tylko się odezwałem. Czasem byli to nasi, czasem Rosjanie-rekonwalescenci. Raz na dźwięk mego głosu, dwaj żołnierze w szpitalnym odzieniu zjeżdżali po schodach, aż dudniło. Z balkonu widziałem, jak w pośpiechu wypadli na ulicę.

Właściwie nie musiało się spać w tym samym domu każdej nocy. Nic nie stało na przeszkodzie codziennej zmianie adresu, czyli powrotu do życia koczowniczego. Co za różnica czy w tym, czy w tamtym łóżku. Zabarykadować drzwi krzesłami, pręt pod poduszką, i człowiek czuł się jak u siebie w domu. Trudno opisać uczucia i myśli, których doznawałem plądrując dziesiątki czy setki mieszkań. Pokoje dzieciinne z maleńkimi łóżkami, rozrzucone zabawki, rodzinne fotografie, mundury i orderzy, niektóre z ubiegłego, a może i ubiegłych stuleci. Żelazne krzyże za tę i poprzednie wojny, schowane w szufladach i starannie owinięte.

Wybierałem się na szaber nie bardzo wiedząc, co brać poza czółenkami maszyn do szycia. Zebrałem ich z dziesięć. Mówiono, że w Polsce robi się grube pieniądze, sprzedając je na czarnym rynku. Można było sobie wyobrazić frustracje przyszłych właścicieli maszyn do szycia zamieszkałych w Lignicy, zmuszonych jechać do Kielc, Starachowic i Ostrowca w poszukiwaniu czółenek.

Szlifowane kryształy, mieniające się wszelkimi kolorami, zrazu najbardziej przyciągały uwagę. Tyle ich jednak było, że człowiek szybko się z nimi oswoił i już tak nie czarowały. Obrazy - można je było wyjąć z ram, zwinąć w rulon i do worka. Odcyfrowywałem podpisy malarzy z nadzieją, że odnajdę jakieś znane nazwisko. Coś słyszałem o sławnej porcelanie meissenowskiej. Niestety, nie potrafiłem odróżnić jej od zwykłego fajansu. Zresztą i tak by nie przetrzymała podróży w worku. Gromadzenie wartościowych przedmiotów w mieszkaniu nie wiele miało sensu. Przecież ktoś się mógł włamać i zabrać je w czasie, gdy ja sam szabrowałem gdzie indziej.

Raz zaledwie wszedłem na klatkę schodową, usłyszałem łomotanie do drzwi, oczywiście moich. Wszystkie inne, z wyjątkiem starachowiczana, były otwarte. Włamywali się Rosjanie w szpitalnych ubiorach. Zaskoczyłem ich, więc aby uniknąć konfrontacji, powitałem:

- *Zdrastwujtie towariszczii, eto maja kwartira.*

Po czym skierowałem rozmowę na przeżycia wojenne. Znałem nazwiska najslawniejszych marszałków i generałów. Wiedziałem, którymi frontami dowodzili i gdzie stoczono największe bitwy. Rzadko kiedy dochodziło do nieporozumień między pionierami a rekonwalescentami. Rosjanom nie wystarczało papierosów, podobnie jak pionierom. Gdy się spotkali z odmową, czasem słyszało się:

- *Ja za tiebia krów proliwał, a ty mnie tabaka nie dajosz.*

Raz idąc z kumplem, mineliśmy oficera nie zwracając na niego uwagi. Zatrzymał się i zawołał:

- *Ostanowities!*

- *Stanęliśmy.*

- *A wy tak poczemu nie pozdrowili?*

- *Izwinitie, towariszcz major* - odparłem. - *My tak i zagoworilis'.*

- *Nu niczego, niczego...* - machnął ręką.

Był to tylko pretekst, aby z nami porozmawiać. Opowiedział trochę o swoim życiu. Pochodził z biednej chłopskiej rodziny na Ukrainie, a został majorem. Po tej krótkiej autobiografii przerzucił się na sprawy międzynarodowe.

A co wy na to? Polska, która tak dzielnie walczyła o wolność z hitlerowcami, nie została przyjęta do Narodów Zjednoczonych, a ta kurwa, faszystowska Argentyna przyjęta... Musimy być czujni!... Stalin skazał „*jeśli chcesz mira, gotówsia k wojnie*” - zakończył.

Czasem w centrum miasta widziało się rekonwalescentów. Spacerowali zwykle grupami, co najmniej po dwóch. Oficjalnie w stroju szpitalnym - zwykle w białej koszuli i takichże kałesonach. Niekiedy dla zgrywy przywdziewali części cywilnej garderoby. Głowy ozdabiali cylindrami, melonikami, czapkami studenckich korporacji, tyrolskimi kapelusikami z piórkiem; na nogach bambosze z pomponami. Podobnie jak my przeszukiwali domy. Z wysokich pięter dla rozrywki wyrzucali przedmioty zbytku: klosze, kryształowe wazony, fajansowe nocniki, które uderzając o asfalt pryskały odłamkami. Leciały krzesła, fotele i co popadło. A gdy wypchnęli z balkonu stary klawikord, jaki to dźwięk ostatni wydał on w zetknięciu z ziemią!

Z nadejściem wiosny puste miasto nabrało kolorów życia. Gałęzie pokryły się liśćmi, trawniki pozieleniały. Frontu już nie było słychać. Wkrótce Berlin padł, a Trzecia Rzesza przeszła do historii. Pojawiły się całe zespoły kobiet, które metodycznie przeczesywały dom za domem, zbierając łyżki, noże, widelce. Czasem przy pracy śpiewały chórem swe zawodzące pieśni... o kwitnących jabłoniach i gruszach, o samotnej Katiuszy na brzegu rzeki spowitej mgłą, o kulach świszczących po stepie pod gwiaździstym niebem, o smutku i tęsknocie. Słowa i melodia niosły się pustymi ulicami.

Przypomniało mi się lato spędzone na Białorusi, kobiety przy żniwach też tak śpiewały. Poczułem się zagrożony jako właściciel mieszkania i ukryłem srebro stołowe. Tu i ówdzie podjeżdżały wojskowe ciężarówki, na które ładowano meble.

Nowe grupy pionierów zaczęły zjeżdżać do Lignicy. Zrobiło się ludniej, choć jeszcze nie ciasno. Zaroilo się od cywilów, głównie Polaków i Rosjan powracających tam, skąd ich zabrano. Polacy wędrowali na własną rękę, Rosjanie grupowo.

Gdy wehrmacht cofał się, odwrót wojska poprzedzały ogromne stada krów pędzone przez żołnierzy na zachód; od Wołgi, od Dniepru, od Wisły do Reichu. Teraz Rosjanie pędzili stada w kierunku Wołgi.

Polacy nie wracali z niewoli z pustymi rękami. Wielkie platformy meblowe zaprzężone w konie sunęły ulicami Lignicy, a na nich maszyny do szycia, rowery, motocykle, pierzyny... Mercedesy, dekawki a obok nich zwykłe chłopskie furmanki wypchane mizerną zdobyczą. Widziało się i samochody ciągnione na wschód przez konie. Maruderzy w mundurach rabowali podróżujących. Jakiś Polak jechał z dwoma kobietami, jedna z nich była jego żoną czy siostrą.

Nie tylko zabrali mu cały samochód z bagażem, ale i obydwie kobiety. Nie wiedział do kogo zwrócić się w tej sprawie.

Każdego dnia słupy dymu wznosiły się ku niebu. Coraz więcej kamienic płonęło. Nikt się tym nie przejmował - tyle ich było. Przeważała opinia, że to szabrownicy przez nieostrożność lub celowo wzniecali pożary, bądź też że to Rosjanie rekonwalescenci i cywile. Jeśli ktoś miał żylkę podpalacza, mógł się wyżyć.

Władze zaczęły się organizować. Burmistrzem mianowano łysego czterdziestolatka, wyglądem i sposobem mówienia przypominającego Gomułkę. Wkrótce okazał się on niegodny piastowanego stanowiska. Już po moim wyjeździe z Lignicy aresztowano go za szabrownictwo na wielką skalę. Rządowymi ciężarówkami wywoził mienie niemieckie do centralnej Polski, gdzie je spieniężał.

Ja zostałem referentem Wydziału Zdrowia. Musiałem siedzieć w biurze od dziewiątej rano do dwunastej w południe. Nie mogę sobie przypomnieć, na czym moja praca polegała - prawdopodobnie na siedzeniu i dlatego nie pamiętam. Nie miałem ani przełożonych, ani podwładnych w swoim „resorcie”, co dawało mi wzmożone poczucie swobody. Nikt mi nie zaglądał do garnka.

Raz przyszło dwóch mężczyzn, chyba młodych, pomyślałem - bliźniacy. Podobni jak dwa szkielety. Okazało się, że nawet nie spokrewnieni. Już półtora miesiąca minęło od czasu, gdy Rosjanie uwolnili ich z obozu koncentracyjnego. Opuścili spodnie, aby mi pokazać co z nich pozostało. Nogi jak patyczki, a pośrodku każdej kolano jak bilardowa kula. Udo grubości mojego przedramienia. Trudno było sobie wyobrazić jak naprawdę wyglądali „za życia”. Czy ich rodzice poznają? Chyba po głosie. Zamiast rysów twarzy mieli zarysy czaszki. Trupy - to dla mnie była nie pierwszyna. Napatrzyłem się ich dosyć, ale tylko leżących. Musiałem się nachodzić od referenta do referenta, aby „szkieletom” załatwić jedzenie i wyjazd do Polski centralnej.

Po domach wałało się sporo mundurów. Znalazłem szarobłękitną kurtkę Luftwaffe, taką samą jaką nosiłem na Starówce pod panterką. Odprułem wojskowe odznaki i przyszyłem do rękawa czerwony krzyż na tle białego krążka. Zastanawiające, że ubrań cywilnych brakowało. Prawie wszystkie mieszkania były otwarte, choć tylko nieliczne nosiły ślady włamania. Czyżby dowództwo poleciło mieszkańcom nie zamykać drzwi? Pamiętam jak nam to utrudniło obronę, gdy w czasie odwrotu z Woli ludność

pozamykała bramy.

Administracja rozrastała się, w miarę jak coraz nowe fale pionierów i nie pionierów dobijały do Lignicy. Przyjeżdżali ludzie z uniwersyteckim wykształceniem lub z uniwersyteckimi dyplomami. Obrodziło zwłaszcza magistrami. Moje dwa lata medycyny coraz mniejsze sprawiały wrażenie. Pensji nie wypłacano i doszło do konfrontacji pomiędzy łysawym burmistrzem a grupą pracowników. Wygrał burmistrz, sypiąc obietnicami oraz wytykając malkontentom brak zaufania, materializm niegodny pionierów i coś jeszcze... Przybywało kobiet. Coraz więcej par się kojarzyło. Do aktualnych tematów jedzenia, skarbów i szmuglu dołączył się temat chorób wenerycznych.

Szukano szoferów znających rosyjski. Zwrócili się do mnie. Gdybym choć raz w życiu prowadził samochód, podjąłbym ryzyko. Szofer ciężarówki ze znajomością rosyjskiego równał się wówczas wojewodzie. Niestety, przygotowując nas do życia, uczono tylko jak obchodzić się z karabinem.

Zostałem mianowany przedstawicielem miejscowych władz do przejmowania niektórych obiektów od wojska. Towarzyszył mi rodak nie mówiący po rosyjsku. Jeździliśmy z jakimś lejtnantem od budynku do budynku. Zakończyliśmy w miejscowym dowództwie. Lejtnant, który dotychczas mówił normalnie, w obecności majora tak się zaczął jękać, że aż pot na mnie wystąpił.

Pewnego poranka warkot wysoko latających samolotów zmącił ciszę. Niektórzy nawet rozpoznawali amerykańskie. Przyszło mi na myśl, że rozpoczął się konflikt pomiędzy zwycięzcami.

Zaroilo się od cudzoziemców. Poznałem lekarza Francuza i jego żonę, ludzi już niemłodych. Był on, jak mówił, zaprzyjaźniony z moją nauczycielką z Liceum Francuskiego w Warszawie. Miły i uczynny ofiarował mi płaszcz. Odmówiłem przyjęcia podarunku, podejrzewając go o homoseksualizm. Kilka lat później odbył się proces o szpiegostwo na rzecz francuskiego wywiadu. Wśród oskarżonych wymieniono lekarza o tym samym nazwisku.

Jedną z pierwszych czynności nowej administracji było nadawanie miastu polskiego charakteru. Mój dom znalazł się na placu Marksa i Engelsa, stołówka przy alei Stalina. Coraz mniej mi się podobało. Na zebraniach pracowników nie zgłaszałem się więcej jako sympatyk czy kandydat na członka partii. Dojrzewała we mnie decyzja przebicia się do strefy amerykańskiej. Nadarzyła się okazja. Transport Francuzów zatrzymał się w Lignicy po drodze na Zachód.

Wmieszałem się pomiędzy nich, podnosząc w rozmowie walory armii radzieckiej. Biorąc mnie chyba za Polaka z Francji, zapraszali żebym jechał razem z nimi. Dokumentów i żadnych wiz nie wymagano. Nowych granic jeszcze nie było, a dawne nie obowiązywały. Milionowe rzesze byłych jeńców, więźniów, niewolników płynęły w różnych kierunkach. Francuzi wsiadali do wielkich ciężarówek. Ryzyko wydawało się niewielkie... Odwlekałem decyzję myśląc - pojedę do Warszawy po Edka i pryśniemy razem. Wahałem się za długo. Podniesiono klapy, motory zawarczały i ruszyli. Za dzień, za dwa będą we Francji. Paryż... plac Inwalidów, grób Napoleona, Łuk Triumfalny... Marengo, Wagram, Austerlitz, plac Zgody, gdzie kiedyś stała gilotyna... Marie Antoinette, Danton, Robespierre, Saint Just, Marat... Charlotte Corday. La rue St. Honore... wtedy pomykali karocami Cagliostro, hrabia Monte Christo, Matylda de la Mole, Julian Sorel.

Rano zamiast do pracy, poszedłem na dworzec kolejowy z plecakiem tylko i małą walizką. Czółenka włożyłem do kieszeni. Poza tym niewiele miałem ponemieckiego mienia. Kapelusik o okrojonym rondzie ze sztucznego tworzywa w kolorze trocinobetonu oraz w podobnym kolorze przykrótki lekki płaszcz, była własność niskiego grubasa. Mówiono, że na dawnej granicy polskiej wojsko konfiskuje szaber. Po dłuższej podróży z przerwami i przesiadkami, dojechałem do dworca towarowego w Warszawie. Pociąg dalej nie szedł. Po trzygodzinnym marszu ruinami dotarłem na daleki Czerniaków. Sadyba, gdzie mieszkał Edek z matką i ojczymem, stosunkowo niewiele doznała zniszczeń w porównaniu z resztą lewobrzeżnej Warszawy. Wiele willi miało szczyrby po pociskach. Leje po bombach i zgliszcza, od których wciąż powiewał delikatny swąd spalenizny, świadczyły o wydarzeniach sprzed kilku miesięcy, podobnie jak rzędy świeżych grobów poległych i rozstrzelanych. Dawni mieszkańcy, oczywiście mocno przzerzedzeni, wrócili i Sadyba stała się „oazą” tętniącą życiem u skraju morza ruin. Edek zgodził się od razu na wspólną ucieczkę na Zachód. Sam nawet o tym zamyślał, ale mu się nie spieszyło, jakby czas nie pracował przeciwko nam. Miał różne „interesy” do załatwienia, których cel nie był dla mnie oczywisty. Odwiedzał jakichś znajomych, nieraz tajemniczych. Zwykle towarzyszyłem mu. Robiliśmy wypadki do miasta, obchodząc pobojojiska na Woli, Starym Mieście i Czerniakowie. Pieniądzy brakowało, nie było za co kupić jedzenia. Czółenek do maszyn do szycia nie udało się sprzedać, nawet za byle co, Praga była nimi

zarzucona. Edek znalazł pracę dla nas obu. Zawarliśmy słowny kontrakt na rozbiórkę ruiny na Sadybie przy ulicy Podhalańskiej. Potrzebne były cegły na budowę domu. Właściciel początkowo sprzeciwiał się rozwalaniu murów przez wysadzanie. Obawiał się, że w pobliskich domach wylecą szyby. Uległ jednak elokwencji Edka, tym łatwiej, że w oknach szyb i tak prawie nie było. Po wykuciu dziury w murze i założeniu kostki trotylu z detonatorem, lont został podpalony, ale do wybuchu nie doszło. Tylko nieco lepiej poszło nam w rybołówstwie. Edek wrzucił granat do jeziora - zabułgotało i kilka płotek wypłynęło brzuchami do góry. Ta forma łowienia ryb była tak rozpowszechniona, że wydajność spadła niemal do zera. Z wyżywieniem było trudno. Matce Edka nie przelewało się. W gruzach Śródmieścia znajdował się sklepik spożywczy prowadzony przez „Ciocię Parasol”. Tak zwano tę panią, która dożywiła niedobitków od Radosława... Już nie pamiętam jak nas Edek przedstawił. Całej prawdy nie powiedział. W każdym razie więcej niż raz dostaliśmy coś do przegryzienia. W tym czasie chleb z plastrem słoniny był podstawową kanapką, a posmarowany smalcem i przyprószony solą należał już do przysmaków.

Raz ciepły czerwcowy wieczór zastał nas jeszcze na Pradze w okolicy Dworca Wileńskiego. Od Sadyby dzieliło dobre dwie godziny marszu, nie licząc czasu na przeprawę łodzią z Saskiej Kępy na Solec. Pieniędzy nie mieliśmy, a głód nam doskwierał. Edek znał adres meliny konspiratorów z Armii Krajowej, wówczas już rozwiązanej. Z jego inicjatywy ułożyliśmy następujący scenariusz: miałem udawać angielskiego zrzutka spadochronowego, a Edek mojego tłumacza. Albo zagrałem moją rolę znakomicie, albo konspiratorzy byli do luftu. Edek wiedział, że żaden z nich nie znał angielskiego poza paroma słowami, choć byli wielkimi anglofilami. Edek wyjaśnił im, że rozumiem nieco po francusku, więc zwracali się do mnie w tym języku. Ja odpowiadałem po angielsku Edkowi, a on tłumaczył na polski. Bardzo byłem powściągliwy w słowach, jak przystało na Anglika i do tego zrzutka, agenta wywiadu. Edek wyjaśnił dlaczego jestem nędznie ubrany - aby się nie wyróżniać pośród tłumu. Przy mdłym świetle naftowej lampy udało mi się zachować kamienną twarz. Nie otwierałem też ust zbyt szeroko, bo Anglicy mają cedzić słowa przez zęby. Edek dał do zrozumienia, że zrzutek nie jadł od dawna. Konspiratorzy żywo zakrzętnęli się i na stole pojawiła się dymiąca jajecznicza dla nas obu. Kilkanaście dni później, jeden z nich, rudowłosy, zobaczył mnie czytającego plakat i

wszystko się wydało.

Często włóczyliśmy się po Warszawie bez wyraźnego celu, jakby nie mogąc pożegnać się na zawsze z tym cmentarzyskiem i ludzi, i nadziei, przeszłości i przyszłości. Raz, z pustej plaży na praskim brzegu przyglądaliśmy się ruinom przyczółka po drugiej stronie rzeki. Jaki mały.

Linia poharatanych wypalonych ruin wzdłuż Solca. Tam przez kilka dni broniły się niedobitki powstańców i berlingowców. Z Wilanowskiej nr 1 pozostał tylko kikut domu, bez dachu, bez pięter. Oprócz jedynki stał dom nr 5, mniej zniszczony i przez to wyższy. Tam spędziłem ostatni dzień powstania myśląc, że to ostatni dzień mego życia. A oto brama Solec 53. Stąd o świcie wyszedłem wymachując białym ręcznikiem.

Podczas gdy zgłiszcza Warszawy zarastały chwastami, Praga kipiała życiem. Rozkwitał handel uliczny. Pod otwartym niebem można się było, jeśli nie ubrać, to nieźle najeść. Na Targowej tłum nakrapiany mundurami wypełniał chodniki, deptał po trawnikach i przelewał się na jezdnię, którą sunęły wojskowe pojazdy. Kilka razy byłem świadkiem takiej sceny: rozlega się strzał, w odpowiedzi na to idący ulicą żołnierze wyciągają rewolwery i strzelają w niebo na wiwat.

Mijały dni, zaczęły mijać tygodnie. Mój plan przebijania się przez Dolny Śląsk nie zainteresował Edka. Ja też nie nalegałem. Edek dowiedział się od „naocznych świadków”, jak łatwo jest przedostać się na Zachód przez Czechy. Pociągi kursują normalnie, przechodzi się kontrolę pokazując „bilet tramwajowy”. Poznał dwóch Słowaków. Jeden, nazwiskiem Chalupiec, twierdził, że był bratem gwiazdy filmowej, Poli Negri. Drugi, Stanko, dowódca plutonu Słowaków na Czerniakowie. Obaj wybierali się z wizytą do swej górskiej ojczyzny. Mieliśmy dostać przez nich lipne papiery. Jak poprzednio Edek grzebał się, tak teraz zaczął się spieszyć. Skutek był taki, że on dostał dokument słowacki z własną fotografią, a ja bez, ponieważ już nie było czasu na zrobienie zdjęcia. Mój „dowód osobisty” opiewał na nazwisko Jan Matusz, urodzony w listopadzie 1919 roku w Sveti Mikolas, co mnie postarzało o pięć lat.

Podróż rozpoczęła się upalnym popołudniem na początku lipca z dworca towarowego, z zapasem konserw i chleba. Powstańca Stanko odprowadzali jego żona i przyjaciel. Wydawało mi się, że przyjaciel, był również przyjacielem żony. Stanko, gruźlik o ziemistej cerze i zapadniętych policzkach, wyglądał na poważnie chorego.

Czyżby jechał na Słowację, aby tam, wśród gór, dokończyć życia, a żonę przekazywał przyjacielowi? Tłum wypełniał poczekalnię. Bilety były wyprzedane, nawet peronówki. Słowacy zaopatrzyli się w bilety wcześniej. Z ich pomocą i za łapówką wpuszczono nas obu na peron. Wepchnęliśmy się do zatłoczonego wagonu. Konduktor też dostał w łapę. W nocy pojawił się kontroler. I on dostał w łapę, ale już od konduktora. W sumie kosztowało to nieco mniej niż bilety. Gdy pociąg wjeżdżał do Katowic, wczesny ranek zastał nas w pozycji stojącej. Poszliśmy do fryzjera ogolić się, aby wyglądać na podróżnych, a nie na uciekinierów.

Kręcąc się po placu przed dworcem, spotkaliśmy Lulę, znajomą Edka, pannę w naszym wieku. Także pryskała, na angielskich papierach. Dołączyła do nas. Stanko i Chalupec powtórzyli swą propozycję abyśmy razem z nimi jechali na Słowację, tam wypoczęli, rozejrzeli się i zaopatrzyli w lepsze dokumenty przed dalszym etapem podróży. W Warszawie nie opracowaliśmy szczegółów, a w zatłoczonym pociągu nie można było o tym mówić. Istniały dwa warianty: pierwszy - pojechać do Zakopanego jako turyści i Tatrami przejść granicę. Oczywiście nasi towarzysze nie mieli powodu przemykać się górami. Pojechaliby legalnie pociągiem, a Edek i ja znalazłszy się w Słowacji, musielibyśmy wędrować sami aż do umówionego miejsca spotkania. Istniał też podwariant pierwszego wariantu - jedziemy we czwórkę do Krakowa, a stamtąd koleją do samej granicy, gdzieś na wschód od Tatr, gdzie góry są niskie. Oni przechodzą główną drogą do Słowacji, my bokiem krzakami. Planowanie tej marszruty utrudniał brak informacji o kursowaniu pociągów. W rejonie Przełęczy Dukielskiej front zatrzymał się na kilka miesięcy, a teren mógł być wciąż zaminowany. Drugi wariant - wysiąść z pociągu na ostatniej stacji przed granicą na linii Katowice-Moravska Ostrava, rozejrzeć się za dniami, obejść posterunki (jeśli w ogóle są) nocą. Tymczasem Słowacy przekroczą granicę legalnie, pieszo i poczekają na nas po tamtej stronie. Teoria o „biletie tramwajowym” przemawiała przeciw karkołomnej wyprawie górami. Nawet gdyby pierwszy wariant został zaakceptowany i tak trzeba by jechać przez Katowice, ponieważ tory linii Warszawa-Kraków były zerwane w wielu miejscach. Naradzając się w parku na ławce odczuwaliśmy już siłę przyciągania niedalekiej granicy, podczas gdy wariant numer 1, via Kraków-góry przedłużał podróż do granicy o co najmniej całą dobę. Gdyby nawet opinie były równo podzielone, obecność Luli przechylała szalę na stronę drugiego wariantu.

Korzystając z wolnego czasu nauczyliśmy się słowackiego. Stanko zdaniem Chalupca zapomniał już sporo ojczystego języka. Gdy się mylił, Chalupec mrugał do nas porozumiewawczo.

Koło południa rozpoczął się następny etap podróży. W języku wojskowym nazywa się to zajmowaniem pozycji wyjściowej do natarcia. W rzeczywistości, jak to się później okazało, było to uderzenie z marszu. Pociąg włókł się stacją za stacją, a czas wydłużał się niepomniernie. Wagon pełen był cudzoziemców, głównie Czechów, Słowaków, Jugosłowian, Węgrów... Były to chyba Dziedzice, gdy ostatni Polacy wysiedli. Edek i ja przestaliśmy mówić, aby nie zdradzić swej narodowości. Inni pasażerowie rozmawiali, śmiali się, zapewne szczęśliwi, że wracają do swych domów, albo że w ogóle wracają. Zbliżała się ostatnia stacja przed granicą - Zebrzydowice. O ile z Katowic można było jeszcze skręcić na Kraków, teraz już praktycznie nie było odwrotu. Czułem się jak spadochroniarz po wyskoczeniu z samolotu - albo się otworzy albo nie. Gdy pociąg zaczął zwalniać, wytknęliśmy głowy przez okna, aby się zorientować w topografii przygranicznego terenu. Zamiast zwykłej grupki podróżnych, zazieleniało po obu stronach toru.

Wojskowi w polskich mundurach kazali opuścić pociąg i zabrać ze sobą bagaże. Sprawdzali pod ławkami i na półkach. Przeprowadzono nas do olbrzymiego baraku obok. Wszystkiego kilkaset osób. Było mroczno, przez zakratowane okienka wpadało niewiele dziennego światła. Robiło się duszno. Kontrola rozpoczęła się dopiero, gdy wszyscy weszli do baraku. Przez jedyne otwarte drzwi wypuszczano pojedynczo, bez pośpiechu sprawdzając dokumenty, rewidując bagaże. Ktoś twierdził, że szukają polskich książek. Barak od pociągu dzieliła tylko szerokość peronu. Pasażerowie po przejściu kontroli wchodzili wprost do wagonów. Niektórych odstawiano gdzieś na bok. Zwlekaliśmy jakiś czas - chyba na coś licząc, a także obserwując przebieg kontroli. Może w końcu zaczną się spieszyć. Już trzecia część pasażerów przeszła przez kontrolę, gdy po krótkiej naradzie po słowacku i prawie bez słów, pchnęliśmy się we czwórkę ku drzwiom. Znaleźć się na końcu może być podejrzané. Słowacy pierwsi podali wartownikom wszystkie dokumenty. Ja szybkim ruchem położyłem walizki na ladzie. Otworzyłem je i coś rzekłem do Edka po słowacku. Stanko i Chalupec też coś do nas powiedzieli. Po chwili znaleźliśmy się na peronie. Pod ścianą baraku stało kilku zatrzymanych. Lula też przeszła przez kontrolę. Razem wróciliśmy do pociągu. Wojskowi co

raz to wchodzili do wagonu, który nie miał oddzielnych przedziałów, coś myszkując, nadśluchując. Odetchnąłem z ulgą, gdy parowóz zagwizdał, zasyczał, szarpnął i ruszył. Pociąg zaczął zwalniać nim się dobrze rozpędził. Zerknąłem przez okno. Na tablicy czarny napis PETROVICE.

Udało się! Czechosłowacja!

Ukazały się perony i długie linie żołnierzy z karabinami. Pociąg stał już dobre kilka minut i na razie nikt pasażerów nie wyganiał. Nie pozwalano wychodzić na peron. Końce wagonów były otwarte, tak że wewnątrz widać było na przestrzał, od parowozu do końca pociągu, jak w prostym korytarzu. Cała moja uwaga koncentrowała się na peronie i dlatego nie od razu zauważyłem, że kilku mundurowych weszło do ostatniego wagonu. Z wolna posuwając się w naszym kierunku, a znajdowaliśmy się mniej więcej w środku pociągu, sprawdzali bagaże i dokumenty. Znowu widmo jazdy na wschód w kajdanach zawisło nad nami. Można było tylko zyskać na czasie, cofając się w kierunku parowozu. Tym razem nie było nadziei na ocalenie przy pomocy fałszywych dokumentów. Wystarczyło, że się do nas odezwali po czesku. Po drodze nauczyłem się kilkunastu zdań po słowacku, ale tym można było zamydlić oczy tylko Polakom nie znającym języka. Inni podróżni nie wydawali się być przejęci kontrolą. Głośno rozmawiali w wielu językach, z wyjątkiem polskiego i niemieckiego. Wyjęli zapasy, jedli, pociągali z butelek, grali w karty. Przysłowiowe tysiące myśli przebiegało przez głowę, co robić... Trudno było oderwać oczy od kontroli, która w żółtim tempie zbliżała się, zapewne sprawdzając dokładniej od polskiej. Przyległy wagon zarezerwowany był dla rosyjskich żołnierzy-rekonwalescentów i cywilów. Zauważyłem, że zaczęli oni wychodzić na peron. Pociągnąłem Edka za rękaw wskazując oczyma.

- *Wychadim* - rzekłem półgłosem.

Przeszedłszy niespiesznym krokiem do wagonu obok, razem z pozostałymi Rosjanami zeszliśmy na peron. Nie wiedziałem, co nastąpi, ale wszystko wydawało się lepsze od pozostawania w pociągu. Wkrótce całą grupę skierowano na pobliski plac pomiędzy dwoma stacijnymi budynkami. Nie wyróżnialiśmy się od reszty ubranej po szpitalnemu lub po cywilnemu. Tylko nieliczni byli w mundurach. Za chwilę zbliżyli się dwaj dziwacznie wyglądający mężczyźni w wyszarganych niemieckich uniformach. Twarze, ręce mieli pomalowane w jaskrawe kolory. Jeden policzek zielony, drugi żółty, czoło niebieskie, uszy czerwone a nos jeszcze w innym

kolorze. Obaj trzymali w rękach niby instrumenty muzyczne, sklecone na podobieństwo gitar czy mandolin z patelni, nocnika czy garnka, drażka i drutów. Zaczęło się przedstawienie. Obaj błaznowali, imitując dźwięki swych instrumentów, śpiewając po niemiecku miękkim akcentem, do którego nie byłem przyzwyczajony, może wiedeńskim. Tłum zaśmiewał się, my obaj też. Staliśmy obok siebie udając, że się nie znamy. Coraz to zerkąłem do tyłu na pociąg. Przez okna wewnątrz widać było wojskowych, posuwali się wolno ku lokomotywie. Jeśli nasza grupa wróci do wagonu zbyt wcześnie, to i tak nie unikniemy kontroli - myślałem. Zbyt długie przebywanie pośród Rosjan w wagonie groziło identyfikacją. Przedstawienie dobiegło końca. Podniosły się głosy wołające o bis. Razem z Edkiem dołączyliśmy się wołając: „dawaj jeszcze”.

Pierwszy raz zobaczyłem „Hamleta” mając lat czternaście. Utkwiła mi w pamięci scena, gdy grupa aktorów w dziwacznych strojach odgrywa przed królem śmierć Gonzagi, a jeden tylko Hamlet wie, o jaką stawkę idzie. Ta scena jakoś skojarzyła mi się później z błaznowaniem jeńców w obszarpanych mundurach, gdy nasz los się decydował i wynik zależał od ich gry. My ratowaliśmy się, udając rozbawionych widzów, kłowni być może ratowali się przed zsyłką do kopalni złota.

Bis trwał dość długo. Wystarczająco długo, by kontrola dobiegła końca. Rozległy się wołania: *Prosim nastupovat!*

Na rozkaz cała grupa pospieszyła do wagonu.

Dołączyliśmy do Słowaków i Luli; już myśleli żeśmy obaj wpadli. Pociąg sapiąc ruszył i w miarę jak się rozpędzał, coraz szybciej przemykały za oknami sylwetki żołnierzy.

Moravska Ostrava. Pierwszy raz za granicą. Poczucie radości życia nie do opisanie. No i wiara podparta wydarzeniami z powstania, że z najgorszych tarapatów wyjść mi się udaje bez szwanku.

W ogromnej sali dworcowej tłum pasażerów, kręcą się, stoją w miejscu. Dziwny półrozumiały język dookoła. Echo niesie głos z megafonu: *Rychlik do Bratislavy odjíždi z třetího, nastupistě za dvě minuty.*

Stanęliśmy w kacie, żeby się naradzić. Stanko i Chalupec powtórzyli swoją propozycję, zapraszając Edka i mnie na Słowację. Lula z angielskimi, chyba fałszywymi papierami, nie miała powodu zawracać na wschód. Edkowi spieszyło się, jakby mu się ziemia paliła pod nogami, choć się nie paliła, i odrzucił zaproszenie. Jeszcze w Warszawie uzgodniliśmy, że najlepiej będzie po przebicciu się przez

granicę odsapnąć na Słowacji, „przegrupować się przed następną ofensywą na Zachód”. Najwidoczniej obecność Luli sprawiła, że mu się odmieniło.

Zabrakło mi odwagi, aby odłączyć się od Edka, któremu prawie tak jak mnie dotąd wszystko się udawało. Zdołał się wepchnąć na łódź, z przyczółka czerniakowskiego na Saską Kępę, gdy setki daremnie czekały pod obstrzałem. Udając wariata w więzieniu na zamku w Lublinie wykręcił się od kuli. Miał niezwykle zdolności mimikry, kameleon z tupetem. Trudno mi było się z nim rozstać, tyle już razem przeszliśmy. Liczyłem na jego spryt, rozmach i moje szczęście.

Słowacy wyświadczyli nam ostatnią przysługę. Kupili trzy bilety do Pragi. Przy kasie mogli zażądać okazania dokumentów. Pociąg do Bańskiej Bystrzycy odchodził wcześniej. Zostaliśmy sami na dworcu, bez znajomości języka i z fałszywymi papierami. Żegnając się, nie wzięliśmy nawet ich adresu na Słowacji.

Udało nam się zająć miejsca siedzące w tym samym przedziale pociągu pośpiesznego, tu zwanego rychlikiem. Doświadczenie nabyte w kraju przy szturmowaniu wagonów przydało się. Ja usadowiłem się przy drzwiach na korytarz, Lula naprzeciw mnie. Edek drugi od okna, oddzielony od Luli jedną osobą. Wkrótce zatłoczyło się, pasażerowie wypełnili korytarz. Z góry zdecydowaliśmy, że po polsku nikt się nie odzywa, nie zdradzamy swej narodowości i w zasadzie nie znamy się. Nie było to łatwe w wykonaniu. Cisza trwała krótko. Wywiązały się rozmowy i nie można było udawać głuchoniemych. Edek, chcąc nie chcąc, musiał wdać się w konwersację z sąsiadem. Przedstawił się jako Słowak wychowany w Polsce. W ciągu tych paru godzin podłapał już sporo języka, zręcznie przekręcał polskie słowa na słowackie czy czeskie. Zwłaszcza akcent wychodził mu dobrze. Zdecydowałem, że znam Lulę i odezwałem się do niej po angielsku. Odtąd z rzadka wymienialiśmy bardzo krótkie zdania. Z góry umówiłem się z nią, że jeśli rozmawiamy, to tylko w tym języku. Pasażerowie zapewne wydedukowali, że jesteśmy Anglikami, bo nas po czesku nie zagadywali. Czasem tylko wymienialiśmy uśmiechy, moje powściągliwe, jak przystało na syna dumnego Albionu. Lula знаła angielski lepiej ode mnie. Korzystając z wolnego czasu na dworcu w Moravskiej Ostravie, dla przyszłego użytku, wyczyelowałem kilka zdań angielskich, aby się nie zająknąć w razie czego.

Lula wyciągnąwszy papierosa zwróciła się do mnie: - *Would*

you mind to give me a light?

Na co ja odrzekłem: *Of course, I have matches*, czy coś w tym rodzaju, coś krótkiego, i sięgnąłem do kieszeni po zapalnik. Jeden z pasażerów uprzedził mnie, posługując się zapalniczką. Wymieniliśmy uśmiechy, we trójkę.

Ciemność musiała zapaść wkrótce po wyjeździe z Ostravy. Była to już druga nieprzespana noc. Przyszło odprężenie. Wciśnięty w kąt przymykałem oczy, usiłując się zdrzemnąć i udając, że drzemię. Każdy stuk kół oddalał mnie od przeszłości i zbliżał do przyszłości. Coraz dalej od ojczyzny, tej z orłem bez korony i tej z orłem w koronie. Szczęknęła klamka. Otworzyłem oczy. W korytarzu obok, kilku w mundurach sprawdzało dokumenty. Jeden z nich odsunął drzwi, zasalutował:

- Připravte si občanské průkazy ke kontrole!

Wpierw zwrócił się do Luli siedzącej naprzeciw mnie. Chwila napięcia i zwrócił jej dokument.

Kolejno siedzący podawali swoje papiery... Czech... Edek... Czech..., obchodził przedział ruchem przeciwnym wskazówce zegara. Gdy tylko żołnierz, bez słowa, z lekkim skinieniem głowy oddał Edkowi dokument, nagle poczułem jakby pomiędzy nim i Lulą a mną, rozwarła się przepaść - tak nisko oceniałem własne szanse.

Odezwałem się do Luli, jak tylko zwrócili jej dokument. Wymieniliśmy półgłosem kilka krótkich zdań po angielsku, wystarczająco jednak długich i głośnych, aby nie uszło to uwagi żołnierzy. Chwyciłem się jej jak tonący brzytwy. Trzymając w ręku portfel zastanawiałem się co wyjąć, fałszywy słowacki, czy kenkartę niemiecką z wyciętym orłem. I jak się tłumaczyć po zatrzymaniu. Orła ze swastyką w kenkarcie wycinano w Polsce przy wymianie pieniędzy niemieckich, tzw. młynarek, na nowe, aby nikt nie wymienił więcej niż raz - dostawało się pięćset nowych złotych. Ze słowackim dokumentem jako Jan Matusz, podpadałem od razu, z kenkartą chyba też. Niewiele sekund pozostawało do namysłu. Co gorzej, wpaść z fałszywym dokumentem czy z nieważnym?

Wyjąłem z portfela kenkartę. Żołnierz nawet po nią nie sięgnął, spojrzał na mnie, zasalutował i cofnął się na korytarz zasuważąc drzwi. Odtąd już nie zamknąłem oczu aż do samej Pragi.

„Rychlik” nie spieszył się, coraz to przystawał i była północ, gdy podróż dobiegła końca. Od razu na peronie przystąpiliśmy do narady, po polsku z zachowaniem ostrożności, i przez to krótkiej i niekompletnej.

Trzeba było się wywiedzieć o linię demarkacyjną pomiędzy Amerykanami a Rosjanami. Kupić bilety nie wzbudzając podejrzeń. Wysiąść jedną stację przed linią demarkacyjną, iść nocą w pewnym oddaleniu, ale równolegle do torów w kierunku Pilzna, posługując się kompasem (który należało nabyć), bo na bezchmurne niebo z gwiazdą polarną, pomimo ładnej dotąd pogody, liczyć nie należało.

Edkowi przyszło do głowy, aby pod jakimś pretekstem wejść do jedyne go czynnego biura na opustoszałym dworcu, czynnego - jak można było sądzić po zapalonych światłach. Na próżno odradzałem mu ten ryzykowny krok. Za dnia od podróżnych, przy kasie, gdy dworzec będzie wypełniony tłumem, można będzie uzyskać odpowiednie informacje. Za dnia pójdziemy do któregoś z zachodnich przedstawicielstw celem zasięgnięcia języka. Edek zdecydował iść z Lula, mieli wejść jednak osobno, ona pierwsza, jakoby nie znając się. Ustaliliśmy miejsce spotkania.

Dworzec był mroczny, ciemno w oknach poza jednym pomieszczeniem. Nieliczne latarnie rzucały kręgi siniego światła, zaciemnienie z czasu wojny. Czekałem w umówionym punkcie pięć, dziesięć minut. Dłużej stać bez ruchu było niebezpiecznie. Od czasu do czasu ktoś przechodził i nieruchoma sylwetka musiała zwracać uwagę, jeśli nie wzbudzać podejrzeń. Ruszyłem więc „w drogę”. Podziemnymi pasażami, po kamiennych schodach, w górę, w dół, z peronu na peron, nie za wolno, bo i to mogło zwrócić uwagę. Ryzykując, że się rozminiemy, jeśli oni wyjdą z biura, gdy będę z dala i już się nie spotkamy. Mój lęk o siebie i o nich wzrastał się z każdą minutą. Coraz to miałem przed oczyma wielki zegar. Starłem się coś wypatrzeć przez okna pomieszczenia, do którego weszli. Szkło było nieprzezroczyste i odróżnić mogłem tylko zamazane sylwetki nie wiadomo czyje, czasem cień rzucający się na szybę. Liczyłem je. Bałem się podejść do okna i podsłuchiwać. Zresztą słuch mi nie dopisywał. Potem sylwetki zniknęły. Gdyby ich aresztowano i wyprowadzono, musiałbym to zauważyć - jakiś ruch, głosy, zgrzyt podkutych butów.

Próbowałem układać plany, co robić dalej, jeśli zostanę sam. Już kilka razy postanowiłem uznać ich za „zaginionych w akcji”, wyjść na zewnątrz i w bezpiecznej odległości, gdzieś na ulicy, zająć punkt obserwacyjny. Żaden pociąg nie przybył. Wymarły dworzec sprawiał niesamowite wrażenie, bez syku pary, bez stukotu kół, bez ludzkich głosów, w mroku ledwie rozjaśnionym tu i ówdzie sinym światłem. Słyszałem tylko odgłos własnych kroków, przytłumiony na peronach,

odbijający się wielokrotnym echem w podziemnych korytarzach. Minęły trzy kwadranse, gdy ukazał się Edek. Podążyłem za nim w pewnej odległości.

- Gdzie Lula - spytałem, gdy znaleźliśmy się na ulicy.

- Zatrzymana.

Więcej nie chciał mówić. Mnie też zbytnio to nie interesowało, trzeba było zająć się własnymi problemami. Pociąg do Pilzna odchodził rano. Uzgodniliśmy, że w razie zgubienia spotykamy się w tym samym miejscu, gdzie rozmawialiśmy ostatni raz.

Należało gdzieś spędzić resztę nocy. Do dworca przylegał mały park. Musiał tam też znajdować się podziemny schron, z ziemi bowiem wystawały kominy wentylacyjne. Noc była ciepła i sądząc po obfitości gwiazd, nie zanosilo się na deszcz. Ciemną wyspę parku otaczało mroczne, pogrążone we śnie miasto. Uszy razila cisza po kilkudziesięciu godzinach spędzonych w tłoku, w gwarze, pośród stukotu kół i gwizdu lokomotyw. Choć był to tylko park, miałem poczucie bezpieczeństwa, jakbym znajdował się na bezludnej wyspie. Wrażenia minionych dwóch dni mieszały się z myślami o oczekującym nas ostatnim etapie ucieczki. Podniecenie górowało nad zmęczeniem. Nasza samotność nie trwała długo. Z dala dobiegły głosy. W miarę jak się powoli zbliżały, uspokoiłem się, że to nie oblawa, ale raczej jakaś rozbawiona grupa. W ostatniej chwili przerzuciliśmy się na rosyjski. Wydawało nam się, że Czesi pomimo wielkiej admiracji dla Związku Radzieckiego, unikają bliższego kontaktu z osobami mówiącymi po rosyjsku, zwłaszcza nocą. Przyplątała się gromada chłopaków, nastolatków. Wywiązała się rozmowa w łamanych językach. Podaliśmy się za kogoś, kim nie byliśmy. Poczęstowali nas marchwią, której mieli w bród. Wkrótce coś innego przyciągnęło ich uwagę, przestali się nami interesować i zniknęli w ciemności. Jeszcze długo słyhać było ich oddalające się głosy. Marchew przydała się. Jedzenie wzięte z Warszawy kończyło się. Pozostała jedna napoczęta puszka konserw, opróżniliśmy ją prawie do dna. Resztę zapasów Lula miała przy sobie i przepadły razem z nią.

Świt zastał nas w parku. Wróciliśmy na dworzec na godzinę przed odjazdem pociągu. Bilety udało się kupić bez żadnych trudności. W ogonku do kasy stanął Edek jako obrotniejszy i z lepszym akcentem. Nasz plan przewidywał wysiadanie na ostatniej stacji przed linią demarkacyjną. Nadal nie wiedzieliśmy, którądy ona przebiega. Przemykać się polami na drugą stronę należało po

ciemku. Wyjazd wczesnym rankiem mijał się z celem. Mogliśmy podpaść, kręcąc się w jakiejś małej mieścinie przez cały dzień, czy też kryjąc się w życie do nadejścia nocy. Wszystko podczas tej wyprawy szło na wariata, bez planu, a raczej z planami porzucanymi w ostatniej chwili. Niemniej udawało się. Nie miałem więc obiekcji, choć i ten ostatni etap w swym wariactwie nie różnił się od poprzednich. Nie zdając sobie z tego sprawy, za każdym obrotem koła fortuny wszystko stawialiśmy na jedną kartę. Wpadka Luli powinna być ostrzeżeniem. Znany był los aresztowanych przy próbie ucieczki z imperium Stalina. Tymczasem pociąg zidentyfikowany na rozkładzie jazdy jako „rychlik”, bez pośpiechu, zatrzymując się na każdej stacji, niósł nas ku naszemu przeznaczeniu. Bezchmurny dzień, błękitne niebo, słońce wschodzące za plecami ścigało nas, zbliżało się. Nie wiedzieliśmy ani jaka jest kolejność stacji, ani gdzie linia demarkacyjna przecina linię kolejową. Na dworcu na wielkiej tablicy wisiał wprawdzie rozkład jazdy pociągów, ale mapy nie było, albo uszła naszej uwagi. Nawet gdybyśmy wiedzieli, nie jest pewne, czy to by zmieniło cokolwiek – taka już była siła bezwładu, który pchał nas naprzód. Albo pociąg włókł się (może dlatego nazywają go po czesku „vlak”), albo czas wydłużał, jakby minuty rozciągały się do kwadransów. Słońce było już bliżej zenitu niż horyzontu, gdy pociąg zaczął zwalniać. Wśród torów ciągnęły się szpalery żołnierzy.

Rokiczany.

Zaledwie pociąg stanął, Edek poderwał się do wyjścia. Ruszyłem za nim. Cofnąłem się krok czy dwa, aby wziąć nasz plecak z półki. Przez to odległość między nami wydłużyła się do kilku metrów. Edek zeskoczył na niski nasyp po stronie przeciwnej stacji, gdzie nie było peronu. Ja za nim. W momencie gdy dotykałem stopą żwiru, czeski żołnierz stojący przede mną już obracał się. Najwidoczniej usłyszał kroki Edka. Edek zniknął, chyba dał nura pod wagon. Żołnierz poprowadził mnie przez pusty peron, na którym stali tylko inni w mundurach, w kierunku budynku stacyjnego. Idąc rozglądałem się za Edkiem. Moja podróż z dworca towarowego w Warszawie dobiegła końca w niewielkim pomieszczeniu bez mebli, poza jedną ławką i małym niezakratowanym oknem, przez które widać było tory i pociąg.

Nie było tam nikogo poza kilkoma wojskowymi. Jeden z nich, oficer niższej rangi w radzieckim mundurze, pozostali Amerykanie w jasnozielonych mundurach, wyglądali bardziej po sportowemu niż po

wojskowemu.

Odczułem ulgę, że Czesi nie wydali mnie w ręce NKWD...

Gdy tylko Rosjanin wyszedł, zwróciłem się do Amerykanów wyjaśniając szkolną angielszczyznę, że uciekam z Polski, bo groziło mi aresztowanie. Miałem wrażenie, że mnie zrozumieli. Spytałem też, czy któryś z nich mówi po polsku.

- Był taki - odparł jeden - wczoraj wyjechał.

Z pociągu doprowadzono innych połapańców i wkrótce zgromadziło się nas około dziesięciu osób.

Drzwi izby zatrzymań wychodziły na wąski korytarz przecinający w poprzek budynek stacyjny. Po stronie przeciwnej peronom, na zewnątrz budynku stała grupa ludzi zapewne czekających na pociąg. Inni połapańcy czy aresztanci, jeśli w ogóle się odzywali to tylko półgłosem w językach, których nie rozumiałem. Przetrzęsanie pociągu najwidoczniej skończyło się. Kilku w czeskich mundurach wróciło na stację. Edek wiedziałby, co robić, pomyślałem.

Powstał ruch pośród gromady ludzkiej czekającej na zewnątrz budynku. Najwidoczniej już uprzednio sprawdzono ich bilety i dokumenty. Podniesiono barierę i pasażerowie, idąc pojedynczo, wyciągniętą linią wąskim korytarzem, mijali drzwi zatrzymań, gdzie oczekiwaliśmy dalszych dyspozycji. Przysunąłem się do drzwi i wyjrzałem. Nie było strażników. Zerknąłem za siebie. Dwóch Amerykanów odwróconych tyłem rozmawiało, gapiąc się przez okno. Jeden krok i dołączyłbym do tych, którzy sznurem, niemal ocierając się o mnie, szli do pociągu.

- A jeśli mnie złapią przy próbie ucieczki, dostanę się w gorsze tarapaty - wahałem się.

Sznur idących urwał się. Już było za późno. Nowi pasażerowie wsiadali do wagonów. Pociąg, który przyjechał z Pragi ruszył, z wolna nabierając szybkości. Gdzieś przez okno Edek wygląda na stację...

W izbie zatrzymań nic się nie działo, nikt nie ubywał, nikt nie przybywał. Nie było jak wymknąć się. Wskazówki zegara ledwo się poruszały. Nie wiedziałem, czy czas pracował dla mnie, przeciw mnie, czy w ogóle nie pracował. Minęła godzina. Edek jest już w Pilźnie. Świat stoi przed nim otworem. Było o czym myśleć. Nie czułem ani głodu, ani zmęczenia, ani senności. Minęły trzy, może cztery godziny zanim następny pociąg wtoczył się na stację. Może to ten sam, wracający z Pilzna. Długo stał. W izbie zatrzymań ożywiło się. Amerykanie kazali połapańcom wziąć bagaże. Pojawili się Czesi

w mundurach i całą naszą grupę odprowadzono pod eskortą do pociągu. Nie trzeba było kupować powrotnego biletu. Przemknęło mi przez głowę - wysiadę na pierwszej stacji i nocą pójdę na Zachód. Zanim jednak pociąg ruszył, do wagonu wszedł młody mężczyzna po cywilnemu i wskazał mnie ręką. Wagon nie miał przedziałów, widać było wszystkich pasażerów, a co najmniej ich głowy. Wszyscy obrócili się ku mnie. Wciąż wskazując w moim kierunku, coś wyjaśniał. Słów nie mogłem dobrze odróżnić i nie rozumiałem, co mówił, ale usłyszałem: — *Szpion*.

Szpion chyba znaczy to samo po czesku, co po rosyjsku. A może się przesłyszałem. Od czasu wybuchu goliata w Arsenale, nie cały rok temu, słuch mnie nieraz zawodził.

Zaraz jakiś mundurowy ze srebrnymi kwadracikami czy trójkątami na wypustkach, mężczyzna koło trzydziestki, siadł naprzeciw mnie przy oknie. Wyglądał mi bardziej na policjanta niż wojskowego. Za plecami miałem przepierzenie do sufitu dzielące wagon na dwie połowy, a w nim drzwi z napisem WC. Pociąg ruszył. Jak w odwrotnym filmie mijały stacje, które zapamiętałem, domy, kępy drzew, wioski. Rano słońce doganiało mnie od wschodu, teraz uciekało na zachód. Powoli odzyskiwałem zdolność myślenia po szoku, że Amerykanie wydali mnie.

Czy jestem już aresztowany, czy dopiero będę?

Ludzkie doświadczenie wskazywało, że normalnym rekwizytem aresztowania są kajdanki i kraty. Byłem czy nie byłem, niewątpliwie znajdowałem się w drodze do czegoś, co się źle kończy. Nikogo spośród grupy zatrzymanych nie potraktowano tak jak mnie. A weszliśmy wszyscy do jednego wagonu. Wsiadanie na następnej czy jakiegokolwiek innej stacji nie wchodziło w rachubę. Postanowiłem nawet nie ruszać się z miejsca, aby nie pobudzić czujności mojego strażnika i zachowywać się swobodnie, naturalnie, jakbym nie był aresztantem. Pociąg, na wpół pusty w Rokiczanach, gdzie mnie zatrzymano, wypełnił się szybko. Pasażerowie wchodzili i wychodzili na każdej stacji, a było ich wiele. Zawsze siedział ktoś obok mnie i obok policjanta. Wdałem się w rozmowę z tymi przypadkowymi sąsiadami celem wywiedzenia się o ostatnią stację przed Wilsonovo Nadraži - tak się nazywał centralny dworzec, gdzie według moich przewidywań nastąpić miało formalne aresztowanie. Mówiłem, że wracam do Polski z robót przymusowych. Nie pytając się bezpośrednio o główny cel tej konwersacji, zasięgałem języka na temat muzeów, teatrów, noclegów w Pradze. Zainicjowałem

rozmowę na temat powstania w Pradze, tu i ówdzie wtykając pochlebną uwagę o armii radzieckiej, zwaną tutaj Rudą Armią. Pytałem się też o Polski Konsulat. Pewien prażanin znał jego adres. Miał on się znajdować w Hotelu Ambasador na placu czy ulicy Vaclavske Namesti... Choć wiedziałem, że Vaclavske Namesti leży w centrum miasta, spytałem na którym z praskich dworców mam wysiąść. W ten sposób dowiedziałem się, o co mi chodziło, że pierwszą stacją w Pradze jest Smichov, a potem dopiero Wilsonovo Nadraží. Każde zdanie wymawiałem z pełną świadomością, że policjant wszystko słyszy i rozumie. Moi rozmówcy bardzo byli mili, dawali mi rady, troszczyli, abym się nie zgubił.

Bukoliczny krajobraz pól uprawnych, łąk i wiosek, nad którymi unosiła się atmosfera spokoju, zacisza, nieskomplikowanego życia - przez kontrast jeszcze potęgował grozę mojego położenia.

Słońce posunęło się dalej na zachód i zniżało gdzieś nad Pilznem. W jego promieniach, już nie żółtych, ale jeszcze nie pomarańczowych i nieco przyćmionych, okolica nabrała miększego kolorytu. Zapowiedź nadchodzącego wieczoru, kiedy wszystko układa się do snu.

Mijały godziny, nie odezwałem się do policjanta ani razu, ani on do mnie. Zresztą nie był rozmowny. Nie otworzył ust, chyba że ktoś pierwszy do niego się zwrócił. Nie patrzyłem na niego, aby nasze oczy nie spotkały się. Czasem tylko gdy zwracał głowę ku oknu, miałem okazję przypatrzeć się z boku jego twarzy - twarzy obojętnej, bez wyrazu. Trudno jest unikać wzrokiem kogoś, kto godzinami siedzi naprzeciwko. I trudno spoglądać obojętnie na człowieka eskortującego ciebie ku nieznanej, ale groźnej przyszłości. Chwilami myślałem, że mi się to wszystko przywidziało - że policjant przysiadł się przypadkowo, że się przesłyszałem ze słowem „szpion”.

Obserwując pasażerów w moim półwagonie doszedłem do wniosku, że chyba wszyscy ci, którym cywil przedstawił mnie jako szpiega, już wysiedli, a ci co później wsiedli, nic o mnie nie wiedzieli.

Centralnym punktem mego planu był Smichov. Na głównym dworcu w Pradze wymknąć się nie da. Mój policjant każe mi siedzieć i przez okno zawoła innych policjantów. A ucieczka przez zbity tłum nafaszerowany mundurami nie rokowała powodzenia. Na małych stacjach na peronie znajdowało się kilkanaście osób i nie było gdzie się ukryć.

Prawie wszystkie czeskie pieniądze pozostały przy Edku. Dałem mu mój przydział przy kupnie biletów do Pilzna, a reszty mi

nie zwrócił. Za to miałem plecak, a w nim trochę ciuchów, „srebro stołowe” w postaci kilku żelaznych łyżek, widelców i noży, przyrząd do otwierania konserw oraz jedną nie dokończoną puszkę konserw. Zjedliśmy większość jej zawartości nocą w parku przed dworcem, zostawiając nieco na czarną godzinę, gdyby przyszło iść piechotą kilometrami przez pola i lasy do Pilzna.

Według moich wyliczeń następną stacją miał być Smichov. Aby się upewnić, spytałem sąsiada, czy to już Wilsonovo Nadraží. Skorygował mnie, że to dopiero Smichov.

Gdy pociąg zaczął zwalniać, zdjąłem plecak z bagażnika. Położywszy go na kolanach, grzebałem w nim bez pośpiechu. Zaledwie pociąg stanął, zacząłem dłubać widelcem w puszcze, powoli wydobywając maleńkie kawałki mięsa, żując je bez pośpiechu, tak aby mi wystarczyło aż do decydującego momentu. Rozległy się wołania kolejarzy:

- Smichov.

Wielu pasażerów wysiadło. Zaroilo się na peronie. Postój przedłużał się, a mnie już kończyło się mięso. Jeszcze bardziej zwolniłem tempo jedzenia.

Znowu wołania kolejarzy:

- *Prosim nastupovat, vlak odjíždi.*

- Gwizd i pociąg ruszył.

Wsunąłem puszkę do plecaka, wstałem. Plecak położyłem na siedzeniu, aby wyglądało, że nie chcę, aby mi je kto zajął. Obróciwszy się powoli otworzyłem drzwi z napisem WC. Wszystko to przy zachowaniu szczególnej ostrożności, aby się nie zdradzić niespokojnym ruchem lub spojrzeniem. Licząc na to, że mój strażnik weźmie to za naturalną reakcję - pojadł sobie i zakręciło go w brzuchu. Policjant ani drgnął. Pociąg już nabierał szybkości i nie sądziłem, aby przyszło mu do głowy, że mogę skakać. Drzwi otwierały się do maleńkiego przedpokoiku, z którego można było wejść albo do właściwego WC, albo, otworzywszy następne drzwi, przejść do drugiej połowy wagonu. Pasażerowie często tam zachodzili, miałem więc okazję zapoznać się z rozkładem.

Znalazłszy się w drugiej połowie wagonu, zamknąłem za sobą drzwi do przedpokoiku, szybkim krokiem doszedłem do końca wagonu i zeskoczyłem z otwartego pomostu na peron, stając jak najbliżej pociągu, aby znaleźć się poza polem widzenia mojego strażnika. Twarzą był bowiem zwrócony ku mnie, a plecami ku lokomotywie. Oddalał się więc ode mnie z każdym obrotem kół, od

momentu, gdy stopą dotknąłem ziemi. Zapewne sam nie ryzykowałby skakania w biegu, ale mógł pociągnąć za hamulec. Stałem w tej samej pozycji, o pół kroku od rozpędzającego się pociągu, może przez ćwierć minuty, po czym wmieszałem się w tłum wychodzących. Mijając kontrolę przy wyjściu z dworca, kolejarzowi wyciągającemu rękę po bilet rzuciłem krótkie:

- *Koncentračni tabor.*

Za chwilę znalazłem się na ulicy. Wolny, choć wciąż pod strachem, że pogoń depcze mi po piętach. Obok na końcowej pętli stały tramwaje. Wsiadłem razem z tłumem pasażerów do pierwszego, aby jak najszybciej oddalić się od dworca. Dłużyły się sekundy, zanim ruszył.

Konduktor zbliżył się do mnie.

- *Mate jizdenku?*

Nie trudno było odgadnąć, o co mu chodzi.

- *Koncentračni tabor* - odparłem.

Nie musiałem kupić biletu i nie kazał mi wysiąść. Zapewne mój wygląd nie przeczył temu, co ludzie wiedzieli o hitlerowskich obozach koncentracyjnych.

Zapytałem się współpasażera o Vaclavske Namesti. Okazało się, że wsiadłem do złego tramwaju. Wyjaśnił mi, gdzie mam wysiąść i jak dojść do placu Waclawa. Unikałem kontaktu z kimkolwiek w mundurze, nawet w tramwajarskim. Coraz więcej rozumiałem i coraz lepiej mówiłem. Od czasu przekroczenia granicy, a zwłaszcza od Rokiczan, poduczyłem się sporo czeskiego. Podróżę kształcą. Zbliżał się wieczór, gdy znalazłem się na Vaclavske Namesti.

W czasie wojny, na czwartym piętrze „mojej” kamienicy w Warszawie zamieszkał pan Szymanko. Człowiek wykształcony, około lat czterdziestu, lewicowiec i ku zmartwieniu swej rodziny praktykujący ateista. Często zachodziłem do niego na pogawędkę, znał moje lewicowe poglądy. Otóż zaraz po kapitulacji Niemiec dowiedziałem się od kogoś, chyba od dozorczy naszego domu w Warszawie, że pan Szymanko ma jechać na placówkę dyplomatyczną do Pragi i że należy do PPR. Moją jedyną nadzieją było odnalezienie pana Szymanki. Inaczej wobec zbliżającej się nocy nie wiedziałem, co ze sobą zrobić. Nie mogłem chodzić ulicami aż do świtu udając normalnego przechodnia. Drzemanie w parku na ławce nie było bezpieczne. Upłynęło zaledwie dwa miesiące od zakończenia wojny i niemieckiej okupacji, więc miasto zapewne było patrolowane przez policję i wojsko.

Wszedłem do hotelu Ambasador. W holu przyjęć wielkie lustro, kryształowy żyrandol, dywany, fotele obite czerwonym pluszem. Za kontuarem po lewej stał starszy mężczyzna w liberii. Spytałem się po angielsku o Polski Konsulat. Bez słowa podał mi drukowaną kartkę z informacją po polsku, iż konsulat przeniósł się pod nowy adres, po czym dodał od siebie, że już za późno, co było oczywiste.

A więc czekać do jutra, aby dowiedzieć się, czy Szymanko jest w Pradze. Nie mogłem więcej znieść niepewności. Jeśli konsulat mieścił się tu do niedawna, musieli znać nazwiska niektórych pracowników, a w każdym razie tych ważniejszych, dyplomatów. Spytałem, czy Szymanko pracował tutaj.

- Szymanko... - mężczyzna w liberii zastanawiał się przez chwilę. - *Room two hundred fifteen.*

Gestem ręki wskazał schody niemal niewidoczne w rogu holu.

Odnalazłem właściwe drzwi na piętrze. Postawszy chwilę zapukałem raz, drugi, trzeci. Drzwi otworzyły się. Na tle oświetlonego wnętrza ukazała się szczupła sylwetka i prostokątny zarys głowy pana Szymanki. Odezwał się po czesku. Przypomniałem mu kim jestem i dopiero wtedy poznał mnie w półmroku korytarza. Zawahał się, nim mnie zaprosił do wnętrza. Niewątpliwie mój wygląd, a zapewne i zapach wzbudzały podejrliwość u tych bliźnich, do których los uśmiechnął się. Aby uniknąć pytań, szybko wyjaśniłem mu, że po powstaniu zostałem wywieziony do Niemiec, do Zittau, która to miejscowość leży na północ od Pragi, tuż za granicą czeską, już w Rzeszy. Dowiadując się o konsulat, przypadkowo usłyszałem jego nazwisko. Pan Szymanko wyraził zadowolenie z faktu, że przeżyłem powstanie. Nic dotąd nie słyszał o moim losie, jak również o losie swojego siostrzeńca, który także walczył jako żołnierz Armii Krajowej. Rozmowa przeciągała się i zwalniała. Dodałem mimochodem, że dopiero co przyjechałem do Pragi i wprost z pociągu udałem się do konsulatu. Ku mej wielkiej uldze pan Szymanko wyraził zainteresowanie sprawą mojego noclegu. Gdy mu wyjaśniłem, że nie miałem jeszcze czasu zakrzętnąć się koło tej sprawy, zaproponował, abym, z uwagi na późną porę, przenocował u niego.

- Czy pan jadł kolację - spytał.

- Nie, jeszcze nie jadłem.

Na ścianie znajdowała się tabliczka z trzema guzikami. Obok każdego guzika sylwetka: dziewczęca z tacą, kobieca ze szczotką, i chłopięca z listem w ręku. Pan Szymanko nacisnął pierwszy guzik.

Wkrótce schludnie ubrana pracownica hotelu, czyli „slečna” przyniosła kolację składającą się z dwóch bułeczek, dwóch plasterków masła i filiżanki kawy. Ileż silnej woli wymagało spożywanie tego posiłku bez pośpiechu, od niechcenia, jednocześnie kontynuując konwersację z gospodarzem i uważając, by mi się z ust nie wymknęło słowo prawdy. Dopiero teraz, gdy napięcie opadło, odczułem głód nagromadzony od kilku dni. Wcale nie rwał mi kiszek, doświadczałem go w całym ciele. Jakby się odmrażał.

Przyszła pora udać się na nocny spoczynek. Po prysznicu ległem do snu na kozetce, w alkwie przy korytarzu. Przez otwarte okna wlewał się przytłumiony szum żywego miasta. Nie od razu zasnąłem. Coś mi się trochę majaczyło. Gdy zamykałem oczy, powracały widziadła -fragmenty scen podróży, szpalery żołnierzy, kłowni w niemieckich mundurach, twarz policjanta z profilu. Jeszcze mi się w uszach kołatał stukot kół.

Takie odmiany losu zdarzają się w bajkach. Zasypiałem pośród kryształów, dywanów, pluszów, w samym sercu Złotej Pragi, pod dachem najelegantszego hotelu.

Obudziłem się głodny i wypoczęty. Do alkwie z odległego okna docierało tylko przyćmione światło dnia. Czekałem aż pan Szymanko wstanie. Potem szybko umyłem się i ogoliłem, moją maszynką a jego ostrą żyletką. Spożyliśmy wykwinne śniadanie składające się z dwóch bułeczek, dwóch mikroskopijnych plasterków masła i takichże krążków marmolady oraz kawy. Pan Szymanko sprolongował swoją gościnę. Wychodząc razem, umówiliśmy się na wspólną kolację po jego powrocie z pracy.

Szedłem sobie wolnym krokiem po Vaclavskim Namesti, sercu Pragi, przypominającym albo bardzo szeroką ulicę, albo bardzo długi plac, z ciekawością przyglądając się ludziom i światu, jak turysta. Umyty, ogolony, uczesany jak każdy. Stojem tylko wyróżniałem się. Szare portki, które wiele przeszły, w pralni nigdy nie były, a także służyły za piżamę. Od góry przybrudzona błękitna kurtka Luftwaffe bez oznak wojskowych, z czerwonym krzyżem na ramieniu. Było się czemu przyglądać. Trudno powiedzieć, co wprawdzie rzuciło się w oczy. Chyba wszystko wprawdzie. Tłumy przechadzały się świątecznym krokiem. Dziewczyny w letnich przewiewnych sukienkach, panowie w spodniach uprasowanych w kant, wielu w marynarkach i pod krawatem. Uderzała ilość młodych mężczyzn i brak kalek. W pobliżu Ambasadora znajdował się hotel Šroubek, podobno jeszcze bardziej wykwinny. Dwie kamienice zburzone bombami - jedyne świadectwo

sześciu lat wojny. Nieliczni Niemcy musieli nosić opaski na ramieniu - białe z literą N. Na oko co trzeci, czwarty przechodzień miał przypiętą do piersi pięcioramienną gwiazdę, czasem z sierpem i młotem. Tu i ówdzie stały stragany i podręczne kuchenki, gdzie sprzedawano parówki. Policzyłem korony i podszedłem zobaczyć, ile kosztują. Musiałem przysunąć się blisko sprzedawcy, aby widzieć jakie monety przechodzą z rąk do rąk. Krótki ogonek uformował się przed parówkami i było mi trochę nijako zająć punkt obserwacyjny przy samej kuchence. Spytałem więc jednego z czekających o cenę. Wyjaśnił mi, że trzeba okazać kartki żywnościowe. Nie od razu zrozumiałem, co to znaczy „potravinove listky”.

Z planem miasta w ręku ruszyłem w kierunku najbardziej mi znanej nazwy w Pradze, Wełtawy. Karlouv Most, zaznaczony ozdobiście na mapie, przyciągnął moją uwagę.

Tu i ówdzie widziało się ślady walki, jednak domy bez szyb w oknach były równie rzadkie, jak oszkłone w Warszawie. Gdzieś tam wiązki kwiatów leżały na chodniku pod murem. Napis na tabliczce informował o dacie śmierci, danych osobistych a czasem i stosunkach rodzinnych powstańca.

„Zde padl český bojovník za svobodu... otec dvou dětí”

Tabliczki te zdaje się zwano „pamětní deska” i często napis był wymalowany na kawałku deski.

Plakaty naklejone na murach i słupach ogłoszeniowych reklamowały filmy, koncerty, przedstawienia. Tytuł jednej ze sztuk brzmiał: „Polska krev”. Inne plakaty zachęcały do nauki języków obcych. - „Ruština a angličtina ovládala svět” - i do wstępowania do „Svaz Česke Mladeže”.

Minałem kilku młodych mężczyzn, na piersi mieli wstążki z napisem: „Bojovníci Rozhlasu”. Domyśliłem się, że to ci, którzy zajęli rozgłośnię radiową pierwszego dnia powstania i bronili jej aż do przyścia Rosjan, rozpaczliwie wzywając pomocy. Amerykanie nie ruszyli się, choć byli obok, między Pragą a Pilznem. Ale bojownicy, pomyślałem sobie, zrobili powstanie po śmierci Hitlera i upadku Berlina, a i tak dostawali kłoty. „Bojovníci Rozhlasu”, a widziało się ich często, nie chodzili pojedynczo. Zwykle po dwóch, lub otoczeni dziewczynami. Postałem na Karlouv Most. Wisła szersza, rozcina miasto na dwie części. Wijąca się Wełtawa jest jego integralną częścią, łączy oba brzegi. Zaszedłem do parku. Drzewa o kulistych, owalnych koronach, nie jak te warszawskie, niesymetryczne, z odstrzelonymi gałęziami, nadpalone, koślawe.

Człowiek może umrzeć więcej niż jeden raz, zanim umrze na dobre po raz ostatni. Ja czułem się, jakbym zmartwychwstał. Jeszcze wczoraj ujrzałem ziemię obiecaną poza szpalerem żołnierzy. Potem wydany przez przyjaciół w ręce wrogów i ocalony przez pana Szymankę, współnika wrogów. Rozpierała mnie radość życia czy przeżycia. Wszystko wydawało się lekkie, piękne, kolorowe. Dzieliłem świąteczny nastrój Pragi. Leniwie przyglądając się światu z ławki ocienionej drzewem, układałem plan akcji. Albo na razie jakoś zahaczyć się w Pradze, albo podjechać do linii demarkacyjnej i nocą przejść na drugą stronę.

Młody mężczyzna w angielskim mundurze idąc, podpierał się laską. Podeszedłem i przemówiłem najlepszą angielszczyzną, na jaką mnie było stać, imitując styl Edka, wysuwając dolną szczękę do przodu, by głosowi nadać bardziej gardłowy ton. Odpowiedział po czesku, że nie rozumie. Przerzuciłem się więc na francuski, ale i tego nie rozumiał. Z kolei on spróbował niemieckiego, z którym ja miałem trudności. Moja niemczyzna miała użyteczność ograniczoną do szczególnych sytuacji - jak łapanie czy walki uliczne. Nie znalazłszy wspólnego języka przeszliśmy na polski i czeski. Dostał postrzał w nogę, walcząc w czasie powstania. Wymieniliśmy trochę informacji na temat walk w obu stolicach. Był moim rówieśnikiem. Mieszkał w Pradze i pod Pragę, gdzie jego ojciec miał dużą posiadłość, nawet własne korty tenisowe. Spytał, czy umiem grać. Przyznałem się, że nie jestem zbyt doświadczonym graczem, z czego on wydał się zadowolony. Oświadczył, że jest debutantem i ma nadzieję podciągnąć się, mając mnie za partnera.

Rakiety w rękę nie miałem od 1939 roku, jako że Polakom pod Niemcami zabronione było używanie jakichkolwiek urządzeń sportowych. Przed wojną, przyjaciel matki mojego kolegi gimnazjalnego, Henia, postawny kapitan, brał nas czasem na korty, zapewne ze względu na matkę Henia, bardzo przystojną i wypielegnowaną blondynkę. Henio powtórzył mi, co kapitan sądzi o naszym stylu gry. Tenis w wykonaniu Henia, według kapitana, był od wdów i sierot. Jeśli chodzi o mnie, to brakło mu słów.

Ojciec Czecha miał rodzinę w Stanach Zjednoczonych i już zaczął starania o emigrację. Przyznałem się, że i ja mam tam stryja, który zmienił nazwisko na Johnson, ale nie znam jego adresu. Jego krewni mogą mi pomóc w emigracji do Stanów, oświadczył. Wspomniałem, że szukam pracy. To nie warto, rzekł, cudzoziemiec może być zatrudniony tylko przy rozbieraniu gruzów, za marne

pieniądze.

- Możesz zamieszkać u mnie pod Pragę.

On po czesku, ja po polsku - rozumiejąc się lepiej niż gdybyśmy posługiwali się tym samym językiem. Jakby nasza mowa uwolniła się od wszelkich ozdobnych zakrętasów, zawijasów, napomknień, gry słów, aluzji, kalamburów, baroku, rokoka...

Napisał mi na kartce papieru swoje nazwisko i adres w Pradze przy ulicy Revolučni 3. Podałem mu mój w hotelu Ambassador, starając się podkreślić, najlepiej jak mogłem, że żadnych powiązań natury służbowej z polskim przedstawicielstwem nie mam. Wyjeżdżał do rodziny pod Pragę tego samego popołudnia. Umówiliśmy się na następne spotkanie w tym samym miejscu.

- *Sejdeme se v utery na stejnem miste ve tři hodiny.*

Resztę dnia spędziłem, włączając się o pustym brzuchu po Pradze, ciesząc się przyszłością, układając plany, nie mając noża na gardle po raz pierwszy od wyjazdu z Warszawy.

Przy kolacji usiłowałem mówić jak najwięcej o powstaniu, aby mniej czasu pozostało na inne tematy. Nie wiedząc na ile mogę zaufać panu Szymance, postanowiłem nie ufać mu wcale. Ocalił mnie wprawdzie udzielając gościny, był jednak tylko ślepym narzędziem w rękach opatrności. Ale czy aby zupełnie ślepym? I jeśli ślepym, to na jak długo.

Telefony w rejonie Warszawy nie funkcjonowały, ale mógł się skomunikować z rodziną, posługując się kanałami dyplomatycznymi lub wojskowymi. A wtedy dowiedziałby się jakiejś części prawdy. Pan Szymanko zmienił się od czasu, gdy go widziałem ostatni raz przed rokiem. Nie to żeby pogrubił, osiwił, czy wyłysiał. Bezbarwny był jak zawsze. Krótko przycięte jasne włosy, zaczesane a raczej zaszczotkowane do góry. Ust wprawdzie nigdy szeroko nie otwierał i głosu nie modulował, teraz jednak mówił przez ściśnięte wargi, nieco je wydymając, jakby z wysiłkiem wypychając słowa na ten świat boży. Przypomniało mi to od razu, jak to rodacy, opowiadając angielskie dowcipy, cedząc słowa przez zęby, naśladowali sposób mówienia angielskich lordów.

Pan Szymanko wyjaśnił, na czym polega jego praca. Ambassador jest wodzem naczelnym, a on zajmuje stanowisko szefa sztabu.

Przed udaniem się na spoczynek uchyliłem rąbka tajemnicy odnośnie moich planów. Ukończyłem dwa lata studiów medycznych na podziemnym uniwersytecie. Warszawa jest zniszczona. Po tylu

latach okupacji upłynie dużo czasu, nim wyższe szkolnictwo stanie na nogi.

- Czy są jakieś szanse dostania się na medycynę w Pradze - spytałem.

Pan Szymanko obiecał zasięgnąć języka, ostrzegając mnie jednocześnie, abym sobie nie robił wielkich nadziei, gdyż, pomijając już inne trudności, na pierwszy rok medycyny zgłosiło się dwadzieścia tysięcy kandydatów. Wątpił czy zaliczą mi dotychczasowe studia. Nic nie wspominał o mojej przedłużającej się wizycie, z czego wywnioskowałem, że mam dach nad głową i dwa mikroskopijne posiłki zapewnione przynajmniej na następny dzień.

Trzeci dzień w Pradze, licząc także dzień podróży do Rokiczan i z powrotem, spędziłem zwiedzając miasto, wypoczywając w parkach, rozmawiając z przygodnymi sąsiadami. Imitowałem czeski akcent, przekręcałem polskie słowa na czeskie. Wstąpiłem na Wilsonovo Nadraží przestudiować rozkłady jazdy i rozejrzeć się. W przydworcowym parku, tam gdzie spędziliśmy noc z Edkiem, wciąż leżała nać marchwi, już wyschnięta.

Obszedłem stare miasto i jego rynek wypalony w czasie powstania, które wybuchło na dwa czy cztery dni przed kapitulacją Trzeciej Rzeszy. Jak Niemcy mogli dokonać tych zniszczeń w tak krótkim czasie? I w ogóle, że im się jeszcze chciało atakować w ostatnich godzinach wojny, w tydzień po śmierci Hitlera i upadku Berlina. Byłoby gorzej, gdyby własowcy nie przeszli na stronę Czechów. Pomimo iż miałem myśli zajęte własnymi sprawami, drażnili mnie nieco ci „Bojownicy Rozhlasu”. My, niedobitki, warszawscy powstańcy, moglibyśmy obwiesić się takimi napisami od brody do bioder.

Dobrze przed trzecią zjawiłem się w umówionym miejscu, w parku za Karloum Most. Czekałem, czekałem... Nie przyszedł o oznaczonej godzinie. W miarę jak przybywało minut dzielących mnie od trzeciej po południu, coraz bardziej wątpiłem we własną pamięć. Może się przesłyszałem, może to nie była trzecia. Może w innej części parku. Wstawałem, chodziłem, zataczając małe koła, wypatrując jego charakterystycznej sylwetki, pochylonej nieco nad laską i zielonego munduru na tle zieleni parku. Może pociąg się spóźnił albo zepsuł? Zbliżał się czas kolacji, musiałem wracać do hotelu.

Nazajutrz rano odszukałem dom przy ulicy Rewolucni pod numerem trzecim. Był to masywny nowoczesny budynek. Nazwiska

Czecha nie było na liście lokatorów. Tym razem nie mogłem wątpić we własne zmysły. Na kartce papieru, którą trzymałem w ręku, sam napisał swoje nazwisko i adres. Pokręciłem się po mieście, zastanawiając się, co dalej.

Wróciłem na Rewolucji 3, aby upewnić się, czy czegoś nie przeoczyłem. Poszedłem do parku za Karloum Most, może tam się przechadza. Potem jeszcze raz wróciłem na Rewolucji 3, najwidoczniej nie mogąc zaakceptować faktu, że była to tylko fatamorgana. Tym razem ukazał się facet o wyglądzie kamerdynera, w uniformie i w czapce z daszkiem. Upewnił mnie, że nikt o takim nazwisku tu nie mieszka. Wróciłbym może jeszcze raz, tak trudno mi było pogrzebać nadzieje, ostrożność jednak przeważała. W budynku mieściły się też jakieś biura. Sądząc po jego wymiarach, musiało tu być więcej mieszkań niż wskazywała lista lokatorów. Wydawało mi się to nie bez znaczenia. Czyżby niektórzy lokatorzy woleli anonimowość?

W czasie konwersacji w parku na ławce dowiedziałem się o istnieniu biura meldunkowego. Poszedłem i tam. W rejestrze mieszkańców Pragi nie było jego nazwiska. Ta zagadka nie dawała mi spokoju. Przy najbliższym posiłku skierowałem rozmowę na język czeski. Pan Szymanko chętnie podzielił się swoją wiedzą, zapewne nie zauważywszy, jakiego wstrząsu doznałem w czasie tej lekcji. Otóż „utery” wcale nie znaczy jutro, dowiedziałem się, ale wtorek. Jutro jest po czesku „zitra”. Umawiając się z Czechem myślałem, że „utery” znaczy jutro.

Doznałem także drugiego wstrząsu. Pan Szymanko, niby przypadkiem, a było to zręcznie wplecione w konwersację, napomknął, że w następną niedzielę wybiera się gdzieś na północ od Pragi i spytał mnie coś o rozkład pociągów w Masarykovo Nadraži. Ja rzekomo przyjechałem z północy i wysiadłem na tym dworcu właśnie. Oczywiście nic na ten temat nie mogłem powiedzieć, nawet nie wiedziałem, gdzie jest ten dworzec. Powinienem był to sprawdzić zaraz po spędzeniu pierwszej nocy w hotelu, ale olśniony odmianą losu zaniedbałem.

Otworzyła się więc dziura w tkaninie moich kłamstw i nie dało się jej na poczekaniu załatać. Pan Szymanko nigdy otwarcie nie wyraził wątpliwości co do rzekomego celu mojej podróży, z Dolnego Śląska via Praga do Polski. Niemniej zdawało mi się, że toczyliśmy pojedynek na niewidzialnej szachownicy, niewidzialnymi figurami, którymi były słowa. Ja kłamałem udając, że mówię prawdę, on zaś

usiłował odkryć prawdę, udając, że nie usiłuje. Opukiwał mnie dyplomatycznie, delikatnie, abym nie zauważył, że opukuje, nasłuchując fałszywego rezonansu. Ja zaś udawałem, że nie zauważyłem opukiwania. Ja też delikatnie go opukiwałem, udając turystę, usiłując wydobyć z niego informacje przydatne dla uciekiniera. Nie przyszło mi wówczas do głowy, że i on mógł podejrzewać, iż byłem prowokatorem nasłanym z Warszawy lub skądinąd. Następnego dnia, wtorek, czyli po czesku *utery*, spędziłem kręcąc się po mieście, które wciąż wydawało mi się miejscem bajkowym. Spadł mi ciężar z piersi. Już na godzinę wcześniej, o drugiej po południu, zasiadłem w parku na umówionym miejscu. Minęła trzecia, czwarta, nie przyszedł.

Pośpieszyłem na kolację do hotelu. Pan Szymanko poradził mi zarejestrować się w biurze dla „przesiedleńców”, gdzie mogłem otrzymać skierowanie na darmowe posiłki. W Pradze, wyjaśnił, żywność jest wyłącznie na kartki, odnosi to się także do hoteli. On jako członek korpusu dyplomatycznego, ma pewne ulgi, ale bardzo skromne. Moje kolacje i śniadania obciążają jego pulę, bardzo ograniczoną. Jeśli to się przeciąga, polska ambasada i jakiś czeski urząd muszą zaaprobować dodatkowy przydział żywności. Sam już zauważyłem, że na ulicznych stoiskach, bez kartek kupić można tylko lemoniadę.

Rutyna naszego życia była następująca. Obudziwszy się wcześniej, czekałem aż pan Szymanko wstanie, umyje się, ogoli, potem szedłem do łazienki. Po śniadaniu wychodziłem pierwszy, aby go niczym nie krępować, nawet jeśli, jak w niedzielę, nie musiał rano iść do pracy. Wracałem tuż przed godziną kolacji... Po kolacji też zwykle wychodziłem, aby go nie przeciążać rozmową.

Następnego rana poszedłem do wskazanego urzędu i otrzymałem kartki na posiłki oraz przydział noclegu na trzy dni. W parku natknąłem się na Lulę. Trzymała dystans. Nie wyjawiała, gdzie mieszka i czemu zawdzięcza zwolnienie. Odniosłem wrażenie, że Edek nie powiedział mi wszystkiego o jej zatrzymaniu. Więcej jej nie zobaczyłem. Wróciwszy do hotelu dowiedziałem się, że młody Czech w mundurze i z laską dopytywał się o mnie u portiera na dole. Adresu nie zostawił. Żegnając się z panem Szymankiem, podziękowałem mu za gościnę i powiadomiłem go, że wracam do Polski. W rzeczywistości przeniosłem się do kwater przeznaczonych dla uchodźców.

Wiadomość o wizycie w hotelu mojego niedoszłego przyjaciela

wstrząsnęła mną, choć sama w sobie nie zmieniała mojej sytuacji. Rozdrapała ranę, która nawet nie zaczęła się zabiżniać. Tłumaczyłem sobie dotąd w różny sposób, dlaczego dał mi fałszywy adres. Teraz przyszło mi do głowy, że jego zamożny a może i możny ojciec, dowiedziawszy się, iż syn nawiązał przyjaźń z jakimś obdartym osobnikiem, który mieszka u polskiego konsula, a jakoby chce wyjechać do Ameryki, nakazał synowi zerwać wszelki kontakt. Ojciec mógł także polecić dozorczy przy Rewolucji 3 nie udzielać żadnych informacji osobnikowi, którego łatwo zidentyfikować. Mój los odmieniłby się, gdybym był w hotelu, kiedy przyszedł. Odtąd, aż do końca pobytu w Pradze, każdego dnia przed trzecią po południu zachodziłem do parku na umówione miejsce.

Po doświadczeniu w Rokiczanach postanowiłem unikać Amerykanów. Poszedłem więc do angielskiego konsulatu, aby zasięgnąć więcej informacji o linii demarkacyjnej. Młody dyplomata w mundurze pokazał mi na ściennej mapie, którędy przebiega. Słaba znajomość języka nie tylko uniemożliwiła mi nawiązanie osobistego kontaktu, o ile to w ogóle było osiągalne, ale i pełne zrozumienie tego, co wyjaśniał. Gdy przeciągałem rozmowę, starając się dowiedzieć, jak silnie jest linia demarkacyjna strzeżona i jak ominąć posterunki, jednocześnie unikając zadawania bezpośrednich pytań, powiedział mi „good day”. Przetłumaczyłem to sobie na „dzień dobry”, ale po tonie odgadłem, że moja audycja dobiegła końca.

Głównym źródłem mojej wiedzy o Pradze, jej instytucjach, urzędach, byli przygodni sąsiedzi w parkach na ławkach, zwykle ludzie starsi. Pod drzewami chronili się przed palącymi promieniami słońca. Czytali gazety bez pośpiechu, gapili się na ten świat, zawsze skorzy do rozmowy. Dawali mi rady, adresy. Na Malostranské Namesti jakaś jejmość namawiała mnie, abym sobie znalazł dziewczynę, ożenił się i zamieszkał w Pradze, bo to takie piękne miasto. Poprzez korony drzew sączyło się zielonkawe światło. Klomby, gazony, dzieci uganiające się po ukwieconych trawnikach. Było coś niepokojącego w tym normalnym życiu. Chwilami chciało mi się siedzieć i siedzieć w cieniu drzewa, i przyglądać się przez przymrużone powieki, jakbym chciał, aby galopująca historia mojego życia nareszcie zatrzymała się.

Wyżywienie na mojej nowej kwaterze było niezłe. Oczywiście brakło wykwintu hotelu Ambassador. Zamiast dziewczyny w fartuszu, czyli „slečnej” serwującej posiłki na posrebrzanej tacy, stało się w kolejce do kotła razem z setkami przesiedleńców. Wielu w ubraniach

nie zmienianych od czasu wojny. Z więzień, z obozów, z robót; nieraz zawszonych, chorych, niedomytych. Zamiast plasterków masła, krążków marmolady, rumianej bułeczki i mikroskopijnej kielbaski - ćwiartka ciemnego chleba i zupa na krupach, czyli psia kasza, okraszona tym i owym. Na jedzenie nie mogłem narzekać. Z natury jestem wszystkożerny, nawet tran mi smakował jako dziecku. Z kulinarnego punktu widzenia można mnie uznać za idealnego konsumenta. Natomiast potrzebuję się wyspać. A z tym było gorzej. Dostałem przydział na ogólną salę, gdzie znajdowało się ze sto prycz z materacami. Już nie pamiętam czy piętrowych. Musiała być to uprzednio duża sala szkolna lub audytorium. Czarna tablica wisiała na jednej ze ścian, a przed nią, w pewnym oddaleniu, stał podłużny stół, jak dla wykładowcy. Były jeszcze wolne prycze, gdy wszedłem. Niektórzy noclegowicze przeglądali prycze w poszukiwaniu pluskiew. Mając już bogate doświadczenie, jeśli chodzi o pluskwy - Warszawa była ich pełna, przeżyły powstanie i srogą zimę w lodowatych ruinach - ułożyłem się na stole przed tablicą, słusznie, jak się potem okazało, zakładając, że w stole się nie gnieźdzą. Wkrótce sala wypełniła się i zgaszono światła. Ze wszystkich kątów dobiegało chrapanie. Nie trwało to długo. Rozległy się coraz liczniejsze i głośniejsze pomruki, a potem przekleństwa pod adresem pluskiew i naszych gospodarzy, w wielu językach, głównie słowiańskich. Zrozumienie ich nie nastroczało mi trudności, jako że znałem już rosyjski, osłuchiwałem się z czeskim, poza tym podstawowe słowa odnoszące się do rodziny, seksu i organów ciała są podobne. Zapalono światła. Pluskwy wychodzą na żer w ciemności. Ludzie wstawali z prycz, rozbierali się, wytrząsali pluskwy z odzieży i rozdeptywali, rozgniatali je na ścianach.

Niezwykły to był widok - zawsze skłócenie Słowianie, tym razem zjednoczeni przeciw wspólnemu wrogowi. Większość noclegowiczów żądała zgaszenia światła, które w spaniu bardziej im przeszkadzało niż pluskwy. Ciemność nie trwała długo. Znowu podniosły się głosy. Zabłysnęły żarówki. Przekleństwu towarzyszyło przytupywanie i odgłos uderzeń butów o ściany. Powtórzyło się to kilkakrotnie, za każdym razem powstawał spór, zgasić czy nie zgasić. W końcu zwolennicy światła przeważyli, paliło się aż do samego rana. Nie robiło mi to żadnej różnicy. Zarzuciłem palto na głowę, ale i tak ledwo drzemałem, obolały od leżenia na twardej desce.

Jeszcze od pana Szymanki otrzymałem adres Polaka, studenta medycyny, który wynajmował pokój przy ulicy Jindřiskiej, niedaleko

Vaclav-ske Namesti. Celem mojej wizyty było wywiedzieć się, czy mógłbym zapisać się na medycynę i w ten sposób otrzymać kartki żywnościowe, uzyskać prawo pobytu oraz dokument uprawniający do przekroczenia linii demarkacyjnej. Nie wykluczałem kontynuowania studiów w Pradze, gdyby mnie przyjęto. Zachodziłem na Jindřiską kilka razy, aż w końcu studenta zastałem. Mój rozmówca zrobił wszystko, aby mnie zniechęcić. Uwypuklił przeszkody nie do obejścia, nie udzielił mi żadnych praktycznych informacji. Odmalował życie studenta jako harówkę tak wyczerpującą, że nie pozostawało sił na zadawanie się z płcią odmienną. Zaledwie przekroczyłem próg, zobaczył we mnie jakby konkurenta.

Nie miałem pieniędzy na kupno biletu do Pilzna. Fatamorgana roz wiała się. Dostanie się na uniwersytet wymagałoby wiele czasu i zachodów. Musiałem zarobić na życie. W urzędzie zatrudnienia dano mi do wyboru albo pracę w Pradze przy rozbiórce gruzów, albo na farmie znajdującej się na skraju miasta. Wizja obfitości serów, jajek, razowego chleba i to bez „potravinovych listków” z miejsca olśniła mnie. Miałem się zgłosić do biura następnego rana. Resztę dnia poza czasem posiłków, które wydawano w starym klasztorze, spędziłem trochę chodząc po mieście, a głównie siedząc w parku, gdzie upał nie dokuczał. Tłumy pluskały się w Wełławie. Jak zwykle wdawałem się w rozmowy, czytałem porzucone gazety. Było coś fascynującego w tym języku jednocześnie obcym i nieobcym. Polskiemu JPP - jedna pani powiedziała (jako źródła informacji) odpowiadało czeskie - „jedna pani povidala”. Skrót ČSD, czyli Česko-Slovenske Drahi (to znaczy koleje) parafrazowano: „Človece Sed Doma”. W klasztorze, gdzie nas karmiono, rozbrzmiewały wszystkie słowiańskie języki. Tak ucho do nich przywykło, iż czasem ulegałem złudzeniu, iż słyszę polski. Te same słowa wypowiedziane w nieco zmienionej formie, w innej tonacji, w innym rytmie, a jednak zrozumiałe. Jakby ta sama melodia wygrywana na różnych instrumentach. Najwidoczniej nie byłem jedyny, który nie wracał do własnego kraju. Wdałem się w rozmowę z trzema młodymi mężczyznami, którzy korzystnie odbijali od większości ubiorem i manierami. Pochodzili oni z zakarpackiej Ukrainy, dopiero co przekazanej przez Czechów Związkowi Radzieckiemu. Wahali się, czy wracać w rodzinne strony.

Gdy zjawiłem się w biurze następnego rana, przydzielono mi kilku czarniawych mężczyzn lilipuciego wzrostu. Miałem być ich przewodnikiem czy przywódcą w drodze z biura do farmy. Ci moi

przyszli współpracownicy nie rozumieli żadnego europejskiego języka poza własnym, sycylijskim. Co by się do nich nie powiedziało, odpowiadali czymś w rodzaju „no compren”.

- *Parlez vous frangais?*

- *No compren.*

- *Deutsch sprechen?*

- *No compren.*

Czasu spędzonego na robotach w Rzeszy nie wykorzystali na naukę języka, jak można było sądzić po ich zasobie niemieckich słów. *Nichts, Arbeit, schnell* - to wszystko.

Pół Europy, jeśli nie więcej, nauczyło się od Niemców tych kilku podstawowych do życia słów: *Arbeit, schnell, nichts, kaput, scheiss.*

Znałem odrobinę włoskiego. *Lavorare... molto mangiare.*

Ucieszyli się, jak zagubione dzieci na widok znajomej twarzy. Przekręcałem łacińskie rzeczowniki dodając „o” na końcu.

Wysiadłszy na końcowej pętli, zasięgnąłem języka. Czas jakiś szliśmy wzdłuż szosy, potem polną drogą. Najoczywiejście farma nie znajdowała się na skraju miasta, jak to mnie w biurze poinformowano. Łąki, miedze, samotne grusze i tzw. łany zbóż jeszcze nie złociste, po obu stronach. W miarę marszu wizje jajek, chleba i serów traciły na ostrości, ustępując wspomnieniom Złotej Pragi - raj utraconego... mosty na Węławie, parki, kolorowe tłumy spacerujące wieczorem po Vaclavske Namesti przy blasku ulicznych latarni... A tu na głuchej wsi - macać kury, doić krowy, wiązać snopy.

Odcięty od świata nikogo nie poznam, niczego nie załatwię. Nie zdając sobie z tego sprawy, zwalniałem kroku i już szedłem ostatni. Zatrzymałem się. Sycylijczycy także przystanęli. Dopiero gdy zrobiłem ruch ręką w kierunku niewidocznego miasta, zrozumieli o co chodzi. Wpadli w gniew, wymachiwali, wyzywali. Zawróciłem, a oni jeszcze stali bez ruchu, czas jakiś patrząc za mną, zanim poszli dalej.

Spędziwszy noc na stole przed tablicą, następnego rana udałem się do biura zatrudnień po skierowanie do pracy przy odgruzowywaniu. Nadszedł młodzik pod krawatem, który rozpoznawszy mnie oświadczył, że żadnej innej pracy nie dostanę, ponieważ wczoraj otrzymałem przydział itp., itd. Przydział noclegu i posiłków skończył się. Nic nie pozostawało, jak tylko kupić mapę, kompas, bilet do Pilzna i próbować nocą przedostać się na drugą stronę. A pieniędzy nie miałem.

A jeśli Rosjanie mnie złapią, albo Amerykanie, albo

miejscowa ludność? Może pojechać do Szczecina i tamtędy przedostać się do Anglików. Dostałem, jako repatriant, darmowy bilet z powrotem do Zebrzydowic. W rzeczywistości był to odwrót na pozycję wyjściową, a nie alternatywa.

Z podróży pomiędzy Wilsonovo Nadraží a granicą nie zapamiętałem nic, jakbym przespał, nic poza jedną sceną.

Siedzę sobie w parku, jeszcze po czeskiej stronie, gdzieś na Zaolziu, chyba to Cieszyn. Park jakiś opustoszały, bezbarwny, nie taki jak te w Pradze, jakby ciemne chmury zasnuwały niebo. Wdaję się w rozmowę z niemłodym mężczyzną obok, tutejszym Polakiem. Pytam do kogo tu miejscowa ludność chce należeć, do Polski czy do Czech?

- Do Czech - powiada.

- A dlaczego?

- Za Czechów to tak było... miałeś daleko do fabryki, to ci przydzielili rower, a ten co mieszkał blisko, nie dostał. A za Polski to dostałeś rower, jeśli znałeś tego, co przydzielał.

Przy kontroli granicznej w Zebrzydowicach powitali nas słowami: Będziecie bardzo zadowoleni z powrotu do Polski.

Nie wiedziałem, że otwiera się przede mną długa stalinowska noc.

3

LIBERUM CONSPIRO

Chyba nigdy w historii Polskich Kolei Państwowych tylu chętnych nie przypadało na jeden wagon jak latem 1945 roku.

Szturm rozpoczynał się zanim pociąg stanął. Podczas gdy w drzwiach pulmanów odbywały się tak zwane dantejskie sceny, przez okna wrzucano walizki, podawano dzieci, a bardziej przedsiębiorczy podróżni wzajemnie się podsadzali i wciągali. Tu często dochodziło do zabawnych momentów, na przykład gdy niewysportowana osoba, zwykle kobieta w średnim wieku, wpychana przez okno zawisała brzuchem na parapecie i bezradnie wierzgała nogami. Czasem nie wszystkim udało się wcisnąć, co zwykle oznaczało nocowanie na stacji pomimo zapewnień kolejarzy, że wkrótce będzie podstawiony dodatkowy pociąg.

Dantejskie sceny wewnątrz wagonów cechował niemal absolutny bezruch. Aby się przepchać do WC, trzeba było walczyć o każdy centymetr drogi. Ubikacje często były zajęte przez pasażerów, którzy tam wypoczywali; należało ich wpierw wyprosić. Jazda ciągnęła się w nieskończoność. Transporty wojskowe miały pierwszeństwo. Pociągi jechały wolno, a stały długo.

Niejednak podróżujący, mijając swą rodzinną wieś, aby zaoszczędzić czasu i nóg, pociągał za hamulec i wysiadał. Zwłaszcza nocą pociąg coraz to przystawał wśród pól i lasów, a ciemne sylwetki odrywały się od wagonów.

W miarę upływu godzin ludzie słabli, nogi im miękły, zwisali na sobie wzajemnie i robiło się jeszcze ciaśniej. O przeciśnięciu się do ubikacji z dziećmi nie było mowy. Gdy pociąg stał, podawano je górą pod sufitem do okien i tam wysadzano. Widziałem jak mały chłopczyk nie wytrzymał i wysiusiał się na głowy stojących. Śmiali się wszyscy z wyjątkiem tych, którzy zostali zmoczeni. Raz mężczyzna oparty o mnie plecami dostał torsji w samym środku wagonu.

Widywało się ludzi podróżujących na dachach wagonów. Jeździłem wprawdzie często na buforach, ale dach uważałem za miejsce zbyt niebezpieczne.

Kiedys jednak, nie mając innego wyboru, jak nocować w poczekalni dworcowej, odważyłem się, i odtąd, póki było ciepło, nawet nie myślałem pchać się do środka, chyba że deszcz padał. Z walizką i plecakiem wdrapałem się po wąskiej drabinie umocowanej

na tylnej ścianie wagonu, nad buforami. Dach okazał się znacznie szerszy niż wydawał się z peronu. Moje obawy, że pęd powietrza może zdmuchnąć człowieka pod koła, okazały się nieuzasadnione. Dla bezpieczeństwa należało jednak przestrzegać paru podstawowych reguł. Nie wstawać w czasie biegu pociągu, zwłaszcza gdy zwalniał, bowiem hamulce były zdarte, chwytaly i puszczały, a wtedy szarpało wagonami. Uważać na zerwane, zwisające przewody telefoniczne i elektryczne. Aby je w porę zobaczyć, należało siedzieć z twarzą zwróconą w kierunku ruchu pociągu. Najlepiej było usadowić się w tyle, z dala od parowozu, ze względu na dym i iskry, które i tak wiatr zwykle zwiewał na bok. Ci z przodu pierwsi widzieli zwisające kable i ostrzegali innych.

Za dnia rozpościerał się widok pól i lasów, bez porównania bardziej malowniczy niż z okien wagonu. Nocą nad głowami świeciły nieruchome gwiazdy, a czerwone iskry coraz to buchały z komina i mknęły wstecz.

Ilekroć pociąg zatrzymywał się na stacji, z dołu spoglądano na nas z podziwem; między dachem a peronem wymieniano uwagi na temat warunków podróży, niemniej chętnych dojazdy na wagonach było bardzo niewiele. Rzadko kiedy spotykało się nowicjusza. Kolejarze także na ogół odnosili się z uznaniem do dachowiczów i nie przypominam sobie, żeby mnie kiedykolwiek spędzono na dół. Zdarzało się, że nawet nas ostrzegali przed złośliwym naczelnikiem stacji. Wtedy zawczasu schodziliśmy na bufory, aby później, w odpowiednim momencie, wrócić na dach.

Pasażerowie dzielili się wiedzą na temat niebezpiecznych miejsc, tunelów, niskich wiaduktów. Opowiadano o drewnianym, prowizorycznym, chwiejącym się moście pod Bydgoszczą, gdzie pociąg tak zwalnia, iż ledwo się posuwa, a maszynista i palacz stoją w drzwiach lokomotywy gotowi pierwsi skakać do wody. Czas mijał szybko i przyjemnie. Rozmawiało się, żartowało.

Najgorsze były noce, zwłaszcza przedświt. Całą siłą woli walczyłem z sennością, aby nie spaść pod koła. Przywiązałbym się sznurem, gdyby było do czego. Nie każdemu dokuczał brak snu.

Kiedyś chłop wdrapał się na dach z workiem na plecach, a w nim żywy prosiak, oczywiście ze spętanymi nogami i ryjem obwiązany drutem. Chłop głowę położył na worek i zaraz zasnął. Nie wiem, czy to była prawda, ale mówiono, że jeśli się świni okręciło ryj drutem kolczastym, delikatnie, tak aby nie zranił a tylko lekko ugniatał skórę, to ani kwiknęła. Tę metodę podobno stosowali

szmuglerzy w czasie okupacji. Byli i tacy, co ledwo weszli na dach, zaraz się kładli, prosząc przed zaśnięciem, żeby ich obudzić na wskazanej stacji. Jedne dachy były płaskie, inne miały pośrodku podwyższenie na całej długości wagonu. Na tych ostatnich wygodniej się siedziało, za to nie nadawały się do spania.

Raz tylko byłem świadkiem wypadku. Pociąg prawie że już stanął, starsza kobiecina i krzepki mężczyzna podnieśli się, gdy nagle lokomotywa szarpnęła i oboje spadli. Worek kartofli poleciał za nimi. Kobiecina szybko się poderwała i poszła, a mężczyzna leżał. Zszedłem na dół zobaczyć, co się stało. Obcięło mu czubek buta i palce u nogi. Posypały się uwagi, że baba jak kot, zawsze padnie na cztery łapy.

Jeśli kogoś zaciekawia, czy można było jeździć na gapę i bez łapówki - powiem, że raczej trudno. Kontrola była dość ścisła. Do tego uzbrojona Służba Ochrony Kolei pilnowała, aby nikt z boku wzdłuż torów nie wślizgnął się na peron i nie wyslizgnął. Wewnątrz pociągu też sprawdzano w miarę możliwości, a zwłaszcza na buforach, gdzie dostęp był łatwiejszy, ale na wagon konduktorzy nie wchodzili. Raz tylko, gdy jechałem kolejką wąskotorową z ulicy Grochowskiej na Pradze w kierunku Otwocka, cały tłum wdrapał się na dach, oczywiście bez biletów. Konduktor też wszedł za nami. Nie można było zeskoczyć na ziemię w biegu pociągu i musieliśmy zapłacić więcej niż w kasie.

Ta krótka podróż utkwiała mi w pamięci także z innych powodów. Jeden z pasażerów był pijany, kłócił się, chybotął na nogach i baliśmy się, że nas postrąca. Do tego kable zwisały tak nisko, że trzeba było kłaść się plackiem.

Nie mając pieniędzy na kupno biletu, zgłosiłem się w Warszawie jako ochotnik na osiedlenie w Szczecinie i dostałem zaświadczenie na darmowy przejazd. W Szczecinie, jako kandydatowi na osadnika, przysługiwało mi przez trzy dni wyżywienie i zakwaterowanie na ogólnej sali. W ciągu tego czasu miałem sobie znaleźć pracę i własny kąt. Wystarczyło mi tych trzech dni, aby zorientować się, że nie tędy wiedzie droga ucieczki na Zachód do Anglików, ale było już za późno na powrót do centralnej Polski. Sowiecki komendant zakazał samowolnego opuszczania miasta.

Już o świcie ustawiała się kolejka przed biurem przepustek. Z opóźnieniem nieraz dwugodzinnym przychodzili dwaj oficerowie, jeden w sowieckim, drugi w polskim mundurze, i zaczynało się urzędowanie. W ogonku, który ledwo się posuwał, mówiono że

NKWD szuka szpiegów. Coraz to kogoś uprzywilejowanego wprowadzano do środka przed nosami czekających od wielu godzin. Popracowawszy nieco, oficerowie wychodzili na papierosa. Około południa zaczynała się dłuższa przerwa obiadowa. Pokręciwszy się jakiś czas koło wejścia, dałem za wygraną. Straciwszy swe łóżko na sali ogólnej, przeprowadziłem się na strych domu noclegowego, gdzie wszystkie szyby były wybite. Pierwszej nocy przyszło mi spać na twardej podłodze. Coraz to budziłem się z zimna. Następnego wieczora przewróciłem szafę, wyrwałem jedno z dwojga drzwi z zawiasów, położyłem się w środku szafy, i zakryłem powstały otwór drzwiami, zostawiając na wysokości twarzy szeroką szparę do oddychania. W ten sposób w cieple własnego ciała przespałem kilka nocy. W czasie gdy przysługiwał mi darmowy wikt, dostałem jednorazowy przydział słodkiej marmolady burakowej, którą wlawszy do dzbanka, ukryłem w odległych ruinach wypalonego domu. Gdy przydział żywności skończył się, zachodziłem kilka razy dziennie z zachowaniem ostrożności, aby mnie kto nie wyśledził, i posilałem się kilku łyżkami marmolady. Po dwóch dniach dzbanek zniknął, pomimo iż go schowałem w ciemnym zakamarku piwnicy. Raz widząc, jak ktoś zażerał się kielbasą, doświadczyłem „wizji”, że uderzam go pałką w głowę i zabieram kielbasę. Podobne „wizje” powtarzały się. Wstyd mi było żebrać, a do pracy nie było po co iść. Wciąż myślałem o jedzeniu. Tymczasem „blokada” Szczecina nadal trwała. Po mieście snuli się nieliczni wychudzeni Niemcy, zdrowszych wojsko łapało do robót. Łapali i mnie, ale natychmiast wypuścili jako Polaka. Przypomniało mi to, że należę do zwycięzców. Chodzenie po ówczesnym Szczecinie szybko przeradzało się w błądzenie. Śródmieście składało się jakby z wielu bezludnych, wypalonych, gwiazdzistych placów. W drodze powrotnej „do domu” wystarczyło wejść w niewłaściwe ramię gwiazdy, aby wyjść na nową gwiazdę, gdzie się jeszcze nie było, a zawracając znowu się pomylić.

Kiedys idąc ze współlokatorem domu noclegowego rozmawialiśmy na temat bieżących bolączek, o wyżywieniu, pracy, znalezieniu wspólnej kwatery, gdy nagle zawołał... „Popatrz, popatrz”. Po drugiej stronie ulicy zbliżała się dziewczyna w czerwonej spódnicy. Zostawił mnie, pobiegł za nią i tyle go widziałem.

Raz poszedłem w kierunku rzeki, aby zorientować się co do możliwości przeprawy na wschodni brzeg. Wśród płaskich ruin, od których wiało spalenizną, na niskim murku po zwalonym domu zobaczyłem kawałek kielbasy. Leżał tuż obok mnie w pełnym blasku

słońca. Tysiąc myśli jednocześnie przebiegało mi przez głowę. Kto i w jakim celu tu ją położył? A może zatruta? Żeby otruć kogo? Mnie? Taniej było zastrzelić człowieka. Im więcej zastanawiałem się, tym mniej rozumiałem. Rozejrzałem się kilka razy dokoła. Nasłuchiwałem. Nie było żadnego znaku życia na tym pustkowiu, pośród morza zgliszcz.

Powąchałem kielbasę... może nie była tak zupełnie świeża, ale nie śmierdziała. Ugryzłem kawałek, posmakowałem, pozułem i połknąłem. Ugryzłem drugi kawałek, pozułem, poczułem dziwny smak i szybko wyplułem. Położyłem kielbasę na murku i poszedłem dalej. Zaledwie skręciłem za najbliższy róg, opadły mnie wątpliwości. Ależ głupiec ze mnie, trzeba było ją wziąć. Jeśli zatruta, wkrótce i tak się dowiem, jeśli dobra - zjem resztę później. Zawróciłem do murku, kielbasy nie było.

Zgłosiłem się do odpowiedniego biura po przepustkę i darmowy przejazd do Kielc, aby sprowadzić rodzinę. Mój ojczym był lekarzem, a lekarzy bardzo brakowało, więc dostałem odpowiednie papierki i ruszyłem w drogę z powrotem do centralnej Polski.

Raz na Opolszczyźnie ściągnięto mnie z buforów za to, że nie jechałem do celu najkrótszą drogą. Tym razem na nic nie przydała się elokwencja. Mój wynędzniały wygląd musiał jeszcze bardziej rozdrażniać odpasione i wymuskanego bruneta, zawiadowcę małej stacji. Z udaną pokorą wysłuchiwałem perory na temat „my tu ciężko pracujemy, poświęcamy się, a wy...” itd, itp.

- Nie wyglądałbyś tak dobrze, gdybyś nie kradł i nie obijał się - pomyślałem sobie.

W końcu, pomimo moich usilnych próśb, że nie stać mnie na kupno biletu, zabrał mi zaświadczenie i kazał zgłosić się do swego biura. Zwykle w podobnych sytuacjach nie unikałem konfrontacji, tym razem jednak uznałem, że nic nie wskóram i pozostałem na buforach, aż pociąg ruszył w dalszą drogę. Towarzysze podróży byli wprawdzie pełni uznania dla mego stoickiego spokoju, niemniej wyrazili troskę o moje dalsze losy, gdy następna kontrola złapie mnie, tym razem bez żadnego dokumentu podróży. Wówczas wyjąłem z kieszeni identyczny papier jak ten, który mi skonfiskowano, czym pobudziłem wszystkich do śmiechu. Zawiadowcy przedstawiłem kopię. Normalnie dawano tylko oryginał, ale jeśli powiodło się dostać jedno i drugie, można było dwa razy próbować przejechać trasę, za pierwszym razem posługując się kopią.

Nigdy tyle się nie napatrzyłem Polski co tego lata z dachu wagonów. Nie mając ani stałego miejsca zamieszkania, ani pieniędzy, wychudłem i osłabłem. Przejeżdżając przez Wielkopolskę postanowiłem więc skorzystać z okazji i odszukać znajomych z Warszawy, którzy obecnie zamieszkiwali na wsi. Po drodze dowiedziałem się o pierwszej amerykańskiej bombie atomowej.

Ostrów, węzłowa stacja, dziesiątki torów. Duże miasto nietknięte wojną. Zasięgnąłem języka, którędy iść. Ostatnie domy pozostały w tyle. Po obu stronach wyrosły łąny zboża. Ani ust do kogo otworzyć. Cisza taka, że aż w uszach dzwoniło po całodziennym przysłuchiwaniu się stukotowi kół i sapaniu parowozu. Połą drogą szedłem ponad godzinę, zanim ukazały się pierwsze opłotki wsi. Wkrótce witałem się z całą rodziną znajomych. Dotąd nie wiedzieli, że żyję.

Mieszkali w drewnianej chałupie, której ściany były od wewnątrz wyłożone trzcina powiązaną drutem i pokrytą tynkiem. Parę dni przed moim przyjazdem, w czasie obiadu, nim pierwsze krople deszczu spadły, w chatę uderzył piorun. Iskra przebiegła od dachu ścianą niemal do podłogi, zawróciła do sufitu, zakręciła się w powietrzu i wypadła oknem. Rozszedł się swąd spalenizny. Wzdłuż drogi pioruna po drucie tynk odłupało, a trzcinę nadpaliło, jakby przeciągnął rozpalonym do czerwoności pogrzebaczem. Słyszałem wiele opowiadań o podobnych zdarzeniach, ale tylko raz w życiu, wtedy właśnie, zobaczyłem to na własne oczy. Gdybym był przesądny jak starożytni Grecy i Rzymianie, wziąłbym to za zapowiedź niezwyklej wydarzeń lub ostrzeżenie.

Po tygodniu, odespany i odżywiony, ale śmiertelnie znudzony, wybrałem się na spacer do Ostrowa, aby odszukać kolegę z Warszawy. Odnalazłszy go, postanowiłem przenieść się ze wsi do miasta, gdzie życie było ciekawsze. Podziękowałem serdecznie za gościnę i, nie powiadamiając gospodarzy o moich prawdziwych planach, oświadczyłem, że jadę dalej do centralnej Polski, a w rzeczywistości zamieszkałem u kolegi, który już był dobrze zadomowiony w Ostrowie.

Wkrótce natknąłem się na Baškę i Lidkę, znajome łączniczki z NSZ (Narodowych Sił Zbrojnych). Wyjawiłem im tajemnicę o nieudanej ucieczce na Zachód w nadziei, że mi pomogą spróbować jeszcze raz. Właściwie ucieczka udała się, ale gdy dotarłem do linii demarkacyjnej na wschód od Pilzna, Amerykanie wydali mnie w ręce czeskiej policji. Dziewczyny miały kontakty z podziemiem i

oczekiwały przybycia łącznika od Andersa z Włoch. Przedstawiły mnie podporucznikowi byłej Armii Krajowej o pseudonimie Błysk, który z kolei miał mnie skontaktować z łącznikiem.

Rodzina kolegi wróciła wcześniej niż oczekiwaliśmy, więc aby nie krępować ich swoją obecnością, przyjąłem zaproszenie Błyska i przeniósłem się do wsi Jaskółki, gdzie mieszkali jego rodzice i młodsze rodzeństwo. Okupacja skończyła się pół roku temu, niemieckie napisy drogowe pousuwano, ale sami mieszkańcy z przyzwyczajenia używali czasem nazwy Schwalbenau.

U Błyska, którego prawdziwe nazwisko było Jan Kempieński, miałem przeczekać do przyjazdu łącznika. Przedstawił mnie swojej rodzinie jako kolegę z partyzantki. Nikt się o nic nie pytał. Nie często widzi się tak uderzające podobieństwo fizyczne wszystkich dzieci. Prezentowali się zdrowo i dorodnie. Piwne oczy przy jasnych włosach oraz orle nosy po ojcu. Błysk był szczupły, wysoki, wyróżniał się małą głową. Miejsca w chałupie nie zbywało, więc zrazu dzieliłem pokój z podporucznikiem, który stanowczo nie zgodził się, abym spał na podłodze na materacu, ustąpił mi swego łóżka, a sam przeniósł się na podłogę. Jak się z czasem przekonałem, koleżeńskość i optymizm były jego największymi zaletami. Po kilku dniach przeprowadziłem się ze spaniem do stodoły na siano, gdzie nie czułem się skrępowany.

Cała rodzina odnosiła się do Błyska z wielkim uważaniem, włączając jego ojca, który nie wyglądał na takiego, co da sobie w kaszę dmuchać.

Powiedzenie „wiedzą sąsiedzi jak kto siedzi” nigdzie tak się nie sprawdza jak na wsi. Wkrótce ludzie zauważyli, że obcy zamieszkał u Kempieńskich. Wobec tego Błysk zasugerował, abym się zameldował w urzędzie gminnym, na co w zasadzie przystałem, ale na szczęście jakiś przypadek stanął temu na przeszkodzie, a potem rozmyśliłem się. Rano, po śniadaniu, sam lub z Blykiem szedłem do Ostrowa, gdzie poznawałem coraz więcej osób i wyżywałem się towarzysko. Na noc wracałem do stodoły. Oczekiwany łącznik od Andersa nie przyjeżdżał.

Obecnie może wydawać się niezrozumiałe, dlaczego tylu ludzi ludziło się, że zdołają obalić narzucony komunistyczny rząd podtrzymywany przez Armię Czerwoną. Otóż powszechnie uważano, że Stany Zjednoczone wezmą się za Rosję, jak tylko załatwią się z Japonią. W sierpniu 1945 roku Amerykanie nie tylko że mieli ręce

wolne, ale i posiadali taką broń, iż samą groźbą jej użycia mogli wymusić na Rosji jak najdalej idące ustępstwa.

Burmistrzem Ostrowa był niejaki Siuda. Niemal każdego dnia coś się o nim usłyszało lub przeczytało w miejscowej gazecie. Za dnia dwoił się i troił wygłaszając wiernopoddańcze przemówienia, wznosząc okrzyki na cześć Stalina, oskarżając Armię Krajową o współpracę z niemieckim okupantem. Słowa: zdrajcy, kolaboranci, faszyci nie schodziły mu z ust. Nocą - mówiono - razem z bezpieczeńką układał listy tych, co mieli być aresztowani.

Pewnego dnia Błysk spytał mnie, czy nie miałbym ochoty wziąć udziału w akcji karnej przeciwko Siudzie. Z uwagi na gościnność Błyska nie wypadało mi odmówić, choć wcale się do tego nie paliłem.

Siuda mieszkał na skraju miasta w dzielnicy willowej z dużą ilością ogrodów i sadów. Plan polegał na tym, aby wejść do niego późnym wieczorem, nie od frontu, ale od tyłu, od ogrodu, tędy bowiem, po ciemku, przychodzili ubowcy na narady.

Wyrok - pięćdziesiąt kijów.

O oznaczonej godzinie ruszyliśmy w drogę, poza nami dwoma jeszcze trzech chłopaków z okolicznych wsi. Mieliśmy rewolwery i pistolet maszynowy - szmajser. Dostałem szmajser, bo łatwo go było ukryć pod szerokim luźnym płaszczem, który wyszabrowałem po jakimś Niemcu grubasie na Ziemiach Odzyskanych.

Korzystając z tego, że szliśmy pustkowiem, Błysk najpierw podał nam dokładnie brzmienie wyroku, a potem kazał jednemu z chłopaków powtarzać słowo w słowo, dopóki nie wyrecytował bezbłędnie. Dopiero na przedpolu Ostrowa zauważyliśmy brak kija, bez którego cała wyprawa mijała się z celem. Za daleko było wracać do lasu. Błysk idąc podnosił z ziemi gałęzie, patyki, próbował ich mocy w rękę i na kolanie, aż znalazł taki, co się nie złamał.

Ciemno było w dzielnicy willowej. Tu i ówdzie przez gąszcz liści przebijało mdłe światło. Błysk wskazał mi domek Siudy. Miałem wejść sam, zastukać do drzwi, wywabić Siudę, wciągnąć go w rozmowę, a wtedy inni dołączają do mnie. Oddałem szmajser, włożyłem do kieszeni parabellum.

Stukałem z ciężkim sercem. Plan wydawał mi się zrobiony na kolanie. Prościej byłoby, zostawiwszy jednego na obstawie, wtargnąć we cztery do środka, jak tylko drzwi się otworzą, postawić domowników twarzą do ściany i od razu zabrać się do burmistrza, zamiast wdawać się w konwersację.

Drzwi uchyliły się.

- Czy mogę rozmawiać z panem Siudą? - spytałem.
- Pan się pomylił, Siuda tutaj nie mieszka.

Na moją prośbę gospodarz wyszedł na zewnątrz i wskazał mi dom w pobliżu.

W ciemności odbyliśmy krótką naradę. Błysk uważał, że się nic nie wydało i że na pewno wzięli mnie za ubowca. Tak samo jak i poprzednio, Błysk z jednym z chłopaków stanęli przy furtce jako obstawa, a dwóch, jak tylko Siuda się ukaże, miało dołączyć do mnie i wykonać wyrok.

Przeszedłem ogródkiem i zapukałem do drzwi oszklonej werandy. Wewnątrz błysnęło światło i kobieta w średnim wieku otworzyła drzwi.

- Czy zastałem pana Siudę?

Obróciła się w głąb domu i zawołała go po imieniu. Ukazał się sam Siuda, mężczyzna tłustawy, dość niski i też w średnim wieku.

- Dobry wieczór - powiedziałem - tu jacyś dwaj panowie chcą z panem porozmawiać.

Odwróciłem się w kierunku ogródka gestem ręki zachęcając obu kolegów, aby się zbliżyli.

- O, właśnie ci panowie... - wskazałem ręką w ciemność – chcą z panem rozmawiać.

Nigdy nie brałem udziału w takiej robocie i oczekiwałem, że Błysk się ukaże i obejmie komendę. Ani na chwilę nie opuszczała mnie myśl, że zaplątałem się w to najzupełniej niepotrzebnie.

Chłopaki ruszyli z ociąganiem, weszli na werandę i zaczęli się niefrasobliwie rozglądać.

- Ładnie się tu panu mieszka... bardzo dobre życie ... bardzo tu ładnie, panie Siuda...

Jakby im zabrakło śmiałości z miejsca przystąpić do sedna sprawy. Wszystkiego bym się spodziewał, tylko nie takiej sceny. Nieznacznym ruchem wsunąłem rękę do kieszeni i objąłem rękojęść parabellum.

- Ładne meble... bardzo dobre życie... bardzo dobre...

Wtem Siuda zawołał okropnym głosem:

- Chłopcy!... ja wiem kto wy jesteście - i padł na kolana. Wyjęliśmy rewolwery. Podczołgał się do mnie, objął za nogi i brał się do całowania mych butów. Cofnąłem się. Nigdy nie widziałem człowieka w takim stanie.

Błysk wpadł do środka zobaczyć, co się dzieje. Klęczącemu burmistrzowi zdjął z ręki zegarek i wybiegł na ulicę. Wciąż kręcił się

po mieście i słusznie obawiał się, że łatwo go było rozpoznać. Przemknęło mi przez głowę zabrać Siudzie ubranie z dobrego materiału, które miał na sobie, ale wypadki potoczyły się szybko.

- Wstawaj i spuszczaaj portki - rozkazał jeden z chłopaków i sięgnął po kij.

Siuda podniósł się z klęczek i rażno wypełnił polecenie. Błysk radości czy ulgi przemknął mu po twarzy. Zrozumiał, że nie będzie zastrzelony.

Jeden z chłopaków wyrecytował słowa wyroku prawie tak jak go Błysk wyuczył, tyle że krócej. Dokładnie nie pamiętam.

- W imieniu Polski... za zdradę... zostałeś skazany na pięćdziesiąt kijów na dupę. Jak się nie poprawisz to znowu przyjdziemy. Wypnij się!

Siuda aż stękał pod razami. Po kilku uderzeniach kawałek kija odłamał się, a potem jeszcze jeden kawałek i jeszcze jeden. Nim doszło do trzydziestu, pozostał taki krótki kikut, że nie można było nabrać dobrego rozmachu.

Tymczasem wewnątrz domu kobiety miały się, krzyczały, zanosily się płaczem. Burmistrz musiał mieć telefon, mogły już zadzwonić na komendę wojskową. Mogły do nas strzelić. Wybiegliśmy nie wykonawszy wyroku w całości.

W drodze powrotnej Błysk kazał mi iść pierwszemu, z parabellum w kieszeni, aby nie dać się zaskoczyć całą grupą. Gdyby zatrzymał mnie patrol, miałem paść na ziemię a oni otworzyć ogień ze szmajsera i rewolwerów.

Kilku napotkanych w ciemności przechodniów Błysk krótko poinformował o tym, co zaszło. Jeden z chłopców odłączył się i poszedł do domu. Błysk jednak zamiast wracać do Jaskótek, postanowił po drodze wykonać wyrok śmierci na szpiegu, który też mieszkał na przedmieściu, ale z innej strony Ostrowa. Jego nazwisko zaczynało się na K., kończyło na -ski czy -cki - powiedzmy, że było mu Kwapiszewski. Odradzałem argumentując, że sowiecka komenda wojskowa i policja już są na pewno zaalarmowane, poza tym godzina była późna i łatwo zwrócić na siebie uwagę. Błysk jednak nie dał się przekonać i przedłożył następujący plan akcji: przed domem szpiega on podniesie rwetes, że złapał złodzieja, którym miał być jeden z nas. Szpieg, obudzony, albo sam wyjdzie na zewnątrz, aby pomóc przy aresztowaniu przestępcy, albo zaintrygowany hałasem stanie w oknie i wtedy go się zastrzeli.

Po dłuższym marszu polem weszliśmy na szeroką aleję wysadzoną stuletnimi drzewami. W dużej odległości od siebie stały latarnie, rzucając wątłe sinozielonkawe światło - zaciemnienie z czasu wojny.

Błysk wyznaczył mnie i jeszcze jednego do obstawy od ulicy, a sam w towarzystwie „złodzieja” wszedł na podwórze i zniknął w ciemnościach.

Ukryłem szmajser pod jesionką i stanąłem za grubym pniem. Panowała zupełna cisza, z rzadka ktoś przeszedł ulicą nie zwracając uwagi, a może wcale mnie nie dostrzegając. Zastanawiałem się, co robić jeśli będzie to ktoś w mundurze i uzbrojony. Strzelić, przepuścić, próbować rozbroić? A jeśli strzelać, to kiedy - gdy obejrzy się, przystanie, gdy sięgnie do kabury... A jeśli nadjedzie auto wojskowe i zatrzyma się, dostrzegłszy w blasku reflektorów człowieka kryjącego się za drzewem? Należało to brać pod uwagę, gdyż tędy biegła główna droga do centralnej Polski. Dlatego tak się niecierpliwiłem.

Obok willi szpiega błysnęło światło latarki, jasny krążek przesunął się po murze. Mój partner od obstawy miał stać o kilkadziesiąt kroków, więc nie mogliśmy się naradzić w razie niebezpieczeństwa. Zresztą widać było po nim, jak się bał. Ci dwaj zaś, którzy ze mną weszli do Siudy, zapowiadali się na dobrych żołnierzy.

Wtem usłyszałem krzyk Błyska:

- Ty złodzieju... ty łobuzie... ty złodzieju... ja ci dam!

Powtórzył to kilka razy, aż w domu obok zapaliło się światło.

- Proszę mi poświecić! - zawołał Błysk - może poznam tego łobuza.

Ktoś wychylił się z okna..., ktoś wyszedł na podwórze. Oczekiwałem strzałów.

- Panie Kwapiszewski, niech mi pan poświeci... temu złodziejowi w twarz.

- Kwapiszewski? - odezwał się inny głos.

- Kwapiszewski tu nie mieszka.

Z dalszej rozmowy wynikało, że scena łapania złodzieja została odegrana pod numerem trzynastym, podczas gdy szpieg mieszkał pod jedenastym (czy na odwrót). Oba domy dzieliło może pięćdziesiąt metrów. Rozmowa przesunęła się ze złodzieja na Kwapiszewskiego. Głosy przycichły i Błysk wraz ze „złodziejem” wyszli na ulicę. Wkrótce światło w oknach zgasło.

Myślałem, że już teraz pójdziemy do domu. Błysk jednak postanowił spróbować szczęścia jeszcze raz. Spodziewałem się najgorszego, włącznie z samochodem pancernym - przecież kto jak kto, ale szpieg miał na pewno telefon, jeśli nie przenośną stację nadawczą.

Minał może kwadrans, może dwa - Błysk ze złodziejem weszli na podwórko właściwego domu. Chłopak, który razem ze mną stanowił obstawę, zniknął. Ja nie miałem gdzie uciekać jak tylko do Jaskółek, a nawet drogi nie znałem. Ale dokąd iść, jeśli Błysk zginie. Do lasu? Przecież nie mogłem kręcić się po mieście do wschodu słońca lub pójść na stację i od razu podpaść. Ciszę nocną rozdarło wołanie:

- Ty złodzieju... Ty łobuzie... Ja ci dam...

Światło w willi szpiega nie zapaliło się. Miałem nadzieję, że go nie ma w domu. Rwetes na podwórzu jeszcze się nasilił. Błysk nie dawał za wygraną.

- Panie Kwapiszewski, niech pan poświeci, złapałem złodzieja...

Rozległa się eksplozja granatu. Błysk ze „złodziejem” wypadli na ulicę i w trójkę rzuciliśmy się do ucieczki. Biegiem przez kartoflisko, przez nasyp kolejowy, a dalej już normalnym krokiem poszliśmy polem ku czerniejącej w oddali ścianie lasu.

Szpieg niepostrzeżenie uchylił okno na piętrze i rzucił na nich granat. W porę zauważyli i zdążyli odskoczyć, nim wybuchł. „Złodziej” odłączył się. Błysk skierował swe kroki ku samotnie stojącej w polu chacie. Zapukał, zapaliło się światło, młoda kobieta wyjrzała i poznawszy go wpuściła nas do środka. Błysk przedstawił mnie jako kolegę z Armii Krajowej, pokazał nasze uzbrojenie i opowiedział o akcji na Siudę. Widok takiej dekonspiracji zatrwożył mnie. Pomyślałem, że jeśli Amerykanie nie przyjdą prędko, wszystko zakończy się wielką wsypą i rozwałką.

Wypawszy się, umyty i ogolony, następnego dnia - a była to niedziela, udałem się razem z Błyskiem do Ostrowa. Potem, jak zwykle, każdy poszedł swoją drogą. Odwiedziłem znajomych, którym nic nie powiedziałem o swoim podwójnym życiu. Z miejsca zaskoczyli mnie pytaniem.

- Czy pan wie, co się stało tej nocy?

- Co?

Tu usłyszałem epopeję napadu na Siudę. Razem z kolegą wypuściliśmy się na miasto, odwiedzając jego znajomych. Siuda był

„bohaterem dnia”. O niczym innym nie mówiono. Wznoszono toasty, w których brałem żywy udział, za pomyślność „naszych chłopców”, tych co mu przetrzepali skórę. Wysłuchałem kilku wersji. Brzmiały podobnie. A miało to się odbyć następująco:

Nasi chłopcy (podawano liczbę czterech - pięciu) zaszli do Siudy nocą, udając ubowców. Siuda zaprosił ich na kolację. Kotlety, wódeczka, amerykańskie papierosy (menu opisane ze szczegółami). Jak sobie podjedli, popili, wypalili po camelu, wyciągnęli rewolwery, rodzinę pod ścianę, a do Siudy - spuszcza portki.

Łącznik od Andersa miał przybyć lada dzień. Ostrzeżono Kępińskich, iż we wsi wiedzą, że ktoś nielegalnie, to znaczy bez zameldowania, u nich zamieszkał. Sołtys i paru chłopów sprzyjało obecnemu reżimowi czy nawet wręcz było komunistami. Wobec tego ograniczyłem do minimum spacery do Ostrowa; także z obawy, że członek rodziny Siudy mógł mnie rozpoznać. Ze spaniem przeniosłem się do stodoły już uprzednio, teraz całe dni spędzałem tam na górcie, rzadko schodząc na podwórze i to tylko, gdy domownicy dawali mi znać, że nie ma obcych. Wracałem do stodoły, gdy ktokolwiek zbliżał się do zagrody Kępińskich. Do mojej kwatery wchodziło się po drabinie. Jedzenie przynosiła mi zwykle dorosła siostra Błyska lub któreś z młodszego rodzeństwa. Mleko, twaróg, ser, chleb z masłem, kartoflanka, maślanka.

Górka stodoły pełna siana i słomy służyła także za podręczny arsenał. Domyślałem się, że gdzieś indziej musiało być schowane więcej. Z opowiadań Błyska zapamiętałem tylko, że był w AK na Lubelszczyźnie, po jej rozwiązaniu nie ujawnił się i broni nie złożył. Maturę i podchorążówkę ukończył w „lesie”. Sam przyznał, że egzaminatorzy unikali trudnych pytań.

W ten sposób, wbrew własnym intencjom, przeobraziłem się ze swobodnie poruszającego się, choć bezdomnego cywila, w żołnierza podziemia, zakwaterowanego na poddaszu łatwopalnej stodoły.

Nudziłem się straszliwie, godzinami leżąc na sianie. Dla rozrywki ciskałem patykami w olbrzymie pająki krzyżaki, zawieszane pośrodku sieci, rzucałem im owady na pożarcie, celowałem do nich z parabellum i pstrykałem cynglem, by wyrobić pewną rękę. Przed wieczorem sprawiałem rzeź pająkom, aby zapewnić sobie spokojniejszą noc. Sen miałem przerywany, robaczki ze świeżo skoszonego siana przechodziły na mnie. Budziłem się, gdy mi łążyły po twarzy. Opracowałem sobie plan obrony raczej z nudów, niż abym wierzył w rzeczywiste niebezpieczeństwo. W razie alarmu od razu

ukryć się na parterze pod sianem, nie odpowiadać na pojedyncze strzały, aż podejda, seria ze szmajsera, granaty i dopiero w nogi. Składałem i rozkładałem broń, aż mogłem to zrobić z zamkniętymi oczami. Celowałem z biodra do wyimaginowanych wrogów.

Przez otwór w podłodze górki i szerokie wrota stodoły widać było część podwórza. Razu pewnego pani Kempieńska szła do studni po wodę. Wycelowałem do niej z biodra nie naładowanym, jak mi się zdawało, parabellum i pstryknąłem cynglem. Padł strzał. Oblała mnie fala gorąca, szczęściem spudłowałem, kobieta szła dalej, niczego nie zauważyła. Następnego dnia stary Kempieński powiedział bez komentarza, że trafiłem w dyszel o metr od jego żony. Znowu mnie oblała fala gorąca, oczekiwałem, że mnie wyrzucą. Myślałem, że uczyni to osobiście Błysk, ale on tylko poradził mi, abym był szczególnie ostrożny z bronią, bo po wsi kręci się paru komunistów.

Zaczął dokuczać mi świerzb. Zwykle zaczyna się pomiędzy palcami rąk i stamtąd stopniowo rozprzestrzenia. Mnie od razu zaczęło swędzić prawie wszędzie. Wkrótce wyjaśniło się dlaczego. Jeden z członków rodziny mojego kolegi miał świerzb, a ja wykapałem się w wannie zaraz po tej osobie. Świąd nie ustawał ani na chwilę. Czochrałem się niemal bez przerwy. Rozmawiając opierałem się niby to nieumyślnie o kanciasty mebel tak, aby nieznacznymi ruchami skrobać ciało. To znowu będąc sam na poddaszu ćwiczyłem siłę woli usiłując jak najdłużej wstrzymać się od drapania, choć bez zegarka trudno było ocenić rezultaty. Pojawiło się coraz więcej wrzodziejących zadrapań, krost, czyraków.

Pewnego dnia Błysk oznajmił, że łącznik przyjechał. Z zapadnięciem ciemności wyruszyliśmy obaj w kierunku Ostrowa. Ominąwszy centrum miasta zatrzymaliśmy się przed domem stojącym pośród sadu. Wyszła nam na spotkanie kobieta w wieku średnim; Błysk po drodze powiedział mi, że jej trzech synów poległo walcząc z Niemcami. Mieszkała sama.

Łącznikiem z Włoch okazał się mężczyzna około dwudziestu pięciu lat. Naradzał się z Blyskiem na osobności, a potem we czwórkę rozmawialiśmy do późna w nocy. Z góry nie miałem wielkich nadziei i nie omyliłem się. Udzielił mi sporo informacji o sytuacji w Czechach, którędy wiódł jego szlak. Nie powiedziałem mu, że już tam byłem, a to co usłyszałem wydało mi się przesadnie optymistyczne i bezwartościowe dla moich celów.

Błysk wrócił do Jaskółek, ja zaś przenocowałem w pokoiku zawalonym jabłkami. Ich zapach najlepiej zapamiętałem z całego

spotkania. Gdy się obudziłem późnym rankiem, łącznika już nie było. A miałem nikłą nadzieję, że może dogadam się z nim w cztery oczy.

Z różnych uwag Błyska wywnioskowałem, że ma on swoich ludzi we władzach administracyjnych, w Służbie Obrony Kolei (SOK) i w miejscowym garnizonie wojska polskiego. Żołnierze czekali tylko odpowiedniego hasła - wieści o wybuchu wojny amerykańsko-sowieckiej, aby zdezerterować lub obrócić broń przeciw komunistom. Nie pytałem go o sprawy organizacyjne i może dlatego mówił mi więcej niż powinienem wiedzieć. Nigdy nie wspominał pseudonimu swojego dowódcy. Jakby nie miał żadnego. Raz zagadnąłem go o naszą przynależność konspiracyjną. Sądziłem, że się dostałem do NSZ. Błysk sprostował, że jesteśmy w Ruchu Oporu Armii Krajowej (w skrócie ROAK), o którym dotąd nie słyszałem.

Szykowało się odbicie ludzi uwięzionych w Urzędzie Bezpieczeństwa w Ostrowie. Wykonać je miał oddział z lasu wsparty grupą Błyska oraz SOK-iem. Akcja w planach była tak szeroko zakrojona, jakby chodziło o przejściowe opanowanie całego miasta. Zresztą jak inaczej można było odtransportować w bezpieczne miejsce uwolnionych więźniów? Wielu z nich, pobitych, ledwie było w stanie chodzić.

O oznaczonej godzinie grupa Błyska licząca kilkanaście osób zaległa w rowie u zbiegu dwóch szos na przedmieściu Ostrowa. Noc była ciemna i ciepła. Czasami ktoś przechodził, nie zwracając na nas uwagi. Miała nas zabrać ciężarówka z „lasu”. Przejechało ich kilka, gdy wreszcie zobaczyliśmy umówiony znak. Mrugnęła reflektorami trzy razy i przystanęła. Był to jeden z tych olbrzymów amerykańskiej produkcji. Ledwie wcisnęliśmy się do środka, tak było tłoczno. Partyzanci z lasu, uzbrojeni w pepesze, po większej części nosili mundury wojska polskiego. Ciężarówka zatrzymała się gdzieś w środku miasta i Błysk kazał mi wysiąść, abym obstawiał akcję - wskazał kierunek domu partii. Na samym narożniku znajdowało się wejście do sklepu, drzwi były cofnięte o pół metra. Wsunąłem się tam, bowiem mając zabezpieczone obie flanki, byłem praktycznie niewidoczny. Odbezpieczyłem szmajser. Samochód skręcił w lewo. Biama budynku UB była niedaleko.

Musiało minąć parę minut, zanim rozległy się pierwsze strzały. Znać to mogło tylko jedno, że zaskoczenie nie udało się. Strzały padały coraz gęściej. Usłyszałem warkot motoru i tupot wielu nóg. Wyjrzałem zza rogu w kierunku UB. Środkiem ulicy jechała wolno ciężarówka ze zgaszonymi reflektorami, a wokół niej biegł

obwieszony bronią tłum. Jedni wdrapywali się na platformę, ci, co już stali w środku, pomagali kolegom. Zawahałem się, czy wybiec z bezpiecznego ukrycia ciężarówce na spotkanie, czy czekać aż się zbliży. Gdy zakręcając obok narożnego sklepu, mijala mnie, tylna klapa była już podniesiona. Uchwyciłem się „burty” i usiłując wciągnąć się, zawisłem w powietrzu. Przeszkadzał mi zarzucony na szyję szmajser. Nie mogłem się wspiąć po ogromnym kole, które - choć bardzo wolno - ale jednak się obracało. Samochód zaczął przyspieszać i przeraziłem się, że zostanę sam w centrum miasta. Ale chwycili mnie pod pachy i wciągnęli do środka jako ostatniego. Miasto było zaciemnione jak w czasie wojny, jechaliśmy w sinozielonkawym świetle latarni. Gdzieś daleko za nami podniosła się szalona strzelanina.

Ciężarówka nagle zatrzymała się przed mostem ponad stacją kolejową. Za chwilę okazało się dlaczego. Dawny most wysadzili Niemcy, a w jego miejscu postawiono prowizoryczny, drewniany. Wyglądał jak niewykończony, bez poręczy. Wydawało się, że przeszedł nasz koniec. Szofer jednak ruszył naprzód, powoli, nie szybciej niż człowiek posuwałby się na czworakach. Most skrzypiał pod ogromnym ciężarem. Był tak wąski, że samochód zaledwie się mieścił, koła z wolna obracały się na samym skraju przepaści. Beładna strzelanina stawała się głośniejsza. W dole pod nami leżało węzowisko szyn. Jarzyły się i mrugały światełka lamp, semaforów, latarni; czerwone, zielone, żółte, białe.

Gdy tylko ciężarówka dotknęła ziemi, szofer dodał gazu. Wkrótce zniknęły ostatnie domy, znaleźliśmy się w szczerym polu. Noc była tak ciemna, że bez świateł ledwo dało się odróżnić szarą wstęgę szosy.

Jechaliśmy czas jakiś, gdy gdzieś daleko poza horyzontem wystrzeliły ku niebu smugi reflektorów. Zaraz zniknęły, ale wkrótce ukazały się nieco bliżej. Prywatnych samochodów jeszcze nie było, więc na pewno ktoś za nami gonił. Pofalowany teren utrudniał widoczność, zasłaniały nas wzgórza. Smugi reflektorów chwilami zupełnie znikały i zdawało się, że goniący zawrócili lub skręcili w boczną drogę, gdy nagle światła znowu wystrzeliwały w ciemne niebo poza nami, coraz bliżej i bliżej.

Stałem nieco w tyle otwartej platformy. Ktoś oparł mi na ramieniu karabin maszynowy. Stojący przy samej „burcie” wycelowali pistolety maszynowe. Od pościgu dzielił nas tylko jeden pagórek. Krzaki i drzewa na jego szczycie lśniły na tle czarnego nieba.

Nagle reflektory ukazały się na wzniesieniu i ostre światło zalało szosę. Ciężarówka rozbłysnęła ogniem, biły peemy, erkaemy, rewolwery... kto co miał. Reflektory zgasły.

Nie ujechaliśmy wiele, gdy rozległo się wołanie...

- Patrol po prawej!

Zionęło ogniem z prawej „burty”. Jeźdźcy podobno spadli z koni. Sam nie widziałem, bo stałem w środku i inni mi zasłaniali. Jeszcze parę minut jazdy i samochód przystanął. Oddział Błyska wysiadł, reszta pojechała dalej, do lasu.

Teraz dopiero, idąc gromadą przez pola, dowiedziałem się co zaszło w Ostrowie. Ciężarówka z zapalonymi światłami podjechała pod samą bramę budynku UB i partyzanci zaczęli zeskakiwać na ziemię na oczach wartownika, który stał na zewnątrz. Niektórzy byli w mundurach, niektórzy po cywilnemu, inni pół na pół, tak właśnie wyglądały jednostki UB na wyprawach w teren, więc wartownik wziął ich za swoich. Zamiast mu przystawić lufę do brzucha i rozbroić, wejść do bramy i z kolei rozbroić tych, co siedzieli w pokoju oficera służbowego, gdzie były klucze - strzelili do wartownika. Podobno cofnął się ku bramie, w każdym razie nie sięgnął po broń. Ubowcy pojawili się w oknach. Nasi wygarnęli do nich, ubowcy schowali się i strzelali na ślepo, wysuwając tylko lufy rewolwerów spoza parapetów okien. Pośród tego zamieszania tylko szofer nie stracił głowy, spokojnie zawrócił ciężarówkę, szybko odjechał od więzienia, zwolnił aż wszyscy go dogonili i załadowali się.

Później Błysk potwierdził wszystkie szczegóły. Nie wyjaśnione było tylko stanowisko SOK-u, jakoby nie dopisał. Mówiono też, że ci strażnicy kolejowi, którzy byli wtajemniczeni, zgłosili się w umówionym miejscu, ale z powodu natychmiastowego niepowodzenia rozeszli się do domów.

Coraz to ktoś odłączał się od naszej grupy, pojedynczo, po dwóch, po trzech, i wsiąkał w ciemność. Gdy weszliśmy na polną drogę zostało nas tylko paru. Dotarliśmy do małej wioski, ciemnej i wyludnionej. Nawet pies nie zaszczekał. Jej mieszkańcy, Niemcy, uciekli, gdy zbliżał się front. Nagle w oddali błysnęły światła samochodowych reflektorów. Po obu stronach znajdowały się wysokie płoty, sztachety były ścięte u wierzchołka na ostro. Za późno było zawracać. Wsparłem dłonie na czubkach sztachet i z najwyższym wysiłkiem wciągnąłem się na szczyt płotu. Szmajser mi zawadzał. Powinienem go najpierw przerzucić, ale trudno w takiej sytuacji, działając odruchowo, wypuścić broń z ręki. Wszyscy inni byli

już po drugiej stronie, nim ja się wygramoliłem. Odbiegliśmy w pole. Samochód przejechał nie zatrzymując się. Zdawało mi się, że mam krwawe rany na dłoniach od szpiczastych sztachet, okazało się, że tylko zadrapania. Doszliśmy do zagrody Kempieńskich bez dalszych przygód.

Czas spędzony w Jaskółkach dzieliłem pomiędzy stodołę, a domem mieszkalnym, gdzie sypiałem raz na kilka nocy, gdy mi robaki zbyt dogryzły. Ktokolwiek by się nie zbliżał, chowałem się w stodole lub w pokoiku Błyska. Raz rozkładając szmajser musiałem coś przeoczyć, wypalił w podłogę. Wstyd mi się zrobiło, podawałem się za doświadczonego żołnierza, a to już drugi wypadek z bronią. Co gorsza, w tym momencie, o czym nie wiedziałem, na podwórzu ze starym Kempieńskim rozmawiał członek miejscowej rady gminnej, uważany za proreżymowego. Aż podskoczył na odgłos strzału, niezbyt zresztą głośnego z powodu zamkniętych okien. Kempieński uspokoił go, że to chłopcy szykują opał na zimę i gałąź im pod nogą trzasnęła. Jeśli przyszedł na przespiegi, jak podejrzewano, to nieoczekiwany strzał musiał mu nie lada strachu napędzić. Zbyt łatwo uwierzył w wytłumaczenie z gałęzią. Nie usłyszałem ani słowa nagany z powodu tego wypadku.

Błysk znowu zaproponował mi udział w akcji, w której miałem być głównym wykonawcą. Chodziło o obrabowanie banku znajdującego się w centrum miasta obok skweru, gdzie pochowano kilku rosyjskich żołnierzy. Napis głosił: *„Zdieś bratskaja mogiła sowieckich żołdat ubitych bandytami faszystami, wragami polskowo naroda”*. Już nie pamiętam, czy odnosiło się to wyłącznie do żołnierzy poległych przy odbieraniu Ostrowa z rąk Niemców, czy także w walce z polską partyzantką.

Obszedłem bank dookoła, nawet nie zajrzałem do środka, z góry wiedząc, że tej akcji się nie podejmę. Nie miałem wątpliwości, że skończyłoby się to dla mnie źle, gdyż wszystkie napady, w których brałem udział były fatalnie zorganizowane. Błysk przyjął moją odmowę obojętnie. Oświadczyłem mu też, że jadę na Dolny Śląsk, aby wybadać możliwości przedostania się przez Czechosłowację na Zachód. Wprawdzie łącznik miał wracać tą samą drogą i była możliwość spotkania się z nim jeszcze raz, jednakże czas naglił. Uważałem, że działanie Błyska zakończy się tragicznie. Wiadomości z zachodniego radia wskazywały, że wojna pomiędzy Ameryką a Rosją nie wybuchnie w najbliższych miesiącach. Nadchodziła jesień.

Przed świtem opuściłem stodołę i poszedłem prosto na dworzec. Choć był to ciepły ranek wrześniowy, wepchnąłem się do zatłoczonego wnętrza wagonu. Na dachu zwracałbym na siebie uwagę.

* * *

A oto dalsze losy oddziały Błyska według niesprawdzonych źródeł. W październiku nie powiódł się wypad na państwowe zakłady mleczarskie pod Ostrowem. Wewnątrz, w zasadzce czekała policja i gdy partyzanci podeszli od strony pola, otworzyła na nich ogień. Podobno straty wyniosły stu czy dwustu poległych, rannych i jeńców. W zagrodzie Kempieńskich odkryto magazyn broni. Dom, gdzie spotkałem łącznika z Włoch, otoczyła policja. Gospodyni nie dała się zaskoczyć. Ostrzeliwała się, aż padła pod kulami. Błysk uszedł z życiem, reszta jego oddziału została ponownie rozbita. Jakoby on sam, z jednym tylko łącznikiem przemykał się lasami przez długi czas, aż został złapany. Donosiły o tym gazety w 1946 roku. Okoliczności aresztowania Błyska były inne niż podała prasa. W Poznaniu na ulicy rozpoznał go i wydał porucznik milicji, któremu przed paroma miesiącami Błysk darował życie. W 1947 roku sąd wojskowy w Poznaniu skazał Błyska na karę śmierci. Prezydent Bierut nie skorzystał z prawa łaski.

Aż do śmierci Błyska żyłem w poczuciu stałego zagrożenia. Znał on mój pseudonim i oddział z powstania. Możliwe także, że słyszał moje nazwisko. O łączniczkach z NSZ wiedział znacznie więcej. Od nich już łatwo było trafić do mnie. Obu dziewczyn nigdy już nie spotkałem, ale miałem pewne informacje, że nie były aresztowane i przeżyły.

* * *

Historycy o procesie sądowym i skazaniu na śmierć Błyska [źródło: Maria Turlejska *Te pokolenia żałobami czarne... Skazani na śmierć i ich sędziowie 1944-1954.*; Londyn, Aneks, 1989].

JAN KEMPIŃSKI, ur. 4 II 1921, student. Oskarżony o to, że w sierpniu 1944, będąc funkcjonariuszem MO w Lublinie, opuścił stanowisko służbowe i do chwili aresztowania (17 XII 1945) „należał do AK”. Nawiązał kontakt (VIII 1945) z inspektorem jednej z formacji AK- Wojsk. Samodz. Grupy Ochotniczej „Warta” - „Malkiem” i szefem tej organizacji, Andrzejem Rzewuskim. Kempieński został komendantem oddziału (pn. baon zmotoryzowany) na terenie pow. Ostrów, Jarocin, Krotoszyn. Oddział, określany jako banda „Błyska”, dokonał na rozkaz „Malka” 12 operacji dywersyjnych od VIII do X

1945, napadów, rabunków, rozbrojeń. Oskarżony przyznał się do wszystkich czynów „z wyjątkiem dezercji z milicji”. Na rozkaz komendanta „Warty”, płk. Rzewuskiego, rozpuścił ludzi, a sam wyjechał do Krosna n/Odrą, gdzie zaczął pracować jako powiatowy inspektor rolny.

4 V 1946 *WSR* w Poznaniu skazał go na karę śmierci. B. Bierut (1 VI 1946) nie skorzystał z prawa łaski. Adwokat poznański, Alfred Oleksa, w podaniu z 7 VI 1946, czyli pisany już po zatwierdzeniu wyroku, wskazywał, że skazany dokonał wielu bohaterskich czynów w czasie okupacji - uruchamiał odbiorniki radiowe, uciekł z transportu do Dachau, był w 204 dywizji partyzanckiej, uwolnił więźniów w Kielcach, rozbroił 70 żołnierzy niemieckich, walczył w Górach Świętokrzyskich, a później w Lubelskiem, rozbił liczne oddziały niemieckie, wysadził w powietrze wiele pociągów, był 3 razy ciężko ranny, współdziałał z Armią Czerwoną. Miał zapatrywania demokratyczne. Odznaczony był dwukrotnie *Virtuti Militari* i sześciokrotnie Krzyżem Walecznych. „Spełniał służbiście i ze ślepym posłuszeństwem rozkazy swych fałszywych dowódców, a zwłaszcza płk. Rzewuskiego, który w więzieniu z powodu wyrzutów sumienia powiesił się”. [Płk Rzewuski, jedyny płk AK, który dał wciągnąć w tę sprawę, być może nieświadomie dał się manipulować w sprawę „Warty”, która była - to zdaje się nie ulegać wątpliwości - organizacją założoną przez służbę informacyjną. Kempieński, podobnie jak Rzewuski, padł jej ofiarą.]

4

TYFUS MYSI

Przed bez mała tysiącem lat, wzdłuż południowych brzegów Bałtyku wyrosły miasta Hanzeatyckiej Ligi jak sznur gotyckich pereł osadzonych pośród nadmorskich piasków. Wokół kościołów o strzelistych wieżach i wąskimi średniowiecznymi zaułkami niósł się dźwięk niemieckiej mowy. Wiatr wzdymał żagle okrętów wiozących płody ziem słowiańskich, pruskich, litewskich, fińskich, od Zatoki Botnickiej, po Skagerrak i Kattegat, i dalej - do Flandrii i Anglii.

Jedną z mniejszych pereł było miasto portowe Elbląg, wciśnięte w głąb lądu, połączone z Zalewem Wiślanym odnogą rzeki. Minęło kilkaset lat. Połączenie wodne zamuliło się i port osiadł na piasku. Pozostały starożytne mury i wspomnienia dawnej świetności. Przemijały pokolenia, niewiele się zmieniało. Burze dziejowe przechodziły gdzieś bokiem. Aż tu po kilkuset latach historia znowu zastukała do bram Elbląga. Huk armat wstrząsnął murami miasta, a jego nazwa ukazała się, na krótko wprawdzie, w komunikatach wojennych Berlina i Moskwy.

Gdy w sześć lat później, w 1951 roku, los rzucił mnie do Elbląga, miasto zimą przypominało kształtem obwarzanek, latem wieniec żałobny. W środku zgliszcza, a dokoła wstęga przedmieść przerośniętych zielenią. Zabytkowe centrum uległo zniszczeniu, ocalały zbudowane później przedmieścia. Nowi mieszkańcy mało wiedzieli i niewiele się interesowali przeszłością Elbląga. Pokazywano ruiny budowli, gdzie miał się zatrzymywać w przejeździe szef Luftwaffe, Reichsmarschall Herman Göring, jakby dzieje Elbląga od niego się zaczynały, a nie na nim kończyły.

Ludność miasta w sile sześćdziesięciu tysięcy składała się, jak mówiono, z samych wyrzutków. Jedną dzielnicę zamieszkiwali Polacy wyrzuceni z Francji za komunizm. Byli to głównie górnicy z kopalń węgla na północy. Niektórzy zresztą przyjechali dobrowolnie, skuszeni obietnicą robotniczego raju. Słyszało się tam często dźwięczną mowę madame Bovary i Robespierre'a.

Inną grupę ludności stanowili Polacy wyrzuceni zza Bugu. Tych odróżniało się po śpiewnym akcencie i nieraz po gramatycznych dziwolągach. Przybysze z centralnej Polski rzadko kiedy wyjawiali, dlaczego wybrali Elbląg na swą siedzibę.

Mnie przypadł los wyrzuconego z Akademii Medycznej w Gdańsku, co było poprzedzone wyrzuceniem z wojska za Armię Krajową.

Do Elbląga dojechałem pociągiem z przesiadką w Malborku, gdzie czekało się prawie godzinę. W miasteczku przeważały gruzy i zgliszcza, a zamek krzyżacki, poszczerbiony pociskami i bombami, zarastały chwasty. Można tam było wejść do środka zwodzonym mostem nad suchą fosą i robić co się chciało. Pośród bujnej trawy leżały zwalone kamienne posągi wielkich mistrzów zakonu. Kilku podniesiono i oparto o mur. Stali wpatrzeni kamiennym wzrokiem w ruiny swego zamku. Winrich von Kniprode, Ulrich von Jungingen, Heinrich von Plauen i inni mniej mi znani.

Wejście do katedry zabite było deskami. Napis ostrzegał, że groziło zawalenie. W jednej ze ścian miała tkwić kamienna kula wystrzelona przez Polaków w 1410 roku z armaty zdobytej pod Grunwaldem. Zimą 1945 roku, gdy Rosjanie otoczyli miasto, zamku opartego murami o rzekę bronił oddział niemieckiej policji i stąd zniszczenia.

Poza pociągiem nie było jeszcze połączenia Trójmiasta z Elblągiem. Cofając się, Niemcy wysadzili tamy i woda zalała żyzne niziny w delcie Wisły. Szosa do Gdańska nie zawsze znajdowała się powyżej powierzchni rozlewiska.

Według nakazu pracy miałem się zgłosić do Szpitala Miejskiego imienia niejakiego Gromkowskiego. Po okazaniu dokumentów w wartowni przy bramie udałem się do gabinetu doktora Barańskiego, dyrektora szpitala i ordynatora chirurgii. Był to barczysty, szpakowaty mężczyzna średniego wieku udający wesołość. Gdy nasza rozmowa dobiegała końca, dr N., młody asystent doktora Barańskiego, zaprosił mnie do wzięcia udziału w obchodzie. Stanąwszy przy łóżku pacjenta bez nogi wyjaśnił: pan Kowalski chciał zatrzymać pociąg własną nogą. Z podobną swadą opisywał i innych chorych, jeśli się dało. Nie miałem okazji poznać go bliżej, wkrótce zniknął. Podobno zgłosił się do wojska.

Z chirurgii zaprowadzono mnie na oddział dziecięcy, gdzie zostałem przedstawiony doktorowi Wiśniewskiemu. Właśnie robił obchód, otoczony wianuszkami młodych pielęgniarek w bieli. Był to postawny siwy pan, po sześćdziesiątce, średniego wzrostu, szczupły, o kulturalnych manierach i takimże wyglądem. Ucieszył się wielce z mego przybycia, jako że ugiął się pod ciężarem obowiązków, które

pod naciskiem władz zgodził się wykonywać, nie mając na to ani czasu, ani sił.

Pierwsze, co zwróciło moją uwagę, to obandażowane klamki, zwilżone formaliną. Przy otwieraniu drzwi dłoń automatycznie wchodziła w kontakt z formaliną, ulegając dezynfekcji. Miało to zapobiegać szerzeniu się wewnątrzoddziałowych zakażeń. Wprawdzie w każdym pokoju stała miednica z roztworem formaliny i każdy pracownik oddziału miał obowiązek, przechodząc od pacjenta do pacjenta, opłukiwać ręce, ale najwidoczniej nie wszyscy tego przestrzegali.

Wkrótce odczułem lekkie swędzenie oczu i szorstkość w gardle. Przez następne kilka tygodni męczył mnie suchy kaszel. Sądziłem, że to od oparów formaliny. Jednak starzy mieszkańcy Elbląga innego byli zdania. Według nich każdy przybysz chorował, zanim przywykł do klimatu. Poza infekcją dróg oddechowych, ostatnio nowo przybyli zapadali także na biegunkę. Przyczyną chorób miały być miazmaty unoszące się ponad miastem położonym poniżej poziomu morza. Podobno za niemieckich czasów urzędnikom przeniesionym do Elbląga wypłacano dodatek zdrowotny do pensji.

Doktor Wiśniewski „miał na głowie” trzydziestodwułóżkowy oddział dziecięcy, dom dziecka, żłobki, pięć ośrodków zdrowia, z których tylko dwa czy trzy obsługiwali inni lekarze. Do tego jeszcze sporą prywatną praktykę. Jak wyliczono później, sama praca zawodowa zajmowała mu ponad 24 godziny na dobę. Raz na tydzień sam odwiedzał Gdańsk, gdzie podobno przy brzęku kielichów odprężał się w towarzystwie kobiet. Zdawał się spieszyć, jakby mu niewiele dni pozostało. Okazało się, że miał rację.

Szef oddziału chorób wewnętrznych, dr Gruchalski, zwany Gruchałem, spędził kilka lat w Oświęcimiu. Był to wysoki mężczyzna, prosty i chudy jak zapalka zakończona u góry małą, łysą głową. Nieraz, gdy poddawano krytyce jego wiedzę, ripostował, że uczył się medycyny u najlepszych profesorów całej Europy - współwięźniów w szpitalu obozu koncentracyjnego.

Szefem ginekologii i położnictwa, i jedynym specjalistą na miasto oraz powiat, był starszy lekarz pamiętający dobrze czasy Franciszka Józefa. Ze łzą w oku i uśmiechem na ustach wspominał, jak to zabawiali się młodzi oficerowie cesarsko-królewskiej armii, pijąc wino z damskich pantofelków przy dźwiękach walca i czardasa, podczas gdy bose panie tańczyły solo na stołach. Mrugał przy tym porozumiewawczo. Jemu także zarzucano nieuctwo. Zimą

jedna z jego pacjentek umarła przy porodzie. Zwłoki odniesiono do kostnicy i włożono do trumny. Gdy następnego dnia uchylono wieko, pomiędzy nogami zmarłej leżał martwy noworodek. Plotka szpitalna winiła doktora o wystawienie świadectwa zgonu żywej kobiecie.

- Co to za lekarz - mówiono - co nie potrafi odróżnić żyjącego od trupa.

Kostnica była nieopalana i uważano, że matka i dziecko zamarli na śmierć. Administracja szpitala zaprzeczyła temu, pracownicy jednak prędkiej dali wiarę byle jakiej plotce niż oficjalnym wyjaśnieniom. Miasto zachłystywało się takimi historiami, bo w nudnych gazetach były tylko dobre wiadomości. Po tym wydarzeniu posypały się opowieści o ludziach uznanych za zmarłych i pochowanych, chociaż byli tylko w letargu. Budzili się oni w trumnie, dwa metry w głębi ziemi, w ciemności, i umierali z uduszenia, gdy zapas tlenu wyczerpał się. Cytowano przypadek kobiety ekshumowanej z jakichś tam powodów wkrótce po pogrzebie. Całą twarz miała zakrwawioną, gdyż dusząc się podrapała ją paznokciami.

Lekarzem najbardziej zadowolonym z przybycia kilku nowych młodych kolegów był dr Dąbski, asystent Barańskiego, sam zresztą niestary, trochę po trzydziestce. Był tak zagoniony, że brakło mu czasu do wypełniania historii chorób. Nieraz zdarzało się, że w rok po wypisaniu pacjenta przychodził milicjant po dokumentację potrzebną sądowi w przypadkach odszkodowania. Doktor zagląda do historii choroby, a tam tylko daty, nazwisko i adres. Niczego nie pamiętając, Dąbski - jak sam nam opowiadał - starał się wydobyć od milicjanta jakieś szczegóły - np. czy pacjent stracił rękę czy nogę i którą - i szybko, retrospektywnie dorabiał opis operacji i przebieg rekonwalescencji.

Trudno było sobie wyobrazić nazwisko lepiej dopasowane do osoby. Wysoki, barczysty, proporcjonalnie zbudowany, o szarej cerze, niby wyciosany z granitu. Chłop jak dąb. Powolny, tubalny głos wydobywający się jakby z głębi wulkanu przypominał daleki grzmot. Nie wyglądał na człowieka mogącego się kiedykolwiek spieszyć, choć nie można było powiedzieć, aby poruszał się wolno. Użaliłem mu się, że według nakazu Ministerstwa Zdrowia, z uwagi na krytyczną sytuację w Elblągu, wszyscy lekarze muszą pracować dziesięć godzin dziennie. Dąbski przyjął tę wiadomość z zadowoleniem jako zapowiedź lepszych czasów. On sam pracował więcej niż dwanaście godzin i to nie z własnej woli.

Kierownikiem laboratorium był facet o przezwisku Piszczek - z powodu skrzekliwego głosu. Ciało pasowało do głosu jak ulał. Mały, chudy, pomarszczony, o chorowitym wyglądzie. Nie sposób było odgadnąć jego wiek. Piszczek miał siedmioro dzieci i żonę, która wzrostem biła go o głowę, a w obwodzie kilka razy. Robiono różne domniemanie co do ojcostwa tej dziatwy. Szpital liczył pięćset łóżek i zawsze był pełen. Nie mając nikogo do pomocy Piszczek robił sam wszystkie badania od płwociny do moczu, pobierał krew, dwoił się i troił. Wywiązywał się dobrze z obowiązków i rzadko kiedy kwestionowano wyniki jego badań. Od wyników tych zależał nieraz wybór dalszego leczenia.

Pacjentów, którym się nie powiodło, czekała kostnica. Jej „kierownikiem” był jedyny Niemiec zatrudniony w szpitalu, zwany Hansem. Do jego obowiązków należały różne czynności przedpogrzebowe, włączając mycie i ubieranie zwłok. Był to człowiek albo niestary, albo dobrze zakonserwowany, z kształtu bardziej owalny niż kanciasty, niewysoki, o włosach białych jak śnieg, rumianych policzkach i błękitnych oczach. Po polsku musiał sporo rozumieć. Gdy mu coś tłumaczono, z lekka potakiwał głową, ale nie odzywał się i unikał wzrok swego rozmówcy. Albo był małomówny, albo niemowa. Nie pamiętam, abym kiedykolwiek zamienił z nim kilka zdań, choć oddział pediatryczny dostarczał mu najwięcej pracy. Przy wyprowadzaniu zwłok stawał w drzwiach kostnicy z głową pochyloną ku ziemi. Krewni zmarłego wtykali mu w rękę parę banknotów za ostatnią posługę. Uważano go za najlepiej zarabiającego pracownika szpitala. Z błękitnych oczu patrzyło mu wilkiem i pewnie dlatego ukrywał spojrzenie. Przejmowanie zwłok musiało sprawiać mu przyjemność. Zawsze taki sam, biało-rumiany, o niezmiennym, nieprzeniknionym wyrazie twarzy, ożywiał się nieco, zwłaszcza w oczach, na widok nowego trupa. Podejrzewałem, że cieszył go widok nieżywych wrogów jego narodu, że chętnie przyjąłby nas wszystkich do swej kostnicy.

Zajęło mi trochę czasu, nim wydedukowałem, że jedną z najważniejszych osobistości była przełożona pielęgniarek, Wiera Kohn. Wysoka, nieco otyła, poruszała się z godnością, bez pośpiechu. Choć nie podnosiła głosu, słyszeć ją było z daleka. Do najważniejszych należał również bezbarwny wicedyrektor szpitala. Nie pamiętam jego nazwiska, więc niech mu będzie Milczek. Nie mówił co wiedział. Zawsze taki sam. Jeśli kiedykolwiek się uśmiechnął, to zaraz się pohamował. Ilekroć usiłuję przypomnieć

sobie jego twarz, ukazuje mi się portret Bieruta. Musiało być jakieś podobieństwo. I wreszcie personalny - Baster. O nim wiedzano tylko, że codziennie składał meldunki w Urzędzie Bezpieczeństwa. Doktorowi Barańskiemu zarzucano, oczywiście poza jego plecami, obcinanie pensji pracowników szpitala. Miał za to dostawać premię proporcjonalną do rozmiarów cięć. Był on lekarzem UB i czasem pokazywał się w mundurze majora. Należał do „junty” rządzącej miastem.

Zdaniem młodych lekarzy wyrzuconych z uniwersytetów, ordynatorzy byli nieukami. Nikt ich do Elbląga nie zapędził. Zjechali tu sami, aby w zaciszu prowincjonalnego miasteczka, z dala od wszelkich wstrząsów dokonać swego zawodowego i osobistego życia. Zaś wielu lekarzy na prowincji nie miało zbyt wysokiej opinii o swych kolegach z uniwersyteckich ośrodków, uważając ich pracę za przysłowiowe łupanie zapalki na czworo, o znikomym praktycznym zastosowaniu. Przyjazd nowych kolegów nie wróżył zasiedziałym lekarzom spokoju. Nic nie wróżyło spokoju.

Od razu dostałem się w tak zwany wir pracy. Rano szpital, po południu ośrodki zdrowia i żłobki. Dziesięć godzin dziennie z okładem i pół soboty. Cały system opieki nad matką i dzieckiem przypominał okręt, do którego woda wdziera się wieloma szczelinami. Zatykano mną różne dziury, z których największą był szpital, bo byłem jedynym specjalistą w pediatrii na miasto i powiat.

Oddział dziecięcy liczył trzydzieści dwa łóżka, większość dla niemowląt. Z doktorem Wiśniewskim podzieliliśmy się po połowie. Mnóstwo dzieci wypisywano do domu na żądanie rodziców. Wkrótce zrozumiałem, o co chodzi. Ordynator, jeśli nie zachęcał, to w każdym razie nie sprzeciwiał się wypisywaniu ciężko chorych i umierających. Dzięki temu unikało się przykrego obowiązku oznajmiania zgonu rodzinie, a i statystyka szpitalna zyskiwała na tym. Zrozpaczeni rodzice zazwyczaj pędzili z umierającym dzieckiem na rękach do jakiegoś znachora lub partacza o reputacji cudotwórcy.

Wiele niemowląt wyleczonych z zapalenia płuc, oskrzeli... itd, wracało po kilku tygodniach i zwykle umierało z objawami biegunki. Zacząłem posyłać kał na posiew i w kilku przypadkach wyhodowano bakterie tyfusu mysiego (*Salmonella Typhi Murium*).

Tu muszę się cofnąć o parę lat. Po wojnie polskie władze zabrały się do osuszania Żuław. Gdy tylko żyzna ziemia była gotowa, przystąpiono do zasiewów. Jednak prawie nic nie wzrosło - z powodu

myszy. Pług wyorywał całe gniazda. Za rolnikiem rzucającym ziarno sunęły rojem myszy i jadły ziarno za ledwie dotknęło ono ziemi. Trucizny nie pomogły. Ktoś we władzach wpadł na pomysł zastosowania broni bakteriologicznej - zarazić myszy tyfusem. Zwrócono się po aprobatę do epidemiologów, którzy stanowczo odradzili. Ich zdaniem myszom wielka krzywda się nie stanie, a zaraza przeniesie się na ludzi. Władze nie odstąpiły jednak od swego projektu. Skutek był taki, że Elbląg zasłynął w Polsce największą śmiertelnością dzieci, a niemal każdy nowo przybyły dorosły dostawał biegunki.

Młodzi lekarze z uniwersyteckim stażem siłą naturalnego przyciągania stworzyli osobną towarzysko-zawodową grupę. Odwiedzaliśmy się wzajemnie, a najczęściej spotykaliśmy się u chirurga, doktora Ślaskiego, mojego rówieśnika. Mieszkał na wprost szpitala, razem z żoną Basią i dwoma synami. Jeden już umiał chodzić, drugi był jeszcze w pieluchach. Zaprzyjaźniłem się ze starszym, Maćkiem. Liczył sobie bez mała trzy lata. Przyjaźń ta znalazła wyraz w formie zabawy polegającej na tym, że on uciekał co siły w nogach, a ja rzucałem w niego małą poduszką, wołając - bomba atomowa. Tak mu to przypadło do gustu, że po każdym rzucie, zwykle celnym, sam mi przynosił poduszkę i od razu uciekał. Zabawa ta trwała, dopóki się nie zziąjął. Maciek był piegowaty, więc raz mu powiedziałem - jesteś piegus, innym razem - jesteś indycze jajo. Przezwiseka, zwłaszcza to ostatnie, bardzo mu się podobały i przedstawiał się gościom: Maciuś jest indycze jajo, Maciuś jest piegus.

Po pracy wpadało się do Ślaskich na pogawędkę, na plotki, snuło się plany i kontrplany. O polityce, oczywiście, ani słowa. Chyba, że między wierszami. Znaliśmy się od niedawna. Za nieodpowiedni dowcip w nieodpowiednim towarzystwie dostawało się rok więzienia w trybie administracyjnym, to znaczy bez sądu, tak jak się dostaje mandat za parkowanie samochodu w niewłaściwym miejscu. Popularne stało się powiedzenie:

Rok nie wyrok, dwa lata jak dla brata.

Skutek tej ostrożności był taki, że poznawszy się, długo nic nie wiedzieliśmy wzajemnie o naszej przeszłości.

Niektóre osobiste sekrety wyszły na jaw w zgoła nieoczekiwanych okolicznościach. Największą fabryką w Elblągu były tzw. Zakłady Mechaniczne produkujące w wielkiej tajemnicy części łodzi podwodnych. Oczywiście całe miasto o tym wiedziało. Krążył

taki dowcip: facet pracował w fabryce wózków dziecięcych. Jego żona była w ciąży, więc po kryjomu wynosił części. Gdy miał już komplet, złożył je i wyszedł mu karabin maszynowy. Otóż Zakłady Mechaniczne potrzebowały lekarza, i to dobrego. Płacili tam więcej niż w służbie zdrowia. Podobno wysunięto i moją kandydaturę, choć zajmowałem się tylko leczeniem dzieci. Milczek coś napomknął o tym. Po dłuższym przebieraniu, oczywiście w tajemnicy, wytypowano doktora Michalskiego, odludka, leczącego głównie dzieci. Sam już po trzydziestce, mieszkał z ciotką o ćwierć wieku starszą, która nie odstępowała go ani na krok. Do miasta wychodzili razem. Zawsze była obecna, nie tylko przy badaniu kobiet, ale nawet gdy matka z dzieckiem znalazła się w gabinecie. Będąc mężczyzną dość przystojnym (choć moim zdaniem bezbarwnym), a do tego tajemniczym, dr Michalski budził ciekawość młodszych pacjentek. Aby go wypróbować, jedna z wielbicielek planowała szybko się rozebrać do naga w jego gabinecie pod nieobecność ciotki. Zwierzyła się z tego swojej przyjaciółce, a ta powtórzyła mnie. Na naukowe zebrania w szpitalu dr Michalski nie przychodził. Mówiono, że ciotka go nie puszczała z obawy, aby nie wpadł w oko jakiejś pielęgniarki lub na odwrót. Za to zjawiał się na najważniejszych „nasiadówkach”, tych na które ściany auli wykładano czerwonym suknem.

Rozeszły się słuchy, iż wybór Zakładów Mechanicznych padł na doktora Michalskiego, bo on nie miał „garbu”. Teraz dopiero wyszło na jaw, że wszyscy młodzi lekarze z uniwersyteckim stażem byli „garbaci”. Zaczęli się przyznawać: ten był w Armii Krajowej, tamten miał wujka w Anglii, ów krewnego w więzieniu. Jeden z nas, który znalazł się w grupie „odrzućków”, upierał się, że nie ma nic do ukrywania, ale nikogo nie przekonał. Miałem nadzieję, że moją kandydaturę odrzucą. Byłem jednak gotów nie przyjąć oferty, choć byłoby to źle widziane. Gdyby w Zakładach Mechanicznych coś nie wyszło tak jak trzeba przy budowie łodzi podwodnych, szybko znalazłbym się na ławie oskarżonych o sabotaż.

Do grupy młodych lekarzy należał też dr Horst, ginekolog o wyglądzie niemieckiego błazna. Głowa o kształcie bilardowej kuli, a na tle różowej cery jasne brwi i rzęsy jak u albinosa, niebieskie oczy i grube, czerwone wargi. Sam krępy i dość niski, za żonę miał wysoką szatynkę, szczupłą i pokorną, głuchą na jedno ucho po zapaleniu opon mózgowych w dzieciństwie. Nieraz ją poniżał przy gościach, robiąc uwagi na temat jej słuchu i innych niedoborów. Nie tylko miał wygląd błazna, ale także jego talent, a do tego twarz jak z gumy.

Raz, pamiętam, ucałował stopę żony, przybierając przy tym wyraz ekstazy i ubóstwienia. Stopniowo twarz jego przechodziła różne fazy aż do obrzydzenia i szoku, jakby zgryzł pajaka między zębami. W czasie wojny Horst pracował w Warszawie u Niemców jako szofer. Często jeździł z nimi do getta. Po paru latach Horst przeniósł się do innego miasta w Prusach Wschodnich, gdzie został dyrektorem małego szpitala. Nie wytrwał długo na tym stanowisku. Chodziły słuchy, że wieczorami zapraszał kumpli na libacje na strychu szpitala, po czym goście przebrani za lekarzy udawali się na oddział ginekologiczny, gdzie Horst przedstawiał ich jako specjalistów-konsultantów, i badali wybrane pacjentki.

Spośród lekarzy najbardziej chyba przypadł mi do serca Jasio Gruźlik, specjalista od gruźlicy i błazen w jednej osobie. Wszyscy specjalizujący się w dziedzinie gruźlicy, ci których znałem, sami mieli gruźlicę w swoim życiorysie. Gdybym miał przyrównać Jasia do jakiegoś zwierzęcia, byłaby nim małpa. Ludzie, których lubiłem, zwykle mieli coś z małpy. Może małpy są najbardziej ludzkie lub najmniej nieludzkie spośród zwierząt. Do popisowych numerów Jasia należało imitowanie samochodowego klaksonu. Robił to tak dobrze, że zaskoczeni przechodnie podrygiwali ze strachu. Jego żona opowiadała, że gdy się poznali, a był wtedy w podchorążówce, miał zwyczaj „trąbienia” w kinie, ilekroć na ekranie ukazał się samochód. Jasio miał wiele popisowych numerów. Jednym z nich było recytowanie urywków z „Trędowatej” bądź też improwizowanie à la „Trędowata”. Zachował mi się w pamięci jeden fragment:

He, he, he ... zaśmiał się hrabia po francusku.

Na temat moralnych zobowiązań mężczyzn wynikających ze stosunków z kobietami Jasio głosił maksymę: „Towar macany należy do macanta”. Zwróciłem mu uwagę, że biurowatyczne, płaskie, bezbarwne słowo macant rymuje się z: bumelant, arogant, defraudant, spekulant, okupant, aplikant, aspirant, i poradziłem zastąpić macanta macadorem. Macador bowiem kojarzy się z corridą, gdzie piękne kobiety obrzucają kwiatami defilujących przed walką toreadorów.

Moim współzesańcem - przybyliśmy do Elbląga w tym samym czasie - był dr Derken. Wybrał sobie pracę na oddziale zakaźnym, gdzie płacono czterdzieści procent dodatku do pensji. Sam bardzo obrotny, miał za szefa starszego lekarza, doktora Macharskiego, człowieka poczciwego, ale tak bojaźliwego, że niewiele miejsca pozostawało na poczciwość. Macharski unikał podejmowania

ryzykownych decyzji, co pomnożone przez jego ostrożność sprawiało, iż nie podejmował prawie żadnych. Skutek był taki, że częściej zwracano się po radę do asystenta niż do ordynatora. Derken posiadał język jak brzytwa, a głos jego miał coś ze świstu bata. Wyglądem zupełnie różny od Horsta. Kawaler, choć pod czterdziestkę, wysoki, szczupły i śniady, o pociągłej twarzy, czarne włosy gładko ulizane, zaczesane z czoła. Obaj mogliby występować na scenie. Widzowie śmialiby się z błazna Horsta i z tych, których Derken brał na język. Derken nosił okulary w grubej, ciemnej oprawie, przez które jego oczy wyglądały nieforemnie, wydawały się większe niż w rzeczywistości i nie zawsze dało się określić na kogo patrzyły. Szybko wyrobił sobie reputację pieczeniarza. Najlepiej to ujęła Basia Śląska mówiąc, że jego specjalnością jest rzut pyskiem do miski. Derken nie miał uznania dla pracowitego Piszczka. Twierdził, że Piszczek najpierw wywiaduje się o diagnozę, a potem do diagnozy dorabia wyniki badań laboratoryjnych, niczego nie badając.

Oddział zakaźny - długi barak podzielony otwieranymi drzwiami na część tyfusową, szkarlatynową i dyfterytową - miał wspólną jadalnię dla ozdowieńców. Z braku personelu te same osoby obsługiwały całość. Izolowano jedynie dorosłych chorych na tyfusy.

Nie dziw więc, że tylko niewiele dzieci opuszczało szpital zaraz po wyleczeniu się z tej choroby, która była powodem ich przyjęcia. Na oddziale endemicznie panowała odra i wietrzna oспа. Dr Derken tak opisywał postępy swych pacjentów: przerobił dyfteryt, przerobił szkarlatynę, przerobił wietrzną ospę, jeśli odry nie dostanie, można go wypisać. Derken wprowadził zwyczaj, że w czasie obchodu badał lub oglądał każdego pacjenta. Dotąd obchody, nie tylko na zakaźnym, ale i na innych oddziałach nieraz tak wyglądały, że lekarz stawał na progu sali, a pielęgniarka referowała mu stan chorych. Zależnie od tego co usłyszał, przepisywał leczenie.

Do pierwszych moich czynności w Elblągu należało znalezienie dachu nad głową. Wynająłem pokój na pierwszym piętrze przy ulicy Kolejowej, głównej arterii miasta. Biegła nią linia tramwajowa, a niedaleko domu, w którym zamieszkałem, stał budynek Urzędu Bezpieczeństwa. Moją gospodynią była samotna kobieta lat pięćdziesięciu. Mąż jej umarł na chorobę nerek, syna jedynaka rozstrzelali Niemcy. Inny pokój zajmowała młoda sublokatorka. Nie zagrzałem tam miejsca zbyt długo. Aby wyjaśnić powody, muszę się cofnąć o wiele lat. Jeszcze w czasie wojny zaprzyjaźniłem się z

Lolkiem. Raz, niby to żartując, umówiliśmy się, że ten kto umrze pierwszy, da drugiemu znak, czy istnieje życie pozagrobowe. Mieliśmy zaledwie po kilkanaście lat, ale o śmierć było łatwo. Lolek przeżył wojnę i powstanie. Dwa lata później zapadł na zapalenie opon mózgowych. Lekarz początkowo postawił złą diagnozę, a gdy postawił dobrą, było już za późno.

Raz, wróciwszy nocą do pokoju przy ulicy Kolejowej, zmęczony pracą zapadłem w głęboki sen. Przyśniło mi się, iż obudziłem się. Unoszę głowę z tapczana i widzę dokoła groby. Podupadły stary cmentarz w szarym świetle jak o zmroku. Nagie gałęzie drzew, krzyże pochylone ku ziemi, groby tu i ówdzie zapadają się. Przychodzi mi na myśl Lolek. Takim był mi przyjacielem, a ja nawet nie wiem, gdzie go pochowano. Nagle wydaje mi się, że duch Lolka krąży w pobliżu ... za moimi plecami. Strach ogarnia mnie coraz większy, staram się obrócić, zerwać z tapczana..., a nie mogę się ruszyć. W tym momencie słyszę kwilenie, coraz głośniejsze, płacz dziecka budzi mnie. Siadam obłany potem. W szparze przy drzwiach na korytarz odbłask światła. Bojąc się ciemności, zapaliłem lampę i tak półdrzemiąc przeczekałem aż do świtu. Rano, zaparzając sobie herbatę, napomknąłem gospodyni, że obudził mnie w nocy płacz dziecka u sąsiadów obok.

- Tam nie ma żadnego dziecka - odparła. - Ja miewam - dodała - straszne sny, zaczynam jęczeć i budzę się pośród okropnego lęku.

Wyciągnąłem z tego wniosek, że jej koszmar nocny wzbudził koszmar we mnie. Jakby jakieś fale elektromagnetyczne przeszły od niej do mnie, wzbudzając rezonans w moim mózgu. Odtąd z obawą kładłem się do snu, zwłaszcza że jeszcze parę razy późnym wieczorem, nim sam poszedłem spać, słyszałem jej jęczenie. Zacząłem rozglądać się za nowym locum.

Kiedyś wracając o północy do mieszkania na Kolejowej, zobaczyłem samochód zaparkowany na pustej, jak tylko oko sięgnęło, ulicy, o sto metrów od mojego domu. Samochód nocą - widok był niezwykły. Mogłaby to być tylko milicja. Przyszło mi do głowy, że może po mnie. Specjalnie zaparkowali daleko, aby nie budzić we mnie podejrzeń. Minałem swój dom nie wchodząc. Idąc zastanawiałem się, co robić. Szybko doszedłem do wniosku, że nie ma się gdzie schować ani dokąd uciekać, i zawróciłem.

Ktoś mi powiedział, że późną nocą UB objeżdża ulice i spisuje mieszkania, w których pali się światło. Celem tej akcji miało być

wykrywanie tych osób, które zamiast spać po dniu pracy, zajmują się czym innym.

Obok na tym samym piętrze mieszkało małżeństwo. Nigdy nie zamieniłem z nimi słowa i chyba nigdy ich nie spotkałem. Czasem z klatki schodowej dobiegał odgłos kroków tych ludzi i trzaśnięcie drzwiami. Za to dobrze poznałem ich psa. Był to kundel - ani mały ani duży, ani czarny ani biały. Trudno było powiedzieć czy mieszkał obok, czy chciał się tam wprowadzić. O różnych porach wieczoru lub nocy pies wracał do domu, siadał przed drzwiami sąsiadów i poszcekiwał. Albo jego właścicieli nie było, albo nie chcieli go wpuścić. Mój pokój przylegał do klatki schodowej i znajdował się blisko drzwi wejściowych. Szczekanie budziło mnie bądź też nie pozwalało zasnąć. Na próżno zatykałem uszy watą lub korkami ugniecionymi z gazety. Pies musiał rozumieć niewłaściwość swojego postępowania, zwykle bowiem, jak tylko otworzyłem drzwi, by go przegonić, nawet bez zachęty z mojej strony umykał w dół schodami, szczerząc zęby, i wypadał na ulicę. Jeśli nie tej samej nocy, można go było oczekiwać następnej. Doprowadzony do ostateczności postanowiłem załatwić ten problem raz na zawsze. Kilkakroć pies umknął, ale w końcu udało mi się odciąć mu drogę odwrotu z parteru na ulicę i z piwnicy na podwórze. Na widok młotka o długim trzonku w moim ręku pomknął na parter, a znalazłszy drzwi zamknięte, zbiegł do piwnicy i tu przyparłem go do muru. Wyszczерzył zęby aż do dziąseł, zaparł się w kącie i warczał. Ilekroć wymierzyłem cios, robił błyskawiczny unik, żelazo uderzało w próżnię. Chwytał zębami trzonek. Próbowałem go zmylić, symulując uderzenie. W końcu udało mi się z lekka go zahaczyć. W jego oczach obok wściekłości dojrzałem strach. Zaskomlał. Zrobiło mi się go żal, odważnie walczył. Odszedłem. Otworzyłem drzwi wejściowe i idąc w górę schodami zobaczyłem jak wypadł na ulicę. Minęła godzina czy dwie, gdy na klatce schodowej rozległo się kilka szczęknięć.

Pomyślałem sobie - ja darowałem mu życie, a jemu wydaje się, że zwyciężył. Był to ostatni raz, gdy pies dał znać o sobie. Więcej już go nie zobaczyłem i nie usłyszałem.

Z nadejściem mojej pierwszej jesieni w Elblągu wzrosła liczba chorób zakaźnych, zwłaszcza dyfterytu i zapaleń dróg oddechowych. Ośrodki zdrowia były zawałone kaszlącymi i chrypiącymi dziećmi. O piątej godzinie, kiedy normalnie kończono pracę, poczekalnie wciąż były pełne pacjentów. Potem nieraz jeszcze musiałem wrócić do szpitala. Byłem przemęczony. Przyjechała matka zobaczyć, jak się

urządziłem. Zrobiła kolację. Oddawszy jej tapczan, posłałem sobie na materacu na podłodze. Po paru godzinach obudziłem się z ostrym bólem gardła. Ledwo dowlókłszy się do łazienki, zacząłem wymiotować. Tej samej nocy karetka pogotowia zawiozła mnie do szpitala, gdzie zostałem przyjęty na oddział zakaźny z diagnozą dyfterytu, ze spuchniętą wątrobą i ogromnie szybkim pulsem. Płaski elektrokardiogram wskazywał toksyczne uszkodzenie mięśnia sercowego. Leczenie składało się z zastrzyków surowicy i penicyliny.

W tym czasie odwiedził szpital konsultant z Gdańska, prof. Wszelaki, internista i były rektor Akademii Medycznej, znakomity mówca. Cierpiał na astmę. Odznaczał się nieskazitelnymi manierami i pewnie dlatego przezywany był przez niektórych „postępowych” studentów Hrabią Rozedmą. Profesor Wszelaki, zapoznawszy się z moim przypadkiem, nie zgodził się z diagnozą dyfterytu. Uważał, że było to zapalenie migdałków. Gdy po kilkunastu dniach wypisano mnie ze szpitala, daleko mi było do zdrowia. Idąc, musiałem co sto metrów przystawać, serce mi biło nienormalnie szybko. Ku memu zdziwieniu, choć pracowałem w szpitalu zaledwie kilka miesięcy, administracja szpitala i ordynator oddziału zakaźnego, dr Macharski, załatwili mi leczenie w sanatorium w Kudowie i przejazd wagonem sypialnym. Zakrzątnęła się koło tego przede wszystkim Wiera Kohn, bardziej wpływowa niż można by było oczekiwać po osobie na stanowisku przełożonej pielęgniarek.

Sanatorium leżało u stóp wzgórza na terenie łagodnie pofalowanym. Podstawowym zabiegiem leczniczym było wypoczywanie na łóżku. Naczelný lekarz ostrzegł pacjentów, aby nie spali w czasie dnia, bo za każdą godzinę drzemki zapłacą dwiema godzinami bezsenności nocą. Nadarzyła się okazja przeczytać „Wojnę i pokój” Tołstoja. Planowałem to od dawna, ale dopiero teraz po raz pierwszy miałem czasu w bród. I tak udało mi się przegryźć przez cztery tomy. Uważałem za obowiązek wobec siebie samego zaznajomić się z dziełem o światowej sławie i znudzony z ulgą dobiłem do końca. Jedynym fragmentem, który osobiście odczułem, były przeżycia Piotra w płonącej Moskwie.

Po dwóch tygodniach lekarz pozwolił mi na dłuższe spacery. Chodziłem wolniutko ścieżkami wijącymi się wokół wzgórz, nie napotykając człowieka. Czułem oddech zbliżającej się zimy. Śnieg jeszcze nie spadł, ale drzewa i krzewy pokrywał szron. Z dolin wznosiły się i rozwiewały mgły, przeświecało przez nie słońce. Z dnia

na dzień czułem się lepiej. Ustępował lęk, że przyjdzie mi spędzić resztę życia z chorym sercem.

Mój powrót powitano w szpitalu z żywym zadowoleniem. Chcąc nie chcąc, a raczej nie chcąc, musiałem rzucić się w tak zwany wir pracy. Przechodząc przez oddział chorób wewnętrznych natknąłem się na jedną z pielęgniarek z pediatrii, tym razem w szlafroku szpitalnym. Utkwiła mi w pamięci z powodu swej urody. Wysoka, zgrabna, o ciemnych włosach i bladej twarzy. Spytałem o jej zdrowie. - Mam problem z nerkami - odparła. Poszedłem dalej.

Minęły dwa czy trzy dni, gdy gruchnęła wieść, że nie można chorej dobudzić. Ktoś ją zbadał i postawił diagnozę - mocznica. Jedna pogłoska goniła drugą. Jakoby przyjęto ją do szpitala z powodu uszkodzenia nerek przez truciznę, którą celowo zażyła. Od jej koleżanki, z którą mieszkała, dowiedzieliśmy się, że pielęgniarka miała narzeczonego, porucznika-ubowca. Gdy chciała z nim zerwać, porucznik zagroził, że zastrzeli i ją, i siebie. Jeśli chodzi o pogróżki, słowu ubowca można było zaufać.

Wiele osób - przechodząc oddziałem wewnętrznym, rozciągającym się wzdłuż głównego korytarza - zaglądało do pokoju pielęgniarki. Zajrzałem i ja. Pożałowałem, że wcześniej z nią nie porozmawiałem. Internista przy ponownym zbadaniu orzekł, że dziewczyna jest w ciąży. Teraz stało się jasne, na krótko wprawdzie, dlaczego targnęła się na życie. Wezwany na konsultację ginekolog nie potwierdził istnienia ciąży. To, co internista wziął za powiększoną macicę, było przepełnionym pęcherzem moczowym. Coraz to nowe pogłoski obiegały szpital. Mijały godziny wypełnione diagnostycznymi rozważaniami. Stan nieprzytomnej pogarszał się. Na krótko przed jej śmiercią postawiono właściwe rozpoznanie - na oddziale wewnętrznym zniknął prawie cały zapas luminalu. Dochodzenie wykazało, że wieczorem dnia poprzedzającego utratę przytomności chora zaofiarowała przepracowanej koleżance pomoc przy rozprowadzaniu leków, uzyskując w ten sposób dostęp do gablotki z lekarstwami, i niepostrzeżenie wzięła luminal.

Grób trzeba było kopać w zamrożonej ziemi i pogrzeb opóźnił się, ale nikt z zainteresowanych, a było ich mnóstwo, nie przepuścił okazji. Zwłaszcza ciekawiła wszystkich postać porucznika-ubowca. Poza koleżanką zmarłej nikt go dotąd nie widział. Porucznik nie zawiódł oczekiwania uczestników. Nie tylko zjawił się, i to w mundurze, ale wskoczywszy do grobu położył się na trumnie i zażądał, aby ich razem pochowano. Nie lubię pogrzebów, więc tylko od naocznych

świadków dowiedziałem się o wydarzeniach na cmentarzu. Podobno porucznika wyrzucili z UB czy też zdegradowali, a może przenieśli, w każdym razie nikt już go więcej nie spotkał.

Wkrótce przeniosłem się na ulicę Żymierskiego, wynajawszy pokój u pani Katarzyny X, zajmującej razem z siedemnastoletnim synem dość obszerne mieszkanie w jednopiętrowym bloku. Mąż jej, aresztowany przed rokiem, wciąż czekał na rozprawę. Była to bardzo miła kobieta, pełna życia, uczynna. Za rogiem mieszkała jej siostra z dwojgiem małych dzieci. Również i jej męża aresztowano za to, że w czasie wojny służył w polskiej marynarce wojennej w Anglii. Siedział we Wronkach. Od czasu do czasu pozwalano żonie na widzenie z mężem. Wyglądał coraz gorzej. Podejrzewała, że go powoli trują w więzieniu, podobnie jak i innych aresztowanych. Choć nie dostał wyroku śmierci, po każdym widzeniu bała się, że to ostatnie. Leczyłem jej dzieci, oczywiście za darmo.

W tym czasie aresztowano mojego ojca. Pracował w przemyśle drożdżowym i od swojej instytucji otrzymał mieszkanie w odremontowanym na jej koszt, wypalonym domu przy ulicy Kazimierzowskiej, blisko Rakowieckiej. W myśl umowy, przemysł drożdżowy po ukończeniu remontu oddał połowę mieszkań zarządowi miasta, w rzeczywistości UB, a połowę zatrzymał dla swoich pracowników. Był to skarb w zniszczonej Warszawie. Ojciec przesiedział rok bez wyroku, za nic, a właściwie za mieszkanie. Zaraz po aresztowaniu go eksmitowano jego żonę i moją siostrę, a mieszkanie dostał ubowiec. Zwolniono ojca wprost z sali sądowej, ale mieszkania nigdy mu nie zwrócono.

A oto podobna historia. Młodą kobietę, której dwuletniego syna leczyłem, po aresztowaniu jej męża wyrzucono z mieszkania. Zajął je wyższy oficer marynarki wojennej. Popadła w nędzę. Młodsze z jej dwojga dzieci, niemowlę, umarło. Podobnie jak inne kobiety w jej sytuacji na próżno kołatała do bram prokuratury. Po roku czy dwóch zwolniono męża. Pięknego mieszkania we Wrzeszczu oczywiście nie odzyskali.

Właściciele Polski Ludowej, którzy weszli w posiadanie mieszkań w ten sposób, zapewne do dziś, oni albo ich krewni, spożywają owoce swej przestępczej działalności w tamtych latach. Za niemieckiej okupacji też wyrzucano Polaków z mieszkań. Czasem dostawali pół godziny na spakowanie manatków, czasem dwa tygodnie, ale nie wsadzano ich do więzienia za to, że Niemcowi spodobał się ich dom.

Do naszego mieszkania w Warszawie też przychodzili folksdójczy i inni skierowani przez Vohnungsamt. Codziennie spryskiwaliśmy wodą szczytową ścianę, aż zarosła pleśnią. Ojczym, wskazując na pleśń, tłumaczył nieproszonym gościom, że mieszkanie jest wilgotne. Pomogło. Dotrwaliśmy do samego powstania.

Przyłapano pracownika rządowej instytucji, gdy ukradkiem wynosił portret prezydenta Bolesława Bieruta. Z uwagi, że kradzież ta zawierała pewne elementy akcji politycznej, powiadomiono Urząd Bezpieczeństwa. Podczas rewizji w miejscu zamieszkania owego osobnika znaleziono w piwnicy wiele portretów dostojników państwowych, w których posiadanie wszedł on bezprawnie. Tą działalnością musiał zajmować się od dłuższego czasu, gdyż oprócz portretów dostojników u władzy, znajdowały się tam także portrety tych, którzy już przestali „przewodzić narodowi” i popadli w oficjalne zapomnienie. Dochodzenie wykazało, że osobnik ten, w chwilach wolnych od zajęć schodził do piwnicy udekorowanej portretami, gdzie przy blasku świecy samotnie przesiadywał wiele godzin. Władze policyjne przekazały go oddziałowi psychiatrycznemu w Gdańsku.

Mieszkanie poniżej nas, na parterze, zajmował podpułkownik informacji z żoną i kilkunastoletnim synem. Synalek „zrobił dziecko” swojej gimnazjalnej koleżance. Z bliżej nieznanych powodów młodociana matka nie zatrzymała dziecka i niemowlęciem zajęli się podpułkownikostwo. Nadano mu imiona Włodzimierz Józef, domyśliłem się - po Leninie i Stalinie. W mieszkaniu podpułkownikostwa ściany były gołe. Ani makatki, ani obrazu, ani fotografii rodzinnych. Jediną ozdobę stanowił oprawiony w ramkę cytat ze Stalina czy Lenina, a może Marksa. A wiem to stąd, że gdy mały raz zaczął kichać i kaszleć, podpułkownik - zapewne uprzednio zasięgnąwszy języka - poprosił mnie, abym się zajął dzieckiem.

Z powodu dobrej reputacji jako pediatra więcej niż raz znalazłem się w trudnej, jeśli nie niebezpiecznej sytuacji, gdy ważne osobistości domagały się moich usług, oczywiście gratis, dla dobra Polski Ludowej. Raz przybiegł wicedyrektor Milczek z wiadomością, że pierwszy sekretarz partii w Elblągu ma takie zaufanie do mnie, iż chciałby, abym przeświecił jego kilkuletnią córkę. Nie odważyłem się odmówić, chociaż radiolog ze mnie żaden. Pierwszy sekretarz osobiście przywiózł córkę do szpitala. Uderzało jego podobieństwo do Malenkowa - sylwetka, twarz a zwłaszcza identyczna fryzura. Zapewne sam zauważył, że jest podobny i podkreślał to uczesaniem.

Zaraz po śmierci Josifa Stalina, Gieorgij Malenkov w znalazł się na samym szczycie władzy. Wkrótce Malenkowa usunięto z rządu pod zarzutem nieudolności. Następny władca, Nikita Chruszczow, rozpętał akcję uprawy kukurydzy, od Wisły po Kamczatkę, aby zaradzić niedoborowi żywności w sowieckim imperium. Krążył taki dowcip: jak się nazywali władcy Rosji Sowieckiej? - Władymir Mudryj, Josif Groznyj, Gieorgij Nieudałyj, Nikita Kukuruznik.

Podpułkownik miał samochód i kilka razy mnie podwiózł; choć wolałem iść pieszo, nie śmiałem odmówić. Czułem się w jego towarzystwie jak mysz w klatce razem z przyjaznym kotem. Byłem szczególnie ostrożny w swoich wypowiedziach i podpułkownik zapewne to zauważył. Raz wskazał klamkę w samochodzie produkcji radzieckiej mówiąc, że słaby materiał, że się złamała, a mnie się od razu wydało, iż próbuje wy badać moją reakcję, co powiem. A może i próbował. Nie odpowiedzieć - byłoby to towarzysko niezręczne, a może nawet politycznie podejrzan. Wybrałem więc technologiczne wyjaśnienie problemu mówiąc, że widocznie bąbel powietrza dostał się do metalu podczas odlewania klamki.

Pewnego dnia pani Katarzyna zajrzawszy do mojego pokoju, kiwnęła ręką, abym szedł za nią. Zaprowadziwszy mnie do kuchni, dotknęła palcami ust, by zachować ciszę i dała znak, abym przyłożył ucho do otworu powstałego po zdjęciu fajerek. Usłyszałem głosy, nawet niektóre słowa można było odróżnić. Najwidoczniej w kuchni u podpułkownika rozmawiano. Głos niósł się przez krótki komin i rury. Odtąd pani Katarzyna, która nie pracując zawodowo spędzała dużo czasu w domu, często wykorzystywała swe „odkrycie” i podsłuchiwała to i owo. Najciekawiej było, gdy ze wsi przyjechała w odwiedziny matka podpułkownika. Wzięła ona potajemnie prawnuka do kościoła, gdzie został ochrzczony. W kuchni u podpułkownikostwa doszło do głośnej wymiany słów w związku ze chrztem Włodzimierza Józefa. Matka ostrzegała podpułkownika, że Bóg go jeszcze ukarze za komunizm.

Oddziałową została Zosia, rodem z Zakopanego, przysłana do Elbląga z nakazem pracy po ukończeniu dwuletniej szkoły pielęgniarskiej. Była to dla mnie wielka pomoc. Ledwo minęło parę miesięcy od jej przyjazdu, gdy dostała jakieś wysypki na ciele. Nie wyglądało to na coś zakaźnego, ale aby mieć potwierdzenie mej diagnozy, poprosiłem o konsultację doktora Macharskiego, który po zbadaniu Zosi orzekł, że to może być nietypowa postać szkarlatyny. Wysypka zniknęła po paru dniach bez innych objawów. Jednak skoro

raz padło słowo „szkarlatyna”, w ówczesnej atmosferze podejrzeń i oskarżeń o sabotaż, nie było bezpiecznie zmienić diagnozę po kilkudniowej obserwacji. Niechby tak na oddziale pojawił się świeży przypadek szkarlatyny, co i tak się zdarzało, zaraz by powiedzieli, że to od niej. Zosia więc musiała przebyć sześciotygodniową kwarantannę, nie mogła pracować i pojechała do rodziny. Plułem sobie w brodę, że aby zabezpieczyć się z powodu własnej bojaźliwości, zwróciłem się o wsparcie do bojaźliwego doktora Macharskiego. Powinienem był do Derkena.

Do rozlicznych obowiązków doktora Wiśniewskiego należał nadzór nad domem dziecka. Wkrótce po powrocie z sanatorium - gdy dr Wiśniewski był chory - otrzymałem polecenie od doktora Krajewskiego, dyrektora wojewódzkiego wydziału opieki nad matką i dzieckiem, abym jeszcze tego samego dnia udał się do domu dziecka i natychmiast powiadomił go o wynikach inspekcji. Ostatnio kilkoro dzieci stamtąd przyjęto do szpitala i nie wszystkie przeżyły.

Dom dziecka znajdował się w biedniejszej dzielnicy miasta, tuż przy niewielkim cmentarzu. Tynk już odłupywał się od ścian, obnażając rude cegły. Zapewne mieściła się tu kiedyś kostnica i siedziba grabarza. Któż inny chciałby mieszkać przy cmentarzu z grobami podchodzącymi pod same okna? Kierowniczką domu dziecka, osoba jeszcze dość młoda, korpulentna, o pospolitej twarzy, powitała mnie w kancelarii, gdzie na ścianie wisiał wykres podobny do tych, jakie widywało się w fabrykach, ilustrujących osiągnięcia przemysłowej produkcji. Zaciekawiony przyjrzałem się. Była to krzywa wskazująca procent śmiertelności dzieci. Linia w poprzednim roku pozioma, w ostatnich miesiącach ostro poderwała się ku górze.

Po zapoznaniu się ze sprawami administracyjnymi ruszyłem na obchód. Nie trzeba było być lekarzem, aby postawić diagnozę - fabryka aniołków. Pomijając pokasywanie, uderzała niezwykła cisza, jak na takie zbiorowisko dzieci w wieku od roku do lat trzech. Wiele z nich kiwało się rytmicznie, siedząc w łóżkach. Uwagę zwracał wychudzony chłopczyk, nawet nie trzyletni, a już o twarzy degenerata czy szaleńca. Kiwając się, uderzał tyłem głowy o ścianę, wydając przy tym śpiewny, monotonny dźwięk: - uuu-uu, uuu-uu, uuu-uu... Dużo dzieci leżało w łóżkach, w kojach, zbyt słabe były, aby ustać o własnych siłach. Niektórym obsypanym strupami okręcono ręce bandażem, bo inaczej drapały się do krwi. Wielu ciekło z uszu. Kierowniczka wyjaśniła, że ostatnio przyplątała się odra, wietrzna ospa i biegunka.

Natychmiast po powrocie do szpitala wysłałem telefonogram do doktora Krajewskiego. Mogłem wprawdzie zadzwonić do jego biura w Gdańsku, co byłoby szybciej, ale telefonując nie miałbym dowodu, że go powiadomiłem o sytuacji w domu dziecka.

Wypadki potoczyły się szybko. Około północy rozległo się stukanie do drzwi mieszkania Krajewskiego. Przyszedł milicjant z wezwaniem, aby natychmiast stawił się w wojewódzkim Komitecie partii. Tam już czekało na niego całe gremium. Od razu padło pytanie:

- Towarzyszu Krajewski, co się dzieje w domu dziecka w Elblągu?

Krajewski nic nie wiedział, ponieważ telefonogram nadszedł, gdy nie było go w biurze. Komitet wojewódzki już wiedział. (Gdy po powrocie do szpitala podzieliłem się w dyrekcji swoimi wrażeniami, ktoś zadzwonił do Gdańska). Zebrani w Komitecie Wojewódzkim mieli mój telefonogram w ręku, odczytali go Krajewskiemu, po czym od razu odstawiono go do więzienia. Wyszedł po dwóch tygodniach, chyba pomogła mu przynależność do partii. Potem żartował, że siedział przeze mnie, bo nie zatelefonowałem.

Każdego dnia późnym popołudniem czarny citroen, własność wydziału zdrowia, zawoził mnie do domu dziecka. Razem z pielęgniarką Danusią (świeżo po szkole) robiliśmy obchód. Czasem towarzyszyła nam kierowniczka, jeśli zasiedziała się dłużej w pracy. Badałem dzieci, przepisywałem leczenie, diety. Nim skończyłem, zwykle było już ciemno. Zimą słońce zachodzi wcześniej. Po kolacji większość dzieci, pokiwawszy się w swych łóżkach, zasypiała i tym donośniej rozlegało się zawodzenie: uuu-uu - uuu - uu - uuu - uu.

Podczas gdy wewnątrz domu przycichało, ożywiało się na zewnątrz, na cmentarzu obok. Ponieważ trudno było otrzymać zwolnienie z pracy na pogrzeb za dnia, zwłaszcza kościelny, zmarłych chowano dopiero pod wieczór. Mroczny cmentarz wypełniał się żywymi, rozbłyskiwał światłkami. Dobiegał szmer głosów, słowa modlitwy, czasem płacz. Nie trwało to długo. Cmentarz pustoszał szybko. Pozostawały zapalone świece i mrugały płomykami pośród nocy.

Do Elbląga zaczęły zjeżdżać komisje, inspekcje - samochodami, pociągami - i kierowały swe kroki do szpitala na mój oddział i do domu dziecka. Elbląg stał się oczkiem w głowie organów zdrowia, a wkrótce także i organów zwalczających sabotaż i kontrrewolucję.

Najpierw dostało się miejskiemu wydziałowi zdrowia od miejskiej rady narodowej, potem miejskiej radzie narodowej od miejskiego komitetu partyjnego. Pośród groźnych pomruków coraz to ważniejsze osobistości odwiedzały Elbląg - z Gdańska, z Warszawy. Przyjechała nawet towarzyszka z komitetu centralnego partii. Mówiła pięknie o trosce o człowieka, a ja udając najlepiej jak mogłem, że jej słowa biorę na serio, wyliczałem czego mi brak. Gdy podniosła, że tak młody a już ordynatorem i to na eksponowanej placówce, odrzekłem: - Bonaparte w moim wieku był już generałem.

Zwykle zanim inspekcje zdażyły przekroczyć progi szpitalne, wicedyrektor Milczek, zwany Wickiem - ten podobny do portretu Bieruta -dawał mi znać. Miał jakieś swoje kontakty, choć czasem i jego zaskoczyli. Zanim inspektorzy weszli na oddział, należało ich poinformować o wszystkich brakach i trudnościach, aby im zawczasu wytrącić broń z ręki i zepchnąć do defensywy. Pomóc nie mogli, a zaszkodzić mogli. Ulubioną rolą władz było wykrywanie, pouczanie, oskarżanie i karanie. Dla ochrony własnej skóry należało żądać wszystkiego co potrzebne, także na piśmie, wiedząc, że się nie dostanie. Z dziecięcego inspektorzy szli na oddział zakaźny. Był to stojący na uboczu długi barak, podzielony na część tyfusową, szkarlatynową i dyfterytową. Oprowadzał dr Derken, energiczny i obdarzony talentem do dramatyzacji. Ordynator zwykle wołał się trzymać na uboczu, być może hołdując zasadzie - jak cię nie zobaczą, to cię nie posadzą. Starsi lekarze, wyrośli w Polsce niepodległej, ludzie o pewnej kulturze osobistej, nie wiedzieli, jak się bronić przed tą hołotą.

Już samo wkroczenie na teren zakażony tyfusami, szkarlatyną, dyfterytem, wietrzną ospą i odrą budziło strach w inspektorach. Po inspekcji dr Derken rozśmieszył nas wszystkich demonstrując, jak to inspektorzy oddychali przez zaciśnięte wargi, aby nie wciągnąć do płuc fruwających w powietrzu zarazków. Drzwi usiłowali otwierać, popychając je czubkiem buta, pomimo iż na ich przyjęcie obandażowane klamki świeżo polano roztworem formaliny. Niektórzy z inspektorów zapewne mylili prawdziwą ospę z wietrzną ospą, a wietrzną z wiecznością. Derken celowo mówił zwyczajnie ospa, bez przymiotnika wietrzna, gdy chciał tym nieukom-karierowiczom napędzić więcej strachu. Podkreślał niebezpieczeństwo pracy w otoczeniu nasyconym zarazkami, aby wydębić więcej pieniędzy od rządu. Groza ospy jeszcze nie wygasła w ludzkiej pamięci. U

starszych osób, zwłaszcza pośród wygnańców ze Wschodu, widywało się twarze pokryte dziobami. Sam Stalin był dziobaty.

Już na początku afery w domu dziecka role, doktora Wiśniewskiego i moja, zostały odwrócone. Mnie mianowano ordynatorem, jego moim asystentem. Podzieliłem oddział na połowy i nie mieszałem się do tego, co robił. Zarządziłem tylko, aby kał wszystkich dzieci chorych na biegunkę, a odnosiło się to głównie do niemowląt, posyłać do Gdańska na badania bakteriologiczne. Przyszły zaskakujące wyniki. W wielu przypadkach wyhodowano bakterie mysiego tyfusu. Wywołało to jeszcze większy alarm i zainteresowanie Elblągiem. W tym czasie bowiem odwiedził Polskę radziecki konsultant, lekarz epidemiolog w stopniu generała. Znalazła się nawet wzmianka o tym w prasie, coś na temat współpracy. Nieoficjalnie dowiedzieliśmy się, że gość obrugał naszego ministra zdrowia, Sztachelskiego za to, że w Polsce szerzą się choroby zakaźne. Szykowała się podobno wojna i chodziło o to, aby żołnierze armii radzieckiej w przemarszu przez Polskę na zachód nie padli ofiarą zarazy. Zainteresowanie Elblągiem władz służby zdrowia i władz śledczych, rozpoczęte śmiertelnością w domu dziecka, zataczało coraz szersze kręgi. Aresztowano kierownika miejskiego wydziału zdrowia i doktora Wiśniewskiego. Pierwszego za brak nadzoru, drugiego pod zarzutem sabotażu. Dla pierwszego prokurator żądał dwóch lat więzienia, dla drugiego dwunastu. Dr Wiśniewski miał stanąć przed sądem specjalnym - takie najchętniej skazywały na śmierć i od ich wyroków nie było odwołania.

Nowym kierownikiem wydziału zdrowia został Gruszczyński, barczysty łysawy brodac. Raz zobaczywszy, trudno go było zapomnieć, zwłaszcza jego twarz pokrytą chropawą skórą. Jedno oko siedziało wyżej, oba patrzyły przenikliwie. Nos też nie tkwił w samym środku pomiędzy oczami. Jakby pod naciskiem potężnej siły, twarz utraciła swą symetrię i przypominała skrzywioną ramę obrazu. Widywało się czasem osobników noszących kozie bródki dla ozdoby. Gruszczyński zapuścił okazałą brodę, aby ukryć szkaradne blizny, które miał po Oświęcimiu. Pod bardzo ogładzonymi manierami wyczuwało się siłę i przebiegłość. Stanowisko kierownika wydziału zdrowia uważano za przedpokój celi więziennej, z uwagi na dysproporcje pomiędzy problemami a środkami. Brodac był kiedyś przewodniczącym miejskiej rady narodowej, czyli burmistrzem, bodajże pierwszym odkąd zmieniono nazwę Elbing na Elbląg. Nawet i ostatnio, choć bezpartyjny, piastował jakieś ważne stanowisko.

Zapewne tolerowali go tak długo jako wyjątek pośród półanalfabetów. Z wykształcenia miał być chemikiem, choć studiów nie ukończył. Podobno wrogowie wypchnęli go na tę straconą placówkę w Elblągu. Po objęciu nowego stanowiska przyznał się, że nie ma zielonego pojęcia o służbie zdrowia i dodał, że jeśli pójdzie do więzienia, to nie pójdzie sam. Zielonego pojęcia nie miał, ale uczył się szybko.

Nieustanne inspekcje, poza aresztowaniami, przyniosły i pozytywne rezultaty. Przysłano do Elbląga kilkanaście pielęgniarek po dwuletniej szkole i więcej po sześciomiesięcznym kursie oraz kilku lekarzy z klinicznym stażem. Zdjęto z ordynatury chorób kobiecych kolegę, który za czasów Franciszka Józefa pijał wino z damskich pantofelków. Jego miejsce zajął specjalista z prawdziwego zdarzenia, dr Hryniewiecki. Posiadał on, jedyny spośród lekarzy, własny samochód. W tym czasie ginekologów, w odróżnieniu od ich kolegów, poznawało się po złotych spinkach do mankietów. Gdy rząd wydał ustawę o legalnym przerywaniu ciąży, ginekolodzy jak jeden mąż zaprotestowali, deklarując się praktykującymi katolikami, którym wiara nie pozwala zabijać dziecka w łonie matki. Rząd, by uniknąć zarzutów, że prześladuje religię, wycofał się na z góry upatrzone pozycje; ustawa na razie nie weszła w życie.

W tym czasie rozpoznano na Wybrzeżu jeden czy kilka przypadków prawdziwej ospy, zapewne przywleczonej z portu. Władze natychmiast podjęły energiczną akcję. Wezwano wszystkich lekarzy do współpracy. Cała ludność Wybrzeża musiała się szczepić. Ja sam zaszczepiłem wielu znajomych, włączając jedną z mistrzyń Polski w jeździe szybkiej na łodzi. Na dworcu w Gdańsku nie wpuszczano do pociągu bez okazania zaświadczenia o zaszczepieniu.

Nadszedł dzień wyborów do komunistycznego parlamentu. Rozlepione po mieście plakaty ozdobione fotografią ministra bezpieczeństwa, Radkiewicza, informowały mieszkańców Elbląga, że jest on naszym kandydatem, jedynym kandydatem. Lokale wyborcze otwierały się chyba o szóstej, a może nawet o piątej rano. Już na godzinę czy dwie, a może jeszcze wcześniej ustawiała się skromna, jeśli chodzi o długość, kolejka składająca się z obywateli i towarzyszy, którzy w ten sposób chcieli publicznie podkreślić ważność wyborów i zadokumentować swe gorące poparcie dla władzy ludowej. Około godziny czwartej po południu wyruszały cywilne patrole, kierując się do domów tych obywateli, którzy jeszcze nie głosowali, aby im przypomnieć na wypadek gdyby zapomnieli.

Tradycyjnie w przeddzień wyborów rzucano więcej towarów na rynek, zwłaszcza żywności. W dniu wyborów, w wybranym z góry miejscu odbywało się coś w rodzaju pikniku czy odpustu. Przygrywała muzyka bądź też chrypiał megafon, można było sobie kupić zakąskę w postaci kiełbasy na gorąco z musztardą, serdelka czy parówkę i popić wodą sodową lub sokiem owocowym. Sprzedaż napojów wysokowych w dniu wyborów była zabroniona.

W lokalu wyborczym po odszukaniu nazwiska i zaznaczeniu obecności, każdemu wręczano otwartą kopertę zawierającą kartkę z nazwiskiem kandydata. Jedna z urn stała na stole obok komisji wyborczej, druga za kotarą na uboczu. Można było wrzucić kopertę, nie otwierając jej, do urny na oczach komisji bądź też udać się za kotarę i tam albo wrzucić kopertę do urny po sprawdzeniu jej zawartości, albo też skreślić ministra Radkiewicza bądź dopisać, cokolwiek by ślina na język przyniosła. Ostrożność jednak doradzała pominięcie tych dwóch ostatnich możliwości. Krążyły słuchy, że koperty niektórych osób są w jakiś sposób znakowane, pewnie niewidocznym atramentem. Odmowa głosowania groziła nieobliczalnymi konsekwencjami. Większość ludzi przychodziła do lokali wyborczych w drugiej połowie dnia, być może w ten sposób wyrażając swój sprzeciw.

Sam udział w wyborach nie był wystarczającym dowodem lojalności wobec władz. Na kilka tygodni przed wyborami prasa i radio wzywały obywateli do sprawdzania, czy ich nazwiska figurują na liście zarejestrowanych wyborców. Lepiej było pójść i sprawdzić, bowiem zaznaczano, kto sprawdził.

Personalnym wydziału zdrowia został były tokarz. Brakowało mu paru palców u prawej ręki oraz paru zębów na przodzie, i dlatego seplenił. Będąc człowiekiem prostolinijnym, dał się lubić. Od pewnego czasu dr Barański znajdował się „pod obstrzałem” jako nieoficjalny szef służby zdrowia na miasto i powiat. Raz na zebraniu na wyższym szczeblu, miejskim i partyjnym, poświęconym sprawom zdrowia, w toku dyskusji szczerbaty personalny nazwał doktora Barańskiego mordercą dzieci. Barański - dyrektor, doktor i major - nieprzywykły z racji swego stanowiska i rangi do takiego traktowania, zareagował na tę obelgę, rzucając kałamarzem w personalnego. Chybił i kałamarz wyrznął w ścianę nad głową żony przewodniczącego miejskiej rady narodowej, piastującej stanowisko drugiego sekretarza partii. Choć nic na ten temat nie pisano w gazetach, wszyscy o tym wiedzieli. Potwierdzeniem, że to nie plotka,

było ustąpienie Barańskiego z zajmowanych przezeń stanowisk, dyrektora szpitala i ordynatora chirurgii. Na jego miejsce przysłano z Akademii Medycznej doktora Wojewodziaka, doświadczonego chirurga, który swój przydział do Elbląga uważał za tymczasowe zesłanie i wszystkie wolne chwile spędzał w Gdańsku. Ja zaś życie w Polsce Ludowej uważałem za dożywotnie zesłanie i także spędzałem wszystkie wolne chwile w Gdańsku.

Przy swoim asystencie, doktorze Dąbskim, Wojewodziak wyglądał jak waga kogucia obok ciężkiej. Chodził i mówił szybko. Zawsze w pośpiechu. Wyrażał się dobitnie. Aby nie przeciągać niepotrzebnych dialogów często używał słów „gówno” i „cześć”, co stało się jego *mots de personage*. Głos jego, podobnie jak i sylwetka, kontrastował z powolnym, tubalnym głosem doktora Dąbskiego.

W Elblągu znajdował się jeszcze jeden szpital, wojskowy. Nigdy tam nie zaszedłem i na własne oczy nie widziałem, ale mówiono, że jest świetnie wyposażony - pielęgniarek, leków i lekarzy w bród. Łóżek więcej niż w naszym, a świeci pustkami, czekając na wojnę. Kilku młodych lekarzy wojskowych, nie mając czym wypełnić czasu, otrzymało od swego dowódcy pozwolenie na pracę na pół etatu u Wojewodziaka. Nowy ordynator wprowadził ostrą dyscyplinę na oddziale chirurgicznym, zajmującym prawie całą długość szpitala na drugim piętrze. Jednym z przejawów nowego porządku były regularne obchody.

Na czele drobnym krokiem sunął mały, chudy Wojewodziak, tuż za nim masywny dr Dąbski. Za Dąbskim lekarze naszego szpitala i lekarze wojskowi w białych fartuchach narzuconych na mundury. Dalej pielęgniarki, na końcu studenci szkoły felczerskiej. Pośpiech był konieczny, bo oddział liczył około stu pacjentów i nie należało przeciągać obchodu, gdy czekały operacje. Nawet w największej sali nie wszyscy uczestnicy obchodu mogli się zmieścić. Podczas gdy głowa białego węża w postaci ordynatora już wychodziła z sali, ogon jeszcze nawet nie wszedł.

W gabinecie Wojewodziaka raz po raz odbywały się skromne libacje. Młodzi wojskowi chirurdzy celebrowali kolejne postępy w swej karierze, jak: pierwsza operacja wyrostka, pierwsza resekcja żołądka, pierwszy woreczek żółciowy, pierwsze to, pierwsze tamto. A że chirurgów było wielu, i że się dopiero uczyli, więc coraz to nadarzała się okazja wychylić kielicha.

Chirurdzy mieli jeszcze jeden zwyczaj. Nie krępując się obecnością Wojewodziaka, a i on sam, oddawali mocz do zlewu

znajdującego się w jego gabinecie. Powiadali, prawdziwy chirurg szcza do zlewu.

Po objęciu stanowisk ordynatorów przez młodszych lekarzy, wychowanków Akademii Medycznej, wzrosło zapotrzebowanie na badania laboratoryjne. Piszczek, choć się dwoił i troił, nie mógł podołać. Zresztą nowo przybyli nie mieli przekonania do jego umiejętności. Już sam jego wygląd i głos nie budziły zaufania. Przy dużym doświadczeniu miał mało wykształcenia.

Na pomoc szpitalowi przysłano dwie specjalistki po uniwersytecie. Piszę przysłano, albowiem nie słyszało się, by ludzie z wykształceniem dobrowolnie osiedlali się w Elblągu. Jedna z nich - młoda mężatka z dwojgiem dzieci, miła blondynka, była chemiczką. Druga, kobieta-biolog, szeroka w ramionach i biodrach, o zamaszystym kroku, nosiła nakrycie głowy w kształcie turbana z węzłem wielkości małej pięści tuż nad czołem. W chwilach napięcia, a praca w szpitalu obfitowała w takie, ukazywała się pośrodku jej czoła pionowa żyła. Pani w turbanie została kierowniczką laboratorium, a Piszczka zdegradowano do zwykłego laboranta. Przybycie obu pań grono lekarskie powitało z wielkim zadowoleniem. Jak wiadomo, każda róża ma kolce, a tym razem kolce dały znać o sobie bardzo szybko. Laboratorium zaczęło się uskarżać na nadmiar pracy i zwróciło się do lekarzy, aby ograniczyli ilość badań. Apele te nie znalazły zrozumienia.

Jak to - mówiono - przedtem Piszczek sam jeden jakoś dawał sobie radę, a teraz we trójkę nie mogą podołać?

Był to dopiero początek kłopotów. Niektóre wyniki badań laboratoryjnych nie zgadzały się z diagnozami lekarzy. W moczu cukrzyka znaleziono prątki gruźlicy, a w moczu gruźlika cukier. Doprowadzało to do dodatkowych badań i dyskusji, nieraz ostrych, pomiędzy niektórymi lekarzami a obu paniami, które upierały się przy swoim. Zwłaszcza pani w turbanie nie ustępowała i podczas tych rozmów żyła wyskakiwała na jej czołe. Nie wiadomo, do czego by doszło, gdyby się to przeciągnęło, jako że reputacja laboratorium doznawała coraz to nowych uszczerbków.

Aż tu nagle „wybuchła bomba”. Na tyłach szpitala znajdowała się nieużywana klatka schodowa, powiedzieć można - kuchenna. Na parapetach okien, na szybach, na pajęczynach osiadał kurz. Wszystkie drzwi wiodące do klatki były zamknięte i tylko niewielu pracowników posiadało klucze. Byłem jednym z nich, ponieważ klatka przylegała do oddziału dziecięcego. Pewnego dnia pani w

turbanie urządziła zasadzkę. Wieczorem, nikomu nic nie mówiąc, niby to poszła do domu, a w rzeczywistości po ciemku zawróciła do laboratorium, wspinając się ukradkiem „kuchenną” klatką schodową. Gdy czekała w zasadzce, ktoś wkradł się do laboratorium od strony „kuchennych schodów” i rozjaśniając ciemności błękitnym blaskiem latarki zaczął pobrzękiwać probówkami. Zapaliła światło i stanęła oko w oko z Piszczkiem. Złapany na gorącym uczynku, przyznał się, iż od pewnego czasu wymykał się nocą do laboratorium i mieszał zawartość probówek, dosypywał cukru, dolewał kurzego białka. Znając wielu pacjentów, nie robił tego na chybił trafił. Wykazał dużo umiejętności, unikając dzięki temu przez długi czas wykrycia. Z miejsca wyrzucono go z pracy i wkrótce przepadł.

Po aresztowaniu doktora Wiśniewskiego zostałem sam. Trzydzieścioro dwoje ciężko chorych dzieci. Od tyfusu do tężca, od gruźlicy do zatrucia grzybami. A do tego niedobór lekarstw i wyposażenia. Dzienny przydział pieluszek na niemowlę chore na biegunkę wynosił dwanaście sztuk.

Na szczególne okazje spędzano pracowników do ogromnej piętrowej auli, jej ściany wykładano czerwonym suknem. Ile tysięcy pieluch dałoby się wykroić z tego materiału, myślałem. Coraz to brakowało kaftaników, kocyków. Centralne ogrzewanie często zawodziło. Nieraz temperatura na oddziale tak spadała, że pielęgniarki narzucały swetry. Dzieci, jak to dzieci, wciąż się rozkopywały. Trzeba było chodzić w kółko i je przykrywać. Skarżyłem się wicedyrektorowi i intendentowi, że mi pacjenci marzną. Poprawiało się na krótko, na kilka godzin, na dzień. Palacze twierdzili, że nie mają czym palić. Krążyły jednak słuchy, że za oszczędzanie węgla dostawali premie od dyrekcji szpitala.

Do oddziału przylegała mała kuchenka, gdzie przygotowywano mieszanki i jedzenie dla najmłodszych. Każdego rana pielęgniarka szła do magazynu po prowianty oraz wyposażenie i zwykle czegoś nie dostawała. Raz w obecności komisji wspomniałem o braku gęstych grzebieni do wyczesywania wszy. Intendent, ob. K., trochę otyły i trochę łysy, z miejsca rozminął się z prawdą, twierdząc, że grzebieni nigdy nie brakowało, choć poprzedniego dnia ich nie wydał, bo jakoby nie miał w magazynie. Zarządziłem, aby odtąd intendent podpisywał się, kiedykolwiek nie mógł zaspokoić naszego zapotrzebowania. Temu celowi służył specjalny zeszyt z kalką. Zeszyt trzymałem w biurku w gabinecie, odbitki w domu pod dywanem. Raz intendent odmówił podpisania, że czegoś tam

brakowało, wobec tego poleciłem pielęgniarce napisać na zapotrzebowaniu: ob. K. odmówił potwierdzenia, że tego a tego nie ma w magazynie.

Prawdopodobnie w związku z wizytą radzieckiego generała epidemiologa, konsultanta naszego ministra, wydziały zdrowia zabrały się ostro do rejestracji chorób zakaźnych. Każdego dnia, przez szpitalnego gońca, wysyłałem meldunki o nowych przypadkach. Przy jakiejś inspekcji elbląski wydział zdrowia poskarżył się, że rzadko kiedy melduję choroby zakaźne. Albo goniec ich nie doręczał, albo wydział zdrowia je gubił. Odtąd wysyłałem meldunki w potrójnym egzemplarzu i z powrotem otrzymywałem dwie kopie potwierdzone przez urzędnika wydziału zdrowia. Jedną trzymałem w biurku w swoim gabinecie, drugą w mieszkaniu pod dywanem. Z Gdańska zjechała komisja do wydziału zdrowia. Jednym z powodów było, że wydział elbląski nie powiadamiał Gdańska o chorobach zakaźnych, a jeśli powiadamiał, to tylko sporadycznie. Brodacz Gruszczyński wskazał mnie jako winowajcę. Wezwano mnie do sądu. Chodziło o przypadki tyfusu, o których Gdańsk wiedział, otrzymując meldunki wprost z laboratorium. Obroniłem się mówiąc, że mam pokwitowania i że chciałbym, aby obywatel Gruszczyński podał imiennie te przypadki tyfusu, o których jakoby nie zameldowałem. Na takie *dictum* jeden z sędziów (sędziowie byli jednocześnie oskarżycielami czy też oskarżyciele sędziami), zadzwonił do wydziału zdrowia. Brodacz Gruszczyński nie mógł od razu podać nazwisk i obiecał zrobić to później. Wobec tego posiedzenie sądowe przerwano i odłożono do następnej sesji wyjazdowej sądu. I na tym się skończyło. Najwidoczniej bezpartyjny brodacz, usłyszawszy że mam pokwitowania, zląkł się i zatuszował sprawę. Jego poprzednika, choć był partyjny, wsadzono do więzienia, wprawdzie tylko na trzy miesiące. Słowo pomyłka lub niedopatrzenie zniknęło z terminologii sądowej, zastąpiło je słowo - sabotaż.

W rzeczywistości nie miałem pokwitowań na wszystkie meldunki. Gdybym pokazał te, które miałem, brodacz, broniąc własnej skóry, zarzuciłby mi, iż nie meldowałem tych przypadków, na które nie mogłem przedstawić pokwitowań. Jeśli dotąd żywiłem jakiegokolwiek wątpliwości, to sprawa ta przekonała mnie ostatecznie, iż we wszelkich kontaktach z władzami obowiązuje zasada - człowiek człowiekowi wilkiem jest. Udowodnienie swojej niewinności zdawało

się na nic. Należało przekonać oskarżyciela, że jeśli ja utonę, to utonie i on.

Nie wolno było powiedzieć rodzicom, że czegoś brakuje na oddziale. Oczywiście sami widzieli, że nie ma dość pieluch, koszul etc. Ofiarowywali własne, które nieraz, wbrew przepisom, przyjmowaliśmy. Jeden pokój był przeznaczony dla karmiących matek. Przychodziły kilka razy dziennie, przewijały niemowlęta we własne pieluszki. Wkrótce wykryliśmy, że niektóre dokarmiały dzieci na swój sposób, a nawet próbowały leczyć, szkodząc nieraz ich zdrowiu.

W czasie odwiedzin, w oznaczonych godzinach, rodzice mogli oglądać swe dzieci przez szybę. Pielęgniarki powiadomiły mnie, że jedna z matek nie ma mleka w piersi, a tylko udaje, że karmi swe niemowlę, aby korzystać z przywileju częstych odwiedzin. Gdy przyszła następnym razem, nie podano jej dziecka, za to ja wszedłem do pokoju dla karmiących, siadłem naprzeciw niej i wyjaśniłem, dlaczego skasowano jej widzenia z dzieckiem. Wtedy oburzona kobieta, nie wypowiedziawszy jednego słowa, obnażyła swą pierś, objęła ją obu rękoma, ścisnęła i opryskała mnie mlekiem.

Nowo przyjętych pacjentów najpierw się kąpało, a potem wyczesywało gęstym grzebieniem wszy oraz przyklejone do włosów gnidy. W przypadku zaawansowanej wszawicy nawet brwi wyglądały jakby przyprószone ziarnkami szarego maku. Czasem trafił się i kołtun zwany dawniej *plica polonica*. Zdaniem rodziców miał on chronić dziecko przed chorobami i urokiem. Aby usunąć kołtun, trzeba było go najpierw zmiękczyć kompresami z oleju. Do znachorskich zabiegów leczniczych należało tzw. przymierzanie. Polegało ono na maksymalnym zbliżeniu i dotknięciu prawego łokcia z lewym kolaniem i prawego kolana z lewym łokciem. Osoba dorosła mogła to zrobić bez trudu, ale nie niemowlę. Nieraz przymierzanie kończyło się uszkodzeniem kręgosłupa. Przesądów krążyło w bród. Plastrami słoniny okładano chore płuca, kompresami z zsiadłego mleka - obolały brzuch, ścierkami zamoczonymi w nafcie - głowę.

Niektóre dzieci przebywały na oddziale miesiącami. Jedno z nich dobrze zapamiętałem. Był to chłopiec o nazwisku Pędzik. Imię zapomniałem. Liczył sobie niecały rok, gdy go otrzymałem w spadku po doktorze Wiśniewskim. Chory na gruźlicę, miał połowę jednego płuca zaciemnioną, bez powietrza. Do tego, już na oddziale, nabawił się tyfusu mysiego. Leczyłem go streptomycyną. Pędzik zwalczył tyfus, ale płuco nie poprawiło się. Po kilku miesiącach stał się

najstarszym rezydentem oddziału. Przebywał na ogólnej sali, gdzie znajdowało się sześć łóżek. Gdy nabrał dość sił, by ustać na własnych nóżkach, zaczął zabawiać się potrząsając swym metalowym łóżkiem, zapewne z nudów. Musiał zauważyć, że przy potrząsaniu łóżko posuwa się odrobinę po podłodze i poszedł po rozum do swej małej głowy. Wkrótce tak udoskonalił technikę potrząsania, że w ciągu kilkunastu minut, jeżeli nie prędeż, potrafił przejechać na drugą stronę sali. Coraz to trzeba było go zawracać. Celem tych wycieczek było nawiązanie kontaktu z innymi dziećmi. Przycumowywał swoje łóżko do łóżka sąsiada i razem bawili się.

Dzieciom, które umiały posługiwać się łyżką dawano posiłki na talerzu do łóżka. Jeśli same nie zjadły wszystkiego, to dokarmiła je potem pielęgniarka. Wyleczony z tyfusu Pędzik nabrał takiego apetytu, że zjadłszy szybko swoją porcję podjeżdżał do łóżek sąsiadów i zabierał im jedzenie, nawet jeśli byli więksi od niego. Inne dzieci uczyły się techniki potrząsania od Pędzika i spotykały się na środku sali. Żadne jednak nie dorównywało mu szybkością. Po kilku miesiącach chore płuco wypełniło się powietrzem i Pędzika zabrała uradowana matka.

Raz dwie siostry, Cyganki, zostały przyjęte z powodu biegunki. Młodsza od razu umarła. U starszej we krwi wyhodowano bakterie tyfusu brzuszego, a później z kału - tyfusu mysiego. Tym ostatnim zapewne zaraziła się na oddziale. Cały klan cygański biwakował obok szpitala. Wicedyrektor Milczek obawiał się, iż może dojść do niepokojów, gdyby i ta starsza siostra umarła. Dziewczynka leczona chloromycetyną wyzdrowiała. Pośród wielkiej radości Cyganów zwróciliśmy ją rodzicom. Dostałem kurę, jeszcze w czasie leczenia lub już po wyzdrowieniu, a może nawet dwie.

W soboty często jeździłem do Gdańska, zachodziłem do kliniki pediatrycznej, aby utrzymać kontakt. Profesor Brokman był konsultantem oddziału w Elblągu i odwiedzał nas osobiście bądź też przysyłał jednego ze starszych asystentów. Dzięki jego interwencji otrzymałem przydział streptomycyny, chloromycetyny i aureomycyny zachodniej produkcji, którymi nie dysponował żaden oddział pediatryczny w województwie poza Akademią Medyczną i szpitalem UB dla uprzywilejowanych.

Epidemia biegunki nie opadała. W pierwszym roku mojej ordynatury umarło na oddziale niemal trzysta dzieci. Władze skrytykowały mnie, iż od czasu jak przejąłem oddział, śmiertelność wzrosła. Bronilem się wskazując, iż mój poprzednik pozwalał, a

nawet doradzał zabierać konające dzieci do domu. Brokman poparł mnie swoim autorytetem. Niemowlęta najczęściej umierały, jeśli biegunce, nawet bez odwodnienia, towarzyszyły objawy neurologiczne. Niektóre szybko zapadały jakby w letarg, z którego już się nie budziły. Mając ograniczony zapas chloromycetyny, mogłem dać to lekarstwo tylko niewielu spośród tych dzieci, które jej potrzebowały. A był to jedyny skuteczny antybiotyk. Gdy byłem przekonany, że dziecko i tak umrze, nie dawałem mu chloromycetyny, aby zaoszczędzić lek dla tych, które miały większe szansę przeżycia. Czasami w ciągu jednej nocy mieliśmy kilka zgonów. Rodzice, zwykle matki, od samego rana stali przed wejściem na oddział, czekając na informacje o stanie zdrowia ich dzieci. Nieraz pielęgniarki nie miały odwagi wyjść na korytarz i powiadomić o śmierci. Odwlekały do mojego przyjscia. Sądzę, że osobiste doświadczenia w czasie powstania zahartowały mnie do roli zwiastuna nieszczęścia. Robiłem to tak dobrze, że nieraz jedyną reakcją było słowo: dziękuję.

Umarł kilkumiesięczny synek dziewiętnastoletniej, niezamężnej dziewczyny. Przyszła dowiedzieć się o stan zdrowia dziecka razem ze swoją matką. Ta usłyszawszy o śmierci wnuka rzekła do córki:

- Ja już dawno wiedziałam, że nic dobrego z tego nie wyniknie.

Przypomniało mi to podobną scenę sprzed dziesięciu lat. Córka państwa R., przyjaciół moich rodziców, Basia, zakochała się w młodym człowieku i wbrew woli matki, po wielkich awanturach, wyszła za niego za mąż. Nim rok upłynął urodziło się dziecko. Ojciec Basi był dobrze sytuowanym farmaceutą, zaś jej mąż, niewykształcony chłopak, latem utrzymywał się wynajmując łódki w przystani na praskim brzegu Wisły. Pewnego dnia na Wale Miedzeszyńskim zatrzymało się auto i wyskoczyli z niego gestapowcy. Obstawili przystań i kazali wszystkim mężczyznom ustawić się w szeregu, po czym strzelili do jednego z nich. Mąż Basi, najwidoczniej sądząc, że gestapowcy rozwalą ich wszystkich, rzucił się na Niemców z gołymi rękami. Zastrzelili i jego, zaś pozostałym dali spokój. Obu zabitych kazali zakopać na plaży. W kilka miesięcy po tych wypadkach, moja matka i ja odwiedziliśmy państwa R. Basia wydawała się być wpół martwa, siedziała bez ruchu, nie odzywała się. W toku rozmowy jej matka wypowiedziała słowa, które utkwily mi w pamięci, choć miałem tylko siedemnaście lat:

- Ja już dawno wiedziałam, że z tego małżeństwa nic dobrego nie wyniknie.

Syn doktora Śląskiego został przyjęty na oddział. Choć byłem przekonany, że uda mi się wyleczyć go bez użycia chloromycetyny, dałem mu to lekarstwo, którego poza moim oddziałem nikt nie miał w szpitalu, i którego nie można było kupić. Nigdy przedtem nie przypuszczałem, że jako lekarz będę musiał decydować, kto ma żyć, a kto nie.

Namówilem doktora Lachowicza, bakteriologa z Państwowego Zakładu Higieny w Gdańsku, do wykonywania odczynu Widala u niemowląt chorych na biegunkę. Odczyn Widala polega na tym, że do rozcieńczonej (1:50, 1:100, 1:200...) surowicy krwi pacjenta dodaje się zawiesinę bakterii tyfusu brzuszego. Jeśli pacjent jest chory na tyfus, przeciwciała znajdujące się w jego surowicy powodują zlepianie się bakterii. U niemowląt odczyn Widala wykonywaliśmy, dodając zawiesinę bakterii tyfusu mysiego do rozcieńczonej surowicy (1:10, 1:20, 1:40...). Nikt tego dotąd nie robił. Prof. Brokman bardzo się tym projektem zainteresował. Zaczęły przychodzić dodatnie wyniki. Opublikowaliśmy nasze spostrzeżenia w lekarskich czasopismach.

Z Ministerstwa Zdrowia przyszło polecenie złożenia raportu z ilości kroplówek, transfuzji krwi i punkcji lędźwiowych wykonanych w poprzednim roku. By sprostać temu zadaniu musiałbym zaprzestać pracy, wydobyć setki historii chorób i wertować strona za stroną. Załatwiłem to więc inaczej. Policzywszy ilość wykonanych zabiegów w ciągu ostatnich dwóch tygodni, pomnożyłem przez dwadzieścia sześć i dodałem dwadzieścia procent. Wysłałem sprawozdanie, zachowując sobie kopię. Następnego roku, w odpowiedzi na takie samo pismo, po prostu dodałem trochę do liczb z poprzedniego roku, aby wyglądało, że wydajność zwiększyła się. Nazywało się to metodą sufitową. Człowiek spoglądał na sufit, szukając tam natchnienia i pisał sprawozdanie. Zajmowało to kilka minut. Nie należało odpowiadać od razu. Taka gorliwość urzędnikom ministerstwa mogłaby się wydawać podejrzaną. Trzeba było zaczekać do pierwszego ponaglenia. Odkładanie odpowiedzi aż do drugiego ponaglenia było niepotrzebnym przeciąganiem struny. Należało unikać wychylania się w którąkolwiek stronę.

Opieka nad dziećmi powoli poprawiała się. Ministerstwo zaczęło dosyłać lekarzy, młode kobiety, które chciały się specjalizować w pediatrii. Pracowały w żłobkach, w ośrodkach zdrowia i na pół bądź ćwierć etatu w szpitalu. Z koleżanką zajmującą się noworodkami było nas siedmioro. Najcenniejszym nabytkiem

okazała się dr Krysia. Miała już za sobą spory staż w pediatrii, głowę na karku i mogła mnie zastąpić. Z pielęgniarkami też polepszyło się trochę. Przydzielono kilka młodych dziewcząt po sześciomiesięcznym kursie. Chyba nikt z personelu nie liczył sobie trzydziestu lat.

Coraz to wykrywałem niedokładności. Dzieci nie otrzymywały lekarstw i diety tak jak było przepisane. Poświęcałem dużo czasu, aby dojść do osoby, która popełniła błąd. Wymagało to uciążliwego wertowania różnych notatek i gryzmołów i przypominało przebijanie się przez gąszcz kolczastych pnączy, ale w końcu dało rezultat. Przekonałem załogę oddziału, że nie ustanę, aż odnajdę winowajcę, a raczej winowajczynię, bo poza mną żaden mężczyzna nie pracował na pediatrii. Ustanowiłem zasadę, że jeśli poinformowano mnie zawczasu o błędzie, nie było żadnych konsekwencji. Dzięki temu, po jakimś czasie, gdy wszyscy do tego przywykli, wiedziałem co się dzieje na oddziale, nawet gdy mnie tam nie było. W miarę moich ograniczonych możliwości robiłem pielęgniarkom drobne ułatwienia w sprawie urlopów, wolnych dni, dyżurów, bez względu na jakość ich pracy. Udało mi się uzyskać dwudziestoprocentowy dodatek zakaźny dla pracowników oddziału dziecięcego, gdyż udowodniłem, że połowa naszych pacjentów jest chora na gruźlicę i biegunkę. Dzięki temu pielęgniarki wołały pracować u mnie i mogłem wybierać te lepsze.

Największą karą dla tych, co nie spisały się dobrze, było posłanie winowajczyni do Wiery Kohn, przełożonej pielęgniarek. Bały się jej, choć nigdy nie podnosiła głosu. Byłem z nią w dobrych, choć ostrożnych stosunkach. Gdyby ktoś spośród znanych mi osób miał zagrać rolę Katarzyny Wielkiej w nieco zaawansowanym wieku, Wierę Kohn bym wytypował. Dość wysoka i nieco otyła, poruszała się z taką godnością, że nawet czepek pasował do jej głowy jak korona. Na jej biurku, zamiast przycisku, zawsze leżał oprawiony w twardą okładkę „Krótki kurs historii Wszechzwiązkowej Komunistycznej Partii (bolszewików)”, nieoficjalnego autorstwa Stalina. Jak sama oświadczyła, była kandydatem na członka partii. Przez swe towarzyskie powiązania i zapewne dzięki inteligencji, należała chyba do kliki trzęsącej miastem, a jeśli nie należała, to ocierała się o tych, którzy trzęśli. Nieraz ucieliśmy sobie pogawędkę na temat kultury i sztuki, obchodząc z dala wszystko, cokolwiek mogłoby nawet pośrednio zawadzać o politykę. Malarstwo wydawało się być bezpieczniejszym tematem od literatury, bardziej neutralnym, choć

nie tak neutralnym jak szachy, chyba żeby dyskusja zeszła na współczesne malarstwo radzieckie z portretami Stalina na czele. W szufladzie biurka trzymała kolorową reprodukcję obrazu Ajwazowskiego „Dziewiąta fala”, przedstawiającego rozbitków uciepionych zwalonego czerwonego masztu pośród zielonkawych fal wzburzonego morza. Z kolei ja wspomniałem Wereszczagina i Repina, aby dać do zrozumienia, że nie są mi obce osiągnięcia rosyjskiej kultury. Ani od innych, ani z własnych ust Wiery Kohn nigdy nie usłyszałem jednego słowa o jej przeszłości, jakby jej nie miała, jakby jej życie zaczęło się w Elblągu. Nasze rozmowy nie ograniczały się do tematów zawodowych i kulturalnych. Kiedyś namawiała mnie, abym zajął się żoną jednego z kolegów, której mąż był znacznie od niej starszy.

- To bardzo miła kobieta - zachęcała mnie przełożona pielęgniarek - potrzebuje wytarzać się w łóżku z młodym mężczyzną.

Raz wróciwszy z wakacji zastałem mętlik na moim oddziale. Najlepsze pielęgniarki zostały przeniesione gdzie indziej i zastąpione gorszymi. Poszedłem do przełożonej z awanturą. Odzyskałem dobre pielęgniarki, ale stosunki ochłodziły na zawsze. Zresztą niewiele zależało mi na jej poparciu. Gwiazda Wiery Kohn już zaszła po zmianach personalnych w szpitalu i w zarządzie miasta.

Z nastaniem zimy, z okien pociągu pomiędzy Elblągiem a Tczewem, widać było uprawne pola, z których jeszcze nie zebrano plonów. Jesienią władze organizowały akcje wykopkowe. W niedzielę jechało się do okolicznych PGR-ów wykopywać kartofle, buraki i cokolwiek znajdowało się w ziemi i nadawało się do jedzenia. Zespół wykopkowy powstał także na terenie szpitala. Po sześciu dniach pracy nikomu nie chciało się grzebać w ziemi, ale niebezpiecznie było odmówić. Typowano lekarzy, a nawet chirurgów, którzy protestowali, mówiąc, że jeśli skaleczą sobie rękę, to zainfekują pacjentów. Czasem brakowało gumowych rękawiczek i chirurdzy musieli używać jedwabnych, nie wiadomo przez kogo produkowanych i po co. Mnie nigdy nie wytypowano na te wykopki, których wyniki były mizerne. Brakowało narzędzi, transport nie dopisywał, deszcz padał. Uczestnicy zbyt się nie wysilali. Zapewne rezultaty byłyby lepsze, gdyby ludziom pozwolono zabrać to, co wykopali. Sami by pojechali bez przymusu, a tak to wszystko gniło na polach.

Brodacz Gruszczyński, który albo nabrał do mnie zaufania, albo po prostu był odważniejszy, bądź też mniej ostrożny niż sądziłem,

opowiedział mi o następującym wydarzeniu. Raz musiał powziąć decyzję w jakiejś sprawie leżącej poza zasięgiem jego władzy. Poszedł do przewodniczącego miejskiej rady narodowej i obaj postanowili poradzić się pierwszego sekretarza partii. W czasie audiencji obaj stali, a pierwszy sekretarz, ten podobny do Malenkowa, siedział. W tej samej sprawie musieli zasięgnąć opinii szefa UB. Szef siedział, a brodacze i sekretarz stali.

Kilka, jeśli nie kilkanaście razy do roku, z okazji rocznic ważnych w historii Związku Radzieckiego, Polski Ludowej i międzynarodowego ruchu robotniczego oraz z okazji czynów produkcyjnych, spędzano pracowników służby zdrowia do szpitalnej auli na masówki popularnie zwane nasiadówkami. W prezydium zasiadali partyjni dygnitarze, miejscowi i przybyli z Gdańska. Zaczynało się od składania hołdu Stalinowi i wystawiania przyjaźni polsko-radzieckiej. Gadulstwo ciągnęło się godzinami w auli coraz mroczniejszej od dymu papierosów. Do obowiązku zebranych pracowników należało żywiołowe i zamaszyste klaskanie w odpowiednich momentach, na co prezydium, zależnie od okoliczności, także nieraz odpowiadało klaskaniem. Widownia i prezydium klaskały razem, kiedykolwiek wyrażano wdzięczność lub poparcie Stalinowi i Związkowi Radzieckiemu. Sam Stalin, tylekroć widziany na ekranach, zasiadający pośrodku prezydium w składzie politbiura, tylko powściągliwie z lekka przyklaskiwał, zaledwie poruszając rękami w przegubie, podczas gdy widownia żywiołowo go oklaskiwała. Styl jego klaskania przejęło polskie politbiuro, od politbiura partyjne komitety wojewódzkie, od nich miejskie. Doszło do tego, że wszystkie prezydiuma nawet te na najniższym szczeblu władzy, w czasie masówek klaskały à la Stalin.

W czasie weekendów Elbląg dostarczał niewiele rozrywek. Można było pójść do kina, do baru bądź udzielać się towarzysko, spotykając z osobami, z którymi się pracowało. Latem było lepiej. Każdej niedzieli rano płynął statek do Krynicy Morskiej. Teren na północ od miasta był słabo zaludniony, częściowo z powodu wojennych zniszczeń. W lutym 1945 roku Rosjanie dotarli do morza odcinając znaczne niemieckie siły w rejonie Elbląga, na wschód od Wisły. Jedyna droga odwrotu na mierzeję, wiodła przez zamrożony Zalew Wiślany. Podobno pod cofającą się nocą niemiecką zmotoryzowaną dywizją załamał się lód. Rybacy pracujący na zalewie powiadali, że czasem, gdy wiatr ustanie i gdy powierzchnia wody nie marszczy fale, w słoneczny dzień widać pojazdy na

piaszczystym dnie. Szoferzy jeszcze siedzą za kierownicami, tak jak ich śmierć zaskoczyła.

Zwykle w sobotę wczesnym popołudniem, po pracy, wyrwałem się do Gdańska, gdzie z najbliższą rodziną i z przyjaciółmi mogłem rozmawiać bez samocenzury. Jechało się z przesiadką w Malborku. Trzy kwadranse pomiędzy pociągami wystarczały na odwiedzenie krzyżackiego zamku. Nikt się nim nie interesował, ani żywego ducha pośród murów i chwastów. Zawsze tam zachodziłem, chyba że deszcz padał. Poza porami roku nic się tu nie zmieniało. Ten sam most zwodzony nad pustą fosą. Kamienni wielcy mistrzowie nieruchomo wpatrzeni w ruiny swego zamku. Raz ich obrastały zieleń i polne kwiaty, to znowu obsypywał ich śnieg osiadając na ramionach i głowach, na kształt białych epoletów i białych hełmów.

W parterowym budynku w pobliżu szpitala mieściła się stacja pogotowia ratunkowego. Stąd karetki wyjeżdżały na miasto i tu zwoziły chorych. Na jednej sali badano pacjentów i udzielano pierwszej pomocy, druga sala służyła za punkt rekreacyjny załogi pogotowia w chwilach wolnych od zajęć. Grano tam w szachy, w karty, w warcaby. Wymieniano nowiny i plotki. Ponieważ nic ciekawego nie działo się w mieście, wielu pracowników szpitala po wypełnieniu swych regularnych obowiązków, odpocząwszy w domu, zachodziło do pogotowia, aby się rozerwać, pogadać. Czynności rekreacyjne przerywano, gdy tylko karetka przywiozła interesujący przypadek. Wówczas całe towarzystwo przechodziło z sali rekreacyjnej na salę, gdzie badano i leczono, aby po zaspokojeniu swojej ciekawości powrócić do poprzednich zajęć. Dla osób otrząskanych z chorobami i ludzkim nieszczęściem, interesujący znaczyło tyle co tragiczny - ktoś wpadł pod koła, ktoś zwariował i rozebrał się do naga. Wobec braku lekarzy pogotowia zatrudniano nawet takich, którzy już dawno powinni byli przejść na emeryturę. Jeden z nich, dr Wąsowski, krępy, niski, o szpakowatych włosach przyciętych na języka, liczył sobie dziewięćdziesiąt lat. Nawet nie bardzo pochylony, poruszał się energicznie jak na swój wiek, ręce trzymając zwykle splecione za plecami, a wzrok wbity w ziemię. Skupiony, rzadko kiedy wymieniał kilka słów ze współpracownikami i dlatego byłem zaskoczony, gdy raz zagadnął mnie na temat genealogii, czym się bardzo interesował. Oświadczył, iż przestudiował mój rodowód i odkrył, że Kurdwanowscy wywodzą się

z gór Kaukazu, z plemienia Kurdów. Nie zaprzeczyłem temu, a nawet dodałem, iż mam kuzyna nazwiskiem Godiaszwili.

Dr Wąsowski jeździł karetką pogotowia do domów. Albo wzrok mu nie dopisywał, albo jakieś inne były tego przyczyny, dość że prawie zawsze widział u chorego czerwone gardło i stawiał diagnozę - zapalenie migdałków. Dr Derken demonstrował, jak to sanitariusze stojący za plecami Wąsowskiego dawali znaki pacjentowi i jego rodzinie, aby nie brali poważnie tego, co doktor mówił. Młodszy od Wąsowskiego dr Gieschke, ledwo po osiemdziesiątce, też jeszcze pracował, aby, jak sam powiedział, nie umrzeć z głodu na emeryturze. Z urodzenia gdańszczanin, kiedyś był asystentem w Berlinie u sławnego profesora, cytował znane nazwiska. Wysoki, chudy, siwy, o krzaczastych, nawisłych brwiach. Czas bardziej wyrzeźbił jego twarz niż starszego Wąsowskiego. Gdy byłem dzieckiem, w naszym mieszkaniu wisiał obraz przedstawiający mężczyznę stojącego na pokładzie żaglowca nocą, przy pełni księżyca. Gdy usiłuję przypomnieć sobie doktora Gieschke, ukazuje mi się ta postać na pokładzie Latającego Holendra.

Najmłodszym nabytkiem w pogotowiu był dr Frol. Znałem go z wojska, z niedawnego pobytu w centrum wyszkolenia sanitarnego w Łodzi, gdzie wyszło na jaw, że donosił na kolegów. Chudy jak patyk, jadł za czterech i ciągle był głodny, jakby miał tuzin tasiemców. Ilekroć mnie zobaczył, bardzo był wylewny. Ja także udawałem. Dr Horst ubawił wszystkich, opowiadając jak to Frol skierował raz do szpitala pacjentkę w ciąży z diagnozą *GRAVIDITAS EXTRAUTERINA, BILATERALIS PRECIPUE DEXTRA* (ciąża pozamaciczna, obustronna, głównie po prawej stronie). Raz jeden z felczerów, a wielu z nich pracowało w pogotowiu, chcąc się popisać znajomością łaciny, postawił następującą diagnozę pacjentowi, który wypadł z tramwaju w biegu, doznając licznych obrażeń: *PROLAPSUS EX VEHICULO ELECTRICO*.

Szpital stracił jednego z młodych chirurgów wojskowych. Spieszyło mu się, więc aby nie tracić czasu skorzystał z okazji, że przewożono aresztantów karetką więzienną. W szoferce nie było wolnego miejsca, więc siadł sobie razem z więźniami. Po drodze karetka zderzyła się z innym pojazdem i benzyna eksplodowała. Drzwi od pomieszczenia w tyle podobno zacięły się, w każdym razie nie otworzono ich na czas i wszyscy spalili się żywcem z wyjątkiem dwóch ludzi w szoferce.

Do rozrywek, zwłaszcza zimą, należało grupowe spożywanie napojów wysokowych, bądź też na omawianiu plotek o tym co się działo w czasie tych towarzyskich zebrań. Latem otworem stały korty tenisowe i przyległy stadion, gdzie można było pograć, popatrzeć i porozmawiać. Pośród grona tenisistów, do którego należałem, dawałoby się wyodrębnić dwie kategorie. Do pierwszej, lepszej, należało dwóch graczy, do drugiej reszta. Kryterium podziału była umiejętność serwowania. W kategorii drugiej znaleźli się ci, którzy serwując plasowali piłkę nie tam gdzie trzeba, tracili punkty i przegrywali gema. Przywilej serwowania obracał się na ich niekorzyść. Słyszało się nieraz na korcie:

- Proszę bardzo, niech pani pierwsza serwuje.
- Dziękuję bardzo, niech pan serwuje.

Nikt się nie pchał do serwowania. Do kategorii pierwszej należało dwóch graczy o krańcowo odmiennych sylwetkach. Młodszy, dwudziestoletni, smukły, wysoki, w talii wąski jak osa, nieśmiały szatyn, migał po korcie jak żywe srebro. Drugi pod czterdziestkę, gruby, masywny jak blok granitu, o zarysach prostokąta, ważący dobrze powyżej stu kilo, poruszał się z trudem, bez pośpiechu i nigdy nie poderwał do biegu. Obaj odbijali się od większości swym strojem - ubrani odpowiednio do okazji, na nogach tenisówki. Noszenie sportowego obuwia o twardych obcasach i podeszwach było zabronione (choć nie zawsze tego przestrzegano), bowiem wybijały one dziury w gładkiej powierzchni kortu. W czasie mistrzostw Elbląga obaj panowie z kategorii pierwszej z łatwością doszli do finału. Grubas wygrał pierwszego seta, ale dostał zadyszki. Pomimo iż poruszał się powoli, zwykle znajdował się we właściwym miejscu, tam gdzie piłka padła, jakby z góry wiedział, gdzie padnie. Drugiego seta, bardzo sprytnie, oddał prawie bez walki. Wypoczął sobie. Wygrał trzeciego seta i mecz. W Elblągu, w przeciwieństwie do innych turniejów, w kategorii męskiej grało się tylko do trzech setów. Pośród tenisistów kręcił się chłopak bez zawodu, przyjazny, za bardzo przyjazny. Raz przyszedł w nowym garniturze, którego i ja bym chyba nie mógł sobie zafundować. Zacząłem podejrzewać go o szpiegowanie. Jakiś czas potem, starszy facet, instruktor, który często przychodził na stadion -znałem go tylko powierzchownie - wskazując oczyma chłopaka, szepnął do mnie: UB.

Elbląg zasłynął w kraju nie tylko tyfusem mysim. Mieliśmy dwie krajowe mistrzynie w jeździe szybkiej na lodzie, obie imieniem Lusja. Jedna z nich wyszła za mąż za tenisowego wicemistrza miasta.

Każdej niedzieli latem można było popłynąć parostatkem dawnym hanzeatyckim szlakiem do Krynicy Morskiej i tam wytarzać się na wydmach złocistego piasku i wypłuskać w półsłonej wodzie. Bałtyk jest wprawdzie małym morzem, ale gdy silny wiatr zawieje, powstają fale groźniejsze niż na Atlantyku, może nie tak wysokie, ale za to krótkie. Jedna drugą goni. Jedna cię uderzy, nim się otrząchniesz, druga już na tobie siedzi.

Pewnego poniedziałku cały szpital rozbrzmiewał rozmowami o strasznej tragedii. A było to tak:

Małżeństwo zamieszkałe w Elblągu miało trzy córki. Dwie starsze, studentki uniwersytetu w centralnej Polsce przyjechały do rodziców na letnie wakacje. W niedzielę cała rodzina wybrała się nad morze. Fale były zdradzieckie. Jedna z dziewcząt weszła do wody i zniosło ją. Siostra poszła ją ratować i obie nie mogły dobić do brzegu. Trzecia z sióstr wskoczyła do wody im na pomoc i wszystkie trzy utonęły. Zapadła już noc, gdy morze wyrzuciło topielice na brzeg. Przywieziono je do Elbląga i złożono w szpitalnej kostnicy. Wielu pracowników poszło je zobaczyć, ale dyrektor zabronił dalszych odwiedzin czy raczej oględzin.

Już na parę godzin przed wyprowadzeniem zwłok na cmentarz odległy o kilometr, tłum ciekawych zaczął się gromadzić obok szpitala. Nawet wieść o aresztowaniu pierwszego sekretarza partii, tow. Bieruta, pod zarzutem szpiegostwa na rzecz Ameryki, nie zdołałaby przyćmić zainteresowania pogrzebem. Zaledwie grupa pogrążonych w żałobie krewnych i przyjaciół topielic poprzedzana przez trzy trumny wyszła boczną bramą, czekający na ulicy tłum dołączył się. Niektórzy pracownicy szpitala opuścili swe stanowiska i także doszłusowali, a za nimi rój pacjentów w szpitalnych piżamach i szlafrokach. Podpierający się laskami i ci o kulach podążali w ogonie kolumny. Matka mojej pacjentki, spiesząc się na pogrzeb potknęła się na schodach w pobliżu domu grabarza i złamała nogę w biodrze. Po drodze na cmentarz znajdował się stadion sportowy, gdzie właśnie odbywał się mecz piłki nożnej pomiędzy miejscowymi drużynami. Ku zaskoczeniu graczy widzowie opuścili stadion i dołączyli do kolumny pogrzebowej. Tłum wypełnił cmentarz, trudno było docisnąć się w pobliże otwartego grobu. Ci co przyszli zobaczyć *finale grande* tej tragedii, nie zawiedli się. Ojciec dziewczyn rzucił się na trumny, nie mógł rozstać się z córkami, chciał być pochowany razem z nimi, ledwo go zdołano oderwać.

Przyjaciół podarował mi książkę Hansa Fallady „Każdy umiera

w samotności". Są to dzieje prostego człowieka, berlińskiego stolarza, samotnie podejmującego walkę z totalitarnym systemem u szczytu jego potęgi, w chwili kapitulacji Francji. Píše on karty oskarżające reżym hitlerowski i rozrzuca je po mieście. Mijają tygodnie, miesiące, lata. Prawie wszystkie karty szybko znajdują drogę do siedziby gestapo. Szczęście dopisuje stolarzowi, prześlizguje się przez oka zarzuconej na niego policyjnej sieci, aby w końcu zdradzić sam siebie. W trzypiętrowej kamienicy, gdzie mieszka, giną wszyscy. Pierwsza pani Rozentalowa, Żydówka, wyskakuje oknem, uciekając od oprawców. Ginie i sam stolarz zgilotynowany, i komisarz gestapo, który złapał go w swoją sieć. Piętro poniżej stolarza mieszka emerytowany radca kryminalny Fromm wypełniający czas czytaniem Plutarcha. I on ginie, od bomby. Zaciekało mnie, dlaczego radca na stare lata pasjonuje się Plutarchem, gdy dokoła umierają miliony, i kupiłem sobie „Żywoty Sławnych Greków i Rzymian”. Już we wstępie nazwano autora pogańskim lekarzem dusz. Powoli odkrywałem nieznany mi dotąd świat ludzi i ludów dawno minionych. Ludzi, dla których celem istnienia nie było dotrwanie do spokojnej starości, ale pełnia życia. Tylko niewielu doczekało się podeszłego wieku. Schodzili z tego świata przedwcześnie, w blasku sławy lub niesławy.

Aleksander Wielki, zanim jeszcze stał się Wielkim, szykując się do przeprawy z Europy do Azji przez Hellespont rozdał wszystko cokolwiek posiadał. Zapytany, czy zatrzymał coś dla siebie, odparł - nadzieję. Nie było nadziei, abym kiedykolwiek wy dostał się na otwarty świat.

W domu moim towarzyszem był Julian Sorel z „Czerwone i Czarne”. Książka Stendhala leżała na moim stoliku nocnym i zwykle przed zgaszeniem światła otwierałem ją na chybił trafił aby przeczytać kilka stron. Podobnie jak i on, znajdowałem się prawie na dnie społeczeństwa i bez widoków na przyszłość. On jednak, dzięki przebiegłości i żelaznej woli osiągnął wyżyny paryskiej elity.

Od Paryża, miasta moich snów, zamieszkałego przez postacie z historii i z literatury, które jakbym znał osobiście przedzielały mnie linie drutów kolczastych, pola minowe, tysiące żołnierzy, tysiące luf.

Pewnego dnia, po paru kieliszkach mój przyjaciel, dr Ślaski, wyjawiał mi rąbek cudzej tajemnicy, a mianowicie, że nasz kolega dr T., młodszy asystent na oddziale chirurgii dziecięcej wcale nie nazywa się T. Docent Maciejewski, szef dziecięcej chirurgii miał czterech asystentów, którzy dopiero co zaczęli praktykę w tej

dziedzinie. Potrzebował kogoś z klinicznym doświadczeniem na stanowisko adiunkta, zdolnego zastąpić go w razie potrzeby. W końcu zaangażował starszego lekarza z odpowiednim stażem, doktora Z. W tym momencie zaczyna się coś, co mogło się źle skończyć. Doktor T., jakoby rodem ze Lwowa, zanim został lekarzem, był dowódcą kompanii we Włoszech w korpusie generała Andersa. Wracając do Polski zaopatrzył się w dokumenty na inne nazwisko, aby zatrzeć ślady swej przeszłości. Otóż dr T. poznaje w doktorze Z., swym nowym zwierzchniku, żołnierza swojej kompanii. Nazwiska jego nie pamięta, i dlatego nie jest pewien czy dr Z. nazywał się Z. będąc żołnierzem u Andersa. Po radzie z moim przyjacielem, doktorem Śląskim, dr T. postanawia udawać, iż nie poznaje doktora Z. Sam jest przekonany, że dr Z. poznał go, bo jakby można było zapomnieć swojego dowódcę, zwłaszcza takiego, który odznacza się niewyparzonym pyskiem. W czasie wizyt w Akademii Medycznej nieraz spotykam doktora T. Oczywiście, nie przyznaję się do tego, co wiem. Mam nadzieję, iż dr Śląski, wstydząc się swego gadulstwa w stanie niezupełnie trzeźwym, także nie przyznał się doktorowi T., że podzielił się ze mną jego sekretem. Gdyby dr T. wiedział, że ja wiem, to w razie aresztowania, przy torturach, mógłby to wyjawić. Wtedy nie tylko poszedłbym siedzieć za to, że go nie wydałem, ale bezpieka zaczęłaby grzebać w mojej przeszłości. W rozmowach z doktorem Śląskim, a widywałem go codziennie, ani razu nie wróciłem do sprawy doktora T. Może Śląski nie pamiętał, że się wygadał? Nie chciałem mu tego przypominać.

Skończywszy „Żywoty sławnych mężów” Plutarcha kupiłem sobie „Moralia”. W jednym z rozdziałów autor podaje wiele przykładów powściągliwości w języku i skutków braku kontroli nad własnym gadulstwem. A oto jeden z nich: „Komediodpisarz Filipides odpowiedział królowi Lizymachowi, który mu okazywał serdeczność i pytał:

- Czego mam ci udzielić z tego, co posiadam?
- Czego chcesz, królu, byleby nie twych sekretów”.

Pewnego razu na stacji w Malborku wchodzę do przedziału, siadam, rozglądam się po pasażerach i rozpoznaję znajomego, kuzyna mojego przyjaciela. Widziałem go ostatni raz przed siedmiu laty, wkrótce po zakończeniu wojny. Zacząłem się dopytywać co robi, trochę też o sobie powiedziałem. Pociąg zbliżał się do Elbląga, więc poprosiłem o jego adres. Wyjąłem notatnik i zapisałem: Kowalski, ulica taka a taka, numer taki a taki. Nie pamiętałem nazwiska, ale coś

mi się „Kowalski” nie zgadzał. Spoglądał na niego, a on mi patrzy prosto w oczy bez mrugnięcia. Cały przedział pełen ludzi. Domyśliłem się, że to fałszywe nazwisko. Nigdy nie poszedłem go odwiedzić. Może nawet dał mi fałszywy adres. Po namyśle kartkę z notatnika wydarłem i zniszczyłem. Po paru latach dowiedziałem się prawdy od mojego przyjaciela. „Kowalski” w 1945 roku był dowódcą plutonu. Pewnego dnia, już po zakończeniu wojny, żołnierze zgłosili się do swego porucznika z „meldunkiem”:

- Panie poruczniku nie będziemy więcej komunistom służyć, idziemy do domu.

Zrzucili mundury i poszli, niektórzy z bronią, do lasu. Miał do wyboru - albo natychmiast powiadomić wyższe władze wojskowe o planowanej dezercji, albo samemu zrzucić mundur, co uczynił.

Raz w pociągu młody chłopak stał obok mnie. Wdaliśmy się w rozmowę. Właśnie wracał z komisji wojskowej i starał się o odroczenie. Opowiadał o swojej narzeczonej. Czas jazdy pomiędzy Malborkiem a Elblągiem wypełnił głównie mówieniem, a ja słuchałem. Minał rok, zobaczyłem go w tramwaju. Podchodzę i dla żartu mówię „dzień dobry”.

Odpowiedział „dzień dobry”, ale nie poznał mnie.

- Dostał pan odroczenie - powiadam i powtarzam mu to, co przed rokiem wygadał w pociągu na temat swych zobowiązań wobec służby wojskowej, w czym zresztą nie było nic nielegalnego. Zaniepokoił się, że tyle o nim wiem, a on nie wie, kim jestem. Dalej pytam się o jego narzeczoną, zapamiętałem kilka szczegółów o niej. Widzę, że zdenerwowany, ale nie przyznaje się, że mnie nie zna i próbuje podtrzymać konwersację. Pewnie wziął mnie za ubowca. W końcu nie chciałem go więcej dręczyć, powiedziałem mu prawdę. Zaczął się śmiać.

Pogorszyło się zaopatrzenie rynku w żywność, a zwłaszcza w mięso. Dopiero co generał Eisenhower został wybrany prezydentem Stanów Zjednoczonych. Mówiono, że szykuje się wojna i że rząd produkuje konserwy i magazynuje je dla przyszłego użytku wojska, niewiele zostawiając dla ludności. Właśnie wtedy gruchnęła wieść o aresztowaniu grabarza. Mieszkał on z rodziną w małym domku przy bramie cmentarnej. Okoliczności aresztowania miały być następujące:

Kilkuletnia dziewczynka umarła i została pochowana w Elblągu. Pewnego razu rodzice przyjechali odwiedzić jej grób i wchodząc na cmentarz zobaczyli dziecko grabarza bawiące się lalką ich córki,

lalką którą włożyli do trumny. Powiadomili milicję. Grabarz twierdził, że sam kupił lalkę w sklepie. Niemniej otwarto grób, trumna była pusta. Dopiero wtedy grabarz przyznał się, iż nocą wykopywał świeżo pochowane zwłoki i ludzkim mięsem tuczył świnię, które potem sprzedawał. Zaciekawieni mieszkańcy Elbląga pomknęli na cmentarz zobaczyć odkopany grób i ku swemu zaskoczeniu natknęli się na grabarza. Wielu uważało, iż zwolniono go celem zatuszowania tej cmentarnej afery, rzucającej ponury cień na obyczaje i stan wyżywienia społeczeństwa żyjącego pod socjalizmem. Plotki tak przybrały na sile, zwłaszcza wobec milczenia władz, że władze były zmuszone zaprzeczyć plotkom, co wcale nie przekonało niedowiarków. Wprost przeciwnie. Władze miały już długą tradycję kłamania, ich oświadczenia czytano na odwrót. Dementi więc dołało tylko oliwy do ognia, dodając mocy plotkom. Nawet o samobójstwach nie wolno było pisać w gazetach, a co dopiero o karmieniu świń trupim mięsem. Przez wiele miesięcy, nawet już po opadnięciu fali plotek, niemal każdego dnia grupka osób wystawała w bezpiecznej odległości, po drugiej stronie ulicy, na wprost bramy cmentarnej, najwidoczniej wyczekując ukazania się grabarza. Zwłaszcza w dni targowe po południu, we wtorki i piątki, gdy okoliczni rolnicy po sprzedaniu swych produktów zachodzili pod cmentarz przed powrotem do domu.

Obok nowego polskiego cmentarza rozprzestrzeniającego się poziomo, znajdował się stary cmentarz niemiecki rosnący wzwyż. Nikt tam nie zachodził, nie było świeżych wieńców na grobach. Za to tu i ówdzie pieńły się polne kwiaty, a najbardziej rozrastały się drzewa i krzewy, od lat nie przycinane. Cisza panowała taka, że słyszało się echo własnych kroków. Cmentarz przypominał lilipucie miasteczko; rodzinne mauzolea w kształcie domków, maleńkie kapliczki jak miniaturowe kościoły, a wszystko murowane lub wykute w kamieniu, solidnie zbudowane, jakby miało przetrwać do dnia sądu ostatecznego. Pnącza i winoroślą oplatały krzyże, pomniki, mauzolea. Przy głównej alei stała obszerna kaplica. Wewnątrz widać było zacieki od deszczu, tynk kruszył się i odpadał. Zachował się jednak czarny napis gotykiem:

*ALLE DIE AN IHN GLAUBEN NICHT VERLOREN WERDEN
SONDERN DAS EWIGE LEBEN HABEN.* Wszyscy, którzy w Niego wierzą, nie zginą, ale będą mieli życie wieczne.

Ilekoć odwiedzałem cmentarz, zachodząc do kaplicy odczytywałem te słowa, czasem na głos, i ciche echo szeptem

odbijało się od półkolistego sklepienia. Wizyty na cmentarzu musiały dla mnie coś symbolizować, być może ucieczkę od zakłamanej teraźniejszości, otoczonej drutem kolczastym, wypełnionej brzydotą, portretami opryszków i czerwonym suknem. Ten cmentarz z gotyckimi napisami, w obcym języku przypominał mi, że istniał i wciąż gdzieś istnieje inny świat, którego nigdy nie zobaczę.

Otworzono żłobek dla pracowników UB i milicji. Wydział zdrowia zwrócił się do mnie, abym wziął go pod swoją pieczę. Niebezpiecznie było odmówić, a jeszcze gorzej przyjąć tę pracę. Wiedzieli, że byłem w Armii Krajowej i gdyby mi się w czymkolwiek powinęła noga, od razu zarzucono by mi sabotaż, a do tego zaczęliby się grzebać w mojej przeszłości i mogliby dogrzebać się „bandy Błyska”, co by mi groziło karą śmierci. Jedyńm poza mną kandydatem do przyjęcia na to „eksponowane” stanowisko była dr Krysia, moja zastępczyni. Ostateczną decyzję w sprawie zatrudnienia kogokolwiek na terenie policyjnym podejmował szef UB.

We wskazanym dniu razem z Krysią zgłosiliśmy się w budynku UB przy ulicy Kolejowej. Z wartowni małe okienko wychodziło na poczekalnię. Po wylegitymowaniu cywilny strażnik doprowadził nas na górę do gabinetu szefa. Był to obszerny mroczny pokój. Na ścianie wisiał portret ministra bezpieczeństwa, Radkiewicza. Na ogromnym biurku stało z dziesięć telefonów. Szef przywitał nas bez podania ręki. Był to postawny, wysoki mężczyzna, dość przyjemny w obejściu, zdawało się - człowiek wykształcony. Zaskoczyło mnie to, oczekiwałem pospolitego opryszka. Rozmowa zajęła nie więcej niż dziesięć minut. Podczas gdy szef i my oboje siedzieliśmy, z boku pod ścianą cały czas stał cywil, nie odezwawszy się ani słowem. Uzgodniliśmy z szefem, że jedno z nas podejmie się pracy w żłobku i damy mu znać kto. Zaraz po wyjściu z UB naradziliśmy się na ulicy. Żadne z nas nie chciało tej pracy. Każde z nas miało, jak to się mówiło, garb. Ja - AK, Krysia - wujka rozstrzelanego przez bolszewików w 1939 roku. UB o tym wiedziało i dlatego doświadczyła różnych trudności. Było to gorszym obciążeniem niż przynależność do AK. Żadne z nas nie mogło oficjalnie odmówić, nie narażając się władzom. Krysia była równą dziewczyną, można z nią było konie kraść. Przedstawiłem jej naszą sytuację następująco: ciebie z powodu wujka na pewno nie przyjmą, a mnie pomimo AK mogą przyjąć. Ty więc dobrowolnie zgódź się na objęcie żłobka, wobec tego ja nie będę musiał odmówić, a ciebie odrzucać. W ten sposób oboje wykręcimy się. Krysia zgodziła się. Po pół godzinie wróciłem

sam do UB. Mijając okienko między wartownią a poczekalnią, nie zwalniając kroku rzuciłem - do szefa. Nikt mnie nie zatrzymał. Poszedłem do gabinetu, szefa już nie było. Poinformowałem sekretarkę, że Kryśka podejmuje się pracy w żłobku. I stało się jak planowaliśmy, odrzucono nas oboje. Gdy opowiadałem znajomym, jak idąc do szefa, przeszedłem kontrolę w wartowni, nie chcieli mi wierzyć. Był to zapewne najbardziej strzeżony budynek w Elblągu, choć na zewnątrz nie było wartownika.

Na kortach poznałem dyrektora banku. Kiedyś - sądzę że w zaufaniu - powiedział mi, iż po wypłacie, w ciągu tygodnia prawie wszystkie pieniądze wracają do banku. Zastanawiał się, z czego ludzie żyją przez następne tygodnie do wypłaty. Jeden z mieszkańców Elbląga otrzymał powiadomienie z francuskiej ambasady o nadejściu czeku na jego nazwisko. Miał się zgłosić do ambasady osobiście po odbiór pieniędzy. Oczywiście nie uczynił tego, albowiem wejście do jakiegokolwiek przedstawicielstwa kraju nie należącego do bloku sowieckiego równało się aresztowaniu, jeśli nie przy próbie wejścia, to na pewno po wyjściu. Obywatel ów napisał do ambasady, prosząc o przesłanie pieniędzy na jego adres domowy. Ambasada odmówiła. Francuzi nie zgadzali się na przeliczanie z franków na złote według kursu ustalonego przez komunistyczny rząd i chcieli mu dać całą sumę we frankach. Dalej ich nie obchodziło, co z nimi robi. Wobec odmowy ambasady zwrócił się do elbląskiego banku o pośrednictwo. Dyrektor banku też obawiał się wpłatać w sprawę, która mogła zakończyć się oskarżeniem o szpiegostwo, zwrócił się więc do miejscowego urzędu UB o zaopiniowanie. UB z kolei przekazało tę sprawę Warszawie.

Kontrola policyjna tak się zaostrzyła, że na Wybrzeżu tylko niektóre odcinki plaży były udostępnione publiczności, i to jedynie za dnia w określonych godzinach. Aby pojechać w Tatry, trzeba było mieć przepustkę z milicji. Zastanawiające, dlaczego Stalin, tak czujnie strzegący granic swojego imperium, zostawił wolne przejście pomiędzy wschodnim a zachodnim Berlinem, którym już milion ludzi uciekło na drugą stronę. Wydawało mi się, że robi to celowo, by opróżnić Wschodnie Niemcy z ludzi i osiedlić tam swoich.

W prasie rozpętała się kampania przeciw kułakom czyli bogaczom wiejskim. Mój znajomy, całe życie mieszkający w mieście, napisał opowiadanie o walce klasowej na wsi. Chłop biedniak wstępuje do kołchozu, średniak po dłuższym wahaniu dołącza do biedniaka. Bogacz wiejski sabotuje ich wysiłek, zjednoczeni biedniak

i średniak niszczył bogacza, pomaga im UB. Pierwszej nagrody wprawdzie nie dostał, ale otrzymał list pochwalny. W prasie zaczęły się ukazywać karykatury bogacza wiejskiego, przedstawiające go zwykle w formie krzyżówki człowieka z pajakiem. Takie same widywałem w czasie wojny w piśmie Waffen SS „Der Stiirmer” przedstawiające Żydów, a czasem i katolickich księży. Nie mógł to być przypadek, zapewne je kopiowali.

W całym kraju, jak grzyby po deszczu, pojawiły się kursy nauki jazdy samochodem. Wobec groźby zbliżającej się wojny po wybraniu Eisenhowera na prezydenta Stanów Zjednoczonych, rządowi najwidoczniej zależało na wyszkoleniu wystarczającej ilości szoferów. Wskazywały na to instrukcje dla państwowych przedsiębiorstw. Zapisalem się na kurs składający się z części teoretycznej o budowie i funkcjonowaniu samochodu oraz praktycznej - nauki jazdy. Wykłady i pokazy odbywały się wieczorami w obszernej świetlicy. Kandydaci na szoferów pochodzili z różnych klas bezklasowego społeczeństwa. Od młokosów - rybaków w gumowych butach aż do samej pachwiny, którzy przyjeżdżali na lekcje aż z Zalewu Wiślanego, do inteligentów z uniwersyteckim wykształceniem. W toku wykładów nieoczekiwanie doszło do spięcia natury politycznej. W dyskusji na temat pierwszeństwa jazdy, instruktor poinformował słuchaczy, iż pierwszeństwo i prawo używania specjalnego sygnału posiada tylko straż pożarna, karetka pogotowia i samochód prezydenta Polski, Bolesława Bieruta. Ktokolwiek usłyszy ten sygnał, musi ustąpić drogi. Na to wstał jeden z uczniów i zapytał:

- Kto będzie miał pierwszeństwo, jeśli na to samo skrzyżowanie wjadą jednocześnie straż pożarna i prezydent Bierut?

Nie w ciemię bity wykładowca, zamiast samemu nadstawić karku, zwrócił się do sali, aby zyskać na czasie. Na to poderwał się jeden z rybaków i zawołał:

- Prezydent Bierut ma pierwszeństwo, bo jak się spóźni, to cała Polska może się spalić.

Na zakończenie kursu wykładowca przedstawił słuchaczom instruktora jazdy.

- Jest wymagający - rzekł - ale ma wasze dobro na sercu.

Zdanie teoretycznego egzaminu wcale nie było łatwe, bowiem należało szybko rozpoznawać różne części motoru. Przypomniało mi to egzamin z anatomii, gdy profesor podrzucał kość i musiało się w locie odgadnąć czy to prawa, czy lewa. Zaczęły się zajęcia

praktyczne. Wczesnym rankiem, załatwiwszy sobie w dyrekcji szpitala, że będę się nieco spóźniał do pracy, szedłem pod willę, gdzie na piętrze zamieszkiwał instruktor, przedwojenny wicemistrz w wyścigach samochodowych. Tak go nam w każdym razie przedstawiono. Umawiałem się pod jego domem między siódmą a ósmą rano, ale prawie nigdy go tam nie było o ustalonej godzinie, należało go obudzić. Trudność polegała na tym, że dzwonek na dole nie był wystarczająco głośny. Musiałem wykorzystać siłę własnego głosu, a gdy i to nie pomagało, walić w drzwi na parterze pięścią i butem. Trwało to czasem i trzy kwadranse. Podejrzywałem, że słyszał, ale nie chciało mu się wstać z łóżka. Wicemistrz zresztą zawczasu ostrzegł mnie, iż natura obdarzyła go twardym snem i poradził, abym nie dawał za wygraną. Mówiono, że wieczorami pociągał z butelki, choć w mojej obecności nigdy nie powiało od niego wódką. Gdy wicemistrz wyszedł w końcu z domu, przystępowaliśmy do uruchomienia silnika. On zasiadał za kierownicą, a ja kręciłem korbą, trzymając ją według regulaminu czterema palcami, z kciukiem na bok, aby go nie urwało, gdyby motor odpalił wstecz. Zastartowanie tego starego forda z czasów przed dojściem Hitlera do władzy nie przychodziło łatwiej niż budzenie wicemistrza. Bywało, że gdy mi ręka od kręcenia omdlała, on szedł do korby, a ja za kierownicę. Rano miałem możliwość pojeździć dłużej, będąc jedynym „studentem”. Po południu brał on do samochodu po trzech uczniów naraz. Wicemistrz miał mało zrozumienia dla cudzych niedociągnięć. W garści dzierżył wielki klucz, którym wymachiwał, wytykając błędy swym uczniom i podobno niejednemu przyłożył po łapach. Na kursie poznałem trzydziestoparolatka, inżyniera, który wciąż mieszkał z matką i ciągle o niej opowiadał. Tak go zdeprymowało to wymachiwanie kluczem, że zrezygnował z dalszych lekcji. Nie on jeden. Nie służywszy nigdy w wojsku i nie zakosztowawszy więzienia, wielu nie wyrobiło sobie odporności na pogroźki i wyzwiska.

Przyszedł dzień ostatecznego egzaminu. Cała komisja zjechała z Gdańska. Egzamin odbywał się w rejonie rozległego placu w centrum miasta, po części otoczonego ruinami z czasów wojny i przeciętego szynami kolejowymi. O ustalonych godzinach widywało się tam pociąg, a czasem tylko sam parowóz, który podzwaniając i pogwizdując posuwał się jak żółw. Przed parowozem maszerował kolejarz wymachując czerwoną chorągiewką. Egzamin początkowo szedł mi dobrze. Pierwszy błąd popełniłem, usiłując zaparkować

elegancko przy samym chodniku i stuknąłem w krawężnik. Speszony, za szybko ruszyłem, motor zgasł i ford stanął na samych szynach. Pociąg mógł nadjechać wkrótce, ale nie było czasu na próbę zastartowania motoru korbą. Wyskoczyłem więc z samochodu i zepchnąłem go z szyn. Po pół godzinie dowiedziałem się, że mnie oblali, za to zdałem egzamin na prawo jazdy motocyklem, którym nigdy przedtem ani potem nie jeździłem. Dr Horst zdał, egzaminator od razu poznał w nim zawodowego szofera.

Jak dalekie echa dochodziły do Elbląga wiadomości o politycznych procesach i wyrokach śmierci w stolicach krajów demokracji ludowej. Stalin pozbywał się swych marionetek, jeśli wzbudziły w nim niechęć, i zastępował je innymi. Miało się już ku końcowi 1952 roku, gdy wybuchła „prawdziwa bomba”. Moskwa oznajmiła o wykryciu spisku lekarzy, którzy mordowali czołowych przywódców komunistycznych. Wymieniono nazwiska ofiar. Osobiście przyjąłem to z zadowoleniem jako zapowiedź wielkiej czystki. Przyszedł czas na rzeźników - iść pod nóż.

Wyobrażałem sobie taką scenę w sądzie. Błady Bierut przyznaje się, że przed wojną był agentem dwójki, a w czasie wojny współpracował z niemieckim okupantem i planował oddać Niemcom Ziemię Odzyskane. A może mu jeszcze udowodnią seksualne związki z nieletnimi. A Bermiana oskarżają, iż skazywał na śmierć niewinnych patriotów, aby podważyć zaufanie narodu do partii i zniweczyć przyjaźń polsko-radziecką, a także o szpiegostwo na rzecz Ameryki i o skupywanie złota. A jak się ci „wielcy” będą kajać i przyznawać do popełnionych i nie popełnionych zbrodni! I jak się będą wzajem oskarżać! Moim zdaniem, podobnie jak i innych, aresztowani radzieccy lekarze wcale nie byli niewinnymi ofiarami nowej czystki. Kręcąc się koło kremlowskich wyżyn, żyli w luksusie, a poza leczeniem zapewne także zajmowali się zabijaniem swych pacjentów na polecenie Stalina. Podpisywali fałszywe świadectwa zgonów ludzi mordowanych w czasie śledztwa przez NKWD. (To samo już się działo w Polsce). Pod ich nazwiskami wydawano podręczniki lekarskie. Kolegom lekarzom z wojskowego szpitala kazano wyrwać strony tytułowe z podręczników przetłumaczonych na polski, jeśli jako autor figurował w nich jeden z oskarżonych. Zastępca Berii, szefa policji i najpotężniejszego człowieka po Stalinie, „ustąpił” ze swego stanowiska, a na jego miejsce Stalin mianował innego. Wyglądało na to, że i sam Beria będzie aresztowany.

A tu nagle dowiedzieliśmy się, że Stalin zapadł na zdrowiu. Specjalny komunikat poświęcony jego chorobie, ogłoszony w Moskwie, zawierał także wyniki badań laboratoryjnych. Treść komunikatu niewiele miała sensu z medycznego punktu widzenia. Jedno było oczywiste - musiało być z wodzem źle. Natychmiast zarządzono zebranie wszystkich lekarzy. Odkonano się ono w szpitalnej auli, tym razem ścian nie pokryto czerwonym suknem. Z Gdańska, jako prelegent, przyjechał dr Krajewski. Zaczął swoje przemówienie od stwierdzenia, że wszyscy jesteśmy wstrząśnięci chorobą Stalina, wielkiego przyjaciela Polski. Po krótkim wstępie odczytał komunikat moskiewski, którego treść i tak już znaleźliśmy z radia. Zaledwie skończył, powstał dr Gieschke, osiemdziesięcioletni gdańszczanin.

- Chciałbym zadać pytanie koledze Krajewskiemu - oświadczył, i nie czekając na reakcję Krajewskiego ciągnął dalej: - Ja nie rozumiem, dlaczego jest tyle limfocytów w rozmazie krwi, sądzę, że powinno być mniej... i coś jeszcze więcej na temat wyników laboratoryjnych i diagnozy.

Gieschkiemu chyba pomieszało się w głowie i wziął to zebranie za zwykłe posiedzenie lekarskie, gdzie dyskutuje się trudniejsze i ciekawsze przypadki. Kto wie czy prelegentowi w tym momencie nie przypomniało się więzienie, z którego niedawno wyszedł. Z ciekawością czekałem, jak on spróbuje z tego wybrnąć. Krajewski utkwił wzrok w Gieschkiego, który zamiast usiąść, wciąż stał, wysoki, chudy, siwy, pomarszczony.

- Kolego Gieschke - podniósł głos Krajewski - ja wam na to pytanie nie odpowiem.

Po dwóch dniach - generalissimus, wielki motorniczy radzieckiej lokomotywy, językoznawca, chorąży pokoju, przywódca klasy robotniczej całej planety, wódz ludów radzieckich, o którym wciąż nowe pieśni układa nasz wiek - obrócił się w próchno.

Po śmierci Stalina we wszystkich polskich miastach odbyły się symboliczne pogrzeby. Zwykle w czołówce żałobnego pochodu szła osoba okazująca objawy nieutulonego żalu w postaci szlochania, szarpania włosów i drapania twarzy zgodnie z tradycją zawodowych płaczków, dotąd nieznaną wśród Polaków.

W Elblągu kondukt żałobny pracowników szpitala prowadziła salowa, niska i czarniawa, sekretarz podstawowej organizacji partyjnej. Zanosila się płaczem i szarpała swe włosy czy też się drapała. Usłyszałem od kolegi z Warszawy, że lekarka z kliniki

dziecięcej na Litewskiej, członkini partii, idąc w czołe grupy pracowników szpitala roniła łzy i też się drapała czy szarpała.

Zastanawialiśmy się, kto obejmie tron po Stalinie. Jak dotąd hierarchia władzy była widoczna podczas ważnych uroczystości w Moskwie, gdy członkowie politbiura wchodzili na salę obrad. Pierwszy Stalin, za nim zawsze w tej samej kolejności: Mołotow, Malenkow, Beria, Woroszyłow... Chruszczow gdzieś przy końcu. Na trybunie w czasie defilad Stalin stał (lub siedział) pośrodku, pomiędzy Mołotowem i Malenkowem, a pozostali członkowie politbiura, im mniej ważni, tym dalej od Stalina. Doszły słuchy, że w czasie defilady pierwszomajowej dwa miesiące po śmierci Stalina, Beria spóźnił się nieco, przyszedł gdy wszyscy członkowie politbiura już stali na trybunie i wsunął się pomiędzy Mołotowa i Malenkowa. Dla milionów ludzi, którzy maszerowali przed trybuną, którzy oglądali defiladę na filmach, widzieli trybunę na fotografiach, mogło to znaczyć, że Beria jest następcą Stalina.

Wiele dzieci ginie z powodu błędnych diagnoz, najłatwiej postawić poprawną, gdy już za późno na wyleczenie. U niemowląt ropne zapalenie opon mózgowych sprawiało największe trudności diagnostycznych. U starszych dzieci - gruźlicze zapalenie opon i ostre zapalenie wyrostka robaczkowego. Zdarzyło się to i mnie, gdy pracowałem jeszcze w Akademii Medycznej w Gdańsku. Byłem na ostrym dyżurze, izba przyjęć zawałona chorymi dziećmi, dla których nie ma łóżek. Badam dziewczynkę pięcioletnią - chora już drugi dzień, ból brzucha, biegunka, wymiotowała. Już dostała na przeczyszczenie i sulfathiazol. Brzuch miękki. Jeśli ją przyjmę, muszę położyć na korytarzu. Postawiłem diagnozę *enteritis* (zapalenie jelit).

Rodzice mili, kulturalni. Odesłałem ją do domu z poradą, aby dalej zajął się nią lekarz domowy. Tydzień później, na kilka godzin przed śmiercią, przyjęto ją na chirurgię w końcowym stadium zapalenia otrzewnej. W ciągu pierwszych dwóch dni widziało ją ze dwunastu lekarzy, żaden nie poznał się na jej chorobie. Ostatni, znany i wzięty konował, przepisujący na wszelkie dolegliwości modny antybiotyk, leczył ją przez tydzień zastrzykami penicyliny. Rodzice zaskarżyli do sądu wszystkich lekarzy z wyjątkiem konowała. Było to już drugie dziecko, które stracili. Pierwsze dostało zakażenia meningokokiem połączonego z krwawą wysypką. Lekarz rozpoznał odrę.

Często prosiłem doktora Śląskiego na konsultacje. Był dobrym diagnostą, nie upierał się przy swoim, gdy początkowo pomylił się i przyznawał się, gdy nie wiedział.

Okulistką była miła dr Sobieska. Razem opisaliśmy przypadek powikłań ocznych u niemowlęcia po szczepieniu BCG. Jeśli chodzi o szczepienia nie wolno było używać słowa „komplikacja”. Skoro szczepiono na polecenie rządu, nie mogło być komplikacji czy powikłań, więc z tytułu publikacji musieliśmy usunąć to słowo. Zresztą i gazetom nie wolno było drukować złych wiadomości. Gwałty, morderstwa, samobójstwa, katastrofy kolejowe zniknęły ze szpałt prasy.

Lekarze mają zwyczaj zabawiać się, opowiadając sobie dziwaczne przypadki. Raz zgłosił się do dr Sobieskiej pacjent użalający się na pogorszenie wzroku w jednym oku. Przy badaniu okazało się, że był ślepy na drugie oko, o czym nie wiedział. Na oddziale wewnętrznym leżał ciężko chory mężczyzna z ropniem płuca. Raz krztusząc się wypluł kłos żyta, który był przyczyną ropnia. Człowiek ten w czasie pracy w polu nie zauważył, że mu wpadł do płuca cały kłos i zgłosił się do lekarza, dopiero gdy dostał gorączki.

Od czasu do czasu wydarzało się coś zabawnego, o czym wieść obiegała szpital lotem błyskawicy. Raz bohaterem była magister, kierowniczka laboratorium, pani w turbanie. A oto co się wydarzyło:

Właśnie wniesiono do szpitala zalanego krwią pacjenta, który wpadł pod tramwaj. Dr Dąbski zażądał określenia grupy krwi. Pani w turbanie wbiegła na salę operacyjną i, najwidoczniej doznawszy wstrząsu na widok zmasakrowanego człowieka, chwyciła go za rękę, by naciąć palec celem pobrania krwi i woła:

- Skąd mam wziąć krew?

Na to retoryczne pytanie, dr Dąbski natychmiast ripostuje swoim powolnym basem:

- Z dupy, proszę pani.

W domu dziecka infekcje wygasły, śmiertelność na oddziale zmniejszyła się. Zainteresowanie władz Elblągiem powoli opadało. Wśród pediatrów i epidemiologów miasto zdobyło sobie reputację centrum tyfusu mysiego w Polsce. Poprzednio, gdy kryzys wybuchł, coraz ważniejsze osobistości zjeżdżały, aż do wizyty członka KC z Warszawy. Z upływem czasu coraz to mniej ważni inspektorzy zjawiali się, a było ich tylu, że unikałem ich jak zarazy. Pomóc nie pomogli, a zaszkodzić mogli. Przed ich przybyciem wymykałem się

ze szpitala. Było to o tyle łatwiejsze, iż pojawiali się zwykle po południu. Miałem więc dobry pretekst, że wyszedłem w sprawach służbowych, rzekomo nie wiedząc o ich zamierzonej wizycie. Oddziałowa pielęgniarka Zosia znakomicie wyręczała mnie „wylewając pomyje” na głowy inspektorów:

- Tego nie mamy, tamtego nie mamy, tego nam potrzeba.

Pełniła tę rolę lepiej ode mnie. Ja w oczach inspektorów byłem podejrzanym inteligentem i to z akowskim obciążeniem, podczas gdy ona bardziej reprezentowała lud. Wymykałem się ze szpitala tą samą zapającą, nie używaną klatką schodową, którą niegdyś Piszczek zakradał się nocą do laboratorium.

Raz personalny szpitala Baster, gdy zaszedłem do jego gabinetu, powiedział mi:

- Mówią, doktorze, że wychodzicie wcześniej ze szpitala.

Już zacząłem się bronić i dopiero po chwili odgadłem, że mnie nie oskarża, ale ostrzega. Nieraz rozmawialiśmy na temat przyrody i rybołówstwa. Baster lubił zaszyć się w gąszcz leśny, gdzie nie ma ludzi, lub spędzić dzień z wędką w ręku. Mnie łowienie ryb nigdy nie interesowało, ryb nie lubię, nawet na talerzu, od czasu gdy w stołówce wybrzeża dzień po dniu serwowano ryby. Nawet na ścianie stołówki widniał zachęcający napis: „Jedzcie dorsze”. Tak jakby był jakiś wybór. Ktoś rozgoryczony dopisał do rymu: „Gówno gorsze”.

Ze szpitala wymykałem się czasem może piętnaście minut wcześniej, i to już wystarczyło na donos. Nie miało znaczenia, że często musiałem zostać po godzinach pracy lub wracałem na oddział wieczorem. Raz zawiadomiono mnie, że lekarz wojewódzki przyjeżdża do Elbląga na inspekcję. Nie przywiązując wiele wagi do tego, o trzeciej godzinie, kiedy oficjalnie kończyła się moja praca, opuściłem szpital i poszedłem na kort tenisowy.

Następnego dnia dowiedziałem się, że dostojnik wpadł w szal z powodu mojej nieobecności i miotał pogrózkami. Rozkazał, abym się zgłosił u niego w biurze w Gdańsku w oznaczonym dniu i godzinie. Wicedyrektor Milczek wydawał się być zatroskany o moją przyszłość. Aby się utrzymać na stanowisku lekarza wojewódzkiego, dygnitarz musiał być dobrze osadzony w partii i mieć powiązania z UB. Był to chyba koniec czerwca 1953 roku, trzy miesiące po śmierci Stalina. W dzień czy dwa po wizycie dostojnika Moskwa ogłosiła wiadomość o aresztowaniu Berii, szefa wszystkich policji, pod zarzutem szpiegostwa na rzecz Anglii. Miał on uprawiać ten proceder od samego zarania swej rewolucyjnej kariery, od 1918 roku.

Będąc przekonany, że strach padł na tych najważniejszych, pojechałem do Gdańska pełen dobrej myśli i nie omyliłem się. Dostojnik-lekarz, który jeszcze kilka dni temu w Elblągu okazał maniery tygrysa, w czasie rozmowy ze mną przypominał bardziej jagnię i zdawał się być przejęty czym innym. Zapewne myślał o Berii i o swojej karierze. Przeprosiłem go za nieobecność w czasie jego inspekcji w Elblągu, kłamiąc, że nic wcześniej o jego wizycie nie wiedziałem. I na tym się skończyło.

Kierowniczką domu dziecka raz coś napomknęła o pielęgniarce Danusi i o mnie. Było to powiedziane w takiej formie, iż uważałem za wskazane poradzić kierownicze, aby nie wtykała nosa w cudze sprawy. Do tego dodałem, siebie stawiając za przykład dyskrecji i dobrych manier, że mnie zupełnie nie interesuje, jakie majtki ona nosi, białe czy niebieskie. Wkrótce personalny wydziału zdrowia, ten sepleniący i bez palców, poinformował mnie, iż kierowniczka poskarżyła się na mnie władzom. Według niej miałem powiedzieć, iż mnie nie obchodzi, czy ona nosi białe czy czerwone majtki. W ówczesnym klimacie politycznym, zmiana koloru majtek z niebieskiego na czerwony mogła być interpretowana jako próba denuncjacji. Łączenie rewolucyjnej czerwieni z majtkami trąciło szyderstwem z władzy ludowej, rewolucji październikowej i Kraju Rad.

Personalny, człowiek prosty i prostolinijny, nie lubił kierowniczkę, prostaczki udającej inteligentkę. Nie wyrażał się o niej inaczej jak „ta kurwa”. Danusia też miała niskie mniemanie o jej stanie umysłowym, opisując to jako pomieszanie z poplątaniem. Sprawa ta dotarła do profesora Brokmana, który spytał mnie o to w czasie jednej z moich wizyt w Akademii Medycznej. Gdy mu wyjaśniłem, że kierowniczka wtrąca się w cudze prywatne sprawy, Brokman odrzekł, że na terenie zakładu pracy, sprawy prywatne przestają być prywatnymi.

Rewizja w domu dziecka ujawniła ukryte worki cukru, których kierowniczka nie wykazała w remanencie. Wyrzucono ją z pracy i wszczęto dochodzenie.

Od czasu do czasu, gdy miałem ogólny dyżur szpitalny, wzywano mnie na oddział gruźlicy, zwykle do konających lub by podpisać świadectwo zgonu. Dla wielu chorych był to ostatni etap przed kostnicą. Leczenie ograniczone do odmy i witamin nie wszystkim pomagało. Panowała tam cisza przerywana kaszlem i rżeniem. Wchodząc na oddział wyobrażałem sobie miliony prątków

Kocha zawieszonych w powietrzu. Oddychałem przez zaciśnięte wargi, jak ci inspektorzy na zakaźnym, a po wyjściu spluwałem i płukałem usta roztworem wody utlenionej.

Do moich obowiązków w szpitalu, domu dziecka i przychodni doszedł nadzór nad żłobkiem. Panował tam wzorowy porządek dzięki siostrze Roszkowskiej. Poprzednio była ona kierowniczką sali operacyjnej, ale usunięto ją podobno z powodu ciągłych zatargów ze wszystkimi - jak się później dowiedziałem - z dużą stratą dla chirurgii. Zawczasu ostrzeżono mnie, że dotąd żaden lekarz żłobka dłużej z nią nie wytrzymał. Była to kobieta o suchej, jakby pergaminowej skórze, o bladej niezdrowej cerze i ciemnych włosach, nieprzyjaznym głosie, a do tego chuda. Kierowniczką żłobka, nie mówiąc już o pozostałym personelu, była siostra i wykonywała wszystkie jej polecenia. Żłobek był prowadzony twardą ręką jak jednostka wojskowa. Nawet gdy siostra o coś prosiła, co nie zdarzało się często, brzmiało to bardziej jak rozkaz. Dzieci były zadbane, przewinięte, nakarmione. Wcześniej rano siostra dokładnie oglądała przynoszone maleństwa i jeśli wyglądały na chore, nie przyjmowała ich i odsyłała do ośrodka zdrowia. Jeśli dzieci były brudne, odparzone, zaniedbane, rugała matki. Zachodziłem do żłobka dwa czy trzy razy na tydzień. Na polecenie siostry serwowano mi „próbkę” obiadu, który otrzymywały starsze dzieci. Jedzenie było znakomicie przyrządzone. Siostra informowała mnie o stanie zdrowia jej podopiecznych, a potem robiliśmy obchód i badałem te dzieci, które mi wskazała. Mówiła mi jakie leczenie mam przepisywać i prawie zawsze miała rację. Czasem odrzucałem jej sugestie, zwłaszcza jeśli chodziło o zastosowanie penicyliny, cieszącej się reputacją panaceum na niezliczone dolegliwości, nie tylko pośród laików, ale także pracowników służby zdrowia. Wielu mieszkańców Elbląga i okolic wymawiało nazwę tego leku „panicelina”, jak pani Celina. O pielęgniarkach z awansu społecznego, tych po sześciomiesięcznym kursie, siostra Roszkowska nie wyrażała się inaczej jak „te dziwki od gnoju”. Jej słabą stroną było, że nie potrafiła się ugiąć, a czasem trzeba było się przygiąć aż do samej ziemi. Przed moim wyjazdem z Elbląga siostra podarowała mi strzykawkę amerykańskiej produkcji, luera - wielce były cenione, bowiem całe ze szkła nie rozłaziły się od gotowania jak nasze. Nie zapakowałem jej odpowiednio i stłukła się po drodze.

Rozpocząłem starania o powiększenie oddziału. Przy stanie trzydziestu dwóch, mieliśmy w rzeczywistości więcej pacjentów.

Często gdy brakowało wolnych łóżek dla niemowląt, dostawiano kosze na bieliznę. Do tego dzieci chore na gruźlicę leżały razem z dziećmi chorymi na wszystkie inne choroby. Główną trudnością w realizacji planów poszerzenia oddziału był brak miejsca i pieniędzy. W końcu znalazło się jedno i drugie. Drzwi pediatrii otwierały się na bardzo szeroki korytarz z dużymi oknami. Tam wybudowaliśmy szereg oszklonych klitek wyłącznie dla gruźlików. Oddział powiększył się do pięćdziesięciu łóżek.

Po pewnym czasie znowu wezwano mnie na przesłuchanie, razem z Danusią. Już dobrze nie pamiętam, o co chodziło, chyba o jakieś meldunki. Czyżby był za tym donos kierowniczkii albo ręka brodacza? My dwoje, ludzie pracy, musieliśmy stać, a partyjni siedzieli. Wlepili nam karę, mnie czterysta, jej dwieście złotych. Zapłaciłem obie. To było podziękowanie za naszą pracę. Nie wiem, czy bardziej ich się bałem, czy bardziej nienawidziłem. Odtąd będę grał ich grę, będę kręcił jak oni, postanowiłem. Nawet dr Wojewodziauk zauważył zmianę we mnie. Wkrótce Danusi skończył się dwuletni przydział pracy i wyjechała.

Gdzieś pomiędzy Elblągiem a morzem leżał letni obóz, czyli kolonia dla dzieci Polaków zamieszkałych we Francji. Znajdował się pod bezpośrednią kuratelą Ministerstwa Zdrowia i Ministerstwa Spraw Zagranicznych. O istnieniu obozu dowiedziałem się od brodacza, gdy otrzymał on alarmowy telefon z Warszawy - w obozie zidentyfikowano przypadek odry. Ministerstwo Zdrowia nakazywało, aby natychmiast zastosować środki zapobiegające szerzeniu się tej choroby. Tego samego dnia samochód wydziału zdrowia zawiózł mnie na miejsce. Obóz był świetnie zaopatrzony, jak na polskie warunki. Oczywiście darmowy, aby pokazać polskim robotnikom we Francji, że rząd komunistyczny dba o dzieci. Chłopczyk chory na odrę już wyzdrowiał. Po zebraniu dodatkowych informacji doszedłem do wniosku, że była to jakaś nieodrowa wysypka. Skoro jednak Warszawa uważała, że to odra - to będzie odra. Nie chcąc narażać się na oskarżenie o sabotaż w skali międzynarodowej, zarządziłem - w myśl łacińskiego powiedzenia: *ut aliquid fieri videatur* (aby się wydawało, że się coś robi), aby wszystkie dzieci, celem uodpornienia przeciw odrze, otrzymały zastrzyki gamma-globuliny zachodniej produkcji, innej zresztą nie było. Zatelefonowałem w tej sprawie do odpowiednich władz gdańskich i warszawskich. Wbrew obietnicy, zamiast skoncentrowanej i oczyszczonej gamma-globuliny przysłano mi zwykłą surowicę ludzkiej krwi, której należało wstrzykiwać

domięśniowo dziesięciokrotnie więcej, do dziesięciu cm³ lub ponad, zależnie od wagi dziecka. Nie mogłem samowolnie zmienić tej instrukcji, ale patrzyłem przez palce, podobnie jak i pielęgniarka obozu, jak co najmniej połowa surowicy wyciekała. Igły i tłoczki nie pasowały do strzykawek, które się rozłaziły od ciągłego gotowania. Niektóre dzieci wystraszyły się. Na równą liczbę obu płci, wielu chłopców zaniósł się płaczem, a tylko jedna dziewczynka. Popamiętają ten ruski miesiąc w Polsce, pomyślałem. I tak za miesiąc wrócą do Francji, a ja tu zostanę.

Profesor Brokman uzyskał przeniesienie do Warszawy, gdzie pracował jako lekarz do wybuchu wojny. Miał tam objąć katedrę pediatrii i kierownictwo kliniki dziecięcej przy ulicy Działdowskiej. Latem 1953 roku zaproponował mi stanowisko starszego asystenta, co oczywiście przyjąłem. Pojawiła się nadzieja powrotu z wygnania do Warszawy, gdzie się urodziłem, żyłem, i rozminąłem ze śmiercią wiele razy. Dyrektorem departamentu matki i dziecka miała być dr Słomczyńska. Jej syn podobno służył w Armii Krajowej i zginął w czasie powstania. Władze policyjne i inne wiedziały o mojej przynależności do AK, co właściwie wykluczało wszelki awans. Liczyłem jednak na poparcie dr Słomczyńskiej. „Szarą eminencją” departamentu i dysponentem władzy nad pediatrią w Polsce była dr Moslerowa, przysadzista brunetka. Wcale nie ukrywała faktu, że ona rządzi, więc właściwie trudno było zwać ją szarą eminencją. Brokman był szczególnie ostrożny mówiąc o niej. Moslerową widziałem w departamencie kilka razy, ale nigdy nie spotkałem dr Słomczyńskiej. Chyba przed końcem lata Brokman wyjechał na stałe. Miesiąc czy dwa później zawiadomił mnie, iż uzyskał zgodę ministerstwa na przeniesienie mnie do Warszawy. Musiałem jeszcze otrzymać pozwolenie dyrekcji szpitala oraz miejscowego i gdańskiego wydziału zdrowia na opuszczenie Elbląga. Udało mi się przekonać odpowiednie władze, że leczenie dzieci nie dozna uszczerbku, jeśli stanowisko ordynatora obejmie dr Krysia.

Był zwykły jesienny dzień, gdy z walizką w ręku stanąłem na peronie stacji kolejowej w Elblągu. Tyle się w moim życiu wydarzyło w ciągu tych dwóch i pół lat. Wyjeżdżałem już jako inny człowiek.

W Malborku, korzystając z długiej przerwy pomiędzy pociągami, poszedłem do zamku po raz ostatni popatrzeć na wielkich mistrzów zakonu. Pusta fosa, zwodzony most, dziedziniec. Tu i ówdzie leżały świeżo spadłe z drzew kolorowe liście. A oto i posągi. Było coś urzekającego w ich kamiennej obojętności na wydarzenia tego

świata. Wielcy mistrzowie zakonu stali tak samo wpatrzeni w ruiny swojego zamku, jak wtedy, gdy zaszedłem tu pierwszy raz, jadąc do Elbląga z nakazem pracy w kieszeni.

Następnego dnia na dworcu w Gdańsku wsiadłem do warszawskiego pociągu, nie wiedząc, że zaczynam znacznie dłuższą podróż niż sądziłem, i że wkrótce porwie mnie huragan i wyrzuci u brzegów Ameryki.

5

JAK WYBRAŁEM WOLNOŚĆ **PO RAZ DRUGI**

Był mroźny lutowy poranek 1957 roku za panowania Nikity Chruszczowa, gdy otrzymałem pilny telefon, że ktoś na mnie czeka w izbie przyjęć kliniki dziecięcej przy ulicy Działdowskiej. Szybko zbiegłem schodami. Na dole stał Andrzej.

- Ubieraj się, jedziemy do Orbisu i stajemy w kolejce po paszport.

Nim minęło pół godziny załatwiłem sobie cztery dni wakacji. Wyjazd do Włoch - każdy rozumiał powagę sytuacji, i administracja szpitala i związek zawodowy, i kierownik kliniki, i kolega, któremu w pośpiechu przekazałem moich pacjentów, choć jak zwykle w poniedziałek, każdy miał nawał pracy.

Wysłałem depeszę do Marysi, aby natychmiast przyjeżdżała. Biuro Orbisu znajdowało się na parterze hotelu Europejskiego przy Krakowskim Przedmieściu. Gdy weszliśmy do środka, w obszernym holu stały już trzy odrębne kolejki na trzy wycieczki. Najdłuższa na najtańszą wycieczkę do Wiednia, najkrótsza na najdroższą - do Francji. Z góry zdecydowałem się na Włochy, uważając, że będzie tam mniej kandydatów ze względu na cenę - po sześć tysięcy na głowę. Francja była za droga na moją kieszeń. Przy tym Andrzej już był we Francji, skąd wrócił przed paru tygodniami. Pojechał tam na zaproszenie znajomego Alzatczyka, kiedyś listonosza, z którym zaprzyjaźnił się w 1941 roku na przymusowych robotach w Niemczech, a obecnie pułkownika armii francuskiej. Wiedeń zapewne przyciągał i tych, co chcieli pryskać, i handlarzy, bo i tym, i tym zależało, aby tylko postawić nogę za żelazną kurtyną. Można więc było wywnioskować, że jadący do Włoch byliby mniej niż „wiedeńczycy”, podejrzewani przez UB o zamiar pozostania na Zachodzie. Jako trzydziesty pierwszy dołączyłem do kolejki. Do Włoch miało pojechać tylko trzydzieści osób. Przede mną stała już żona Andrzeja Lilka, jej siostra Iza i brat Wojtek, który ustąpił miejsca Andrzejowi. Z holu szerokie schody prowadziły na górę. Na końcu holu znajdowały się drzwi do biura Orbisu oraz małe okienko, które miało się dla nas otworzyć za trzy dni, w czwartek rano - okienko na świat. Pomimo iż wewnątrz hotelu było w trakcie remontu, w pokojach na górze tymczasowo zamieszkiwali obywatele

przedwojennego państwa polskiego, czyli Drugiej Rzeczypospolitej, niedawno wypuszczeni czy też zwolnieni ze Związku Radzieckiego. Wśród nich najczęściej słyszało się język rosyjski, choć wielu mówiło po polsku. Byli też Żydzi, którzy zatrzymali się w Warszawie w oczekiwaniu na wyjazd na Zachód bądź do Izraela. Krążył w tym czasie taki dowcip: Jeden Żyd pyta drugiego.

- Co byś zrobił, gdyby otworzyli granice na Zachód?
- Wlazłbym na drzewo.
- Dlaczego?
- Żeby mnie nie stratowali.

W miarę upływu godzin coraz więcej osób dołączało do kolejek, tak że ich liczba znacznie przekraczała ilość miejsc. Wielu ciekawych zachodziło zobaczyć na własne oczy, co się dzieje. Wieść o niezwykłym wydarzeniu, jakim była planowana wycieczka, już musiała się rozejść po Warszawie. Po południu zjawiała się prasa, ludzie z radia a nawet z telewizji. Była to pierwsza turystyczna wycieczka na Zachód w historii Polskiej Republiki Ludowej, a ściślej biorąc pierwsza od 1939 roku, od paktu Ribentrop - Mołotow. Andrzej dowiedział się o planowanej wycieczce od swego przyjaciela Antosiewicza, dyrektora Orbisu, którego starszy brat był wiceministrem spraw wewnętrznych czyli bezpieczeństwa i policji. Ci co pierwsi przybiegli do Orbisu też musieli mieć jakieś kontakty. Małżeństwo stojące za mną uparcie twierdziło, że zajęli miejsca przed nami, że je zarezerwowali i na chwilę wyszli, a gdy wrócili nikt nie honorował rezerwacji i musieli stanąć na samym końcu ogonka.

Biuro Orbisu zamykano o piątej. Mogliby nam pozwolić przenocować w holu, nikomu byśmy nie zawadzali. Niestety, trzeba było wyjść na ulicę. Będąc przygotowani na taką ewentualność, ustawiliśmy się pod ścianą przy wejściu do hotelu w takiej samej kolejności jak w środku - osobno Wiedeń, Francja, Włochy. Na początku lutego słońce zachodzi wcześniej i już szarzało, gdy nas wyproszono na dwór. Wkrótce zapadła ciemność rozjaśniona blaskiem wydobywających się z niektórych okien świateł, które wygasły ze zbliżaniem się północy. Duża część Warszawy leżała jeszcze w gruzach, latarni ulicznych było niewiele i większość miasta spowijał półmrok, jeśli nie ciemność. Wydmuchując kłęby pary przechodnie pomykali, oglądając się za nami. Z rzadka ktoś zaciekawiony przystawał, aby dowiedzieć się, co to za towar będą sprzedawać następnego dnia. Z czasem ostatni przechodnie zniknęli z ulicy i oprócz nas nie było widać żywego ducha. Byłoby ponad

ludzką wytrzymałość stać na mrozie całą noc, zwłaszcza że czekały nas jeszcze dwie takie noce i dwa dni. Zmienialiśmy więc „wartę”. Siostra i brat Lilki stali na zmianę z nami. Co dwie, trzy godziny „wolny od służby” szedł do pobliskiego mieszkania siostry ogrzać się i przespać. Na ulicy dla rozgrzewki przytupywało się i zabijało ręce. Trzeba było ubrać się odpowiednio, wcisnąć na siebie, ile się dało swetrów i kalesonów, okręcić twarz szalikiem. Przyjaciele przynosili wartującym gorące napoje w termosach. Stopniowo rozmowy w kolejkach ustały i ciszę przerywało tylko przytupywanie i zabijanie rąk. Nim pierwsze promienie słońca zaróżowiły ośnieżone dachy, dołączyła Marysia i zajęła miejsce Izy. Przyjechała pospiesznym ze Śląska. Niedawno pobraliśmy się i jeszcze nie wprowadziła się do Ursusa, gdzie szykowałem tzw. gniazdko rodzinne. Była to murowana budka, coś w rodzaju kurnika przerobionego na ludzką siedzibę. Wynająłem to od sąsiadki mego wuja, który poręczył za mnie... Znalezienie pokoju dla małżeństwa w samej Warszawie było wręcz niemożliwe. Poza tym w Warszawie miałem tylko tymczasowe zameldowanie, więc nigdy bym nie dostał przydziału mieszkania. Chodziły słuchy, że Ursus ma być przyłączony do Warszawy. W tym wypadku, wszyscy jego mieszkańcy, ze mną włącznie, automatycznie dostaliby stałe zameldowanie. Nowo przybyli do Warszawy mogli otrzymać albo stałe (co było bardzo trudne), albo tymczasowe zameldowanie. Zależało od tego, kogo się znało i gdzie się należało.

O ósmej rano otworzyły się drzwi biura i w ordynku wmaszerowaliśmy do środka. Po piętnastu mroźnych godzinach owiało nas ciepłe powietrze. Ustawiliśmy się w tej samej kolejności co wczoraj, formując trzy ogonki: włoski, francuski i wiedeński. Mnóstwo ludzi wchodziło do holu, jedni z ciekawości zobaczyć, co się dzieje, inni z zamiarem wyjazdu za granicę. Już cała Warszawa dowiedziała się o wycieczce z porannych gazet, z radia, a nawet i z telewizji, bo ten i ów już ją miał. Ogłoszono, że kto pierwszy ten lepszy. Wielu usiłowało wepchnąć się do kolejek pod różnymi pretekstami. Małżeństwo, które poprzedniego dnia twierdziło, że stało przed nami, przeszło do natarcia. Zwłaszcza mąż poczynił sobie tak agresywnie, iż groziło to rozbiciem kolejki. Kobieta, chyba trochę zawstydzona zachowaniem męża, choć mu dzielnie sekundowała, próbowała wytłumaczyć, dlaczego on taki nerwowy, mówiąc że Niemcy rozstrzelali go w czasie powstania. Wypędzili mieszkańców kamienicy na podwórze pod ścianę. Jemu strzelili w kark. Coraz to

nowych cywilów doprowadzali i zabijali. Potem podpalili dom. Przeleżał przytomny pod trupami, a gdy noc zapadła, wyczołgał się. Jak na „rozstrzelanego” prezentował się wcale dobrze. Pokazał bliznę po kuli. Przeszła na wylot obok kręgosłupa. Aby zapobiec rozbiciu kolejki, wpuściliśmy ich przed siebie.

Tłum pęczniał, wypełnił hol i napierał. Kolejkom groziło rozerwanie. Nasza włoska stała przy ścianie po prawej stronie i dzięki temu mieliśmy zabezpieczoną prawą flankę. „Rozstrzelany” mąż, gdy tylko uplasował się przed nami, z rozbijacza przerodził się w obrońcę. Nie wszyscy spośród tłumu przyszli, aby tylko pogapić się. Ci, którzy sami zainteresowani byli wyjazdem za granicę wyróżniali się nieprzyjaznym nastawieniem do stojących w kolejkach, co można było wydedukować z głośnych uwag. Po tym słownym przygotowaniu - podobnie jak na wojnie, gdy natarcie piechoty poprzedza przygotowanie artyleryjskie - od słów przeszli do czynów. Nasilili napór na istniejące kolejki, próbując je rozerwać, zaczęli formować własne, konkurencyjne kolejki, które rozpadały się, zaraz po uformowaniu. Największy tumult panował tam, gdzie stali „wiedeńscy”. Zwarliśmy mocno szeregi. Huczało jak w złym ulu. Jeśli hałas nasili się, przyjdzie milicja i wyeksmituje wszystkich na ulicę, i tych co przyszli pierwsi, i tych spóźnionych. Nie daliśmy się sprowokować i wytrzymaliśmy napór, w czym była duża zasługa „rozstrzelanego”, który dwoił się i troił i wykazując wielki hart ducha. Już przed piątą nacisk zelżał i jak poprzedniego dnia w ordynku opuściliśmy hotel, aby zająć pozycje pod jego ścianą. Druga noc warowania na ulicy minęła bez wydarzeń. Każda godzina stania zbliżała nas o godzinę do chwili, gdy otworzy się okienko, przez które będziemy składać podania o paszport. Z zadowoleniem powitaliśmy świt jako zapowiedź spędzenia dnia w ciepłym holu i z niepokojem, czy kolejki wytrzymają następny szturm. Wbrew naszym obawom środa przebiegła spokojnie, pomimo iż przez hol przewinęło się mnóstwo ludzi. Młoda kobieta, znajoma Andrzeja, wpadła na krótko. Oboje stanawszy na uboczu, rozmawiali przez kilka minut. Nie przywiązywałem do tego żadnej wagi. W środę o zmroku zajmowaliśmy pozycję na ulicy z poczuciem zwycięstwa. Już nie pamiętam tej ostatniej nocy - czy księżyc nam przyświecał, czy gwiazdy mrugały, czy śnieg sypał. Gdy w czwartek rano wmaszerowaliśmy z mroźnej ulicy do ciepłego holu, nie było prasy, radia, telewizji, nie było gapiów. Otworzyło się okienko, przez które złożyliśmy wypełnione formularze. Marysia i ja znaleźliśmy się już

poza limitem, na trzydziestej trzeciej i trzydziestej czwartej pozycji. Nadzieja leżała w tym, że kogoś stojącego przed nami odrzuca. Była połowa lutego. Od daty wyjazdu do Włoch, pierwszego czerwca, dzieliło nas trzy i pół miesiąca.

Zaczęło się rozdwójone życie. Wstawałem o siódmej rano, wskakiwałem do trolejbusu o wpół do ósmej, wychodziłem ze szpitala o trzeciej. Badanie pacjentów, przepisywanie leczenia, dyskusje, referaty. We czwórkę snuliśmy plany o nowym życiu na wolnym Zachodzie. Teraz, gdy pojawiła się nadzieja wydostania z sowieckiego imperium, szeroki świat wydawał się bardziej bajkowy niż kiedykolwiek. Florencja, Rzym, Paryż, kanały Wenecji, kopuły Italii, katedry Francji, kolumny Forum Romanum. Widziałem siebie pośród murów, które kiedyś oglądały rzymskie legiony, napoleońską gwardię, Robespiera, Joannę d'Arc. Musiałem przemóc fantazje, nie pozwolić im zdominować mojego życia. Musiałem także planować moją przyszłość wewnątrz imperium, gdyby się nie udało wymknąć, i zachowywać się tak, jakby to miała być tylko osiemnastodniowa wycieczka, a nie ucieczka. Wiedziałem, że jakieś oczy, zapewne wiele oczu będzie mi się przyglądało... Już mi się przygląda.

Mijały tygodnie, zima miała się już ku końcowi, gdy Andrzej przyniósł wiadomość, że komuś z naszej kolejki odmówiono paszportu. A potem jeszcze komuś i jeszcze komuś. Ci odrzuceni albo nie znali przyczyny, albo woleli o tym nie mówić. Gdy się pobieraliśmy, najpierw poradziłem Marysi, aby zmieniła nazwisko w dowodzie osobistym na moje. Był to błąd, na szczęście do tego nie doszło. Wypełniając podanie o paszport podała swoje panięńskie nazwisko. UB uważało (przynajmniej moim zdaniem), że gdy małżonkowie wyjeżdżają razem za żelazną kurtynę, jest większe prawdopodobieństwo, iż nie wrócą, niż w przypadku osoby samotnej. Już w 1956 roku uczyniłem kilka prób wydostania się na Zachód. Napisałem do paru szpitali w Jugosławii w sprawie wymiany wakacyjnej. Otrzymałem tylko jedną niejasną odpowiedź. Napisałem na paryski adres do Edka, z którym razem uciekałem przez Czechosłowację w 1945 roku, aby wysłał mi zaproszenie na przyjazd do Francji. Edek odpowiedział na to w liście do swojej matki „nie wiem, o jakie zaproszenie Jankowi chodzi” - tak jakby nie wiedział, co każdy wiedział. Można też było wydostać się na Zachód przez Berlin. Wsiadało się do metra we Wschodnim Berlinie, wysiadało się w Zachodnim. Wkrótce Chruszczow zamknął to jedyne okno z imperium na świat, które Stalin trzymał otwarte.

Pewnego razu jechałem z Andrzejem Alejami Ujazdowskimi, gdy jego czarny mercedes nagle zahamował. Jadący naprzeciw samochód też przystanął z piskiem opon. Za kierownicą siedział dyrektor Orbisu Antosiewicz, a obok jego starszy brat - wiceminister spraw wewnętrznych. Na środku Alej zostałem przedstawiony najwyższemu poznanemu przeze mnie dostojnikowi rządu Polskiej Republiki Ludowej. Andrzej, zapewne aby wzmocnić towarzyskie więzy, poradził Antosiewiczowi, aby mnie poprosił na konsultację do swego chorego dziecka. Przy okazji wizyty w domu dyrektora zobaczyłem, jak on komfortowo mieszkał. Nie było to dla mnie zaskoczeniem. W 1954 roku przez kilka miesięcy pracowałem w godzinach wieczornych w klinice rządowej, odbywając wizyty domowe. Przedstawiciele proletariatu luksusowo mieszkali w wielu pokojach, podczas gdy sam proletariat gnieździł się w ciasnocie - rodzina na pokój. Uderzyło mnie, że bez wyjątku jedną z dekoracji wnętrza mieszkań dygnitarzy - poza dywanami, makatami etc. - były półki i półki, od podłogi niemal do sufitu, zastawione książkami, wątpliwe czy kiedykolwiek czytany.

Andrzej i Lilka otrzymali zawiadomienie, że ich podanie odrzucono. Uzasadniano to tym, że oboje już byli ostatnio za granicą, Andrzej w Szwecji i Francji, Lilka w Czechosłowacji. Brzmiało to fałszywie. Jakoby wszyscy obywatele mieli mieć równy dostęp do wyjazdów. W rzeczywistości było na odwrót, jedni wyjeżdżali raz po raz, inni wcale, wiadomo dlaczego. Andrzej, pozostający w dobrych towarzyskich stosunkach z Antosiewiczami, lepszego poparcia dla otrzymania paszportu nie potrzebował. Lilka odsiedziała wprawdzie półtora roku jeszcze w latach czterdziestych za próbę ucieczki z Polski. Czyżby to było powodem odmowy wydania paszportu? Zabito mi ćwieka w głowę. Każdego dnia z napięciem oczekiwałem poczty.

Moje przyszłe gniazdko rodzinne w Ursusie, ów „kurnik” przebudowany na ludzką siedzibę, nie miał czynnego systemu ogrzewania i dlatego był niezamieszany. Musiałem wstawić żelazny piecyk, poza tym umeblować, wyposażyć - słowem, choć tam jeszcze nie mieszkałem i miałem nadzieję nigdy nie zamieszkać, musiałem działać tak, jakbym tu planował spędzić lata. Kupiłem najtańszy, jaki się dało tapczan. Andrzej załatwił mi transport. W tej zacisznej dzielnicy jednorodzinnych domków i mieszkańców klepiących biedę, wielka ciężarówka była niecodziennym zjawiskiem. Sąsiedzi widzieli, że sprawiłem sobie szeroki tapczan. Wuj, u którego się tymczasowo

zatrzymałem, przyszedł obejrzyć, co nabyłem. Własnym oczom nie mógł uwierzyć.

- Coś ty za tandetę kupił - potrzęsnał głową, to się raz dwa rozleci, Marysia ci łeb ukreści.

Wuj, pomimo niskiego wzrostu, łysiny prawie od dzieciństwa, odstających uszu i grubego nosa, był już żonaty trzeci raz (i to nie ostatni), więc uważał, iż osobiste doświadczenie upoważnia go do dawania rad nowożeńcowi. Miał potężny głos, występował w amatorskim teatrze i to chyba zwiększało jego pewność siebie. Zdaniem wuja ja byłem nieżyłciowym filozofem, on zaś człowiekiem praktycznym.

Ze Śląska od teściowej przyszło wiano: garnki, miski, warząchwie, tarki etc. oraz tzw. srebro stołowe. Specjalnie prosiłem, aby wysłała to nie na adres wuja, ale na stację w Ursusie. Załadowałem całe to wyposażenie na wózek o drewnianych kółkach z żelaznymi obręczami, celowo poluzowawszy opakowanie. Nawierzchnia ulic pomiędzy stacją a moim „kurnikiem” wyłożona była albo kocimi łbami albo niczym. Teren był gliniasty. Gdy deszcz padał, zapadało się powyżej kostek, gdy wyschło, błoto twardniało na kamień. Poszedłem na stację po południu, gdy większość ludzi powinna już była wrócić z pracy do domów. Ciągnąc wózek po największych wybojach, robiłem taki klekot metalem obijającym się o metal, że ludzie wyglądali z okien. Miałem nadzieję, że w ten sposób przekonam sąsiadów, iż w mych planach leży dłuższy pobyt w Ursusie. Byłem pewien, że ktoś mnie stale obserwuje i składa raporty do UB. Obok mieszkał młody mężczyzna, wykazywał więcej zainteresowania moim życiem niż tego wymagały dobrosąsiedzkie stosunki. Zachodził, wyciągał mnie na rozmowy. Pokazałem mu tapczan.

Sytuacja Andrzeja skomplikowała się. Podśluchiwano jego rozmowy telefoniczne. Był tego niemal pewien. Kilka razy, gdy podniósł słuchawkę, usłyszał głosy, wymianę słów - podłączali się.

Wciąż widywaliśmy się, ale przestałem do niego dzwonić. Poza matką i jednym przyjacielem, nikomu nie powiedziałem o wycieczce. Ludzie bywają zazdrośni, a na pewno gadatliwi. Ktoś, kto wiedział o mojej nieudanej ucieczce na Zachód w 1945 roku, mógł powiedzieć - mam nadzieję, że mu się uda tym razem - a ktoś niepowołany mógł to usłyszeć. Oczywiście w pracy wszyscy wiedzieli.

Mój brat dostał powołanie do wojska. Starał się o przydział do bazy marynarki wojennej na wybrzeżu, gdzie mieszkał. Kilka lat

temu, w Elblągu, leczyłem dzieci komandora marynarki wojennej uwięzionego wtedy we Wronkach. Został aresztowany, ponieważ w czasie wojny służył w wojsku polskim w Anglii. Zwolniony i zrehabilitowany zajmował poważne stanowisko w MON-ie. Postanowiłem odwiedzić go i poprosić, aby użył swych wpływów w sprawie brata. Komandor mieszkał koło placu Narutowicza. Andrzej zaofiarował się podwieźć mnie swym czarnym mercedesem. Po drodze zagadnął mnie.

- Spiesz ci się?

- Nie spiesz.

- Chciałbym ci coś powiedzieć.

Zaparkował samochód przy jednej z bocznych ulic wychodzących na plac Narutowicza.

- Czy pamiętasz, gdy staliśmy w Orbisie - zaczął - młoda kobieta wpadła na kilka minut i rozmawiała ze mną. Dowiedziała się od wicedyrektora biura paszportowego, że ja nie dostanę paszportu, ponieważ w Paryżu spotkałem się z jakimś podejrzanym typem.

Siedząc w zaparkowanym samochodzie ze dwie godziny, poznałem szczegóły sprawy. Do Francji zaprosił Andrzeja pułkownik armii francuskiej, przyjaciel z lat wojny.

W 1941 roku Niemcy zatrzymali Andrzeja w Warszawie i odstawili do obozu przy ulicy Skaryszewskiej, skąd wysłali na przymusowe roboty do Rzeszy. Matka Andrzeja nawet za dużą łapówkę nie mogła go uwolnić. Przekupiony Niemiec obiecał jedynie, że znajdzie zatrzymanemu dobre miejsce i dotrzymał słowa. Wysłano Andrzeja do Alzacji, dopiero co przyłączonej do Reichu po upadku Francji. Jego zwierzchnik okazał się miłym człowiekiem i do tego stopnia tolerancyjnym, że patrzył przez palce, gdy Andrzej nie nosił opaski z literą P, do czego Polacy byli zobowiązani.

W czasie przymusowej pracy Andrzej poznał młodego chłopaka, listonosza o niemieckim nazwisku. Gdy się zaprzyjaźnili i nabrali zaufania do siebie, spotykając pozdrawiali się:

- Niech żyje Sikorski. Niech żyje de Gaulle.

Wybuchła wojna ze Związkiem Sowieckim. Listonosza i dobrego zwierzchnika powołano do wehrmachtu. Nowy zwierzchnik dał Andrzejowi złą opinię, co groziło odesłaniem w dużo gorsze warunki.

Korzystając z dostępu do biura, Andrzej wypisał sobie i drugiemu Polakowi dwutygodniową przepustkę na urlop do Generalnej Guberni. Listonosz, jeszcze przed włożeniem munduru,

podwiózł ich na stację. Jechali bez opasek P. jedynie lokalnymi pociągami, wysiadając co kilka stacji. Kupowali nowe bilety i tak powoli dojechali do Berlina. W dalekobieżnych pospiesznych pociągach policja sprawdzała dokumenty. Andrzej mówił płynnie po niemiecku, jego kompan prawie wcale. W restauracji na dworcu w Berlinie podszedł do nich nieznany im kelner i szeptem po polsku udzielił rad, jak zachowywać się, aby nie zwrócić na siebie uwagi.

Po różnych przygodach udało im się przedostać do Generalnej Guberni i Andrzej znalazł się w Warszawie. Po kilku tygodniach przypadkiem wpadł w łapankę na ulicy. Znów trafił na Skaryszewską i tym razem, nie wiedząc, że on dopiero co uciekł z Alzacji, wysłano go do fabryki zbrojeniowej na północy Niemiec. Uciekł jeszcze raz, ale złapano go na granicy Rzeszy i Generalnej Guberni i odstawiono do tej samej fabryki.

Obsługując dźwig poruszający się na szynach, zauważył, że łatwo go wykołować, nie ściągając na siebie podejrzeń. Uczynił to kilka razy. Ilekroć dźwig spadał z szyn, produkcja stawała na wiele godzin. Przyjechała komisja inżynierów z Berlina i wydała orzeczenie, że przyczyną wykolejeń był kawałek metalu, który znalazł się tam, gdzie nie powinien być. Andrzej wykołował dźwig jeszcze raz i wtedy aresztowano go. Skończył wojnę w obozie koncentracyjnym Buchenwald.

Losy listonosza potoczyły się torem równie niebezpiecznym. Wzięto go do Wehrmachtu, a że pracował przedtem na poczcie, dostał przydział do łączności i został szyfrantem. Wkrótce znalazł się na wschodnim froncie. Korzystając z zamieszania w czasie bitwy, podrobił sobie przepustkę na urlop do domu w Alzacji.

Kiedy uciekł, początkowo w jego jednostce uważano, że zginął. Gdy nie znaleziono zwłok, a odkryto brak szyfrów, był już w Paryżu. Francuski ruch oporu, z którym się skontaktował zawiadomił Londyn, że mają takiego wartościowego dezertera. Samolotem przewieziono go do Anglii, gdzie ukończył kurs wywiadu i zaraz zrzucono go w północnej Francji. Zaledwie znalazł się na stacji kolejowej, został aresztowany. Niemcy poznali go w tłumie pasażerów po walizce, w której miał nadajnik radiowy. Skazano go na śmierć. Miejscowa jednostka gestapo powinna była w drodze służbowej przekazać go centrali, a wtedy centrala, a nie jednostka dostałaby wyróżnienie za złapanie szpiega. Miejscowe gestapo więc, pomijając centralę, wysłało go bezpośrednio do więzienia na egzekucję. Kiedy wieźli skutego odkrytą ciężarówką, zaczął padać deszcz. Jeden z

wartowników zszedł do kabiny szofera. Wtedy listonosz poprosił drugiego o papierosa. Gdy ten sięgnął do kieszeni, uderzył go w twarz kajdankami i niezauważony zeskoczył w biegu.

W czasie wojny jeszcze dwa razy zrzucono go na niemiecki teren. Pierwszy raz, w grupie dywersantów, tuż za linią frontu, aby wysadzić most. Dla niepoznaki lecieli nocą razem z armadą amerykańskich latających fortec. Pilot ich samolotu zgubił się i krążył przeszło pół godziny, zanim odnalazł właściwe miejsce. Dywersanci nie chcieli skakać, uważając, że Niemcy już są zaalarmowani, ale podpita załoga latającej fortecy zmusiła ich do skoku, niemal wypchnęła ich. Na dole czekali Niemcy. Byłemu listonoszowi, a teraz już porucznikowi, udało się wraz z jednym z dywersantów przedostać do swoich poprzez linię frontu. Pozostali, Francuzi, zginęli, a z nimi Anglik, specjalista od detonacji. Gdy ocalonego zrzucono po raz drugi, razem z trzema wywiadowcami, był grudzień 1944 roku, kilka miesięcy przed końcem wojny.

Aliancki wywiad ustalił, że jeniec wojenny, Francuz na przymusowych robotach w Niemczech, a dokładniej w północnych Czechach, ma kochankę Niemkę, zatrudnioną w zakładach lotniczych, gdzie pracowano nad konstrukcją samolotów odrzutowych. Wszyscy czterej wywiadowcy wylądowali szczęśliwie i nawiązali kontakt z jeńcem. Nie sprawił on na nich dobrego wrażenia, ale nie o dobre wrażenie chodziło. Jego kochanka, sekretarka, kobieta pięćdziesięcioletnia, starsza od niego o prawie dwadzieścia lat, była zakochana w nim po uszy. Niemcom było zabronione utrzymywać stosunki płciowe z cudzoziemcami. Dla cudzoziemców mężczyzn przewidziana była kara śmierci. Nie widząc innej drogi, wywiadowcy postanowili zagrać w otwarte karty. Przedstawili się jako oficerowie francuskiego wywiadu. W zamian za fotokopie planów produkcyjnych odrzutowców obiecali wstawić się za nią po wojnie u władz francuskich, aby otrzymała pozwolenie na małżeństwo ze swym kochankiem. Francuz miał nadal grać rolę zakochanego i snuć małżeńskie plany. Początkowo wszystko szło dobrze. Przynosiła fotokopie. Wkrótce jakieś wątpliwości czy wyrzuty sumienia sprawiły, że stawała się coraz bardziej nerwowa, zaczęła zachodzić do barów i pić. Nierozważnie wydawała też pieniądze, które jej dawali. Wywiadowcy doszli do wniosku, że albo się załamała nerwowo, albo zwróci na siebie uwagę niemieckiego kontrwywiadu. Otruili ją cjankiem potasu.

Wracając jechali na Zachód pociągiem na fałszywych papierach, a gdy we czterech usiłowali przedostać się do Szwajcarii w mundurach wehrmachtu, zostali aresztowani na granicy. Porucznika, byłego listonosza, przesłuchiwał przez tłumacza generał SS, znający słabo francuski, rodem także z Alzacji. Porucznik podał się za kapitana, im wyższy stopień, tym lepsze traktowanie i większa szansa przeżycia. Ani przy pierwszym, ani przy drugim aresztowaniu Niemcy nie wiedzieli, że mają przed sobą dezentera z wehrmachtu. Dzięki temu porucznik miał kilka sekund na przygotowanie odpowiedzi, zanim pytanie przetłumaczono z niemieckiego na francuski. Miał także szczęście, że tłumaczem był Niemiec, a nie Francuz kolaborant, który mógłby poznać po mowie, że porucznik pochodzi z Alzacji, a nie jak twierdził, z północnej Francji. Raz generał SS w czasie przesłuchania rzekł:

- Wyczuwam, że jest w panu coś alzackiego.

Na to porucznik skłamał:

- To prawda. Mój dziadek pochodził z Alzacji i po wojnie francusko-pruskiej w 1870 roku, po przyłączeniu Alzacji do Niemiec wyemigrował do Paryża.

Pewnego dnia major SS oświadczył, że porucznika i jednego z wywiadowców odstawi do granicy szwajcarskiej z prośbą, by po wojnie, na wypadek sądu nad majorem i generałem, wystąpili jako świadkowie obrony. Dwaj pozostali wywiadowcy zostali rozstrzelani. W tydzień po zakończeniu wojny były listonosz wraca do domu matki w Alzacji i w jego własnym ogródku mina urywa mu nogę.

Po sześciu latach wygasły ognie i rozwiały się dymy pożogi nad Europą, ale kontynent przecięła żelazna kurtyna rozdzielając ludzi i narody. Minęło piętnaście lat, w żelaznej kurtynie ukazały się szczeliny i w Paryżu spotkali się, były listonosz i dezenter z byłym więźniem. Andrzej spędził z przyjacielem, już wtedy pułkownikiem, parę tygodni na prowincji. Potem pułkownik podwiózł Andrzeja do Paryża i przedstawił Polakowi zamieszkałemu we Francji nazwiskiem Szubert. Pan Szubert pokazał Andrzejowi Paryż, a przed jego powrotem do Polski zaproponował utrzymywanie dalszego kontaktu, ponieważ był zainteresowany tym, o czym ludzie mówią w Warszawie. Dodał, że jeśli ktoś od niego przyjedzie do Andrzeja, będzie się identyfikował przedwojenną polską srebrną pięciozłotówką z podobizną Piłsudskiego.

Pan Szubert pracował w departamencie wizowym francuskiego ministerstwa spraw wewnętrznych. Obiecał Andrzejowi, jeśli zajdzie

potrzeba, załatwić powrót do Francji. Andrzej nie wziął tego poważnie.

Po trzech miesiącach, w końcu kwietnia, Andrzej otrzymał telefon od kogoś, kto przedstawił się jako Stanisław Gogłuski z Paryża, znajomy pana Szuberta. Spotkali się raz, drugi i trzeci w restauracji hotelu Polonia, gdzie gość z Paryża zatrzymał się. Pan Staś nie pokazał srebrnej monety. Rozmawiali na różne ogólne tematy.

- Ja naśladowałem ciebie - wyjaśnił Andrzej - mówiłem dużo, nic nie powiedziałem.

Pan Gogłuski dzwonił do Andrzeja kilkakrotnie, do pracy i do mieszkania. Przy ostatnim widzeniu oświadczył, że wkrótce wraca do Paryża i podał datę odlotu. Andrzej znalazł w swej skrzynce pocztowej kopertę zawierającą dwa tysiące złotych i krótką notatkę:

„Życzę ci zdrowia i wszystkiego najlepszego, Wiesiek”.

Kopertę bez znaczka pocztowego ktoś wrzucił do skrzynki. Andrzej miał tylko jednego znajomego imieniem Wiesiek, ale ten był pijakiem i bez grosza. Gdy Andrzej spytał o ten prezent, Wiesiek wyśmiał go.

Na tym zakończyliśmy naradę w mercedesie. Nie byłoby wielką przesadą powiedzieć, że w miarę słuchania włosy jeżyły mi się na głowie.

Następnego dnia spotkaliśmy się na naradę. Nie ulegało wątpliwości, że Andrzej był inwigilowany przez UB. Szubert w Paryżu, kobieta w Hotelu Europejskim, odmowa paszportu, podsłuch telefonu. Teraz poszczególne fragmenty łamigłówek układały się w logiczną całość. Niejasna pozostawała tylko osoba pana Stasia Gogłuskiego.

Skąd on przybył, z Paryża czy z UB? A nawet jeśli z Paryża, to wcale nie znaczyło, że nie był ubowcem. I dlaczego zasugerował spotkanie i spotykał się z Andrzejem w restauracji hotelu Polonia, gdzie jak było powszechnie wiadomo, zainstalowano podsłuchy, ponieważ zatrzymywało się tam wielu cudzoziemców. Zagranicznymi gośćmi interesowały się nie tylko organy bezpieczeństwa, ale również, ze względu na dolary, lepszej klasy prostytutki zwane polonistkami, w odróżnieniu od ich uboższych sióstr zwanych gruzinkami, od warszawskich gruzów, gdzie z braku odpowiedniejszego locum, dobijały swego interesu w złotówkach. Zapewne wiele „polonistek” współpracowało z urzędem bezpieczeństwa. Dlaczego Staś włożył dwa tysiące do skrzynki

pocztowej zamiast wręczyć osobiście? Przecież agentowi zachodniego wywiadu powinno zależeć na tym, aby nikt nie dowiedział się, że Andrzej otrzymuje pieniądze z niewiadomego źródła. Skrzynkę pocztową mógł otworzyć nie tylko adresat, ale ktokolwiek z domowników. I dlaczego tylko dwa tysiące. Czyżby uważano, że taką sumą - za którą można było kupić najwyżej parę eleganckich półbutów - zachęci się dobrze sytuowanego człowieka, posiadacza mercedesa, do współpracy z obcym wywiadem? Pan Staś używał polskich zapalek, a przegub ozdabiał mu zegarek radzieckiej produkcji. Mógł to być kamuflaż. Następnego dnia po naradzie ze mną Andrzej zadzwonił na Okęcie dowiedzieć się, czy Stanisław Gogłuski odleciał do Paryża. Urzędnik, po sprawdzeniu, co zajęło sporo czasu, oświadczył, że ten obywatel był na liście pasażerów i odleciał. Poradziłem Andrzejowi, aby poszedł do UB, powiadomił ich o Szubercie i o tym co ostatnio zaszło oraz aby wytłumaczył, że początkowo nie wziął tego poważnie i dlatego zgłosił się z opóźnieniem. Miał też udawać, że nic nie wie o odlocie Gogłuskiego. Andrzej jednak wysłał depeszę do Paryża, do Szuberta z zapytaniem, czy Staś dojechał. Otrzymał telegram, że Staś dojechał szczęśliwie.

Jednego dnia Andrzej zaparkował swojego mercedesa obok Polonii. Gdy po skończonym spotkaniu pan Staś odjechał taksówką, Andrzej ruszył za nim. Taksówka skręciła w Marszałkowską, minęła Plac Konstytucji i pojechała dalej w kierunku Rakowieckiej, gdzie była komenda Urzędu Bezpieczeństwa. Na Puławskiej przegrodziła ich ciężarówka, zapaliło się czerwone światło i taksówka umknęła.

Jeśli Andrzeja aresztują - myślałem - to w śledztwie, przy biciu, może nie wytrzymać i przyzna się, że w tej sprawie mnie się radził. Wtedy nie tylko nie dostałbym paszportu, ale UB wzięłoby mnie w obroty i konsekwencje byłyby od umiarkowanych do nieobliczalnych, zależnie od tego co by wyniuchali i co by ze mnie wycisnęli. Jeśli Andrzej znajdował się pod obserwacją, to zapewne także notowano tych, z którymi się kontaktował. Obu Antosiewiczom Andrzej przedstawił mnie jako przyjaciela. Prowadził rozległe życie towarzyskie i z racji swego zawodu spotykał się z mnóstwem ludzi, więc UB zajęłoby wiele czasu przesłanie, posegregowanie i sprawdzenie jego kontaktów. Uzgodniliśmy, że dla mojego bezpieczeństwa nie będziemy się więcej widywać, a komunikować się będziemy przez brata Lilki.

Brakowało niecałe trzy tygodnie do wyjazdu, gdy otrzymałem zawiadomienie z Orbisu, abym się zgłosił celem uiszczenia opłaty za wycieczkę. Dodało mi to nadziei, ale nie zawróciło w głowie. Jeśli już byłem na liście podejrzanych, wezwanie do Orbisu byłoby tylko zwykłą próbą zamydlenia mi oczu. I tak mogliby nie dać mi paszportu lub poczekać z zaaresztowaniem do ostatniej chwili, nawet na samej granicy. Gdy wręczałem pieniądze Antosiewiczowi, na chwilę rozmowa zeszła na Andrzeja. Mówiąc o nim użyłem formy „pan” zamiast imienia, aby zasugerować, że łączy nas tylko powierzchowna znajomość.

Mając tylko kilkanaście tysięcy odłożonych na dwóch książeczkach oszczędnościowych, musiałem wybrać prawie wszystko, zostawiłem jednak około stu złotych na każdej. Celowo nie zamknąłem swoich kont, aby sprawić wrażenie na funkcjonariuszach UB, że planuję dalszy pobyt w Polsce. Znowu przyszła wiadomość, że komuś odmówiono paszportu.

W klinice wszyscy asystenci musieli przygotowywać referaty. W tym celu zbieraliśmy się zwykle co miesiąc w mieszkaniu prof. Brokmana. Wybrałem sobie temat gronkowcowych zapaleń płuc. Miałem wygłosić referat we wrześniu, po zakończeniu sezonu wakacyjnego. Oświadczyłem, że to obszerny temat, że nie zdążę się przygotować, i po dłuższych targach pozwolono mi przełożyć na październik, a jeden z kolegów podjął się wygłosić własny we wrześniu. Oczywiście, miałem dosyć czasu by przygotować się na wrzesień, ale chodziło mi o to, aby sprawić wrażenie, że planuję dalszy pobyt w Polsce. Ktokolwiek wyjeżdżał na Zachód, znajomi zadawali sobie pytanie - wróci czy nie wróci. Nie inaczej mogło być i w naszej klinice. Raz kolega, notabene bardzo zdolny i odznaczający się „niewyparzonym pyskiem”, patrząc mi prosto w oczy rzekł z uśmiechem:

- No, przecież ty nie wrócisz.

- A co bym tam robił na tym wolnym Zachodzie - odparłem - szorował podłogi i zmywał garnki za dolary czy marki?

Napięcie wzrastało z każdym dniem. Wreszcie nadszedł pierwszy czerwiec.

Jadący do Włoch, ci którym dotychczas nie odmówiono paszportu, mieli się zgłosić w jednym z biur o godzinie piątej po południu. Zgromadziła się niewielka grupa, czekając w ciszy na przybycie przedstawiciela biura podróży. Odczuwałem wielką nadzieję i wielki niepokój, jakby to miał być dzień mojego

zmarłychwstania lub końca życia. Zaczęli odczytywać nazwiska, nie według alfabetu. Pojedynczo podchodziliśmy do siedzącego za stołem urzędnika, który wręczał nam paszporty. Padło i moje nazwisko, i żony; jej panieńskie.

Pociąg wyruszał z Dworca Głównego po ósmej. Razem z matką, we trójkę, poszliśmy na kolację do wykwintnej restauracji na Nowym Świecie, na co bym sobie w innej sytuacji nigdy nie pozwolił. Pożegnałem się z matką, przekonany, że upłyną lata nim ją zobaczę.

Z Nowego Świata pojechaliśmy na dworzec, gdzie już czekał kierownik wycieczki, Polak z Francji, zapewne komunista. Mówił poprawną polszczyzną, ale liczył nas po francusku. Już z góry uzgodniłem z Lilką i Andrzejem, że nie przyjadą na dworzec pożegnać się ze mną, aby nie wystawiać mnie na niebezpieczeństwo.

Pośród grupy odprowadzających zobaczyłem brata Lilki, który nie podszedł do nas. Zjawiła się także pani Irena Kościółkowska, przed wojną powiązana ze strefami rządowymi. Kobieta wyjątkowego charakteru. Przed samym wyjazdem dała mi na drogę francuskie tłumaczenie Kiplinga „IF”. Ku memu zaskoczeniu na peron weszła moja matka w towarzystwie swej przyjaciółki, której już wyjawiała, że nie wracam. Jej córka mieszkała w Wiedniu. Przyjaciółka zrobiła mi znak krzyża na czole.

Matce łzy ciekły po policzkach.

Tymczasem ogłoszono, że pociąg odjedzie z półgodzinnym opóźnieniem. Obawiałem się, że matka w głos się rozplacze i zwróci na mnie uwagę. Wśród odprowadzających i pasażerów naszej grupy na pewno byli kapusie. Widok szlochającej kobiety, która odprowadza syna na 18-dniową wycieczkę, mógł mnie kosztować paszport. Wszedłem więc do wagonu i nie wyglądałem oknem, aby swym widokiem nie pobudzić matki do płaczu. Wyczuwając, że coś się święci, zwróciłem się jeszcze raz do żony, czy nie wzięła czegośkolwiek na drogę, o czym ja nie wiem. Dopiero teraz, na kilka minut przed odjazdem przyznała się, że matka ukryła w walizce mój dyplom lekarski. To by był dopiero obciach! Niechby tak znaleźli przy rewizji na granicy... Zobaczyłbym Włochy jak własne ucho. Zeskoczyłem na peron, podszedłem do pani Ireny i udając że się żegnam, ukradkiem wręczyłem jej dyplom.

W zapadającym zmroku pociąg ruszył i wkrótce światła Warszawy zniknęły w oddali... na zawsze? Pociąg mknął przez ciemność rozjaśnianą od czasu do czasu kolorowymi światełkami

mijanych stacji. Gdzieś, setki kilometrów na południe, poza dwiema granicami, poza trzema kordonami policji, poza liniami kłębów kolczastego drutu, poza linią drutów wysokiego napięcia, poza pasmem zaminowanej ziemi... leżał Wiedeń, a za Wiedniem cały świat.

Katowice... Dziedzice... pociąg staje w Zebrzydowicach - granica. Jeden z pasażerów wyjmując z kieszeni banknot dziesięciodolarowy i wtyka go za tabliczkę z napisem „Palenie wzbronione”. Jeszcze wpakuje nas wszystkich. Mnie chodzi o życie, jemu o handel. On liczy na to, że go nie wydamy, nic go nie obchodzi, że cały przedział mogą zatrzymać.

W pierwszych trzech przedziałach celnicy przeprowadzili szczegółową rewizję, osobistą i bagażu. Zajęło im to tyle czasu, iż obawiałem się, że nie skończą przed wschodem słońca. Ci, co prowadzili śledztwo Andrzeja, w każdej chwili mogli wpaść na mój trop. W moim umyśle każda godzina, każda minuta opóźnienia robiła różnicę, jakby mi się ziemia paliła pod nogami. Przez pozostałe przedziały naszego wagonu celnicy przeszli szybko, sprawdzając tylko paszporty. Wyjrzałem przez okno, rozglądając się za barakiem, do którego wpędzili pasażerów w 1945 roku. Tą samą trasą jechałem dwanaście lat temu, uciekając z imperium Stalina. Wtedy... bez paszportu, bez biletu, na gapę za łapówkę, udając Słowaka. Pociąg ruszył i po kilku minutach stanął w Petrowicach. Mundurowi weszli do wagonu.

Usłyszałem znajome: *Připravte si pase ke kontrole.*

Moravska Ostrava, krótki postój i dalej w ciemność. Pociąg zatrzymał się pośród szczerzego pola. Mnóstwo mundurów.

Jedni wchodzą do wagonów, sprawdzają dokumenty, zaglądają do walizek, inni włączają pod wagony, świecą latarkami, opukują młotkami. Trwa to bardzo długo. Jeszcze mogą zatelefonować z warszawskiego UB i wyciągnąć mnie z wagonu. Już mi się raz noga powinęła w ostatniej chwili, dwanaście lat temu, na linii demarkacyjnej przed Pilznem.

Pociąg ruszył powoli i nie przyspieszając biegu wjechał w szczelinę w żelaznej kurtynie. Widno jak w dzień, po obu stronach pasma zaoranej i zabronowanej ziemi, kłęby drutu kolczastego, linie drutów wysokiego napięcia, i na wysokich słupach lampy, hen aż po horyzont, rzucające kręgi oślepiającego światła.

Podobnego uczucia doświadczyłem przed trzynastu laty, wychodząc z wjazdu na rogu Wareckiej i Nowego Świata po kilkugodzinnej wędrówce kanałem ze Starego Miasta.

Już świta. Pociąg przystaje. Mundurowi wchodzi do wagonu. Słyszeć niemieckie głosy. To Austria.

Część II

Na Zachodzie

6

TRUDNY POCZĄTEK WOLNOŚCI

Z dworca autokar zabrał nas do hotelu. Po drodze przyglądaliśmy się miastu. Kwiaty, we wszystkich kolorach, wszędzie kwiaty, na klombach, na parapetach okien. Tłum przechodniów z dala wygląda jak ukwiecona łąka, a nie jak to szare rżysko po tamtej stronie żelaznej kurtyny.

Przydzielając pokoje chcieli mnie i Marysię rozdzielić. Zaprotestowaliśmy, oświadczając, że jesteśmy małżeństwem. UB jakoś tego nie wyniuchało. Mieliśmy paszporty na inne nazwiska. Odtąd przydzielali nas razem.

Zwiedzaliśmy miasto autokarem. Mijając ruiny wielkiego budynku przewodnik Wiedeńczyk wyjaśnia - tu się broniły oddziały SS, a na to jeden z naszych z cicha pęktł:

- Czy to było austriackie SS?

Na jednym z placów, na piedestale pokrytym czerwonym suknem, pomnik nieznanego sowieckiego żołnierza poległego przy „wyzwalaniu” Wiednia. Wokół kwiaty. Przewodnik wcale się nie krępuje i dodaje, że Wiedeńczycy żartobliwie zwą ten pomnik *ein Denkmal des Unbekannten Räuber*.

Po tylu latach życia pod totalitarnym terrorem pierwszą reakcją musiał być odruchowy lęk. Nikt się nie roześmiał, nikt nie odezwał. Jakby sam fakt usłyszenia takiego „błuźnierstwa” robił człowieka współwinnym.

Jeszcze parę lat temu za taki żarcik można było dostać dożywocie w kopalni złota na Kółymie. Nie podobało mi się, gdy kpiono z poległych żołnierzy, kimkolwiek by nie byli.

Z Wiednia pociągami do Wenecji. Tyle już napisano o uroku tego miasta, że można się tylko powtarzać. Po wielu latach spędzonych w sowieckim imperium pod komunizmem miało się uczucie, jakby człowiek wyszedł z mrocznej jaskini i zobaczył tęczę.

Na pokładzie parostatku z San Marco do Lido wypatrzyłem amerykańską rodzinę. Oni też byli ciekawi, kim jesteśmy. Jak dotąd, Polaków turystów w zachodniej Europie nie widywano. W naszej

grupie angielskiego nikt nie znał, byłem jak jednooki wśród ślepców. Korzystając z tego, że rodacy zajęci byli podziwianiem Wenecji od strony laguny, wdałem się w rozmowę z Amerykanami, małżeństwem z dwojgiem dzieci. Głowa rodziny, mężczyzna w średnim wieku, znał niemiecki lepiej niż ja angielski. Marysi Niemczynna przydała się. Gdy wyjaśniłem, że za żelazną kurtynę nie wracam i mam zamiar emigrować do Stanów, gdzie przed półwiekiem osiedlił się mój stryj, Amerykanin przedstawił się - profesor Zubrow z departamentu ekonomiki uniwersytetu w Boulders w Colorado, i dał mi swój adres.

W drodze powrotnej z Lido wdaliśmy się w dłuższą rozmowę z Niemcem, nieco starszym ode mnie. Coś w nim było z frontowego żołnierza. Pacyfista i wróg komunizmu. Usłyszawszy, że nie wracamy do Polski, rzekł, iż tacy jak my nie powinni opuszczać kraju, ale działać tam na rzecz obalenia komunizmu. Inaczej zostaną tam tylko ludzie pasywni i nic się nie zmieni. Łatwo było mu to mówić mieszkając na zachodzie. Gdy staliśmy grupą na placu San Marco przesadnie głośno rozmawiając, podeszła do nas siwa pani o młodej twarzy i szczupłej sylwetce i odezwała się piękną przedwojenną polszczyzną. Oświadczyła, że jest mieszkanką Wenecji i taktownie, nie urażając naszej dumy, zwróciła nam uwagę na wysoki decybel naszych głosów. Włosi są sami przesadnie głośni - rzekła, wiedzą o tym i nie mają szacunku dla tych, co są hałaśliwi, aby dodać sobie ważności. Gdy się wyraziła pochlebnie o jednym z nas, który już się oddalił - najwidoczniej sprawił jej przyjemność jakimś komplementem: - ależ to kobieciearz proszę pani - wyjaśnili jej. My, kobiety, odparła - lubimy kobieciearzy, bo nam poświęcają tyle czasu.

Z Wenecji do Bolonii na jeden dzień, a potem Florencja. Nie mając głowy do handlu, mogłem tylko podziwiać tych rodaków, którzy targowali się nie używając jednego włoskiego słowa i nawet wcale nie mając zamiaru kupić. Wskazywali pożądaną towar, sprzedawca pisał cenę, którą nasi poprawiali skreślając zero na końcu albo cyfrę na początku. Nie każdy sprzedawca brał to za żart.

Wielu w naszej grupie wzięło w podróż wszelakie wódki na sprzedaż w Austrii, gdzie jakoby miał być na nie wielki popyt. Okazało się to nieprawdą, musieli pozbywać się towaru za byle jaką cenę. W wolnych chwilach, a takich było niewiele, uganiali się po Wiedniu z butelkami po restauracjach, sklepach i barach. Wymieniali informacje na temat punktów sprzedaży. Przeliczali szylingi na złotówki, co było kwadraturą koła, ponieważ oficjalnej wymiany nie było. Porównywali ceny podobnych towarów w Polsce i Austrii, aby

wyliczyć ile zarabiają i czy zarabiają na tych transakcjach. Pośród towarów, których w Polsce nie produkowano, znajdowały się lalki. Wódek trzeba było pozbyć się w Wiedniu, bowiem im dalej na południe, im cieplejszy klimat, tym więcej wina ludzie piją, a mniej wódki. Nawet sam Wiedeń nie okazał się tak wódkochłonny, jak oczekiwano, a oczekiwano, że zbyt będzie równie dobry jak w Szwecji.

Każdy z nas dostał dziesięć dolarów na drobne wydatki. Dla nas dwojga było to szczególnie ważne, gdyż po odłączeniu się od grupy będziemy musieli radzić sobie sami. Można było prysnąć już w Wiedniu, ale postanowiłem wykorzystać okazję i objechać Włochy razem z całą grupą. Trzeba było tylko uważać, aby się z czym nie zdradzić, a kapusiów pomiędzy nami zapewne nie brakło. Przyglądając się Włochom i upajając się tym krajem, nie spuszczałem oka z moich towarzyszy podróży. Istniało też inne niebezpieczeństwo. UB w Warszawie mogło już aresztować Andrzeja, wpaść na mój trop i zawiadomić kierownika wycieczki.

Z Florencji pędzimy do Rzymu. W autobusie zainstalowana jest syrena. Zaczyna ryczeć, gdy szybkość przekracza 80 km na godzinę. Posuwamy się w żółtym tempie w porównaniu z prywatnymi samochodami. Naszym przewodnikiem po Włoszech jest starszy pan, Polak tutaj zamieszkały, ma w sobie coś z kawalerzysty. Przydrożne reklamy, które jego zdaniem zaśmiejają krajobraz, mnie się podobają, bo kolorowe. Zwłaszcza reklama na wielu stacjach benzynowych w postaci smoka, któremu z paszczy tryska czerwony płomień. Wszystko co nowe podoba mi się, a wszystko jest nowe. Nawet napisy po włosku. Staram się odgadnąć ich znaczenie porównując z łaciną, którą wbijano mi do głowy przez cztery lata. Od czasu do czasu wysiadamy, aby coś ciekawego zobaczyć. Przewodnik rozmawia z szoferem po włosku, kierownik grupy coraz to liczy nas po francusku. Zajeżdżamy do Asyżu. Naszym przewodnikiem po klasztorze jest ksiądz, a może mnich, Polak, jeszcze młody, nie starszy ode mnie. Porusza się energicznie, stawia długie kroki, bardziej maszeruje niż chodzi. Gdy zmienia kierunek, robi to szybko i pod ostrym kątem. Niemal jak na paradzie. Wydaje mi się, że pod habitem ma buty z cholewami. Zagadujemy go o przeszłość. Zamienił mundur na habit. Był w korpusie Andersa, zanim poświęcił się karierze duchowej.

Nasz główny przewodnik w czasie jazdy autobusem zabawia nas różnymi anegdotami, omija temat Polski ludowej i wszystko,

cokolwiek trąci polityką. Raz jednak przy jakiejś okazji zaśpiewał nam żołnierską piosenkę o tym, jak to Polacy bili bolszewika.

Reakcją był brak widocznej reakcji. Pomyślałem sobie, pewnie to jego ostatnia tura z wycieczką z Polski.

W miarę zbliżania się do Rzymu, miejsca i postacie zapamiętane z lektur Liwiusza, Tacyta, Plutarcha, Swetoniusza, z ilustrowanych podręczników sztuki, z „Quo Vadis” Sienkiewicza, ukazywały się coraz żywiej w mojej wyobraźni, jak gdybym oczekiwał wjazdu do stolicy pogańskiego imperium. Pierwsze zaskoczenie już na peryferiach wiecznego miasta - aleja Piłsudskiego, którego w PRL najpierw oczerniono, a gdy to nie pomogło, wymazano z historii. Jakbyś nieoczekiwanie zobaczył podobiznę zaginionego przodka.

Już zbliża się wieczór, gdy autobus zatrzymuje się przed hotelem Regina Margherita przy ulicy o tej samej nazwie. Obok wejścia, w ogródku przy stoliku siedzą trzy osoby. Siwy pan po pięćdziesiątce, kobieta po czterdziestce i młody mężczyzna. Elegancko ubrani, z miejsca zainteresowali się nami, grupą turystów mówiących językiem, którego nie mogli zidentyfikować. Kierownik naszej grupy porozmawiał z nimi przez chwilę po francusku.

Odczekałem, aż wszyscy Polacy weszli do środka i odezwałem się do siedzących po angielsku. Odpowiedzieli po francusku i poprosili, abym się przysiadł. Przedstawili się. Starszy pan to emerytowany pułkownik armii włoskiej. Kobieta, Luisa Jacob, żona kapitana transatlantyku kursującego pomiędzy Rzymem a Brazylią, mieszka w Sao Paulo, jest lekarzem psychiatrą. Aby dowiedzieć się o sytuacji uciekinierów we Włoszech, dałem do zrozumienia, że nie mam zamiaru wracać. Na to obaj panowie powstali, uścisnęli mi rękę. O ile dobrze pamiętam, usłyszałem „Polonia eroica”. Było to zaledwie w kilka miesięcy po polskim październiku, kiedy to Polacy zdumili świat powstając przeciw czerwonemu molochowi i wygrywając. Kobieta namawiała mnie, abym osiedlił się w Brazylii, ma wielki dom, mogę się u niej zatrzymać, dała mi swój adres. Kilka lat później, gdy opisałem tę scenę przyjacielowi, Włochowi, rzekł: - Miałeś wrażenie, że są po twojej stronie. Włosi mają ten talent, kimkolwiek byś nie był, wydaje ci się, że są po twojej stronie. Panią doktor z Brazylii spotkałem po dwóch dniach. Wyglądała, jakby pół życia z niej wyciekło. Już nie powtórzyła zaproszenia.

Zasłiśmy do Polaka zamieszkałego w Rzymie przy Via Tembien. Jego adres dała mi przyjaciółka mojej matki. Wydawał się nieprzyjemnie zaskoczony naszą wizytą. Był zresztą w kwaśnym

humorze. Właśnie rozbił swoje auto, a nie miał ubezpieczenia. Zapatrywał się pesymistycznie na możliwości urządzenia się gdziekolwiek we Włoszech. Obozy dla uchodźców są przepełnione, o pozwolenie na pracę niełatwo, o politycznym azylu nie ma co marzyć. On sam planował wyemigrować do Wenezueli, miał kontakty w Caracas. Namawiał, abyśmy wybrali się razem z nim.

W wielkim pośpiechu zwiedzaliśmy Rzym. Wycieczka, razem z podróżą, zaplanowana była na osiemnaście dni, a przed nami jeszcze południowe Włochy, Pompeje, Amalfi, Capri. Przy zwiedzaniu Bazyliki Sw. Piotra dowiadujemy się, że ołtarz z baldachimem Berniniego został zrobiony z brązu wyjętego z Panteonu w siedemnastym wieku. Robię krytyczną uwagę na temat niszczenia tego co wybudowano przed dwoma tysiącami lat. Na to jedna z pań do mnie: Wszystko jest dobre co zrobiono na chwałę Boga.

Zawodowy fotograf, pracujący dla warszawskiej prasy, członek naszej grupy, półgłosem, „na uboczu”, niby to poufnie napomknął, że jeśli kto chce porozumieć się z ambasadą rządu londyńskiego przy Watykanie, to on może pomóc, bo ma kontakty. Kapuś puścił farbę. Wiedząc, że to prowokator, powiedziałem mu, że w Warszawie przedstawię go mojej trzyletniej pacjentce, która wygląda jak miniatura sławnej włoskiej aktorki Massiny, żony Feliniego. Pamiętałem ją z filmu „Noce Cabirii”. Będzie zabawne umieścić w Przekroju ich fotografie obok siebie dla porównania, zasugerowałem mu. Dziewczynka nie tylko wyglądała jak kopia Massiny, ale i miała podobne maniery.

Od dawna przyjąłem zasadę, że w kontaktach z władzami komunistycznymi należy kłamać, umiejętnie. Komuniści rządzą kłamstwem i pięścią. Pięścią nie można się było bronić, bo pięści się nie miało. Wyjawisz prawdę, wiedzą gdzie cię uderzyć; kłamiesz umiejętnie, dla nich to jak walka z cieniem.

Po śniadaniu wymknęliśmy się we dwoje do ambasady rządu londyńskiego przy Watykanie. Oczekiwałem jakiegoś pałacyku z kolumnienkami, tymczasem ambasada mieściła się w zwykłym mieszkaniu. Nasze przybycie o „tak wczesnej porze” najwidoczniej było zaskoczeniem dla gospodarzy. Pracownik ambasady, czy też członek rodziny ambasadora, po zapoznaniu się z celem naszej wizyty poprosił nas do saloniku i zniknął na chwilę. Powróciwszy, poprosił abyśmy zaczekali. Ambasador Papee zapewne jeszcze spał gdyśmy przybyli. Musiał ubierać się w pośpiechu, bowiem gdy

wszedł, choć już w spodniach i pantoflach, na wierzchu miał narzucony szlafrok. Niczym nie ujmowało to jego godności, widocznej w każdym geście i doborze słów.

Wysłuchawszy mnie, ambasador zadał kilka osobistych pytań. Zapewne chciał zorientować się czy nie jestem prowokatorem lub zwykłym kombinatorem. Poradził nam przedostać się do Zachodnich Niemiec, gdzie są Amerykanie. W Austrii i we Włoszech szansę na otrzymanie pracy i politycznego azylu są prawie żadne. Dał nam też adres niejakiego pana Nowaka w Monachium, pracownika Radia „Wolna Europa”. Na zakończenie spytał, ile mamy pieniędzy. Gdy oświadczyłem, że dwadzieścia dolarów, odrzekł: to wam nie wystarczy i dał nam jeszcze dwadzieścia.

Z pobytu w Neapolu utkwiła mi w pamięci taka scena. Siedzę w parku na ławce. Obok mnie 6-7 letnia brunetka. Chcąc popisać się znajomością włoskiego, mówię do niej: *Tu es negra*. A ona na to w tonie nie pozbawionym wyższości i dydaktyzmu: *Non sono negra, sono NERA*.

Po objechaniu południowych Włoch podróż turystycznym autobusem dobiegła końca w Rzymie. Stąd koleją do Wiednia, a w Wiedniu przesiadka na pociąg warszawski. W korytarzu wagonu nasz kierownik wychylając się z okna rzekł do kogoś półgłosem: -, Wygląda na to, że z naszej grupy nikt nie pryśnie.

Byliśmy specjalnie ostrożni, aby nie wzbudzić podejrzeń. Zachowywaliśmy się jak wszyscy inni. Jednak ktoś z naszej grupy coś zauważył.

- A to państwo niczego nie kupują?

- Kupimy coś w Wiedniu - odparłem - na wakacjach, zwłaszcza takich, lubię mieć wolne ręce. Wszyscy już porobili jakieś zakupy. Największym popytem cieszyły się lalki. Takich ozdobnych w Polsce nie było. Jedno młode małżeństwo od razu kupiło lalkę. Potem zobaczyli większą i ładniejszą, i kupili, a potem jeszcze większą i jeszcze ładniejszą, i też kupili. Wydali wszystkie pieniądze, kieszonkowe i co zarobili sprzedając wódki w Wiedniu. Te najdroższe lalki, wystrojone jak księżniczki, piszczały, mrugały, mruczały. Zbyteczne lalki zawsze można było wymienić w kraju na inny towar, na żarówki, na czajnik, na budzik.

Marysia, choć wiedziała, że pryskamy, musiała się bać nieznanego, bo raz napomknęła - może teraz wrócimy do kraju, a zostaniemy na zachodzie następnym razem. Nic nie wiedziała o sprawie Andrzeja zamieszanego w aferę szpiegowską.

Pociąg przybył do Wiednia o siódmej rano. Pośpieszny do Warszawy odjeżdżał w południe. Walizki mieliśmy złożyć do specjalnego pomieszczenia na peronie zamiast w przechowalni, gdzie trzeba było płacić. Zamiast złożyć nasze walizki tam, gdzie wszyscy, oświadczyłem, że biorę je do przechowalni. Zaskoczonemu kierownikowi wyjaśniłem, że zostajemy jeszcze trzy dni w Austrii, że jadę do Salzburga, aby tam spotkać mojego przyjaciela z czasu wojny i powstania, obecnie amerykańskiego dziennikarza. Gdyby się pytał o szczegóły, miałem zamiar podać nazwisko Edka, przyjaciela z lat 1944-45, towarzysza powstańczych walk i ucieczki na zachód. Nie mogłem wiedzieć, że Edek w tym czasie wyjeżdżał z Niemiec do Polski swym mercedesem.

Z dworca wszyscy pomknęli do miasta na ostatnie zakupy.

Pokręciwszy się nieco po mieście ze względu na wczesną porę poszliśmy na Weyrgasse do córki przyjaciółki mojej matki, tej, która zrobiła mi znak krzyża na czole, gdy na warszawskim dworcu wsiadałem do wiedeńskiego pociągu. Córka, młoda kobieta, była wyraźnie speszona naszą wizytą. Widocznie bała się, że się do niej zwalimy, a przy tym może czuła się niezbyt pewnie w roli trzeciej żony. Kandydatka na czwartą już mogła ukazać się na horyzoncie. Nawet nie poczęstowała nas herbatą czy kawą. Męża nie było w domu, więc umówiliśmy się na popołudnie.

Jeszcze przed wyjazdem Andrzej prosił mnie, abym w jakiś sposób sprawił wrażenie na kierowniku grupy, że się nie urywam, że wracam do Polski za parę dni. Czyżby sądził, że będzie to korzystne dla jego sprawy? Postanowiłem zjawić się na dworcu jeszcze przed odjazdem pociągu, aby uczynić zadość prośbie Andrzeja i aby dostać suchy prowiant, naszą wałówkę na drogę. Ostatni posiłek mieliśmy w Rzymie poprzedniego wieczora. Brakowało dwudziestu minut do odjazdu pociągu, gdy weszliśmy na peron. Nasi współtowarzysze wycieczki znajdowali się już w środku wagonu i wyglądali przez okna. Zaskoczenie naszym przybyciem było widoczne. Czyżby wydawało im się przez chwilę, że dołączamy? Żywności nie dostaliśmy, nasze paczki już podzielili pomiędzy sobą, tak nam w każdym razie powiedziano. Do wagonu oczywiście nie wszedłem. Mogliby mnie przytrzymać, ogłuszyć, dać zastrzyk nasenny. Na peronie ich się nie bałem. Nie odważyliby się próbować porwać nas na oczach policji, zresztą siłaczy pomiędzy nimi nie było. Kierownik „Francuz” wyszedł z wagonu nam na spotkanie: No, powiedzcie prawdę, pryskacie czy nie pryskacie?

Wiedziałem, że musiał w naszej sprawie złożyć raport w Warszawie, a może już i na samej granicy i nie chciał się pomylić. Gdy, siłąc się na uprzejmość, powtórzyłem bajkę o amerykańskim dziennikarzu i że wracamy za trzy dni, złość zaczęła w nim wzbierać. Wydusił z siebie:

- Mam nadzieję, że będziecie godnie reprezentować honor Polaków.

Teraz we mnie złość zaczęła wzbierać.

- Co pan przez to rozumie - odparłem.

Nie odpowiedział i zawrócił do pociągu.

Peron opustoszał. Pociąg mógł ruszyć lada chwila. Staliśmy oboje na wprost ich wagonu, o kilka kroków tylko. Oni wyglądali z okien, twarze zwrócone w lewo, w prawo, odwrócone od nas. Unikali naszego widoku, naszego wzroku, jakby bali się, aby nasze i ich spojrzenia nie spotkały się. Jakbyśmy wydzielali, jak słońce, promienie zdolne przepalić ich źrenice. Nas i ich dzieliło zaledwie kilka kroków, a już przedzielała nas i ich żelazna kurtyna. Przed nami świat stał otworem, oni wracali do klatki. Wtem ze stopni wagonu zeskoczył młody mężczyzna, dziennikarz. Podeszedł, uściśnął nam ręce: - Życzę wam wszystkiego najlepszego - rzekł. A za nim śpiewak warszawskiej operetki, i on nam życzył wszystkiego najlepszego. Rozległy się wołania „einsteigen”. Gwizd lokomotywy. Pociąg drgnął. Koła zaczęły się obracać, wolno. Jeszcze nie było za późno, jeszcze można było zeskoczyć z wagonu na peron. Staliśmy prowadząc pociąg oczami, aż zniknął w oddali. Nim słońce zajdzie, zobaczą pałac kultury i nauki imienia Stalina.

Poszliśmy do naszej znajomej Polki. Jej mąż był już w domu. Tym razem poczęstowano nas herbatą czy kawą z wiedeńskim biszkoptem. Pan Oskar poradził nam pojechać do Salzburga, gdzie jego znajomy jest właścicielem fabryki o nazwie Wulkan. Z nutą moralnej wyższości, a może i zazdrości dodał, że zna on dobrze tamten teren, bo szmuglując przez granicę zbił majątek.

Pożegnawszy się z rodakami poszliśmy do parku, kupiwszy po drodze coś do zjedzenia. Pociąg do Salzburga odchodził dopiero przed samą północą. Mieliśmy dość pieniędzy na kupno biletów do Salzburga, ale nie do Monachium, gdzie planowaliśmy zgłosić się do pana Nowaka z Radia „Wolna Europa”. A co robić z walizkami? Szkoda było je porzucić, mieliśmy tam niezbędne przedmioty codziennego użytku, zmiany bielizny. Walizki można było nadać pociągiem i odebrać je w Monachium, ale na to trzeba było okazać

bilet do Monachium, a na kupno biletu do Monachium nie wystarczało nam pieniędzy. Po naradzie w parku ułożyliśmy taki plan. Marysia spróbuje nadać walizki do Monachium pokazując bilet do Salzburga. Gdy jej odmówią powie, że mieszka w Monachium, ale ma spotkać mamusię w Salzburgu, spędzić tam dwa dni, a potem obie razem wrócą do Monachium. Gdyby się zapytali o adres, da adres pana Nowaka. Gdyby zażądali paszportu powie, że paszport ma mamusia, bo boi się, że ona go zgubi. Walizki miały naklejki włoskich hoteli, co wskazywało, że jest autentyczną turystką.

Ustawiłem walizki przy kontuarze i ulotniłem się. Tłum podróżnych kłębił się, więc nikt by nie zwrócił na mnie uwagi. W czasie wojny Marysia chodziła do niemieckiej szkoły. Na Górnym Śląsku mówienie po polsku, nawet w domu, było niebezpieczne. Gdy wojna skończyła się, niemiecki znała lepiej od polskiego, więc teraz mogła uchodzić za Niemkę. Gdy stojąc z dala w ogromnej hali dworcowej obserwowałem „rozwój wypadków”, ktoś odezwał się do mnie po polsku. Odwracam się, a to inżynier z naszej grupy.

- A co pan tu robi - pytam.

- Jadę do Salzburga - powiada.

- A pan dokąd - on z kolei pyta, jakby nie wiedział.

- Do Salzburga - mówię. Czyżby wysłali go, aby nas śledził?

- A gdzie żona - pyta inżynier.

Wyszła na miasto, powinna zaraz wrócić.

Boję się, jeśli zobaczy Marysię, podejdzie do niej, odezwie się po polsku i cały plan diabli wezmą. Mogą nawet wezwać policję.

Stoję zwrócony ku Marysi, on stoi przede mną, widzieć jej nie może, ma ją za plecami. Więc podtrzymuję rozmowę z inżynierem, choć zupełnie się nie klei, aby tylko nie obrócił się. Jednym okiem patrzę na niego, drugim widzę Marysię. Coś jej tam nie idzie. Rozmawia przy kontuarze, coś pisze, znowu rozmawia. Nie mogę mu powiedzieć, żeby się odczepił. Minęło dwadzieścia minut, pół godziny. Marysia wciąż przy kontuarze. Tłum ludzi przewija się przy kontuarze, coraz to ją przesłaniają. To ją widzę, to jej nie widzę. Czyżby się do niej przyczepili i nie może się wymknąć? Zerkam w jej kierunku tylko od czasu do czasu, aby nie ściągnąć na nią uwagi inżyniera. On udaje, że znalazł się tu przypadkowo, na wiele godzin przed odjazdem pociągu do Salzburga, a ja udaję, że nie wiem o co chodzi. Gdyby go tu nie było, podszedłbym do Marysi, udając, że jej nie znam, a tak to muszę zabawiać tego szpiega. Nie wyglądał na konfidenta UB. Niczym się dotąd nie zdradził.

Trudno opisać, jaką ulgę odczułem, gdy Marysia odeszła od kontuaru. Widząc inżyniera, od razu odgadła o co chodzi. Pozbyliśmy się go mówiąc, że idziemy odwiedzić znajomych. Odczepił się. Musiał zachować jakieś pozory, inaczej jego rola byłaby oczywista, choć i tak była. Co do tego sam nie powinien mieć wątpliwości.

Marysia swoją rolę zagrała znakomicie. Walizki przyjęli na transfer do Monachium. Całe opóźnienie spowodowane było tym, że za pierwszym razem źle wypełniła formularz i straciła swoją kolejkę. Była młoda i ładna i to być może jej pomogło. Podobno w Austrii, gdy przed żołnierzem stojącym na warcie przejdzie ładna dziewczyna, to się do niej uśmiechnie, zrobi oko. Nigdy w Prusach.

Wszystko szło jak z płatka. Pozbyliśmy się szpiega. Bilety do Salzburga w kieszeni.

Nadchodził ciepły, bezchmurny wieczór. Słońce zachodziło, zastępowały je światła żyjącego miasta, tysiące świateł. Postanowiliśmy uczcić pierwszy dzień nowego życia na wolności. Poszliśmy do Prateru. Noc zapadła, kolorowe światełka mrugają. Rozbawione tłumy. Kręcą się karuzele. Wsiadamy do „podziemnej kolejki”, zawiezie nas w świat upiorów. Napis ostrzega, że wstęp tylko dla tych z silnymi nerwami. Kolejka wije się w ciemności, coraz to rozjaśnianej blaskiem ostrego światła, poprzez jaskinie i zakamarki. Szkielety wyskakują ze szczelin, zwisają ogromne pająki, wampiry, widziadła o gorejących oczach, ptaszyska o krwawych szponach.

Z Prateru na dworzec. Już blisko północy, zbity tłum na peronie, mroczno. Nagle słyszę: - dobry wieczór państwu - to inżynier. Pociąg przystanął, powstało zamieszanie, zgubiliśmy go. Po kilku godzinach rozwidnia się, Salzburg. Jest piąta rano. Trzeba odsiedzieć na stacji co najmniej do ósmej. Jeszcze poczekalnia nie całkiem się opróżniła, gdy przysiadł się do nas inżynier. I znowu zaczyna się towarzyska rozmowa, która się nie klei. Zastanawiam się, jakie instrukcje otrzymał w polskiej ambasadzie. Nie może nas zadenuncjować do miejscowej policji jako nielegalnych, bo austriacka wiza turystyczna w naszych paszportach jest wciąż ważna. Inżynier nadal stara się sprawić wrażenie, iż znalazł się tu przypadkowo, że nas nie szpieguje, a jednocześnie próbuje wyciągnąć ze mnie informacje o celach naszej podróży.

Co robić, jeśli będzie szedł za nami jak pies aż do samej granicy. Chyba nie ma przy sobie rewolweru.

Nadal gramy w pokera bez kart. Kto kogo zapędzi w kozi róg, kto pierwszy puści farbę. Powtarzam bajkę o amerykańskim dziennikarzu, który ma czekać na nas w hotelu.

Na to inżynier, niby to mimochodem, pyta: A w którym hotelu zatrzymał się pański przyjaciel?

Pewnie myślał, że mi zadał cios, po którym się nie pozbieram: że mnie zapędził w kozi róg, zaszachmatował, i że się zająknę, zapłaczę; że moje kłamstwo wyjdzie jak szydło z worka.

Mogłem strzelić na ślepo: „w Grand Hotelu”. Mogło się udać, bo Grand Hotele są wszędzie, ale to by tylko przeciągało grę w pokera i to na moją niekorzyść. Mogłem mu zwyczajnie powiedzieć to, co chciał usłyszeć, że pryskamy. Wtedy złożyłby w ambasadzie w Wiedniu i warszawskim UB odpowiedni meldunek z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku i w oczekiwaniu wyróżnienia. Mogłem też z uśmiechem zapytać: - Wydaje mi się, że pan nas śledzi - czy pan nam nie ufa? Zabrakło mi odwagi doprowadzić do konfrontacji. Była to zabawa w kotka i mysz.

I choć byłem już w wolnej Austrii, sam fakt spędzenia sześciu lat pod Hitlerem i dwa razy tyle pod komunizmem, sprawiał, że wciąż czułem się myszą, a on reprezentował kota. Te osiemnaście dni na wolności nie wystarczało, aby otrząsnąć się z mysich nawyków nabytych w ciągu osiemnastu lat życia spędzonych pomiędzy pazurami kotów.

Mylił się, jeśli myślał, że zapędził mnie w kozi róg. Dostał taką kontrę, po której już się nie pozbierał. Na jego pytanie rzucone niby to mimochodem: - A w którym hotelu zatrzymał się pana przyjaciel? - powiadam: nie wiem... miał mi zostawić wiadomość na poste restante, a pocztę otwierają najwcześniej o ósmej.

Po dłuższej chwili milczenia odezwał się:

- A to państwo idziecie na miasto? Można by było się przejść.

- Nie, zostajemy w poczekalni, jest dopiero po piątej.

Więcej już się do niego nie odezwałem. Inżynier nie mógł znaleźć pretekstu, który by uzasadniał jego siedzenie obok nas. Po kilku minutach ciszy wstał i oddalił się. Czyżby w poszukiwaniu telefonu, aby połączyć się z ambasadą w Wiedniu?

Gdy tylko zniknął, wyszliśmy i my. Po dziewiątej zjawiliśmy się pod wskazanym przez pana Oskara adresem w przedsiębiorstwie Wulkan. Było to nowocześnie urządzone biuro przyległe do małej fabryki. Właściciel, pan Radzyner, masywny, wysoki, otyły, szpakowaty, ostrzyżony na jeża, nie dał nam długo czekać, gdy

usłyszał nazwisko swojego byłego wspólnika z Wiednia. Mówił po polsku jako tako. Obaj panowie wynieśli chyba jakieś wzajemne urazy z czasu, gdy byli partnerami, bowiem grubas już w pierwszym zdaniu okazał zainteresowanie losem kolegi z Wiednia:

- A na której żonie on teraz jest, jeszcze na trzeciej?

Po czym przystąpiliśmy do sedna sprawy. Według niego przejść granicę było łatwo. Wyciągnął mapę.

- Pojedziecie trolejbusem do Grosse Gemeinde. Tu jest przejście przez granicę i szlaban... - wskazał palcem. Obejdziecie bokiem, strażnicy wcale nie patrzą.

Kupiliśmy kompas, mapę, i w drogę.

Na miejscu, w Grosse Gemeinde, podeszliśmy do przejścia granicznego. Obejść go się nie dało z powodu dobrej widoczności. Pośród otwartej przestrzeni stały jakieś domki, może należące do straży granicznej. Nie tędy droga. Cofnęliśmy się i przysiadłszy jeszcze raz przyjrzelśmy się mapie. Z dala od przejścia granicznego, może o kilometr, gęsto rosły krzaki, a dalej ciemniał las. Las przecinała szosa. Granica biegła skrajem szosy po naszej stronie. Jezdnia już była w Niemczech. Ruszyliśmy w krzaki, trzymając się za ręce jak zakochana para, nasłuchując i rozglądając się dokoła i wkrótce znaleźliśmy się w lesie.

Zerkałem na kompas. Niebo zasnuwały chmury i nie można było orientować się po położeniu słońca. Okrążając kępę krzaków nagle wyszliśmy wprost na budkę strażnika pomalowaną w pasy. Oczekiwałem okrzyku „Halt”, jeśli nie „Hande hoch”. Cisza. Budka była pusta. Jeszcze kilkadziesiąt kroków i ukazał się skraj lasu, szosa oraz barak - jeszcze w Austrii. Nagle lunął deszcz. Jakiś mężczyzna, który wziął się nie wiadomo skąd, skrył się pod okapem baraku w chwili, gdy już zamierzaliśmy wejść na szosę.

Nie mając odwagi przekroczyć granicy na jego oczach, musieliśmy udawać, że także chronimy się przed deszczem. Stałem tak, aby Marysia znalazła się pomiędzy nim a mną, na wypadek gdyby się odezwał. Szczęściem okazał się człowiekiem mało mównym lub dyskretnym. Może pomyślał, że nas z krzaków wypłoszyła ulewa. Po kilku minutach deszcz ustał równie nagle jak zaczął padać i mężczyzna oddalił się, a my przeszedłszy niezbyt ruchliwą szosę, zagłębiliśmy się pomiędzy wzgórza porośnięte lasem. Po dwóch godzinach wyszliśmy na tę samą szosę, ale już z dala od granicy. Zaczęliśmy machać przejeżdżającym samochodom i wkrótce zatrzymał się volkswagen. Młody mężczyzna, milczek,

podwiózł nas kilkadziesiąt kilometrów w kierunku Monachium. Następny kierowca, nieco starszy ode mnie, rozmawiał z Marysią cały czas. Wcale nie ukrywała celu naszej podróży i kim jesteśmy. Poradził, abym się nie przyznawał władzom niemieckim do udziału w Powstaniu Warszawskim. Trzeci auto-stop podwiózł nas do centrum miasta.

Pan Nowak mieszkał w nowoczesnej kamienicy. Gdy nacisnąłem odpowiedni guzik, ku memu zaskoczeniu usłyszałem głos nad moją głową. Takiego urządzenia w Polsce jeszcze nie widziałem. Gdyśmy wyjaśnili o co chodzi, wpuszczono nas do środka. Pan Nowak, po czterdziestce, właśnie miał gościa, młodego mężczyznę. Obaj bardzo zainteresowani sytuacją w kraju. Ten młodszy zdziwił się, że uciekamy teraz, kiedy w Polsce wszystko ma się ku lepszemu. I nietaktem, i błędem taktycznym w tej sytuacji byłoby spytać go czy sam zamierza powrócić do kraju. Pan Nowak radził nam zgłosić się do Amerykanów zamiast do władz niemieckich. Z tego co mówił wynikało, że istnieje jakiś system dwuwładzy, jakby Zachodnie Niemcy były jednocześnie i okupowane, i niepodległe. Gospodarz zaofiarował się zawieźć nas do Amerykanów, których dotąd jeszcze nie widzieliśmy. Po drodze musiał wskazywać taksówkarzowi, którędy jechać, a nam wyjaśnił. „To są skutki picia piwa przez pięćset lat, taksówkarze nie pamiętają rozkładu ulic i uważają, że pasażer powinien im pomagać”. Już zmierzchało, gdy samochód zatrzymał się przed willą w eleganckiej dzielnicy. Napis nad wejściem oznajmiał: *Haus der Deutsch - Amerikanischer Kultur*. Pan Nowak wszedł na chwilę, porozmawiał, i zostaliśmy przyjęci. Pomimo późnej pory dom amerykańsko-niemieckiej kultury nie był wyludniony. Jego mieszkańcy, młodzi mężczyźni, pomimo cywilnego ubioru sprawiali wrażenie wojska. Tak samo krótko ostrzyżeni, w białych koszulach, spodnie odprasowane pod ostry kant, krawaty wpuszczone do środka pomiędzy trzecim i czwartym guzikiem. Ze sobą mówili po angielsku, słyszało się i niemiecki. Poczęstowali nas kolacją. Dali nam pokój na mansardzie. Chyba byliśmy jedynymi autentycznymi cywilami w tym domu kultury.

Po śniadaniu zaczęło się przesłuchanie po polsku, niemiecku i angielsku, bez żadnego nacisku, przez dwóch młodych mężczyzn z krawatami wpuszczonymi do środka między trzecim a czwartym guzikiem. Jeden z nich przedstawił się jako Ukrainiec.

Podzielając powszechne wśród Polaków uprzedzenia w stosunku do wszystkich Ukraińców, poczułem się nieco niepewnie.

Od razu opisałem sprawę Andrzeja, tajemniczego pana Stasia i dałem im adres skrzynki pocztowej pana Szuberta w Paryżu, który miałem zapisany w notesie. Dopiero później zrozumiałem, że popełniłem kardynalny błąd. Gdyby UB aresztowało mnie na granicy, byłby to dowód czarno na białym o przynależności do szpiegowskiej siatki. W czasie wojny zwano to obciachem. Inny przykład obciachu. Facet ma doskonale podrobiony fałszywy dowód osobisty, z fotografią i pieczęciami, jak należy. Problem w tym, że przy rewizji znajdują też drugi, doskonale podrobiony, z jego fotografią, na inne nazwisko.

Amerykanów interesowało, kto należy do UB, a gdy podawałem nazwiska, chcieli wiedzieć jak doszedłem do tego wniosku. Interesowało ich położenie sowieckich jednostek wojskowych, a jeśli wiedziałem, to pytali czy sam widziałem, czy słyszałem od innych. Mieszkając tymczasowo u wuja w Ursusie musiałem wychodzić z domu przed siódmą, gdy on szedł do pracy. Nie miał do mnie dość zaufania, aby zostawiać mi klucz do drzwi. Zaczynałem pracę dopiero o ósmej. Jeśli deszcz nie padał, mając dużo czasu, wysiadałem na dworcu zachodnim i szedłem na Działdowską. Był to długi spacer przez teren nie zamieszkaany. Stały tam baraki, magazyny. O tej wczesnej porze nie było żywego ducha. Pewnego razu, gdy mijalem barak w małym ogródku otoczony płotem, utrzymany bardziej starannie niż inne, z jego drzwi wyszedł wojskowy w sowieckim mundurze i za chwilę wszedł z powrotem. Przechodziłem koło tego baraku wiele razy i nigdy nie zauważyłem żywego ducha. Doszedłem do wniosku, że tutaj musiał być jakiś punkt służący specjalnym celom. Radiologiem kliniki na Działdowskiej był profesor Rowiński, partyjny i wysoko postawiony w kołach rządzących polską medycyną. Często jeździł za granicę. Raz, wróciwszy z Budapesztu, w zaufaniu wyjawiał swej asystentce, ładnej dziewczynie, a ta powtórzyła mnie, że na Węgrzech miał miejsce wypadek i zanieczyszczenie terenu substancjami radioaktywnymi. Amerykanie szczególnie interesowali się rozmieszczeniem sowieckich jednostek i sprawami atomowymi. Powiedziałem o sowieckim oficerze i o wypadku na Węgrzech. Wątpię, czy to przedstawiało jakąś wartość dla amerykańskiego wywiadu, ale może to służyć za przykład jak tajemnice mogą przeciekać do wroga przez nieostrożność i gadulstwo.

Systematycznie wypytywali o nazwiska członków rodziny i przyjaciół i co robią. Gdy doszło do mojego brata, inżyniera

pracującego w instytucie lotnictwa, obaj Amerykanie zaczęli się szczegółowo dopytywać o niego, włączając jego rodzinę. Wiadomo, dlaczego. Gdy doszło do jego żony, na pytanie jakie ma ona poglądy polityczne, powiedziałem - lewicowe. A gdybyśmy wysłali kogoś do brata, czyby ona powiadomiła UB. Nie wiem, odparłem. Za żadną cenę nie chciałem dopuścić do tego, aby brata wpakowali tak jak Andrzeja, w szpiegowską aferę. Odpowiedź „nie wiem” była lepsza niż „tak”, bowiem „nie wiem” jest wystarczającym ostrzeżeniem, a „tak” może nasuwać podejrzenie, że celowo przesadzam. Daliśmy Amerykanom pokwitowania na odbiór bagażu nadanego w Wiedniu i po paru godzinach walizki z całą zawartością, znalazły się na mansardzie.

Mogliśmy chodzić po całej willi, nikt nam nie powiedział, gdzie nie powinniśmy postawić nogi.

Przesłuchania odbywały się rano i po południu. Marysia zauważyła, że chociaż wiedzieli, iż ona mówi płynnie po niemiecku, a ja trochę po angielsku, różni członkowie załogi domu kultury, niby to omyłkowo, zwracali się do niej po angielsku, a do mnie po niemiecku. Po południu nasz „opiekun” powiadomił nas, że mamy wolne na resztę dnia, i że możemy pójść do miasta, obejrzeć film, i dał nam kilka marek na kupno biletów. Był to pierwszy film oglądany na wolnym zachodzie i dlatego pamiętam i tytuł, i treść. *„Alarm im Weltall”*. Akcja ma miejsce na innej planecie, gdzie wylądowali i zagospodarowali się ziemianie. Jakieś straszliwe, prawie niewidzialne człękoksztaltne maszkar, wzrostem przerastające najwyższe drzewa, atakują obóz ziemian. Widać je nieco wyraźniej, gdy pociski wystrzeliwane przez ziemian wybuchając odbijają się od ciał maszkar. Przy końcu filmu tajemnica wyjaśnia się. Profesor, kierownik ekipy, ma młodą, urodziwą córkę. Córka ma narzeczonego, też członka ekipy. Profesor jest zazdrosny, ale o tym nie wie. Jego podświadome oddziela się od jego świadomego i atakuje obóz ziemian. Bardzo mi się ten film podobał. Czegoś podobnego nie widziałem. Wkrótce przekonałem się, że zachód był zasypany takimi pseudopsychologicznymi produktami Hollywoodu.

Oczekiwałem, że Amerykanie przekażą nas do obozu dla politycznych uchodźców. Słyszałem o istnieniu takich obozów, wspomniał o nich i pan Nowak. Po dwóch dniach jednak przewieźli nas samochodem do Norymbergi. Naszą nową siedzibą była elegancka duża willa z basenem pływackim, położona na skraju miasta. Tutaj nie byliśmy sami. Oprócz Amerykanów znajdowało się

tu ze dwudziestu uchodźców spoza żelaznej kurtyny, samych mężczyzn, głównie z Węgier i Czechosłowacji. Amerykanie mówili wieloma europejskimi językami. Ich szefem był łysiejący, nieco otyły, wzbudzający zaufanie szatyn w średnim wieku. Mówił po polsku kalecząc język. Rozmowy-przesłuchania odbywały się rano i po południu i nie trwały długo. W wolnym czasie, a tego było w bród, można było pluskać się w wodzie bądź też siedziało się wokół basenu i próbowało rozmawiać z naszymi współuchodźcami, jakimkolwiek językiem się dało. Amerykanie też się pluskali i udzielali towarzystwa, jeśli czas im na to pozwalał. Smakowite posiłki serwowano trzy razy dziennie. Wyglądało to bardziej na kurort niż na placówkę kontrwywiadu. Naszym „opiekunem” był szef. Gdy mu zacząłem opowiadać o Andrzeju, nie okazał żadnego zainteresowania. Wyciągnąłem stąd wniosek, że wie, i że stara się zniechęcić mnie do mówienia o tym. Szef, miły człowiek, opowiadał, jak to się męczył w specjalnej szkole - domyśliłem się -wywiadu, gdzie musiał wkuwać kilka języków naraz na przyspieszonym kursie.

Nie wiedziałem, dlaczego nas tu przerzucono, gdyż mało czasu nam obojgu poświęcali. Wśród uciekinierów, zresztą młodych, wyróżniał się ruchliwością, powiedziałbym nerwową, blondas w moim wieku, Czech mówiący płynnie po niemiecku. Okazało się wkrótce, że to Niemiec mówiący płynnie po czesku. Nauczył się języka spędziwszy dwanaście lat w czeskim więzieniu. Wyrok opiewał na trzynaście, ale zwolnili go wcześniej i pozwolili wrócić do zachodnich Niemiec, gdzie mieszkał jego brat, śpiewak opery monachijskiej. Polaka ciekawi, co Niemiec robił w czasie wojny. Spytałem go. Był ranny, i to kiedy, w czasie powstania, w Warszawie, 19 sierpnia, w walce o kwadratowy starożytny budynek, a więc chyba Arsenał. Właśnie schylił się, aby podnieść z ziemi dziecko, gdy kula przeszła mu udo. Nie miał o to żalu; ten, który go postrzelił, widocznie nie rozpoznał jego intencji. A w jakim oddziale służył... w szkole oficerskiej z Poznania. Ta jednostka walczyła na Starym Mieście na odcinku bronionym przez mój batalion Chrobry I. Od jeńców dowiedzieliśmy się, że była to szkoła SS, ale po wojnie wyczytałem, że była to jednostka mieszana, SS i Wehrmachtu. Harry Linkę, bo tak się zwał, twierdził, że był w Wehrmachcie.

Był to weekend i Harry zaprosił nas na piwo do sławnej norymberskiej *biertuby*. Pierwszy raz w życiu zobaczyłem rozbawionych Niemców. Dotąd widziałem tylko maszerujących.

I tak los sprawił, że ten co strzelał do mnie trzynaście lat temu, był pierwszym składającym mi życzenia imieninowe na wolnym zachodzie, u progu nowego życia. Smutek wyzierał mu z twarzy pomimo udawanej wesołości. Z gimnazjum niemal wprost do więzienia. Trzydzieści trzy lata i poza wojną i kratami życia nie widział. Chciałem się więcej od niego dowiedzieć o wojnie, zwłaszcza o powstaniu, ale niechętnie o tym mówił. Szef zauważył, żeśmy się z Harrym zaprzyjaźnili. Gdy stałem sam, podszedł i powiedział, abym był z nim ostrożny. Nie potrzebował mi radzić. Sam się zastanawiałem, czy Harry przed wypuszczeniem z więzienia i do tego do zachodnich Niemiec, nie musiał podpisać jakiego zobowiązania współpracy z komunistycznym wywiadem.

Po tygodniowym pobycie w Norymberdze przewieźli nas do Frankfurtu, tym razem pociągiem, i umieścili w prywatnym mieszkaniu, na parterze w nowym bloku, w dwóch pokojach z kuchnią i z tarasem. Cisza panowała tam taka jakby nie było innych lokatorów - a może i nie było. Wkrótce zjawił się nasz nowy opiekun, w średnim wieku i średniego wzrostu, ani chudy, ani gruby, po cywilnemu i bez krawata. Wyjaśnił, jaka jest jego rola i przedstawił się - Nowak. Tych Nowaków, Nowacków, Novaków jest bez liku, zamieszkują wszystkie kontynenty, nie wiadomo którzy nabyli to nazwisko przy urodzeniu, a którzy później.

Nasz Nowak mówił po polsku z amerykańskim akcentem.

Prosił, abyśmy nie wychodzili na miasto. Gdyby nas zatrzymała niemiecka policja, oni, Amerykanie, mieliby kłopoty z tłumaczeniem, dlaczego nie zgłosiliśmy się do władz niemieckich zaraz po przekroczeniu granicy.

Pan Nowak zjawiał się punktualnie rano i po południu na pogawędki ze mną. Wszystko go interesowało. Znajomi, przyjaciele, krewni, ich żony i dzieci, współpracownicy, co robią, co myślą. Zadawał te same pytania co jego poprzednicy, tylko bardziej szczegółowe, a ja dawałem te same odpowiedzi co dawniej, tylko bardziej szczegółowe. Żar lał się z nieba. Przychodząc był już cały mokry. Zalewając się potem spędzaliśmy godziny na naszych niekończących się rozmowach.

Któregoś dnia, zatrzymawszy się dłużej na moim ojczymie, lekarzu, zmarłym przed dwoma laty, spytał czy należał do partii. Aha, pomyślałem, Nowak już wie. Ojczym był w partii, więc powiedziałem, że był. Dotąd pan Nowak nie pytał o czyjąkolwiek przynależność do partii. Najwidoczniej przejęczył się. Na pewno cierpiał więcej od

nas z powodu upału, bo musiał pracować. Być może wyczerpanie odbiło się na jego koncentracji i wymknęło mu się, co wiedział. Z tego wyciągnąłem wniosek, że Amerykanie mogą wiedzieć o mnie więcej niż ja sam im powiedziałem.

Raz na dzień przychodziła służąca, Niemka, sprzątała, napełniała lodówkę jedzeniem i napojami. Zapewne do jej obowiązków także należało składanie raportów z tych wizyt. Pierwszy raz w życiu miałem całe mieszkanie do własnej dyspozycji i to ze służącą i z lodówką. Jako student i już jako lekarz gnieździłem się w podnajętych pokojach. Gdy jesienią 1953 roku dostałem z ministerstwa zdrowia służbowe przeniesienie z Elbląga do kliniki dziecięcej w Warszawie, przydziałowi pracy nie towarzyszył przydział dachu nad głową. Wysiadałem na dworcu warszawskim w październiku, z walizką w ręku, jako bezdomny. Każdego dnia wychodząc z pracy po południu zastanawiałem się, gdzieby tu znaleźć nocleg. Miałem znajomych na Sadybie Czerniakowskiej, na bliskim i dalekim Grochowie i na Żoliborzu. Walizkę trzymałem u brata, który mieszkał w jednym pokoju z żoną i dzieckiem. Wiedziałem, że znajomi zawsze mnie przyjmą, ale aby się nie naprzykrzać, nie zjawiałem się na dłużej niż trzy kolejne noce. Sypiałem na materacu na podłodze, w kuchni, w korytarzu, w przedpokoju. W podręcznej teczce nosiłem maszynkę do golenia, szczoteczkę i pastę do zębów, i zmianę bielizny. Minęły dwa miesiące, zbliżało się Boże Narodzenie, a ja wciąż szukałem dachu nad głową. Noc zapadała wcześniej. Chodząc ciemnymi ulicami mijałem stojące pośród ruin odbudowane domy. Światło wypadające z okien rozpraszało mrok. Wpatrując się w okna zasłonięte firankami wyobrażałem sobie jak tam jest za szybą... ciepło, łóżko, radio, półka z książkami... może tam mieszka samotna kobieta. Czasem śnieg sypał, płatki płąsały i wirowały na wietrze w kręgu światła - przychodziło mi na myśl opowiadanie Andersena o dziewczynce z zapalkami.

Byliśmy niejako więźniami w tym przegrzonym mieszkaniu. Jedyńą, jeśli to można nazwać rozrywką, były wizyty pana Nowaka. Nie interesował się życiem Marysi, widocznie uważając, że nie ma ona własnych sekretów, a nie zna moich. Nieraz późną nocą wymykaliśmy się na miasto w najbliższą okolicę, nie wyjść na ulicę, gdzie ktoś mógłby nas zauważyć, ale tyłami przez opłotki i teren tylko częściowo zabudowany, nie zamieszkanym i mrocznym. Wzdłuż opustoszałych ulic stały zaparkowane olbrzymie

amerykańskie samochody, lśniąco w świetle jarzeniowych lamp. Neony mrugały wieloma kolorami. Na mruganie neonów mruganiem odpowiadały samochody. Ostry blask neonów odbijał się od ich wypucowanej powierzchni jak od krzywych zwierciadeł. Po szarzyźnie i półmroku miast za żelazną kurtyną widok ten urzekał. Gapiliśmy się z zachwytem mieszkańców dżungli pierwszy raz widzących kolorowe błyskotki.

Ta część miasta musiała być doszczętnie zburzona, wszystko było nowe i nowoczesne. Słyszałem, że gdy w ostatnim miesiącu wojny Amerykanie podeszli do Frankfurtu, wezwali miasto do poddania. Niemcy odpowiedzieli ogniem. Amerykanie cofnęli się i wezwali swoje lotnictwo. Dopiero gdy miasto zostało zburzone bombami, ukazały się białe flagi. W Polsce uważano takie postępowanie za właściwe, był to komplement pod adresem Amerykanów, że się nie dali wciągnąć w krwawą bijatykę szturmując miasto. Gdy opowiedziałem to panu Nowakowi, zaprzeczył. Zareagował, jakbym oskarżał jego armię o bezmyślne zniszczenie miasta.

Pewnego razu pan Nowak przyszedł z lekarzem. Osłuchiwał mi klatkę piersiową, zajrzał do gardła, zadał kilka pytań i poszedł. Innym razem panu Nowakowi towarzyszył psycholog. Przeprowadził ze mną test na inteligencję. Nie szło mi dość dobrze, więc zrobiłem uwagę na temat, jakby wypadł Churchill w takim teście. Obaj zalewaliśmy się potem. Próbowałem zrzucić odpowiedzialność za słabe (moim zdaniem) wyniki na upał. Zastanawiałem się, jakie plany Amerykanie mają w stosunku do mojej osoby. Może będą chcieli wysłać mnie do Polski z jakąś misją - przyszło mi do głowy. Wolałem, aby nie padła taka propozycja, abym nie musiał jej odrzucić. Więc raz w rozmowie z Marysią celowo podjąłem ten temat i głośno oświadczyłem, przekonany, iż podsłuch był zainstalowany w mieszkaniu, że nawet gdyby mi zaofiarowali pół miliona dolarów, to i tak nie pojadę. Celowo powiedziałem... pół miliona zamiast milion. Milion tak jest spowszedniały w codziennym użyciu, że już nie sprawia wielkiego wrażenia. Hitler zagazował cztery miliony Żydów, a może sześć. Stalin zagłodził na śmierć na Ukrainie sześć milionów, a może dziesięć. W Chinach żyje osiemset milionów, a może tysiąc milionów. W Ameryce mówią - *you look like a million*, (świetnie wyglądasz) Hollywood roi się od milionerów. Za to nigdy nie słyszy się, że ktoś jest półmilionerem lub trójmilionerem czy stumilionerem.

Innego dnia pan Nowak przyprowadził niskiego, krępego faceta o włosach ulizanych pod górę, z walizką w ręku. Dla uproszczenia nazwę go niziołkiem. Niziołek, specjalista od wykrywania kłamstw, czyli mówiąc krócej, kłamczucholog, wyjął z walizki różne druty, instrumenty i sprężynę. Podłączył mnie do drutów, a pierś okręcił mi sprężyną, jak się domyśliłem służącą do mierzenia oddechu.

Niziołek zaczął mi zadawać pytania (pan Nowak tłumaczył na polski) o moją sympatię. Myślałem, że chodziło mu o dziewczynę, w której kiedyś podkochiwałem się, zanim ożeniłem się z inną. Wykrywacz kłamstw był nieprzyjemny w obyciu, tak różny od innych Amerykanów. Te głupie pytania, sposób w jaki je zadawał i ton głosu najpierw mnie podenerwowały, a potem poirytowały, więc czasem umyślnie brałem głęboki oddech, by mu utrudnić pracę. Poniewczasie okazało się, że Niziołkowi chodziło nie o dziewczynę, tylko o moje komunistyczne sympatie w 1945 roku.

Wspomniałem Nowakowi, że uczę się angielskiego. Na to on poradził mi, abym lepiej wziął się za niemiecki. Czyżby wiedział, że nas nie wpuszczą do Stanów?

Po bez mała dwóch tygodniach we Frankfurcie przewieźli nas z powrotem do „kurortu” w Norymberdze. Na nasz widok *chef* wręcz oniemiał. Wydawał się tak zaskoczony, jakby nas zobaczył skutych kajdanami. Najoczywiście nie oczekiwał naszego powrotu, a czego oczekiwał, do dziś nie wiem. Pobyt w „kurorcie” był krótki i po paru dniach znaleźliśmy się w Valka Lager, w obozie dla uchodźców pod zarządem władz Republiki Federalnej. Amerykanie wytłumaczyli nam, że inaczej nie możemy otrzymać odpowiednich dokumentów i prawa pobytu w Zachodnich Niemczech. Amerykanów nie było tu ani na lekarstwo. Obóz wyglądał jak obóz. Skupisko drewnianych baraków otoczone ceglany murem. O ile pamiętam, szczytu muru nie zdobił ani drut kolczasty, ani też tłuczone szkło wcementowane na sztorc, jak w murze warszawskiego getta. Otwartych bram nie pilnował nikt. Długie, parterowe baraki pozbijane z desek byle jak.

W ścianie naszego pokoju, a poprawniej komórki, znajdowała się szpara. Wpadał przez nią promień księżyca rozjaśniając wnętrze, zwłaszcza podczas pełni. Dwie prycze, krzesło, stół i żelazny piecyk w kącie, z rurą wychodzącą na zewnątrz. Nasi poprzednicy poprzyklejali do ścian całe stronicy gazet, zapewne aby zapobiec przeciągom. Ściany zdobiły też wycinki z kolorowych magazynów. Na jednym z nich mężczyzna, dość młody, reklamował się jako

specjalista od udzielania rad jak osiągnąć szczęście i powodzenie w życiu. Jego fotografia miała dowodzić, że on sam osiągnął oba. Spoza pięknie wykrojonych rozchylonych warg, w lekkim uśmiechu ukazywał równy rząd nieskazitelnie białych zębów. Przedziałek w jego nieskazitelnie uczesanych włosach prosty był jak ostrze noża. Na ścianie wisiała też kolorowa reklama: *Trink Coca Cola, das erfrischt*. Ten napis był nawet bardziej powszechny niż portrety państwowych dostojników w Polsce Ludowej. Współmieszkańcami obozu byli uciekinierzy z krajów komunistycznych, nawet z Albanii, tak w każdym razie wszyscy twierdzili. Z Polaków spotkałem tylko jednego, poznał mnie po półbutach kupionych w Warszawie. Jego zdaniem takiego świetnego obuwia nigdzie indziej nie robiono.

Uciekinierów ze wschodu Europy często dało się odróżnić od miejscowej ludności po szerokich nogawkach, a także po żelaznych zębach na samym przodzie lub nagich dziąsłach. Interpol i kontrwywiad zajmowały się wyławianiem kryminalistów i szpiegów. Wielu uchodźców przesłuchiwał angielski, francuski i amerykański kontrwywiad, mną żaden się nie zainteresował, za to Niemcy kilkakrotnie wzywali mnie na rozmówki. Te same pytania powtarzały się, albo robili to celowo, aby porównać, co kiedy człowiek powiedział, albo różne agencje ze sobą się nie komunikowały. Chodziłem na rozmowy z niemłodą Rosjanką. Zainteresowała się moją znajomością angielskiego, gdzie się uczyłem i ile czasu. Zadała mi kilka niewinnych pytań, których dokładnego celu nie mogłem odgadnąć, choć podejrzewałem jakiś podstęp.

- Jak jest po angielsku winda? - spytała.

Nie wiedziałem.

- A jak nazywa się ta blacha, która pokrywa motor samochodu?

- Nie wiem, powiadam, nigdy nie miałem samochodu i nawet nie jestem pewien jak to się nazywa po polsku ... zdaje się że maska, przypomniało mi się.

- A benzyna?

- Chyba *benzine*.

Kiedyś, wchodząc do gabinetu mojego nowego interrogatora, już nie pamiętam czy oniemiałem, czy też stanąłem jak wryty, a może zdębiałem, na widok aktora grającego śmierć w filmie Bergmana „Siódma pieczęć”. To już nie było tylko podobieństwo, to była kopia. Oglądałem ten film dwa razy i to niedawno. Trudno

znaleźć słowa oddające to, co jego twarz wyrażała. Pewne, że wywierała większe wrażenie niż kostucha z kosą w ręku.

Mówił po polsku bezbłędnie i bez akcentu. Na wstępie poradził mi abym nie usiłował kłamać w dalszym ciągu, bo wszystko co dotąd mówiłem „nie klapuje”. Musiałem się czuć jak ten rycerz z „Siódmej pieczęci” grający w szachy ze śmiercią o swe życie. W pewnej chwili zdałem sobie sprawę, że przecież nie jestem aresztantem, i że on mi nic nie może zrobić, że to nie jest gra o życie i w miejsce strachu zaczęła wzbierać złość. Może to zauważył, pod koniec przesłuchania zrobił się przyjemniejszy w doborze słów, choć niczego nie utracił ze swego wyglądu.

Niemal nieograniczona ilość wolnego czasu sprzyjała rozwojowi życia towarzyskiego. Główną jednak trudnością był brak wspólnego języka. Łamana niemczyzna, i to dobrze połamana, służyła jako *lingua franca*. Czego tam człowiek się nie nasłuchał. Spotykaliśmy się najczęściej przy pompie po posiłkach przy myciu statków i „srebra stołowego”.

W Valka Lager nie brakło osobników bez żadnych dokumentów. Trzeba było wierzyć ich słowu zaczynając od ich daty urodzenia. Zaprzyjaźniliśmy się z jednym z nich, lat około czterdziestu, imieniem Grigorij, krócej Grisza. Jego przygody były na głowę najtragiczniejsze doświadczenia innych uchodźców spoza żelaznej kurtyny. NKWD arestowało go. W czasie transportu na wschód wyskoczył z pociągu w biegu. Dostał postrzał w dłoń, ale uciekł. Odtąd wędrował na zachód kierując się słońcem, księżycem i gwiazdami. Zwykle szedł nocą, dniami spał w lesie, w zbożu, gdziekolwiek się dało. Czasem udało mu się wskoczyć na towarowy pociąg jadący w zachodnim kierunku. Żywił się kradnąc. Podkradał się do krów na pastwisku i doił je. Przeprowadził się przez jedną rzekę, drugą, trzecią. Minał Polskę, zobaczył niemieckie znaki drogowe, ale nie znając ani języka, ani geografii, wciąż nie wiedział, gdzie jest, sądził iż dotarł do wschodnich Niemiec. Doszedł do wielkiej rzeki, przypuszczał, że to Łaba, granica między Sowietami a Amerykanami, i gdy się rozglądał jakby tu się przeprawić, złapała go niemiecka policja. Tą rzeką był Ren. Nikogo ze współuchodźców nie przekonał. Młode chłopaki, Słowacy, co rozumieli rosyjski, śmiali się za jego plecami, że to sowiecki szpieg udający uciekiniera. Zdawał się rozumieć niemiecki więcej niż tylko ten skromny zasób słów, do którego się przyznawał. Będąc inteligentnym człowiekiem, a

takie wrażenie sprawiał, nie mógł oczekiwać, aby ktokolwiek uwierzył w jego fantastyczną opowieść.

Znał dobrze rosyjską literaturę, a że i ja znałem ją dobrze, jak na Polaka, więc wiedliśmy rozmowy na temat autorów i bohaterów. Recytował wiersze Puszkina, a zwłaszcza drugie kawałki z „Ewgienija Oniegina”, ja też się popisywałem tym co zapamiętałem z czasu, gdym się uczył rosyjskiego na Puszkinie. Podobnie jak i innych wzywano go na przesłuchania. Raz dał mi pięć marek. Gdy wyraziłem wątpliwości, czy powinienem przyjąć ten dar od człowieka bezdomnego, który sam nic nie posiada, odrzekł, że zarobił trochę pieniędzy pracując na czarno, czyli nielegalnie, *nach schwartz*. Mieszkańcy Valka Lager nie mieli prawa pracy w Republice Federalnej. Z Marysią doszliśmy do wniosku, że był on agentem zachodnioniemieckiej policji; że celowo nieudolnie odgrywał rolę uciekiniera ze Związku Sowieckiego, aby sprawić wrażenie (sądzę tylko na niezbyt bystrych), iż jest sowieckim szpiegiem. Blizna na dłoni wydawała się być zbyt stara jak na ranę otrzymaną stosunkowo niedawno. Pewnego dnia zniknął. Brakowało go nam. Wkrótce ukazała się o nim wzmianka w miejscowej gazecie. Według tego artykułu, Grigorij był Niemcem o nazwisku Georg Schuld, zamieszkałym w Republice Federalnej, który nauczył się rosyjskiego będąc jeńcem wojennym w Sowietach. Miał on zalegać z alimentami na utrzymanie dziecka i groziła mu sprawa sądowa. Więc aby uzyskać nowe dokumenty, zgłosił się do władz podając się za Rosjanina i uciekiniera ze wschodu. W gazecie tę fałszywą informację podano po to, aby ukryć jego prawdziwą funkcję w obozie.

Poznaliśmy jeszcze jednego Rosjanina. Mieszkał niedaleko i przychodził z wizytą. Dostał się do niemieckiej niewoli i zdołał się ukryć pomiędzy Polakami, gdy zaraz po wojnie Anglicy i Amerykanie siłą deportowali na wschód byłych sowieckich obywateli Stalinowi w podarunku. Też dał mi pięć marek.

Pomimo ludzkiej zbieraniny, od Adriatyku i Czarnego Morza do Bałtyku, w obozie panował spokój, bójek nie było. Osobną grupę stanowili Albańczycy, sześciu czy siedmiu, trzymali się na uboczu. Ich mowy nie dało się zrozumieć. Najstarszy spośród nich wyróżniał się lepszym ubiorem. Mówiono, że ma pieniądze. Trudno odgadnąć, jak ta informacja przedostała się do wiadomości ogółu i od kogo. Jednego dnia zniknął i wkrótce odnaleziono go w pobliskim lesie. Gardło miał poderżnięte, a oczy wykłute nożem. Ubranie było rozprute, zapewne w poszukiwaniu kosztowności. Podejrzewano

pozostałych Albańczyków, między innymi dlatego, iż wśród nich powszechny był przesąd, że w oczach ofiary utrwala się wizerunek zabójcy. Przesłuchiwała ich policja. Po kilku tygodniach aresztowano dwóch.

W obozie światła elektrycznego nie było. Z zapadnięciem nocy cisza i ciemność ogarniały Valka Lager. Zwykle po północy budził nas wesoły śpiew, zawsze ten sam, kończący się refrenem: *Oh Frau komm zurück, du bist mein umglück* (O żono wróć, tyś mym nieszczęściem jest). To jeden z obozowiczów, Niemiec, wracał zalany i w ten sposób dawał wyraz swym mieszanym uczuciom do swej nieobecnej małżonki. W księżycowe noce dwóch ich szło, on i jego cień, i obaj się zataczali. Widać było jego sylwetkę na tle jaśniejszej, piaszczystej drogi biegnącej środkiem obozu. Struny głosowe dopisywały mu lepiej niż nogi: jak wiadomo sznaps wzmacnia to pierwsze, osłabia drugie. Usiłował krokiem marszowym pokonać dystans dzielący go od jego „kwatery” położonej na odległym krańcu obozu, posuwał się zygzakiem, co jeszcze przedłużało ten nocny koncert. Bywało, że i przystanął, chyba dla nabrania oddechu albo aby się rozejrzeć - te kilkadziesiąt baraków wyglądało identycznie nawet za dnia. Po stylu wokalnego wykonania można było poznać byłego żołnierza. Podczas gdy słowa piosenki dotyczyły stosunków rodzinnych, jej rytm przywodził na myśl oddział piechoty w marszu.

Raz wybraliśmy się w kilkanaście osób, by zwiedzić tajemniczy stadion. Doszliśmy tam o zachodzie słońca, co jeszcze potęgowało wrażenie uroczyska. Stadion ten miał być największy na świecie, jakoby na czterysta tysięcy widzów-uczestników. Tu miała się odbyć parada zwycięstwa po zakończeniu wojny. Budowy zaprzestano, gdy wojna wzięła zły obrót. Centralną część stadionu otaczał krąg masywnych dziesięciopiętrowych wież. W środku każdej miały znajdować się pomieszczenia sypialne dla tysięcy osób. Niektóre wieże były ukończone, podciągnięte do dachu, niektóre ledwo zaczęte; inne rozbite w czasie działań wojennych, rozsypywały się. Stadion Zwycięstwa zarastały kwiaty polne i zielisko. Miał w sobie coś ze starożytnych ruin sprzed dwóch tysięcy lat, choć nie miał jeszcze dwudziestu.

Aby nie sprawiać przyjaciom w Polsce kłopotu, Marysia pisywała tylko do swojej matki, ja do mojej, a także i do Andrzeja, bo tego sobie życzył. Oczekiwaliśmy, że nasze listy znajdą się na czymś biurku w UB. Będą je oglądali pod światło, prasowali gorącym

żelazkiem, posypywali specjalnym proszkiem, aby uwidocznić niewidoczny atrament. Moje listy zawierały tylko zdawkowe informacje. Poszedłem do lasu i zbierałem borowiki, zaciął się zamek w ubikacji i aby się wydostać musiałem wspinać się po przepierzeniu i nadwerżyłem sobie ramię. Zapewne jakiś szyfrant w UB trudził się nad moimi tekstami w poszukiwaniu ukrytej treści. Po kilku miesiącach dowiedziałem się, że tajnego szyfru doszukiwali się przede wszystkim odbiorcy moich listów. Otrzymałem wiadomość, że Edek zamieszkał u Andrzeja, a potem przyszedł list od matki z Gdańska - Edek zatrzymał się u niej. Wiedząc, jak swym zachowaniem potrafi wzbudzić podejrzenia nawet u najbardziej ospałego policjanta, a co dopiero mówić o UB, które żyje z podejrzenia, obawiałem się, że wpakuje w kłopoty mojego brata. Brat Konrad, młody lekarz, dopiero co został powołany do marynarki wojennej z przydziałem do jednostki na Wybrzeżu i wciąż mieszkał u matki. Napisałem więc do niej, aby była ostrożna, bo Edek to podejrzany charakter. Przypadek sprawił, że Edek nic nie wiedząc o sprawie Andrzeja, już samą swą obecnością w tym czasie stwarzał atmosferę podejrzeń wokół każdego z kimkolwiek się stykał. UB zapewne jakoś łączyło moją ucieczkę z jego przyjazdem do Polski i z siatką szpiegowską sięgającą do Paryża.

W odpowiedzi na nasze podanie o przyznanie azylu politycznego wezwano nas na przesłuchanie w sądzie. Procedura odbywała się w języku niemieckim, tłumacz przekładał na rosyjski, odpowiadałem po rosyjsku. Chcieli wiedzieć, dlaczego uciekliśmy z Polski. Nie mogłem wyjawić sprawy Andrzeja, aby moje oświadczenie nie dostało się do rąk sowieckiego wywiadu, przekonany, że wszędzie we władzach są szpiegowie ze wschodu.

Nieoczekiwanie zaczęli się dopytywać o mój udział w powstaniu, czy byłem w służbie sanitarnej, czy też na linii i czy strzelałem do Niemców. Jeden z żydowskich pisarzy miał powiedzieć: „Niemcy nigdy nie wybaczą nam holocaustu”. Czy też Niemcy kiedykolwiek wybaczą Polakom?

Marysia w odpowiedzi, dlaczego uciekła z Polski, wybrała argument często używany przez kobiety: „Nie chcę, aby mi dzieci wychowali na komunistów”. Na co pytali: „A ile ma pani dzieci?” „Jeszcze nie mam”.

Nasze podanie o azyl polityczny odrzucono. Otrzymaliśmy dokument o nazwie *Fremdenpass* upoważniający do pobytu i pracy w Republice Federalnej. Posiadacze azylu politycznego dostawali

Reiseausweis upoważniający do swobodnego podróżowania poza granice Niemiec Zachodnich i do pracy w swoim zawodzie. Ja mógłbym pracować jako lekarz bez konieczności nostryfikacji mojego dyplomu. Gdyby Marysia zadeklarowała się jako Niemka, ja otrzymałbym azyl polityczny.

Po aresztowaniu Andrzeja złożyliśmy odwołanie, które odrzucono motywując to tym, że nie wymieniliśmy sprawy Andrzeja za pierwszym razem. Można było jeszcze odwołać się do sądu najwyższego Bawarii, co kosztowało pięćdziesiąt marek. Nie było nas na to stać, a rezultat był wątpliwy. Zdaniem Polaków w tych sądach zasiadali hitlerowcy.

Miało się ku jesieni, gdy nas przeniesiono do obozu w miasteczku Zirndorf w pobliżu Norymbergi. Jego mieszkańcy byli już sprawdzeni przez kontrwywiad i Interpol. Obóz składał się z kilku solidnych budynków. Za komendanta, czyli *lagerleitera*, mieliśmy byłego kapitana artylerii nazwiskiem Krödel. Nic złego o nim nie słyszałem. Raz podobno się uniósł, dotknięty tym, że jego podopieczni wolą się uczyć angielskiego zamiast niemieckiego. Miał podobno powiedzieć - jeszcze język niemiecki będzie najważniejszy w Europie. Wolno było pracować i dobrze to było widziane. Pracującym potrącano drobne sumy za wikt i dach nad głową. Nasze podanie o przydział zimowych palt i butów odrzucono.

Na terenie obozu działały trzy organizacje „charytatywne”. Używam cudzysłowu ze względu na późniejsze doświadczenia. Ich zadaniem czy misją było pomagać uchodźcom w załatwianiu spraw emigracyjnych do innych krajów. Były to: katolicka NCWC, Polish American Immigration Committee i trzecia - ponadnarodowa i ponadwyznaniowa. Czynni byli też kwakrzy, pomagali ludziom w znalezieniu pracy, w osiedleniu się poza obozem, ale nie byli upoważnieni do załatwiania spraw emigracyjnych. Wszystkie trzy organizacje były finansowane w teorii przez ONZ, w praktyce - Amerykanów. Jak to później zrozumiałem, zależało im na jak największej liczbie podopiecznych, ponieważ organizacje opiekuńcze otrzymywały pieniądze w ilości proporcjonalnej do stanu pogłowia, czyli od łebka.

Planując emigrację do Stanów Zjednoczonych musieliśmy zgłosić się do jednej z nich. Już zdecydowaliśmy się na tę bezwyznaniową, do polskich organizacji nie mając zaufania (sam ukułem powiedzenie „pomóc nie pomogą, a zaszkodzić mogą”), gdy do naszych drzwi zastukała przystojna brunetka. Była nią pani Polak,

czy też Polack, a może Pollack, Niemka nie znająca polskiego, reprezentantka NCWC w obozie. Zaproponowała nam swoje usługi. Na moje oświadczenie, że nie mamy i nie zamierzamy brać ślubu kościelnego, upewniła nas, że to absolutnie nie stanowi przeszkody i że NCWC chętnie weźmie nas pod swoją opiekę. Zapisaliśmy się więc do NCWC będącej, jak się wydawało, bardziej aktywną organizacją niż dwie pozostałe. Olśniony Zachodem sądziłem, że instytucje są tu jeśli nie uczciwe, to bez miary uczciwsze od tych na wschodzie, a słowne przyrzeczenie przez organizację religijną nie jest pisane palcem na wodzie. Będąc człowiekiem religijnie niezaangażowanym, miałem wielkie uznanie dla polskiego kościoła katolickiego za jego postawę w walce z sowieckim molochem.

Gültig für den auf der Rückseite bestätigten Monat

Lagerausweiskarte Nr. -748-

Herr Jan KURDZIANOWSKI
(Vor- und Zuname)

7.10.1924 Warschau/Polen
(Geburtsdatum) (Geburtsort)

Zimmer Nr. U 5 ist im

Sammellager für Ausländer Zirndorf
 untergebracht.

Der Ausweis ist beim Passieren des Lagers unaufgefordert den Kontroll-Organen im Lager vorzuzeigen.

Zirndorf, den 21.5.57.

*Sammellager für Ausländer
Zirndorf u. Nbg.*



Trzeba było rozejrzeć się za pracą. Wszystko, co mieliśmy, to letnie ubrania, a robiło się coraz chłodniej. Rodziny z dziećmi i nie zatrudnieni mogli liczyć na zapomogę. Szukałem zajęcia mającego jakiś związek ze służbą zdrowia. Niedoszły emigrant do Izraela, Miecio Zeligier, poradził mi zwrócić się do kwaków. Kwakrzy załatwili mi *interview* w wielkiej kompanii produkującej lekarstwa w Kolonii i pokryli koszty przejazdu. Praca miała polegać na doświadczeniach na zwierzętach. *Interview* odbywało się po niemiecku, z mojej strony łamaną niemczyzną. Byłoby mi łatwiej dogadać się z byłym SS-manem znając nazwy wszelakiej broni z czasów drugiej wojny światowej oraz podstawowe czasowniki opisujące jej użycie. Przy okazji obejrzałem sobie sławną katedrę, jeszcze nie odbudowaną po wojennych zniszczeniach. Trafiła ją amerykańska bomba. Od czasu powstania mam sentyment do ruin.

Pracy w Kolonii nie dostałem. Powodem była, według kwaków, obawa, iż po wyjeździe z Niemiec mogę przekazać sekrety kompanii jej konkurentom. Marysi nie poszło lepiej. Władając językiem jak Niemka szukała pracy lepszej niż czarnorobocza w fabryce. W gazetach było wiele ogłoszeń o wolnych pozycjach ekspedientek w sklepach, pomocy biurowej. Kilka razy po rozmowie z właścicielem przedsiębiorstwa już została przyjęta. Na zakończenie poproszono ją o dowód osobisty, a gdy pokazała *fremdenpass*, z którego wynikało, że jest Polką, pracodawca, bez zająknięcia nagle wycofywał swą ofertę zatrudnienia mówiąc, że jeszcze ma kilka innych kandydatek czekających na *interview*. I na tym się kończyło. Nie mając innego wyboru, poszła do pracy w fabryce. Jak wynikało z doświadczeń innych uchodźców, Polacy mieli najniższą lokatę u miejscowej ludności niemieckiej. Znacznie wyżej stali Ukraińcy, Łotysze, Estończycy, a także Litwini. Nawet Rosjan mniej nie lubiano od Polaków. Jeśli chodzi o Żydów, trudno było powiedzieć co Niemcy o nich myśleli, jedno było widoczne, starali się unikać oskarżeń o antysemityzm.

Po nieudanej wyprawie do Kolonii i mnie nie pozostało nic innego jak szukać zatrudnienia w fabryce. Nadarzyła się jednak okazja pracy u Amerykanów, w kuchni, jako pomywacz. Planowałem emigrację do Stanów Zjednoczonych, więc to mnie jakoś zbliżało do celu. Byłaby też okazja poduczyć się angielskiego. Najpierw należało zgłosić się do niemieckiego urzędu pośrednictwa pracy o nazwie Arbeitsamt, takiej samej jak tego, co w czasie okupacji wyłapywał ludzi i wysyłał do Reichu na przymusowe roboty. Starszy, uprzejmy pan wyjaśniał mi po angielsku moje obowiązki i prawa związane z pracą w kuchni... po trzech miesiącach pracy przysługuje mi trzy dni płatnego urlopu, po sześciu siedem, po roku piętnaście... po pięciu latach... W tym momencie połapał się, przerwał, niemal uśmiechnął i rzekł: „Pan jest lekarzem, nie będzie pan tam długo pracował”.

Celem urzędu pracy była ochrona praw robotnika i eliminacja osobników bez odpowiednich dokumentów. W zasadzie obowiązywał 46-godzinny tydzień pracy, pół dnia w sobotę.

Mój pierwszy dzień pracy zarobkowej na wolnym zachodzie zaczął się o godzinie siódmej rano, a może o szóstej, zanim jeszcze żołnierze, po spożyciu śniadania, zaczęli oddawać do mycia metalowe tace oraz tzw. srebro stołowe. Przedstawiłem się szefowi pomywaczy. Zmierzył mnie pogardliwym wzrokiem i rozkazał umyć kubły stojące na podwórzu przy pomocy szlauchu czyli *water hose*.

Moje nadzieje, że przy tej pracy poduczę się angielskiego nie spełniły się i skończyły się na „water hose”. Z Amerykanami żadnego kontaktu nie było poza wzrokowym. Szef zespołu był Węgrem, pozostali pomywacze wywodzili się z Bałkanów, jeśli do Bałkanów zaliczyć także Rumunię i kraj czardasza. Porozumiewali się albo łamaną niemczyzną, albo w ich ojczystych niezrozumiałych językach. Jeden tylko szef mówił po angielsku, trudno mi było powiedzieć jak dobrze, bo nic nie rozumiałem, gdy rozmawiał z Amerykanami przez okno do jadalni. Szef zwracał się do załogi o stanie około dziesięciu po niemiecku, do niektórych, jak odgadywałem, po węgiersku. Ton wypowiedzi wskazywał, że nie tolerował niesubordynacji. Po sześciu latach nauki moja angielszczyzna, przydatna do czytania medycznych artykułów, zupełnie zawodziła w kuchni. Zaledwie uporałem się z kubłami, pośród pokrzykiwań „schnell, schnell”, szef skinieniem ręki wezwał mnie do środka. Pomiędzy pomieszczeniem, gdzie się zmywało, czyli zmywalnią a jadalnią, czyli *messhall*, znajdowało się szerokie okno z szerokim parapetem, gdzie żołnierze składali brudne utensylia, metalowe tace, łyżki, noże, widelce. Tace miały przegródki, w jedną można było włożyć jajecznicę, w drugą szpinak, w trzecią konfitury itd. Moim nowym zadaniem było wytrząsanie i wyskrobywanie resztek jadła do wielkich kubłów oraz opłukiwanie tac i srebra stołowego strumieniem gorącej wody w zlew. Potem wrzucało się to żelastwo do wielkiej maszyny, gdzie podlegało ono ostatecznemu myciu, dezynfekcji i suszeniu. Musiało się pracować w szalonym tempie, góra tac nieustannie rosła na parapecie. Zaledwie jedna grupa żołnierzy skończyła śniadanie, następna wchodziła do jadalni.

Brzęk i szcęk zderzających się noży, łyżek, widelców i tac, pomieszany z gwarem wpadającym z jadalni przypominał bitewny zgiełk znany z historycznych filmów o treści batalistycznej. Szef czasem poganiał i strofował krótkim warknięciem, zwłaszcza mnie, nie sądzę aby z powodu mojej opieszałości. Pozostali pomywacze już się znali, ja będąc nowy, dostawałem najbrudniejszą robotę. Podobno Polak i Węgier mają być jak dwa bratanki. Przed rokiem razem powstałiśmy przeciw sowieckim okupantom. Trzeba przyznać szefowi, że w krytycznych momentach sam zakasywał rękawy. Po godzinie, pomimo całej ostrożności i gumowego fartucha, moje ubranie, które widziało Wiedeń, Wenecję, Florencję, Rzym i Capri, przypominało ścierkę do podłogi. Przed południem jadalnia opustoszała i tempo pracy opadło. Jeszcze należało wyszorować

podłogę, a potem można było opłukać twarz i ręce, na chwilę przysiąść na skrzyni, przegryźć co się samemu przyniosło z domu. Oficjalnie darmowe posiłki nam nie przysługiwały. Pomywacze nie mieli wstępu do jadalni, zapewne dlatego, że oczekali pomyjami. Sprzątanie jadalni należało do obowiązków sprzątaczy. Klasowo stali oni wyżej od pomywaczy i nie pomagali nam w zmywaniu.

Przyszła chwila amerykańskiego obiadu między wpół do pierwszej a drugą. Brudne tace zaczęły się piętrzyć na parapecie. W przegródkach zalegało więcej jedzenia niż po śniadaniu. Wyrząsałem, wyskrobywałem, opłukiwałem w zlewie pod kranem, sikawka, już nie zwracając uwagi na stan mojego ubrania. Ledwo uporaliśmy się z obiadem, przyszedł czas kolacji. Już ściemniało się na dworze, a myśmy się wciąż uwijali pośród stosów noży, łyżek, widelców i tac, wpadając w poślizg na mokrej podłodze. Minęło 8 godzin pracy, 10, 12, aż zapadła noc. Szef stał się uprzejmniejszy, zaczął traktować mnie podobnie jak innych. Może w jego oczach zdałem chrzest bojowy na pomywacza.

Teraz, gdy budynek opustoszał i nikogo z wyższych władz nie było, za pozwoleniem i przy współudziale szefa sięgnęliśmy do kotłów, gdzie pozostały resztki nie spożytego jedzenia i siedząc na skrzyniach i na czym popadło mieliśmy prawdziwą ucztę w odprężonej atmosferze, bez widma dalszej pracy tego dnia. Do kolacji serwowano żołnierzom lody w opakowaniu. Wielu z nich ledwo je napoczęło i tace były zavalone topniejącymi lodami. Niektóre pudełka, choć otwarte, nie były napoczęte, odkładaliśmy je na bok, aby później zjeść bądź wypić ich zawartość. Minęło prawie czternaście godzin, zanim z pola widzenia zniknęły noże, widelce, łyżki i tace. Podłoga, zlewy, parapet lśniły czystością. Już zbieraliśmy się do wyjścia, gdy jeden z pomywaczy dał mi całe naręczne puszek z konserwami - na wynos. Grzecznie odmówiłem, ale nalegał, więc wybrałem płaskie, bo lepiej pasowały do kieszeni i zbyt nie wystawały. Gdy już wszyscy obładowali się konserwami, grupą ruszyliśmy ku wyjściu z koszar, gdzie w bramie stał wartownik. Przechodziło się obok niego pojedynczo. Czyżby niczego nie zauważył? Następnego dnia nie poszedłem do kuchni. Płaca była niższa, a godziny pracy dłuższe niż u Niemców. Trzeba było konserwami dokradać do pensji za długie nadgodziny pracy. Gdyby mnie złapali przy kradzieży, a na pewno wpadłbym pierwszy, nie należąc do sitwy, znalazłbym się na liście Interpolu jako złodziej i nie dostałbym wizy imigracyjnej ani do USA, ani do żadnego innego

kraju, chyba że do Iraku. Tam płacili dobrze, pokrywali koszty długich zagranicznych wakacji, ale wysyłali cię do pracy w malaryczne moczary.

Pracę pomywaczy mieli wykonywać żołnierze, nazywało się to *kitchen personel*, czyli KP. Był to najgorszy przydział. Z własnego doświadczenia wiem, że lepiej doglądać latryn. Żołnierze, zamiast sami harować w kuchni, opodatkowali się i wynajmowali cywilów pomywaczy. Zwyczajny szeregowiec zarabiał siedemdziesiąt dolarów na miesiąc, a jeśli-miał żonę i dzieci w Stanach, otrzymywał dodatek rodzinny.

W obozie nieustającym tematem rozmów była emigracja. Najbardziej pożądane były: USA, Kanada, Australia. Nowa Zelandia przyjmowała tylko Anglików. Zachodnioeuropejskie kraje nie chciały żadnych emigrantów, ale można było zostać w Niemczech. Poza tym cały świat stał otworem. Spitzbergen potrzebował ludzi do kopalni węgla, także lekarzy - byłoby ciekawe spędzić tam jeden rok i zobaczyć polarną noc. W Kanadzie można było dobrze zarobić przy wyrębie lasów na północy posługując się siekierą, bo związek zawodowy nie pozwalał używać benzynowych pił łańcuchowych. Można było ryzykować wyjazd w niepewne do łacińskiej Ameryki z wyjątkiem Meksyku, bo ten nie wpuszczał biednych białych. Napisałem do Maroka i Tunisu. Pierwsze było gotowe przyjąć mnie od razu do pracy jako lekarza, drugie pod warunkiem znajomości francuskiego lub arabskiego. Żadne nie wymagało egzaminów.

Poznałem Antoniego Ornafa, Polaka zatrudnionego w fabryce aparatów radiowych Metz. W 1957 roku przeszedł on z żoną Łużyczanką i pięciorgiem dzieci ze Wschodniego Berlina do Zachodniego wracając z wizyty w Saksonii, gdzie mieszkali jego teściowie. Trudno było dotrzeć do Wschodniego Berlina, za to już w samym mieście zwyczajnie wsiadało się do metra po wschodniej stronie i wysiadało po zachodniej. Tą drogą uciekło z sowieckiej strefy milion czy dwa, aż po śmierci Stalina Chruszczow zamknął to jedyne wolne przejście na Zachód. Ornafom udało się niemal w ostatniej chwili. Ornaf, chemik, aktywny wśród miejscowej Polonii, usłyszawszy o moich doświadczeniach w roli pomywacza, porozmawiał z kimś w dyrekcji fabryki Met-za i poradził mi zgłosić się tam do pracy.

W obozie mieszkało jeszcze kilka rodzin z Polski. Bracia Zeliger -starszy, Mieczysław, inżynier, z rozwiedzioną żoną i dzieckiem w Izraelu; młodszy, technik, z żoną Polką. Przeżyli getto w

Łodzi i Oświęcim. Wyjechali z Polski jako emigranci do Izraela i zeskoczyli ze statku w Kopenhadze. Dania deportowała ich do Niemiec. Ci, co z Mieczysławem zadzierali, dostawali przyjazne ostrzeżenie: Kto z Mieciem wojuje, od Miecia ginie. Żyd warszawski Stefan Kohn z żoną Polką, synem i matką; Polak rzeźnik z żoną Niemką; inżynier Polak podający się za Niemca, choć nie znał języka; przyjaciel Kohna Edgar, Żyd berliński wyrosły w Polsce, dobrze władający polskim, choć z obcym akcentem - znalazł się w obozie dla cudzoziemców z powodu jakichś administracyjnych powikłań. Stefan Kohn, wraz z matką i starszym bratem, ukryli się po polskiej stronie jeszcze przed likwidacją getta. Po upadku Powstania Warszawskiego nie wyszli z resztą ludności, a ukryli się gdzieś na północ od Alei Jerozolimskich. Stefan miał wówczas dwanaście lat. Cisza zapadła nad cmentarnym miastem, ani strzałów, ani ludzkich głosów. Jedli to, co znaleźli w niespalonych mieszkaniach i po piwnicach, szczury mając za konkurentów. Czasem, nie każdego dnia, słyszeli odgłos kroków od ulicy, zapewne patrole. Oczekiwali wkroczenia Rosjan lada dzień. Mijały dni, tygodnie, robiło się coraz zimniej, śnieg zaczął prószyć. Raz brat Stefana, dziewiętnastoletni, wyszedł z ich kryjówki na poszukiwanie żywności i nigdy nie wrócił. W styczniu Niemcy opuścili Warszawę. Stefan z matką dalej się ukrywali nie wiedząc o tym, bo nie było od kogo dowiedzieć się. Aż raz usłyszeli polską mowę wśród ruin obok, gdy już miało się ku wiosnie. Edgar powątpiewał w dokładność ich wspomnień. Sądził, iż w osamotnieniu musieli doznawać jakichś umysłowych aberracji. Stefan był wówczas jeszcze dzieckiem. Jego matka teraz była w stanie ciężkiego rozstroju nerwowego i nie dało się na ten temat z nią rozmawiać.

Berlińczyk-warszawiak Edgar ofiarował się pójść ze mną do Metza jako tłumacz i promotor. Fabryka produkowała telewizory, adaptory i radia. Edgarowi udało się przekonać administrację, że będę dobrym robotnikiem. Aczkolwiek niechętnie, zostałem przyjęty na nocną zmianę. Mieli wątpliwości co do wydajności fizycznej pracy lekarza. Pierwsze noce spędziłem pośród nieustannego zgrzytu przecinając przy pomocy ogromnej, zębatej, obrotowej piły deski wzdłuż nakreślonej linii. Potem przydzielono mnie do innej pracy razem z młodym, otyłym Bawarczykiem.

Moje nowe zadanie polegało na sklejanii dwóch deseczek na krzyż, po czym on jeszcze coś doklejał. Już po pół godzinie zaczynało się człowiekowi nudzić. Można było rozerwać się

rozmową, ale moja niemiecka była na to za słaba, a do tego on posługiwał się miejscowym dialektem, dla mnie zupełnie niezrozumiałym, więc po kilku próbach zapadliśmy w milczenie. Może po godzinie czy dwóch on przemógł się i odezwał. Nic z tego nie rozumiałem poza słowem *schnell*, więc nieco przyspieszyłem. Jesień już była za rogiem, trzeba było obsprawić się na zimę i bałem się, że mnie wyrzucą z pracy. Po jakimś czasie mój kompan znowu przemówił i tak jak poprzednio nic nie rozumiałem poza słowem *schnell*, więc przyspieszyłem. Powtórzyło to się parę razy w ciągu nocy. Dzień czy dwa później odwiedził mnie przedstawiciel związku zawodowego. Wy tłumaczył mi i po angielsku, i literacką niemiecką, że nie powinienem pracować tak szybko, bo przeze mnie właściciel fabryki podniesie normy dla innych robotników. Za tę noc wypłacono mi podwójnie. Przy przyjęciu do Metza zobowiązałem się do pracy w nocy, nadarzyła się jednak okazja i poprosiłem o przeniesienie na dzienną zmianę. Naczelný inżynier przypomniał mi o naszej ustnej umowie, ale zgodził się. Pracę zaczynało się o siódmej rano. Zwykle szliśmy we trójkę, Ornał, ja i trzeci Polak, starszy od nas. Cierpiał on na wrzód żołądka, oszczędzał się w pracy, uważał na dietę i wciąż popijał mleko, przez ówczesną medycynę uważane za niezbędny składnik leczenia choroby wrzodowej. Zaraz po wyjściu z obozu teren opadał i szło się dolinką, gdzie zwykle o świcie i rano zalegała gęsta mgła. My, trzech pracownicy Metza, spotykaliśmy się o szóstej trzydziści przy bramie obozu i szliśmy razem. Czasem byłem spóźniony o minutę czy dwie i musiałem ich doganiać. Schodząc po zboczu widziałem tylko ich głowy, reszta ciała tonęła w białym тумanie jak w wacie.

Nowa praca polegała na przygotowywaniu do transportu *Musikschränk*, czyli po naszymu chyba muzyczna szafa. Była to wielka skrzynia zawierająca *fernruř*, czyli radio, *fernseh*, czyli telewizję, adapter i pomieszczenie na płyty. W musikschränku znajdowało się dwoje ruchomych oszklonych drzwi, trzeba je było zabezpieczyć przed kołobaniem podczas transportu. Temu celowi służyło osiem gwoździćków, które należało wbić - dwa po lewej na górze, dwa po lewej na dole, dwa po prawej na górze i dwa po prawej na dole, nie za głęboko i nie za płytko, i ostrożnie, aby nie uszkodzić rowków, wzdłuż których przesuwali się oszklone drzwi.

Nasza fabryka produkowała jedynie drewniane części aparatów radiowych, telewizorów i musikschränków. Miała ona kształt prostokąta. Centralną i największą jej częścią była hala maszyn. Do

niej przylegał wąski magazyn. Po drugiej stronie magazynu znajdowały się biura, a po bokach hali maszyn pomieszczenia, gdzie malowano i politurowano. Gotowy produkt przewożono do innej fabryki, również należącej do Metza, gdzie wmontowywano resztę wyposażenia.



Cała załoga liczyła 300 osób. Na administrację przypadało sześć. Poznawało ich się po białych fartuchach. Byli to właściciel pan Metz, główny inżynier, główny majster, kreślarz, sekretarka i księgowy. Pozostali zatrudnieni byli bezpośrednio w produkcji. W Polsce Ludowej dyrektorów, kierowników, naczelników, referentów, kapusiów i różnych obiboków - tłum.

Moje nowe stanowisko znajdowało się na przodzie hali maszyn pod samą ścianą, obok drzwi do magazynu. Wszyscy robotnicy obsługujący maszyny, co najmniej dwustu, zwróceni byli twarzą ku mnie. Pomiedzy mną a pierwszą linią maszyn leżało pasmo „ziemi niczyjej” - wolnej przestrzeni, przez co czułem się, i w rzeczywistości byłem, jakby na scenie. Praca polegająca na wbijaniu gwoździków nie była zła. Tak mi się na początku wydawało. Można było się poruszać, przyklęknąć, wstać, obrócić się, przesunąć musikschränk do magazynu. Zaś pracujący przy maszynach byli wręcz unieruchomieni. W głębi hali, po prawej, widziałem Antka Ornafa, zajętego polerowaniem. Wysoki, barczysty, godzinami kiwał się miarowo, swą szeroką piersią dociskając drewniane pudła telewizorów do obrotowej szczotki. Szary pył pokrywał mu łysinę i osiadał na brwiach. Gdy dopływ musikschränków opadał, musiałem zwalniać tempo pracy, a nawet udawać, że wbijam gwoźdźki, gdy nie wbijałem. Nie było to łatwe, będąc nieustannie w polu widzenia dwustu robotników, w tym majstrów i formanów o sokolim oku. A do tego ci w białych fartuchach coraz to wypadali z drzwi magazynu tuż obok mnie. Niechby tak który zobaczył mnie stojącego z opuszczonymi rękami, zaraz by przerzucili mnie do innej, cięższej pracy, najprawdopodobniej do malowania przy pomocy rozpylacza.

Tego się najbardziej obawiałem. Wdychało się farbę i dlatego dawali mleko jako odtrutkę. Byli i tacy, co sami zgłaszali się do malowania, można było zarobić ponad dziewięćdziesiąt marek na tydzień na czysto, podczas gdy ja dostawałem tylko sześćdziesiąt trzy. Kurs dolara wynosił 4,2 marki.

Na przeciwnej ścianie hali maszyn, tuż pod sufitem, wisiał wielki zegar. Czyżby celowo umieszczono go poza plecami robotników, aby nie odciągał ich uwagi od maszyn? Wielka okrągła biała tarcza unosiła się nad skupiskiem tokarek, wiertarek, frezarek, mechanicznych pił i szczotek, ludzkich głów i torsów, przywodziła na myśl tarczę słońca stojącego nisko nad horyzontem i wydawała się być centralnym punktem hali maszyn. Czasem musiałem markierować pracę klęcząc przy musikschrunku, zwrócony plecami ku hali maszyn, w jednej ręce trzymając gwoździak, w drugiej młotek. Uderzałem w gwoździak z rzadka i tak lekko, że w ogóle nie zagłębiał się w drewno. Ktokolwiek by się nie zbliżał lub gdy szczęknęła klamka w drzwiach magazynu, przyspieszałem tempo pracy, aby znów zapaść w „półletarg”, jak tylko niebezpieczeństwo minęło. Robotnicy obsługujący maszyny widzieli tylko moje nieruchome plecy i łokcie w ruchu. Zresztą zajęci byli własną pracą.

Unikałem patrzenia na zegar. Nie było to łatwe, bowiem znajdował się na wprost mnie, ilekroć odwróciłem się ku maszynom. Inni robotnicy, mając zegar stale za plecami, nie byli tak świadomi jak czas się włókł. Czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal. Wskazówki zawsze posuwały się za wolno, a najwolniej po południu. Im częściej spoglądałem na nie, tym wolniej się poruszały. Zegar wciąż przyciągał mój wzrok. Po tygodniu udało mi się wyćwiczyć oczy tak, że nawet będąc zwrócony ku zegarowi, nie widziałem czarnych wskazówek, najwyżej tylko zarys jego tarczy na granicy pola widzenia. Starłem się wytrzymać jak najdłużej bez spoglądania na zegar. W myśli mierzyłem czas. Im dłużej nie widziałem zegara, tym trudniej było opanować potrzebę zobaczenia go. Usiłowałem nie myśleć o zegarze i przez to myślałem o nim cały czas. Musiałem pilnować siebie samego, aby nie zwrócić oczu w niewłaściwym kierunku. Zdawało mi się nieraz, że już przeleciał kwadrans. Z nadzieją podnoszę oczy, a tu tylko pięć minut. Częste zerkanie na zegar tylko zwiększało frustrację. Im częściej, tym wolniej czas się posuwał. Można wyobrazić sobie człowieka w podobnej sytuacji, sam na sam z zegarem, oczekującego decydującej o jego losie wiadomości, którą ma otrzymać o określonej godzinie. Zerka on na

zegar coraz częściej. Im częściej, tym wolniej wskazówki się poruszają, a im wolniej się poruszają, tym częściej zerkam, tym szybciej wzrasta napięcie i frustracja. W końcu nie mogąc oderwać oczu od wskazówek zastyga w bezruchu, ze wzrokiem przyklejonym do tarczy zegara.

Przed południem i po południu były piętnastominutowe przerwy, w południe półgodzinna. Jadło się drugie śniadanie, podwieczerek, obiad, siedząc pośród maszyn. Można było wyjść na świeże powietrze, wypalić papierosa. W czasie pracy wolno było pójść do ubikacji, ale częste opuszczanie stanowiska było źle widziane. Zwłaszcza palacze tam się wymykali. Nieraz, gdy się szło do ubikacji za potrzebą, wszystkie po mieszczenia były zajęte, a górą unosił się dymek. Antek Ornaf poradził mi by w takiej sytuacji, gdy się człowiekowi spieszyło, krzyknąć: *die raucher raus, ich will scheissen!*

Choć wyglądem nie wyróżniałem się wśród tłumu czarnoroboczych, pamiętali, że jestem lekarzem. Raz oderwali mnie od wbijania gwoździaków, abym udzielił pomocy w nagłym wypadku. Ktoś dostał ataku epileptycznego. Pośrodku kręgu widzów, robotników i majstrów, przyklękawszy, policzyłem leżącemu puls i popatrzyłem mu w źrenice.

Już samo wbijanie gwoździaków przez osiem godzin dziennie, dzień po dniu, mogło doprowadzić inteligentny umysł na skraj obłądu, zwłaszcza że część tego czasu poświęcona była udawaniu wbijania gwoździaków. Ucieszyłem się więc, gdy po kilku tygodniach dostałem przeniesienie, a ktoś inny zajął moje stanowisko przy gwoździakach. Przydzielono mnie do Franza, jako pomocnika. Naszym zadaniem było pakowanie szaf muzycznych w wielkie kartonowe pudła i zabezpieczanie ich przed uszkodzeniem w czasie transportu przy pomocy licznych miękkich wkładek. Było to dość skomplikowane. Czasem majster sprawdzał naszą robotę. Zdarzało się, że uszkodzona szafa wracała do naprawy. Wtedy dostawaliśmy ruga, których dobrze nie rozumiałem, ale rozumiałem, że Franz zwał brakoróbstwo na mnie. Trudno było się bronić, nie mogąc wystąpić się po niemiecku. Bałem się, że mnie zwolnią. Z Franzem był kawał bumelanta. Gdy nikogo z bossów nie było na horyzoncie, znikał i zostawiał mnie samego. Franz miał kumpla pracującego w jednym z bocznych pomieszczeń i tam się ulatniał na pogaduszki. Raz nieoczekiwanie wpada majster, gdy sam borykam się z musikschraniem i kartonowym pudłem. Widząc mnie samego pyta, gdzie jest Franz. Mówię, że nie wiem, choć wiedziałem. Minęło

więcej niż piętnaście minut nim wrócił. Oberwał i to jeszcze jak. Wykorzystałem ten moment i mówię do niego: *Franz, du bist ein Arbeiter und ich bin ein Arbeiter, so wir sollen Freunde sein*. Franz, ty jesteś robotnikiem i ja jestem robotnikiem, to powinniśmy być przyjaciółmi.

Od tego momentu nasze stosunki przybrały formę koleżeńską, nie na długo wprawdzie, bo nadarzyła się okazja przenieść się do magazynu. Majster miał wątpliwości, czy lekarz nadaje się do takiej fizycznej pracy, ale zgodził się. Ja też miałem wątpliwości, ale ich nikomu nie wyjawilem. Od kilkunastu lat, niemal regularnie, co miesiąc lub dwa, doświadczałem nagłego ostrego bólu w górnej części pleców, między łopatkami, czasem tak silnego, iż przeszkadzał w oddychaniu. Po pół godzinie ból zmniejszał się, ale w łagodnej formie dokuczał mi przez tydzień czy dwa. Byłem przekonany, że przy dźwiganiu ciężarów dostanę ostrych spazmów w plecach, ale wszystko wydawało się lepsze od wbijania gwoździaków, czym nadal się zajmowałem w chwilach wolnych od pakowania. Moje obawy, że mogę zakończyć swoją karierę u Metza wijąc się na podłodze z bólu, nie tylko nie ziściły się, ale zostałem wyleczony na zawsze. Bóle nigdy nie powróciły.

Praca w magazynie polegała między innymi na ładowaniu i rozładowywaniu ciężarówek, najczęściej ważyły pojemniki z farbą. Za współpracownika dostałem młodego nauczyciela, uciekiniera ze Wschodnich Niemiec. Szefem magazynu był kędzierzawy, siwiejący, szczupły blondyn pod czterdziestkę, znający jako tako rosyjski. Poduczył się języka w niewoli. Brakowało mu na przodzie dwóch zębów. Był to miły człowiek, pracowity. Miał nas na oku, ale nie czepiał się. Lubilem go jeszcze za to, że poznał się na bumelancie Franzu i nie uwierzył w jego kłamstwa o mnie. Praca w magazynie obfitowała w częste kilkunutowe i dłuższe przerwy, kiedy nie było nic do roboty. Nauczyciel i ja urozmaicaliśmy sobie czas rozmową, a raczej próbami porozumienia się po niemiecku, rosyjsku i angielsku. Jego zapas słów w obu obcych językach nie dorównywał ilościowo mojemu zapasowi słów niemieckich, więc szło nam jak po grudzie. Do tego moja niemczyzna wywodziła się z dwóch źródeł: doświadczeń wojennych oraz niemieckich książek z licznymi ilustracjami na temat sztuki, wyszabrowanych na ziemiach odzyskanych. To słownictwo nie miało zastosowania w fabryce Metza. Z konieczności i dla żartu czasem używałem słów zastępczych. Na przykład drabinę zwałem *tryumphbogen* (łuk

triumfalny) a rozpylacz farby *maschinengewehr* (karabin maszynowy). Uczyłem się bawarskich zwrotów użytecznych w pracy. Ładując ciężarówkę wołało się: *holde mal*, co miało znaczyć coś w rodzaju - podtrzymaj. Magazyn leżał pomiędzy tą częścią budynku, gdzie urzędowali ci w białych fartuchach, a halą maszyn. Coraz to ktoś stamtąd przebiegał magazyn. Jeśli stałeś z opuszczonymi rękoma, nie zdążyłeś w porę upozorować ruchu reagując na dźwięk szybko otwieranych drzwi. Znaleźliśmy rozwiązanie. Gdy nie było co robić, staliśmy z rękami opartymi o jakiś przedmiot - belę papieru, skrzynię, cokolwiek, zwykle o coś, co stało na podwyższeniu, bo tak było wygodniej. Staliśmy nieruchomo, na podobieństwo rzeźby, ruchu wykutego w kamieniu, jak dyskobol Fidiasza czy grupa Laokoona. Na dźwięk otwieranych drzwi zaczynaliśmy się ruszać, na dźwięk zamykanych, przestawaliśmy.

Raz pośrodku nocy obudziło nas stukanie do drzwi. Jeden z uchodźców zażądał, aby go natychmiast zbadał polski lekarz. Chory, sam lekarz, dr Jerzy Ochman, obsypany był wysypką i miał gorączkę. Z miejsca oświadczył, że już badali go miejscowi lekarze i postawili mu różne diagnozy z syfilisem włącznie. Moje pediatryczne doświadczenie przydało się. Rozpoznałem chorobę posurowiczą, jako komplikację zastrzyku otrzymanego przed dwoma tygodniami. Widziałem tego dużo u dzieci. I tak poznaliśmy się i zaprzyjaźnili. Ochman, rodem ze Śląska, starszy ode mnie o kilka lat, z żoną i dwojgiem małych dzieci przedostał się do Republiki Federalnej przez Wschodni Berlin. Łatwo mu było otrzymać wizę do Wschodnich Niemiec, bowiem w czasie wojny służył w niemieckiej dywizji pancerniej. Medycynę ukończył w Polsce i wkrótce został aresztowany. Za czas spędzony w polskim więzieniu przysługiwało mu dwadzieścia kilka tysięcy marek jako rekompensata, a także renta inwalidzka, bowiem był ranny dwa razy. Aby skorzystać z tych przywilejów wystarczyło, aby zadeklarował się Niemcem. Ochman odmówił niemieckiego obywatelstwa i jako Polak nie otrzymał niczego.

Marysia, po nieudanych próbach znalezienia lepszej pracy w białym fartuchu, poszła do fabryki zabawek. Przez osiem godzin, dzień po dniu, naciskała dwa klawisze na maszynie i roniła łzy od czasu do czasu, budząc współczucie towarzyszek pracy, przywykłych do takiej monotonnej roboty. Pytały, czy tęskni za ojczyzną, chyba za Górnym Śląskiem czyli Oberschlesien i za Chorzowem czyli Königs Hütte. A że mówiła bezbłędnie po

niemiecku i to literackim językiem, zrazu brały ją za rodaczkę. Było wielkie zaskoczenie, gdy temu zaprzeczyła. Bawarczycy nawet Niemców z innych „landów” zwali *ausländer*. Wdawała się w dyskusje z innymi robotnikami. Po tych strasznych klęskach i zniszczeniach klasa robotnicza nie potępiała Hitlera. Hitler chciał dobrze, mówili, tylko arystokraci mu bruździli i sabotowali. Niemcy wypowiedziały wojnę Stanom Zjednoczonym, bo zostały obrażone i musiały bronić swego honoru.

W pracy Marysia poznała miłego robotnika. Zaprosił nas do siebie. Mieszkał w starej dzielnicy Zirndorfu. Domy były tam jakby żywcem skopiowane z ilustracji z bajek Grimmów i Andersena. Gospodarz, Willi Danz, już niemłody, wyglądał na więcej lat niż miał - za czasów Hitlera siedział w obozie. Grał pięknie na harmonii. Na moją prośbę zagrał balladę o bogatej młynareczce co wzgardziła miłością biednego rybaka. Rzekła mu - miłość twa, na nic mi się nie zda. Gdy po latach rybak wrócił bogaty, odmieniło jej się, ale on na jej ofertę odparł - miłość twa na nic mi się nie zda. Słyszałem tę balladę wiele razy, należała do repertuaru kataryniarzy, dotykała jakiejś wrażliwej struny we mnie. Pieśni o miłości mówią zawsze o nieszczęśliwej. Podobnie pieśni i sagi o bohaterach zwykle opiewają nie zwycięzców, ale tych co padli w boju.

Poszedłem do dentysty, Niemca wysiedlonego z Opola, mówiącego po polsku. Nie chciał zapłaty za leczenie. Poznawałem Niemców innych od tych z czasu wojny.

Wśród wychodźców znajdowali się dwaj kuzyni, warszawiacy. Dwudziestoparoletni i czterdziestolatek. Odłączyli się od wycieczki w Wiedniu. Starszy, dowcipny i odcytany, namówił młodszego. Młodszy zostawił w kraju żonę, początkującą śpiewaczkę czy aktorkę i nowo narodzone dziecko. Oczekiwał, iż w ciągu roku, a najwyżej dwóch, ludowy rząd wypuści jego rodzinę na zachód. Otrzymałszy list od żony, zmarkotniał. W ostrych słowach potępiła jego decyzję pozostania na zachodzie. Można było tylko odgadywać czy napisała to od serca, czy też dla cenzury, z góry wiedząc, że pierwszym czytelnikiem tego listu będzie ktoś w Urzędzie Bezpieczeństwa. Stawał się coraz bardziej przygnębiony. Kuzyni sypiali razem w jednym łóżku, choć w ich pokoju były dwa. Młodszemu miało to robić dobrze na nerwy. Jak spał sam, to nie mógł zasnąć. Jednego dnia zniknął, podobno wrócił do Polski. Po kilku miesiącach ktoś przyniósł wycinek z „Życia Warszawy” - zasądzi go na dwa lata.

Inną parę stanowiła matka z synem dwudziestolatkiem. Też się urwali z wycieczki w Wiedniu. Zaledwie przekroczyli granicę Republiki Federalnej, zgłosili się do policji i poprosili o azyl. Zamiast oczekiwanych darów sypiących się jak z rogu obfitości za to, że wybrali wolność, zostali aresztowani i to przez kogo, przez Niemców, za nielegalne przekroczenie granicy. Posiedzieli za kratami dwa tygodnie nim ich przerzuciono do Valkalager. Minęły już miesiące, a kobieta wciąż była zaszokowana ich uwięzieniem. Coraz to wracała do tego tematu. Budziła niezamierzoną wesołość wśród rodaków, którzy także wybrali wolność na zachodzie, opowiadając, jak to oczekiwała, „że dadzą nam taksówki jak tylko przejdziemy granicę do Amerykanów”. Najwidoczniej tam, skąd pochodziła, samochód zwano taksówką.

Od kwaków dowiedziałem się, że armia amerykańska zatrudnia cudzoziemców lekarzy i że jest wakans w bazie w miejscowości Graffenwöhr pod samą czeską granicą. Złożyłem podanie, tak na wszelki wypadek, nikłą mając nadzieję. Mogłem sobie wyobrazić odwrotną sytuację. Lekarz ucieka z zachodu do Związku Sowieckiego i prosi o azyl polityczny. Oświadcza, że jest komunistą, że kocha kraj rad, po czym zwraca się o pracę w armii sowieckiej. Oczywiście nie tylko by nie dostał, ale z miejsca posądziliby go o szpiegostwo. Zacząłem na gwałt uczyć się angielskiego. Te gorączkowe studia, gdy zmęczony wracałem z pracy, niewielkie dawały wyniki, ale za to uprzytamniały mi jak mało umiem. Moja znajomość tego języka, w porównaniu z ogromem tego, czego nie rozumiałem, można było przyrównać do szpilki obok stogu siana, jeśli nie gorzej.

Po dwóch tygodniach przyszła pozytywna odpowiedź. Podali mi datę na *interview*. Musiałem zaprezentować się jak najlepiej, ale w co się ubrać? A jak cię widzą, tak cię piszą. Od Ornafa pożyczyłem granatowy beret, były one wówczas w modzie, i jasnoszarą nową kurtkę do pół kolana. Beret pasował jak ulał. Kurtka za duża, schodziła poniżej kolan; a że była także za szeroka w barach, ramiona nieco zwisały. Kurtka przeniesiona z masywnego Ornafa na mnie, przeobrażała się w palto. Przejrzałem się w lustrze, nieźle. Zdaniem Marysi znowu wyglądałem na lekarza.

Stefan Kohn, wytrwały i systematyczny w nauce angielskiego, posiadał liczne podręczniki. Wybraliśmy kilka zdań, mogłem je wtrącić do każdej rozmowy, aby sprawić wrażenie, że znam język lepiej niż naprawdę znałem. Metoda polegająca na wtykaniu w

odpowiednim momencie z góry przygotowanych „błyskotliwych zwrotów” była obosiecznym mieczem. Mój rozmówca, będąc pod wrażeniem, że znam jego język lepiej niż naprawdę znałem (co było moim celem), mówił szybciej z użyciem bogatszego repertuaru słów (co nie było moim celem). O świcie ruszyłem w podróż po złote runo. Bilet w jedną stronę drugą klasą (trzeciej nie było) kosztował 8 marek. Za godzinę pracy w fabryce dostawałem półtorej marki.



Linia kolejowa wiała się pomiędzy wzgórzami porośniętymi lasem w kolorach jesieni. Gałęzie niemal ocierały się o okna. Od czasu do czasu spoglądałem na kartkę papieru z wypisanymi na niej angielskimi zdaniami i potem nie patrząc powtarzałem je w myśli, aby się nie zaciąć, gdy przyjdzie co do czego. Przy wejściu do obozu stało jedenaście białych krzyży, a obok napis: *drive safely, we want you back* (prowadź samochód ostrożnie, potrzebujemy cię). Jakiś żartowniś dopisał: „for KP” (do kuchni). Wartownikowi przy bramie wytłumaczyłem, że mam umówione spotkanie w *dispensary*, i po sprawdzeniu wpuścił mnie. Kierownikiem *dispensary* czyli przychodni był młody lekarz, kapitan Montez. Jego jednego jako tako rozumiałem, jego macierzystym językiem był hiszpański i dlatego po angielsku mówił wyraźniej, przynajmniej mogłem odróżnić słowa, nawet jeśli ich nie rozumiałem. Zresztą starał się mówić wolno i wyraźnie. Za to mowa sierżanta, kierownika administracyjnego przychodni, brzmiała bardziej jak bełkot. W czasie rozmowy udało mi się wsunąć kilka wyuczonych zdań. Aby zatrzeć ujemne wrażenie wdałem się w rozmowę z sekretarką, jak się okazało Niemką. Przerzuciłem się na niemieczynę w nadziei, że przynajmniej na niej zrobię dobre wrażenie.

Wąta była nadzieja szybkiego powrotu do zawodu lekarza i zwiększenia moich zarobków z piętnastu dolarów na tydzień do

trzystu na miesiąc. Następnego dnia terkot budzika zerwał mnie ze snu o świcie. Jak zawsze rano palce były tak sztywne, że mijało pół godziny nim się udało zacisnąć je w pięść.

Minał tydzień, przyszło zawiadomienie o przyjęciu mnie do Graffenwöhru wraz z datą rozpoczęcia pracy. Po dwóch dniach przyszła depesza, żeby nie przyjeżdżać. Najwidoczniej amerykański kontrwywiad sprzeciwił się.

Coraz to ktoś otrzymywał wizę emigracyjną i wyjeżdżał z obozu. Prowadziło to nieraz do tragedii. Węgierska para niemałżeńska, on nazwiskiem Sandor Csapo, starała się o wyjazd do Australii. Kobieta interesował się też inny mężczyzna, i to nie bez wzajemności, także starający się o australijską wizę. Sandora konsulat odrzucił z powodu plamy na płucach. W niedzielę, w czasie pikniku, Sandor nożem przebił dziewczynę i siebie. On umarł, a ona przeżyła i z nowym kochankiem pojechała do Australii. Z tej okazji Lagerleiter Kródel wydał następujące oświadczenie: *„Ich habe die traurige Pflicht, den Lagerinsassen bekannt zu geben, dass der Lagerinsasse, Sandor Csapo, am Sonntag 27.10.57, freiwillig aus dem Leben geschieden ist“*.

Obok, przez ścianę, mieszkał Polak z żoną Niemką, rzeźnik z zawodu, niedbały o swój wygląd. Sprawiał wrażenie tępego, nawet jak na rzeźnika. Żona prezentowała się lepiej. Podobno dawniej źle ją traktował. Być może wyszła za pierwszego lepszego zaraz po wojnie, aby jej nie wysiedlili z Polski. Rzeźnik chodził ospały i przygnębiony. Żona go więcej nie chciała. Błagał ją, aby go zatrzymała. Nie wyglądał na takiego co by się sam przebił nożem.

Minał jeszcze jeden tydzień i przyszło potwierdzenie mojego zatrudnienia w Graffenwöhr. Złożyłem rezygnację u Metza. Kupiwszy zimowe palto na spłaty, zaopatrzony w polsko-angielski słowniczek zwrotów niezbędnych dla lekarza, ruszyłem w drogę sam. Marysia na razie została w obozie w Zirndorfie na wypadek, gdyby mi się nie powiodło. Zresztą nie było kwater dla rodzin w obozie w Graffenwöhr. Mogłem wprawdzie wynająć umeblowane mieszkanie w pobliskim miasteczku Weiden, ale na to nie było nas stać. Przydzielono mi pokój w budynku mieszkalnym na terenie obozu.

Mój dzień składał się z dwóch ośmiogodzinnych okresów. W przychodni do godziny czwartej jako lekarz i w pokoju na kwaterze jako student angielskiego. Pracy było niewiele, dobrze jeśli widziałem dziesięciu pacjentów dziennie. Graffenwöhr był poligonem. Raz po raz przyjeżdżały nowe oddziały na manewry - wtedy pacjentów

przybywało. Oprócz kapitana Monteza, kierownika przychodni, pracowało dwóch niemieckich lekarzy, dr Herret i rudy dr Laus. Obaj mówili płynnie po angielsku. Wśród pacjentów przeważali zwykle żołnierze, a moi niemieccy koledzy poza żołnierzami zajmowali się oficerami i ich rodzinami oraz cywilnymi Amerykanami zatrudnionymi w armii. Taki układ był dla mnie bardzo korzystny z powodu kiepskiej znajomości angielskiego. Obawiałem się, że któryś z oficerów poskarży się wyższym władzom na nieuka, z którym nie można się porozumieć. Gdy nie mogłem dogadać się z żołnierzami, a zdarzało się to często, Laus lub Herret przychodzili mi z pomocą.

Sama praca lekarska zajmowała mi od dwóch do czterech godzin dziennie. Pozostały czas spędzałem wkuwając zwroty niezbędne przy pracy: czy pan spluwa krwią? (flegmą?); czy odczuwa pan ból (pieczenie) przy oddawaniu moczu?; czy doświadcza pan zawrotów głowy?; czy oblewają pana zimne poty? I tak dalej strona za stroną.

Sądząc po tym, jak poprawnie formułowałem pytania, pacjenci uważali, że nieźle znam angielski. Odpowiadając mówili szybko i trudno mi było ich zrozumieć. Kiedyś trzech ich przyszło razem, wszyscy trzej biali. Jednego w ogóle nie mogłem zrozumieć. Jego kolega pomógł mi tłumaczyć na literacki język.

Lekarze stołowali się w oficerskim kasynie. Można było wybierać sobie co się chciało i to za darmo. W młodości nasłuchiwałem się maksymy - co masz w głowie, tego ci nikt nie odbierze. Do tego doszło w czasie wojny - co zjesz, to twoje. Lata spędzone pod komunizmem tylko umocniły obsesje wokół jedzenia. Nie to, żeby ludzie przymierali głodem jak na wschód od Bugu, ale wciąż czegoś brakowało - mięsa, masła, jajek, cukru... Trzeba było stać w kolejkach, jeść co się dostało.

Na początku pobytu w Graffenwöhr obżerałem się jak rekonwalescent po tyfusie, jakby na zapas, jak niedźwiedź przed zimą. Minęło kilka miesięcy nim mi to przeszło, jakbym wreszcie uwierzył, że głód mnie nie czeka, bo żyję w krainie obfitości, a nie w krainie wiecznego niedostatku.

Moja reakcja na widok nieograniczonej ilości i wyboru jedzenia przywodzi mi na pamięć inne wydarzenie. Po wojnie, w latach czterdziestych, mieszkając w Jeleniej Górze nabyliśmy szczenię, krzyżówkę wilczura z dobermanem. Piesek dostawał tylko ograniczone ilości wody do picia, aby nie siusiał na podłogę. Gdy podrośł, wzięliśmy go raz na spacer do leśnego jeziora. Na widok

takiej ilości wody najpierw znieruchomiał, jakby nie wierzył własnym oczom, potem ostrożnie zanurzył się i zaczął pić i pić, aż brzuch mu spęczniał i więcej już nie mógł. Więc wrócił na brzeg wciąż nie odrywając oczu od jeziora. Odczekał trochę, jeszcze dwa razy wszedł do wody i pochleptał odrobinę.

Popołudnia i wieczory spędzałem w swoim pokoju ucząc się angielskiego. Pożyczyłem z biblioteki pamiętniki Churchilla i ze słownikiem w rękę brnąłem naprzód. Wypisywałem nieznane słowa i zwroty i w głos je powtarzałem. Zajmowało mi godzinę i więcej aby „przerobić” jedną stronę. Obok mnie miał pokój rudy doktor Laus. Gdy nie mogłem rozgryźć jakiegoś zwrotu, do niego zwracałem się o radę. Laus miał dużo wolnego czasu i chętnie udzielał pomocy. Był chyba samotny. Lubił sobie wypić, ale nigdy nie widziałem go podchmielonego. Był to postawny mężczyzna o cerze harmonizującej z kolorem rudych włosów. Jego ulubionym powiedzeniem było - *no business, good business*.

Język angielski obfituje w krótkie wyrazy, które się dodaje na końcu czasownika zmieniając przez to jego znaczenie: *up, in, on, off, along, through, out, away, down*. Z tym miałem największe trudności. Raz przyszedł Murzyn skarżąc się na bóle w piersiach i zawroty głowy - tak go w każdym razie zrozumiałem. Chciałem go zapytać, czy zemdlął. Zamiast powiedzieć *did you pass out* użyłem zwrotu *pass away*, to znaczy umrzeć. Po twarzy pacjenta i jego wybałuszonych oczach od razu poznałem, żeś palnął jakieś głupstwo. U Amerykanów lekarze byli w znacznie większym uważaniu niż wśród Polaków i do ich słów przywiązywano dużą wagę.

Unikałem odbierania telefonów, nie mogłem zrozumieć, choć odbiór był czysty. Pomimo wkuwania po kilkanaście godzin dziennie nie robiłem, zdawało się, żadnych postępów jeśli chodzi o rozumienie języka mówionego. Odróżniałem więcej wyrazów, ale nadal nie rozumiałem. Po trzech miesiącach bezowocnych wysiłków nagle przyszła poprawa. Zacząłem rozumieć, wystarczająco dla moich potrzeb. Jakby w ciemnym pokoju zapaliło się światło. Najoczywiściej w miarę nauki mój zasób słów zwiększał się bez widocznych rezultatów, aż ich ilość osiągnęła „masę krytyczną” i zacząłem rozumieć. Podobny proces zachodzi w bombie uranowej.

Minęło Boże Narodzenie. Doktor Herret zaprosił mnie na bal sylwestrowy w pobliskim mieście Weiden. Z obozu przyjechała Marysia. Mieliśmy stolik z Herretem, jego żoną i jeszcze kilku

Niemcami, w olbrzymiej sali połączonej z drugą olbrzymią salą, obie wypełnione rozbawionym tłumem. Gwar bił „pod niebiosą” i nasilał się w miarę upływu czasu i w miarę konsumpcji alkoholu. Rozległy się wołania, przychichło, i wolno wybiła północ. Podniosła się ogromna wrzawa. Kilka osób zaczęło śpiewać, potem kilkanaście, coraz więcej osób dołączało. Niektóre panie zdjęły pantofle, niektóre nie zdjęły, weszły na stoły i zaczęły maszerować w miejscu. Coraz więcej osób wdrapywało się na stoły. Ci, dla których zabrakło miejsca, bądź też nie czuli się zbyt pewnie na nogach, maszerowali na podłodze obok. Tupot, zrazu niezsynchronizowany, nabierał rytmu i mocy. Wkrótce gwar głosów ustał i salę wypełnił grzmot setek nóg w marszu i śpiew.

W czasie krótkiego pobytu w tym kraju nie widywałem rozbawionych Niemców, za to z czasu wojny dobrze pamiętałem groźnych i maszerujących. Jedno zdawało się wykluczać drugie. Oksymoron. Teraz otaczały mnie setki rozbawionych maszerujących. Na głowach błazeńskie czapki z kolorowego papieru zamiast hełmów. Zamknawszy oczy pomyślałbyś - batalion piechoty na defiladzie. Zaskoczyły mnie słowa piosenki o niemieckim żołnierzu, co flirtował z piękną Polką i dostał kosza. Dalekie echo legendy o Wandzie, co nie chciała Niemca.

*In einem Polen städtchen
da sah ich einst ein Mädchen
Sie war so schön
Sie war das allerschönste kind
Das man in Polen Find
Aber nein, aber nein sprach sie
Ich küsse nie*

*Ich lud sie ein zum Tanze
da fiel aus ihrem Kranze
ein Rölsein rot
Ich hob 'es auf von ihren Fuss
und bat um einen Kuss
Aber nein, aber nein sprach sie
Ich küsse nie*

*Wir spielten einst mai Mühle
ich gewann in diesem Spiele
und sprach zu ihr:
Lös deines Spieles, Spielesschuld
mit einem Kussenhuld
aber nein, aber nein sprach sie
ich küsse nie.*

Podczas naszej nieobecności w Zirndorfie przyszła tajemnicza pocztówka z Zachodniego Berlina do mnie. Tajemnicza, bo jej nigdy nie otrzymałem, zaginęła. Ten kto miał ją doręczyć, przeczytał jej treść. Nadawca pisał, że jedzie do Caracas i chciał się ze mną skomunikować. Na myśl przyszedł mi znajomy Polak z Rzymu, wybierał się do Wenezueli, nas namawiał. Jeśli z Rzymu do Caracas, to dlaczego przez Berlin? Z Zachodniego Berlina już łatwiej było porwać człowieka do Wschodniego. Jeśli był to podstęp komunistycznego wywiadu zwabić mnie do Berlina, znaczyć to mogło, że rodak z Via Tembien był w to zamieszany.

W Graffenwöhr pracowało dwóch Niemców dentyistów. Starszy, niski i łysawy, pochodził ze Schneidemühle (Piła). Opowiadał, czego doświadczyła jego matka staruszka zimą 1945 roku. Gdy na podwórzu jej domu weszli Rosjanie, wyszła im na spotkanie ofiarując na tacy chleb i sól. W odpowiedzi żołnierz kopnął tacę. Dentysta był zaskoczony reakcją Rosjanina, jakby nie wiedział, co jego rodacy nawyrabiali w Rosji. Ta starożytna tradycja znana była tylko z książek, choć moja matka opowiadała, że w czasie pierwszej wojny światowej Niemców wkraczających do Starachowic powitała żydowska delegacja z chlebem i solą.

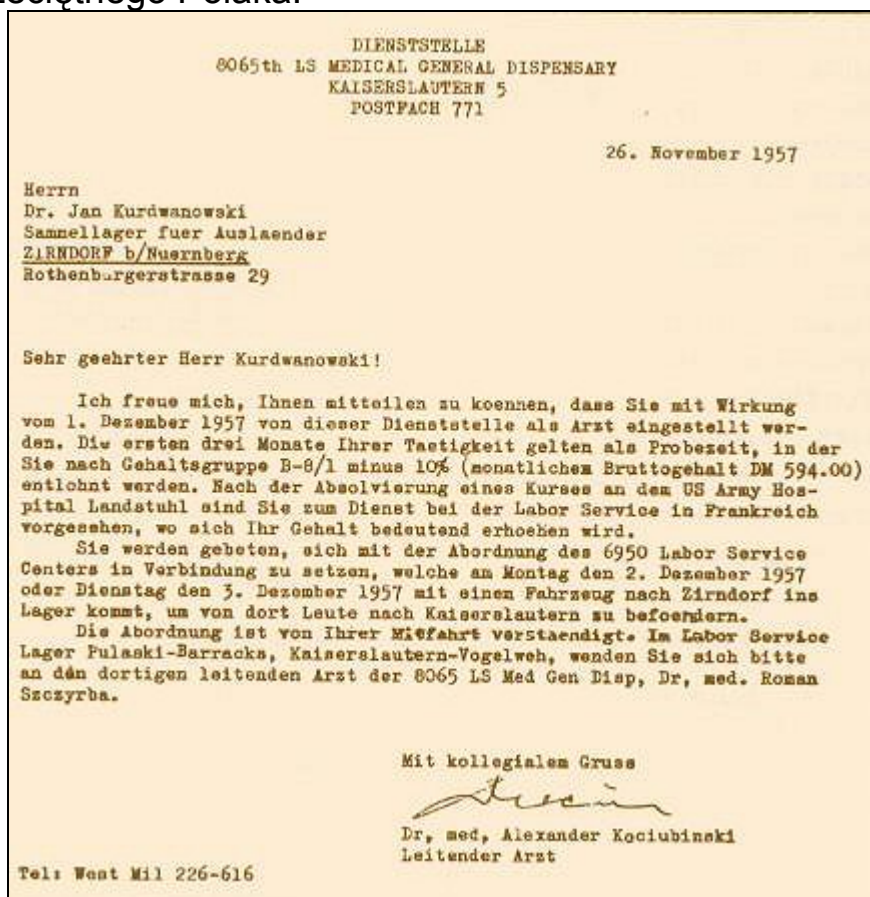
Gdy wspomniałem młodszemu dentyście o losie trzech milionów polskich Żydów, wyraził niewiarę, że sami Niemcy mogli wymordować aż tylu. Jego zdaniem połowa padła ofiarą Rosjan.

Na terenie poligonu Graffenwöhr ćwiczono załogi w obsłudze nowych rakiet zwanych *Honest John*. Jedna z rakiet nie poleciała we właściwym kierunku i uderzyła w namiot pełen żołnierzy. Czasem takie dudnienie dochodziło z oddali, jakby już wojna wybuchła.

Raz obudziwszy się o szarej godzinie podchodzę do okna. Mglisty świt, ledwo widoczne korony odległych świerków, obok budynku stoją żołnierze, z bronią, zimowe czapki uszatki z nausznikami luźno zwisającymi. Sowiet - przemknęło mi przez głowę, dopiero po chwili rozpoznałem Amerykanów. Gdyby wojna naprawdę wybuchła, Rosjanie mogliby tu dotrzeć w godzinę, tak blisko była granica.

Minęły już cztery miesiące, gdy pojawiła się możliwość przeniesienia do kompanii wartowniczych we Francji. Polacy w obozie w Zirndorfie stanowczo odradzali zrobienie takiego kroku. Według jednych, Amerykanom nie podobały się takie zmiany i mogłem stracić pierwsze, nie zyskawszy drugiego. Według innych, nie było to w ogóle możliwe. Znajac moich rodaków nie przejąłem się

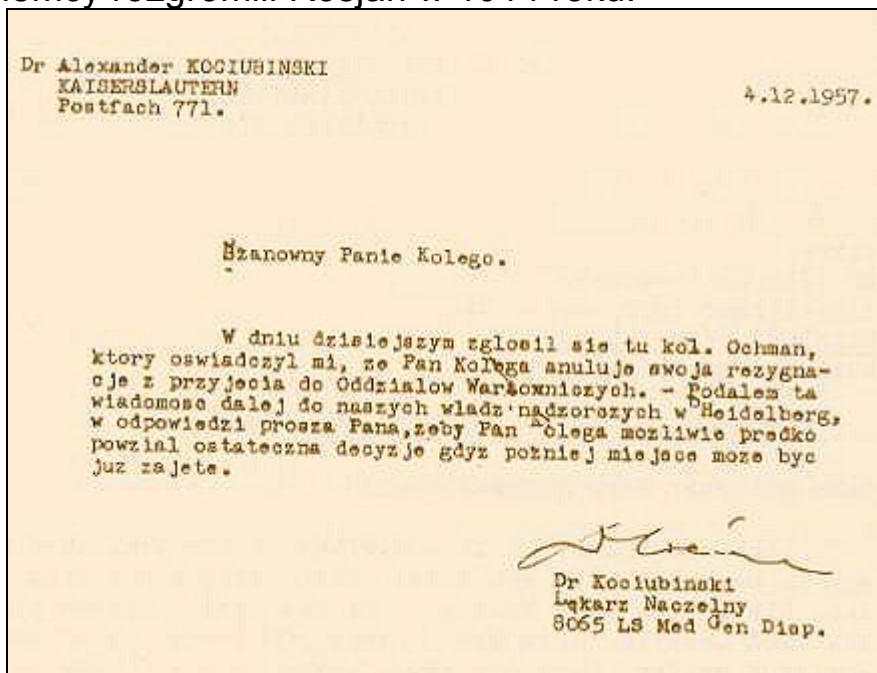
tymi ostrzeżeniami, wiedząc z doświadczenia, że zwroty „nie wiem” i „zdaje mi się” nie znajdują wiele miejsca w codziennym repertuarze słów przeciętnego Polaka.



Załatwiwszy przyjęcie do kompanii wartowniczych pożegnałem się z kapitanem Montezem i kolegami Herretem i Lausem. Zawdzięczałem im wiele. Przed przeniesieniem do Francji skierowano mnie na przeszkolenie do głównego szpitala armii amerykańskiej w Landstuhl. Zamieszkaliśmy na kwaterze miejscowej polskiej kompanii wartowniczej, a do szpitala dojeżdżałem kilkanaście kilometrów. Był to nasz pierwszy kontakt z polskim środowiskiem na zachodzie.

Wartownicy, Polacy, nie wrośli w miejscowe społeczeństwo i pozostali wiecznymi emigrantami. Większość mieszkała w barakach. Taniej było w kilku czy kilkunastu na jednej sali, niż wynajmować mieszkanie czy pokój w prywatnym domu, przynajmniej samotność nie dokuczała. Kilku młodzików uciekło z okrętów i na razie zaczęło się w kompanii wartowniczej. Prawie wszyscy wartownicy byli rozbitkami ostatniej wojny. Nie było do czego wracać i dokąd iść. Pracując u Amerykanów mieli ubezpieczenia społeczne, takie same jak i obywatele Republiki Federalnej. Obchodzili niemieckie święta

państwowe i polskie narodowe. W rocznice naszych dwóch zwycięstw pod Grunwaldem i w bitwie warszawskiej 1920 roku mieli dzień wolny od pracy, a także w rocznicę bitwy pod Tannenbergiem, gdzie Niemcy rozgromili Rosjan w 1914 roku.



Kilku wartowników utknęło mi w pamięci. Jeden - niski, łysiejący szatyn, Ślęzak, spędził lata w hitlerowskich więzieniach oczekując wykonania wyroku śmierci przez ścięcie. Opowiadał mi, że raz na tydzień przyjeżdżał kat. Odbывało się to nocą. Przy uderzeniu gilotyny fundamenty więzienia drgały. Potem czekali znowu tydzień, czyja kolej. Kiedyś przywieźli niecodziennego aresztanta, porucznika Wehrmachtu. Był homoseksualistą. Usiłował nakłonić do seksu jednego z podległych mu żołnierzy, grożąc iż w razie odmowy wyśle go na wschodni front. Przyjechał ojciec prosić o życie syna. Porucznika rozstrzelali z zachowaniem wojskowych honorów, zamiast obciąć mu głowę jak pospolitemu kryminaliście lub zdrajcy, z uwagi na zasługi jego ojca, odznaczonego Żelaznym Krzyżem w czasie pierwszej wojny światowej. Wojna miała się ku końcowi, hitlerowska rzesza dogorywała, więźniowie oczekiwali, że zostaną rozstrzelani w ostatniej chwili, co było przyjętą praktyką. Znajomy gestapowiec, przyjazny jak na gestapowca, pocieszył Ślęzaka. „Nie martw się, jak trzeba będzie, to ja sam ciebie zastrzelę i nic cię nie będzie bolało”. O czymkolwiek by się nie zaczęło mówić, Ślęzak wracał do tematu więziennych kazamat. Wciąż to przeżywał. Mijały pory roku... w sadach zakwitały jabłonie i grusze, to żar lał się z nieba, to

jesienny wiatr podrywał złote liście, to śnieg sypał... mijały lata, a on myślami wciąż był w więzieniu przy gilotynie.

Inny wartownik, małomówny, nie miał ani wrogów, ani przyjaciół. Każdej zimy brał urlop i znikał na kilka dni. Koledzy wkrótce odkryli, gdzie się podziewał. Niedaleko znajdowało się wzgórze porośnięte lasem. Gdy śnieg przykrywał ziemię, brał śpiwór, zapas jedzenia i szedł do lasu.

EMPIRE CHÉRIFIEN
Gouvernement de Sa Majesté
MINISTÈRE DE LA SANTÉ

Rabat, le 11 DEC. 1957

LE MINISTRE DE LA SANTÉ

N° 30334 SG/2
5ème Bureau

à Monsieur le Docteur
Jan KUREWAKOWSKI
Rothenburgerstrasse 29
ZIEHDORF BEI NUERNBERG



Monsieur et cher confrère,

Comme suite à votre lettre du 14 novembre, j'ai l'honneur de vous adresser le questionnaire ci-joint que vous voudrez bien me retourner dûment rempli, signé et accompagné des copies de vos titres et références.

Je serai ainsi en mesure d'étudier en connaissance de cause votre candidature à un emploi de médecin de ce Ministère.

Veuillez agréer, Monsieur et cher confrère, l'assurance de ma considération distinguée./.

Le Ministre de la Santé

 
Signé : Dr FARAJ

Trafiało się i na ludzi inteligentnych, niemłodych, przeważnie z kresów. Nie mieli do czego wracać, nie chciało im się iść w nieznane, do Ameryki, Australii, więc zostali w Niemczech czekając na upadek sowieckiego imperium. Jednego polubiłem. Był niskim rangą oficerem kompanii. Rodacy zwali go Cwajnosem z powodu wielkiego nosa przedzielonego rowkiem na samym czubku. Przewisko składało się z dwóch części: germańskiej *zwei* (dwa) i słowiańskiej, nos. Cwajnos brał udział w kampanii na wschodzie w 1920 roku. Najpierw z karabinem maszerował do Mińska, potem od Mińska do Warszawy i z powrotem do Mińska. Powiadał, że po bitwie nad Niemnem wojna toczyła się od „horyzontu do horyzontu”. Polacy ukazywali się na horyzoncie, bolszewicy znikali z horyzontu. Cwajnos, człowiek dowcipny i ciekawy, nie miał wysokiej opinii o

Oficerom z rodzinami nie wolno było na stałe zamieszkiwać na terenie obozu, wynajęliśmy więc mieszkanie na poddaszu, czyli mansardę w Kaiserslautern przy ulicy Auf der Pirsch 13. Marysia znalazła pracę w amerykańskiej kuchni dla wojska jako *kitchenhelper*, czyli *kuechenhilfe*, z wynagrodzeniem 225 marek na miesiąc. Po dwóch miesiącach została awansowana na *buffet attendant* czyli *buefett-kraft* z pensją 275 marek na miesiąc.

[illegible]

212

prawie jak ostrzyżony na pałę, z odrobiną włosów sterczących nieco ponad czołem, nie więcej niż na szczoteczce do zębów. Obaj pochodzili ze stanu Kentucky i jak się później zorientowałem, mówili z silnym akcentem typowym dla południa Stanów Zjednoczonych, skąd wywodził się nieproporcjonalnie duży odsetek zawodowych oficerów. Świadomie i nieświadomie naśladowałem ich sposób mówienia. Później, już pracując we Francji z Amerykanami z centralnych i północnych Stanów, dowiedziałem się, że ta mieszanka mojego polskiego akcentu zakropionego południowym amerykańskim obfitowała w niezapomniane wrażenia słuchowe.

Ppłk Edwards przekonawszy się, że znam pediatrię, zostawiał mi sporo wolnej ręki. Pracy było w nadmiarze. Badałem pacjentów, a potem razem omawialiśmy przypadki. Był dobrym i cierpliwym nauczycielem. Skorzystałbym więcej, lepiej znając angielski.

Pielęgniarka oddziałowa, gruba i już niemłoda, doświadczała trudności z wymową mego nazwiska i aby nie zadawać sobie zbytnio trudu, zaczęła się zwracać do mnie *per doctor Ski*, co się szybko przyjęło. Odtąd nieoficjalnie zwałem się *dr Ski*. Tylko oficerowie próbowali wymawiać moje pełne nazwisko. U Amerykanów nazwisko nie ma poszanowania, można z nim zrobić co się chce, zwykle skraca je się. Zresztą zwykle używa się imienia, tylko do prezydenta Stanów Zjednoczonych należy zwracać się „*mister president*”. Nie ma zapotrzebowania na bruderszafty. Raz przedstawia mi się pacjentka, wymawia swe nazwisko „Łajzi”, pisze się „Wyrzy”. Okazuje się, że teść nazywał się Wyrzykowski. Nie tylko nazwiska, ale i zwykle słowa Amerykanie skracają. Zamiast *sister* (siostra) mówią *sis*, sekretarka, czyli *secretary*, będzie *sec*, ale *sec* będzie też sekunda, *wait a sec* (poczekaj chwilę). Hipopotam jest *hippo*, nosorożcowi (*rhinoceros*) także odcięli zadek i zwie się *rhino*, za to aligatorowi (*aligator*) odcięli przodek i został *gator*.

Jednym z pacjentów było niemowlę z zajęczą wargą, dziurą w podniebieniu, wadą serca i mongolizmem (zespołem Downa). Kiedyś podchodzę i widząc że leży na brzuchu, twarzą do poduszki, odwracam je na plecy - martwe. Najwidoczniej udusiło się. Podeszedłem do grubej oddziałowej i mówię, że nie żyje. Tylko tyle, że nie żyje, nic więcej. Zrobił się mały rwetes. Nikomu nie powiedziałem, że je odwróciłem. Oczywiście błędem było kłaść je na miękkiej poduszce. Trzymałem się z dala od wszelkich dyskusji na ten temat. Staż życiowy pod Hitlerem i pod Stalinem oduczył mnie

gadulstwa. Ppłk Edwards miał trudną rozmowę z rodzicami przy której była obecna gruba oddziałowa, mnie nie zaproszono. Coś im długo tłumaczył. Potem dowiedziałem się, dlaczego było tyle zamieszania z powodu śmierci dziecka, które i tak nie nadawało się do życia. Rodzice mogliby zasądzić armię o duże pieniądze, a na pewno wygraliby proces, gdyby była wiadoma prawdziwa przyczyna zgonu. W języku prawniczym nazywa się to *wrongful death*. Ppłk Edwards nigdy mnie ani w cztery, ani w więcej oczu nie spytał, co zobaczyłem. Musiał jednak domyślać się prawdy, bowiem w kilka dni po konferencji z rodzicami coś napomknął, że dziecko się udusiło. Tak go w każdym razie rozumiałem. Moja pozycja umocniła się po tym wydarzeniu, stałem się bardziej członkiem zespołu niż luźno doczepionym stażystą. Ten przypadek może służyć za przykład, że milczenie jest złotem, a mowa nawet srebrem nie jest.

Polakom Amerykanie nie przypadli do gustu. Na przykład w jakimś urzędzie imigracyjnym nasz rodak pyta Amerykanina: „Już dostałem *affidavit*, kiedy pojadę do Stanów?” Amerykanin odpowiada: „Jeszcze nie wiem”, albo „zdaje mi się, że w styczniu”. Rodaka taka odpowiedź nie zadowala... „Ci głupi Amerykanie, nic nie wiedzą”. Polak zawsze wie, nawet wtedy, gdy nie wie. Trudno mu zrozumieć, że normalny inteligentny człowiek może przyznać się do niewiedzy, a jeśli się przyznaje, to jest podwójnie głupi: raz że nie wie, dwa że się do tego przyznaje. I tak w polskim środowisku króluje spontaniczna dezinformacja. Nie wiadomo, kto wie, kto udaje że wie, a komu wydaje się, że wie.

Amerykańska armia nie cieszy się lepszą opinią od ich urzędów cywilnych. Co to za wojsko, powiadają nasi, siedzą po burdelach, rusczy uderzą i pójda jak w masło. Wszędzie widzi się amerykańskich żołnierzy. Mroźno, a oni stoją skuleni, bez zimowych płaszczy czekając na przystanku na autobus, na rogu ulicy, na dziewczynę. Widok skulonych, dygocących na zimnym wietrze żołnierzy jeszcze bardziej podważa dobre imię całej armii w oczach Polaków. Sam się na tym złapałem, że czasem patrzę na świat przez sowieckie okulary. Amerykanie na bluzach mają białe paski a na nich wypisane nazwisko. Uważam to za pseudonimy. Przypominam sobie jak to w centrum wyszkolenia sanitarnego w Łodzi któryś z lekarzy kursantów będąc na przepustce w mieście u znajomych, w rozmowie wymienił nazwisko kaprała. Jeden z kolegów lekarzy był kapusiem i doniósł politrukowi. Zrobili z tego wielki skandal - wydawanie tajemnicy wojskowej. Ku mojemu zaskoczeniu dowiedziałem się, że

amerykańscy żołnierze na paskach mają wypisane prawdziwe nazwisko. A więc sowiecki szpieg ma ułatwioną robotę. Nie musi skusić amerykańskiego żołnierza do baru, wydać pieniędzy na wódkę, spić go, podsunąć mu dziewczynę, aby się dowiedzieć nazwiska pułkownika.

Któregoś dnia wracam ze szpitala - przed domem stoi Edek. Wygląda jak model z włoskiego magazynu mody z odchyleniem w stronę artystyczno-poetycką, coś z lorda Byrona. Tak wyobraziłbym sobie Oskara Wilde. Ostatni raz widziałem Edka dwanaście lat temu, w lipcu 1945 roku, w wytartej marynarce i pumpach, gdy zeskakiwał z wagonu na sowiecko-amerykańskiej linii demarkacyjnej pod Pilznem. Zmężniał. Odezwał się pierwszy. Odczułem ulgę, że mówi płynnie po polsku. Chyba było w tym coś więcej niż oczywisty fakt, że w tej chwili jedynym co mieliśmy wspólnego był język i zamierzchnia przeszłość. Jako Polak widocznie uważałem się za coś niższego od zachodniego Europejczyka i konsekwentnie za niższego od Edwarda. To, że mówił po polsku jak Polak, robiło go w moich oczach Polakiem i nie musiałem czuć się niższym od niego. Jego polszczyzna była nienaganna, bogatsza niż przeciętnego inteligenta. Wyczuwałem jednak coś obcego w akcencie, wprowadzie tylko odrobinę, jakbyś do naczynia pełnego kryształowo czystej wody dołał kroplę atramentu. Jeszcze nie wiedziałem, że w Paryżu brali go za Francuza, w Rzymie za Włocha, w Londynie za Anglika, w Nowym Jorku za Amerykanina. Wjeżdżając do Warszawy na początku lipca, w dwa tygodnie po moim oderwaniu się od wycieczki, jeszcze nie wiedział, że już byłem w Zachodnich Niemczech. Edek na razie zatrzymał się u swej matki, ale wkrótce przeniósł się do Andrzeja, nie wiedząc, że ten znajduje się pod inwigilacją UB. Dla polsko-sowieckiego kontrwywiadu musiał to być nie lada węzeł do rozplatania. Najpierw odkryli Andrzeja kontakty z zachodnim wywiadem. Potem ja wymykam się z Polski. Zapewne przypuszczają, że cokolwiek wiedziałem o tej szpiegowskiej aferze, a sami nie wiedzą czy i ile wiedziałem, i co z tego przekazałem Amerykanom. W dwa tygodnie po mojej ucieczce przyjeżdża do Warszawy Edward, amerykański obywatel, jakoby lewicujący filmowiec, były akowiec i były podporucznik u Andersa. Poliglota władający wieloma językami, a także - co bardziej podejrzane - rosyjskim. Posiada typowe, charakterystyczne cechy ulubionego przez sowiecką propagandę kapitalistycznego wroga „międzynarodowego szpiega”. Przyjeżdża rzekomo celem

odwiedzenia swej matki. Rozbija się po Polsce własnym mercedesem. Spotyka mnóstwo ludzi. Na plażach Wybrzeża płaci dziewczynom dolarami, aby się rozbierały i filmuje je nago. Otrzymałszy mój list z opisem grzybobrania borowików Andrzej i Edek od razu domyślili się, że to szyfr. Borowik... borowik... zastanawiali się, w „Panu Tadeuszu” Mickiewicz pisze „borowik jest grzybów pułkownikiem”. A więc Janek już pokumał się z oficerami. Trudniej szło im z następnym listem, z opisem jak to zamek w drzwiach ubikacji zaciął się i musiałem wciągnąć się aż pod sam sufit, aby wydostać górą i naciągnąłem sobie mięsień w ramieniu. Ustęp z zatrzaśniętym zamkiem to oczywiście Polska Ludowa, odcyfrowali, ale co to jest ten naciągnięty mięsień w ramieniu.

Edek spotkał się z polskimi filmowcami, także z niejakim Teoplitzem. Gdy wrócił z Wybrzeża do Warszawy, zauważył, że wszyscy grzecznie go unikali. W mercedesie miał specjalne radio o szerokim zasięgu. Słyszał jak policyjne wozy, jadąc za nim, wzajemnie informowały się o jego ruchach po Warszawie.

Pewnego wrześniowego wieczora wpadł do Andrzeja jak po ogień, zabrał wszystkie swoje rzeczy i pojechał do matki. Tej samej nocy ubowcy przyszli aresztować Andrzeja. Przy rewizji znaleźli formułę do robienia niewidzialnego atramentu. Po latach potwierdził to Andrzej. Coś podobnego zdarzyło się w 1943 roku. Wczesnym rankiem gestapo zrobiło nalot na Sadybę Czerniakowską. Edek, nocny Marek, któremu trudno było wygrzebać się z łóżka przed południem, zerwał się o świcie i pojechał do śródmieścia. Nie było go w domu, gdy zabierali młodych mężczyzn.

Wkrótce po aresztowaniu Andrzeja Edek dostał wezwanie do UB. Wypytywali się, po co do Polski przyjechał. Grozili, że jako obywatel polski będzie powołany do wojska, bo nigdy nie służył. Ubowców musiało zabolec to fotografowanie nagich dziewczyn i inne eskapady, bo mu powiedzieli - a kobiety to co, na tuziny czy na mendle? Ucieszył się, gdy mu kazali opuścić Polskę w ciągu trzech dni. Nie czekał do trzeciego dnia. Jak tylko wyszedł z UB, pożegnał się z matką i w nogi. Pokazał mi wycinki z gazet o aresztowaniu Andrzeja, z „Życia Warszawy” i z paryskiej „Humanite”.

Mając coś załatwić w amerykańskim urzędzie, wziąłem ze sobą Edka za tłumacza. Pomimo dużych postępów w angielskim, może jedną trzecią rozumiałem, resztę musiałem odgadywać. Z pacjentami na temat chorób łatwiej było się dogadać. Uderzała wyrozumiałość Amerykanów dla cudzoziemców kaleczących ich język. Cudze błędy

ani ich nie oburzają, ani nie śmieszają. Za to dla polskiego ucha kiepska polszczyzna jest wielce zabawna. Dopiero od Edka dowiedziałem się, nikt nie mógł odgadnąć, dlaczego Rosjanka w biurze niemieckiego kontrwywiadu interesowała się moją znajomością angielskiego. Otóż windę zwą w Anglii *lift*, w USA *elevator*, maskę samochodu w Anglii *bonnet*, w USA *hood*; benzynę w Anglii *petrol*, w USA *gasoline*. W gimnazjach polskich przed wojną uczono brytyjskiego angielskiego, po drugiej wojnie światowej w sowieckich szkołach dla szpiegów - amerykańskiego. Chodziło o sprawdzenie, gdzie uczyłem się języka.

Po paru dniach Edek wracał do Francji. Zabrałem się razem z nim czarnym mercedesem. Nie posiadając dokumentu uprawniającego do przekroczenia granicy, musiałem pożegnać się w Saarbrücken. Paryż, znany mi z literatury i z historii był tak blisko, mógłbym tam dojechać o zachodzie słońca, gdy światło dnia zlewa się ze światłami nocy wielkiego miasta. W przyszłości będę musiał odrobić te dwanaście lat, dzielące nas od tej chwili, kiedy zgubiliśmy się pod Pilznem. On obywatel świata, bogacz w porównaniu ze mną, ja - bezpaństwowy biedak, zaczynałem od punktu zerowego. Niemniej nie doświadczałem zazdrości. Świat przede mną stał otworem. Pociągiem wróciłem do Kaiserlautern.

Marysia, młoda i ładna, pracując w kantynie przyciągała uwagę żołnierzy. Umizgiwali się do niej. Raz przyniosła kawałek papierowej serwetki, którą wręczył jej jeden z żołnierzy, a na niej wygrzmolone: *Boy oh boy, you' ve got legs, want to meet you in the park. Do you want stockings or chocolade?* (Ale masz nogi, spotkajmy się w parku, czy chcesz pończochy czy czekoladę?)

Opowiadano, że zaraz po wojnie, niektórzy amerykańscy żołnierze wcale nie udawali szarmanci usiłując uwieść głodne Niemki. Zwyczajnie stali u zbiegu ulic trzymając w ręku puszkę konserw, czekoladę, parę pończoch, czekając aż która podejdzie.

Formalnie należałem do polskiej kompanii wartowniczej, skąd pobierałem pensję w stopniu oficera *Labor Service*. Wcale się to wartownikom nie podobało, że mają rodaka za lekarza i to zarabiającego więcej. Mówili: „za dobrze mu, po sprawiedliwości to powinien pochodzić ze dwa lata z karabinem, a nie tak od razu za doktora”. W szpitalu w Landsthul jadałem w oficerskiej kantynie. W sumie stołowało się tam kilkaset osób. Pielęgniarki albo były oficerami, albo miały te same przywileje co oficerowie. Obiad serwowano od 12.30 do 2.00. Obcokrajowców, to znaczy nie

Amerykanów, lekarzy na szkoleniu było sześciu, poza mną jeszcze pięciu Niemców. Przy obiedzie zwykle siedzieliśmy razem. Raz podszedł do nas sierżant zatrudniony w kantynie i powiedział, abyśmy jadaliby albo pomiędzy 12.30 a 13.00, albo pomiędzy 1.30 a 14.00, ponieważ zbyt wielu przychodzi pomiędzy 13.00 a 13.30 i jest tłoczno. Jakby sześć osób na dwieście stołujących się robiło różnicę. Moi koledzy Niemcy obruszyli się na taką dyskryminację. Ja, mając dalekosiężne plany emigracji do Stanów, nie wyjawiałem swych uczuć, za to wspominałem o tym ppłk. Edwardsowi, mimochodem przy jakiejś okazji. Edwards oburzył się. Sierżant-kucharz więcej do tej sprawy nie wrócił, gdyśmy przychodzili o niewłaściwej porze. Znałem tego sierżanta, bo dowiedziawszy się, że jestem Polakiem, zwracał się do mnie chłopską polszczyzną z amerykańskim akcentem. Dodatkową przyjemnością korzystania z oficerskiej stołówki było, że wciąż żywo miałem w pamięci dzień spędzony po „przeciwnej stronie barykady” jako pomywacz.

Mój staż w Landstuhl dobiegł końca. Przed wyjazdem do Francji pożegnałem się z Cwajnosem i kilku innymi, których lubiłem. Jeden z rodaków widząc, że moim ostatecznym celem podróży jest Ameryka, dał mi, chyba żartem, choć wypowiedział to z całą powagą, taką radę na drogę: „niech pan uważa, bo tutaj ludzie są tacy i tacy, a tam tylko tacy”. Przypomniało mi to, co chłop radził synowi wyruszającemu z rodzinnej wioski w szeroki świat: „Na przodek się nie pchaj, na zadku nie ostawaj, a środka trzymać się nie musisz”. Miałem zgłosić się do Orleanu, do dowództwa Labor Service, aby tam dostać przydział do jednostki, gdzieś na południu Francji. Marysia na razie została w Kaiserslautern.

7

W LABORACH

Był słoneczny majowy poranek, gdy wysiadłem z pociągu na Gare D'Est. Paryż. Doświadczałem uczucia mężczyzny, który widział wiele portretów pięknej, fascynującej kobiety, marzył o niej, a teraz miał ją spotkać. Przemierzałem ulice tego miasta znane mi z podręczników historii, ze stron powieści, z obrazów, z fotografii. Nie znałem tu żywej duszy i może właśnie dlatego miasto to zaludniały postacie z podręczników historii, ze stron powieści, ludzie, co już dawno umarli lub nigdy nie urodzili się. Mając skromny zapas pieniędzy nie mogłem pozwolić sobie na obiad, chyba że w bardzo podrzędnej restauracji. Wzdłuż ulic, którymi chodziłem, podrzędnych nie było. Stanąwszy przy kiosku, gdzie sprzedawano sandwicze, najpierw przyjrzałem się co inni kupują i za ile, aby nie zostać oszukanym. Po całodziennym włóczędze, idąc Polami Elizejskimi przy zapadającym zmroku i w blasku ulicznych świateł, dostrzegłem neonową reklamę polskiego filmu „*Le Cindre et le Diamond*” na kinie George V. Plakat objaśniał, że treścią jest walka zbrojna polskiego podziemia z komunistycznym rządem. Już sam fakt wyświetlania polskiego filmu w sercu Paryża zaskoczył mnie, a co dopiero o takiej fabule. Cena biletu była nieprawdopodobnie wysoka jak na moją kieszeń. Pięćset franków, czyli cały dolar. Po krótkim wahaniu postanowiłem naruszyć moją rezerwę strategiczną i kupiłem bilet.

Przekonany, że film już się zaczął, szybko wszedłem do środka. W rzeczywistości film dobiegał końca. Na ekranie zobaczyłem ostatnie chwile bohatera, gdy kryje się postrzelony przez żołnierzy w polskich mundurach i umiera na wysypisku śmieci. Znajomość końca spotęgowała grozę. Nogi dygotały mi raz po raz. Jakbym widział siebie samego na ekranie. Jakbym oglądał epizod z własnego życia, gdy w oddziale „Błyska” w 1945 roku walczyłem z UB i sowieckim okupantem.

Dziwaczny zbieg okoliczności. Polska, od której uciekłem, zagroziła mi drogę na Polach Elizejskich. Późną nocą doszedłem do Gare d'Orlean.

Był to chyba najdłuższy spacer mojego życia, w każdym razie chyba nie krótszy niż trzydziestokilometrowy marsz z Warszawy do Mińska Mazowieckiego 5 września 1939 roku - ucieczka przed zbliżającą się niemiecką dywizją pancerną.

Pociąg do Orleanu odchodził dopiero wczesnym ranem. Noc spędziłem razem z bezdomnymi, głównie Murzynami. Co jakiś czas pojawiał się policjant i budził śpiących. Ławki przeznaczone były do siedzenia, nie do leżenia. Spać wolno było tylko na siedząco, aby bezdomni nie mogli się zbyt daleko zdomowić w poczekalni dworcowej. Nie chcąc zadrzeć z policją już pierwszego dnia pobytu we Francji, resztę nocy przedrzemałem siedząc.

Po krótkiej podróży pociągiem zameldowałem się w komendzie kompanii wartowniczych w Orleanie, gdzie dostałem przydział do amerykańskiej jednostki w południowozachodniej Francji w stopniu majora *Labor Service*, czyli „laborów”, jak to zwali Polacy. Wszyscy lekarze kompanii wartowniczych mieli co najmniej stopień majora. Po dwudniowym pobycie w Orleanie ruszyłem w dalszą drogę pociągiem z przesiadką. Podróż zakończyła się w Rochefort, gdzie miał czekać na mnie samochód kompanii wartowniczej. Kiedy wysiadłem tam późnym popołudniem, zapowiadanego samochodu nie było. Gdy głowiłem się co robić, podjechał łazik z amerykańskimi żołnierzami, przyjechali po kogoś kto wracał z urlopu. Wyjaśniłem im swoją sytuację i zabrali mnie ze sobą, należeli do tej samej jednostki, do której ja miałem przydział. I tak wieczorem znalazłem się w barze w towarzystwie kilku Amerykanów w miasteczku Saint Jean d'Angely. Amerykanie, z wrodzonym brakiem zdolności i cierpliwości do wymawiania długich wyrazów, zwali je Saint Jeans. W barze przedstawili mnie oficerowi kompanii wartowniczej por. Januszowi. Od niego dowiedziałem się, że kompania wysłała po mnie samochód, ale na wcześniejszy pociąg. Winne było biuro w Orleanie, pomylili się co do przesiadki, wypisali zły bilet i dlatego przyjechałem dwie godziny później. Batalion inżynieryjny - moja jednostka, rozlokowana była w koszarach w Saint Jean d'Angely i we wsi Fontenet, położonej osiem kilometrów na wschód, gdzie znajdowało się dowództwo. Tylko jeden z wojskowych wracał do Fontenet samochodem, gdzie przygotowano dla mnie kwaterę. Nie miałem wyboru jak tylko zabrać się razem z nim albo wypuścić się w drogę na piechotę. Sęk w tym, że był to dwuosobowy odkryty samochodzik i miał już jednego pasażera. Usiadłem z tyłu nad kołem zapasowym i musiałem trzymać się klamry z przodu, aby mnie nie zdmuchnęło. Odstąpiłem od zasady, aby nigdy nie wsiadać do samochodu z podpitym kierowcą i po tym doświadczeniu nigdy tego nie zrobiłem. Po obu stronach wijącej się, wąskiej asfaltowej szosy rosły wielkie rosochate drzewa, które w świetle reflektorów dawały złudzenie tunelu z pni i gałęzi.

Samochód mknął tak szybko, iż zdawało się, że chwilami odbijał się od ziemi jak piłka. A może i odbijał. Strzałka szybkościomierza raz po raz przekraczała sto kilometrów i niekoniecznie opadała na zakrętach. Kurczowo trzymałem się uchwytu.

Następnego dnia rano zgłosiłem się do dowódcy polskiej kompanii wartowniczej, kapitana Iwańskiego. Był to szczupły, ale muskularny, łysiejący brunet, prosty jak sztormowa zapalka, w średnim wieku i więcej niż średniego wzrostu. Na opalonej twarzy odcinał się ciemny, starannie wygolony zarost, maleńki czarny wąsik i nieco wypukłe oczy. Nienagannie utrzymany mundur, a zwłaszcza spodnie przyprasowane na ostry kant wskazywały, ile wagi przywiązywał do swego wyglądu.

W małym baraku mieściło się dowództwo kompanii i jej świetlica. Obok znajdowała się przychodnia, czyli *dispensary*, gdzie kapitan Iwański przedstawił mnie kierownikowi przychodni doktorowi Rees w stopniu kapitana oraz polskiemu lekarzowi dr. Barskiemu. Iwański, z zawodu nauczyciel, przed wojną był czynny w akcji repolonizacji Ukraińców, tych, którzy pochodzili z schłopiałej polskiej szlachty. Przedstawiało im się dowody szlachectwa ich przodków.

W magazynie otrzymałem wojskowy ekwipunek w postaci angielskiego munduru z czasu drugiej wojny światowej, czarnych półbutów czyli *low quaters*, brązowych butów marszowych, specjalnych „buto-kaloszy” zwanych popularnie *Mickey Mouse boots*, podobnych do tych, które nosił Mickey Mouse z kreskówek Disneya, namiot oraz wiele wyposażenia na lato i na zimę, na pogodę i na słońce.

W komendzie batalionu kapitan Iwański przedstawił mnie dowódcy jednostki pułkownikowi Johnsonowi. Amerykański obóz, ogrodzony drutem kolczastym, położony był na wzniesieniu, skąd rozpościerał się widok na okolicę, pola uprawne i kępy zieleni. Krajobraz przecinała linia drzew rosnących wzdłuż szosy, ciągnąca się aż po sam horyzont.

Do obozu wjeżdżało się pod górę od kamiennej wioski Fontenet. Bramy zwykle pilnowało dwóch żołnierzy, Polak i Amerykanin. Wzdłuż drutów patrolowali Polacy. Podobno rząd francuski tylko Polakom pozwalał służyć w kompaniach wartowniczych. Oficerowie i cywilni pracownicy nie mogli mieszkać na terenie obozu. Z pomocą por. Normarka wynająłem pokój u francuskiej rodziny robotniczej w Saint Jean d'Angely i do pracy dojeżdżałem korzystając z różnych okazji. Samochód był niezbędny.

Jeszcze w Kaiserslautern zapisałem się na kurs jazdy praktykując na ciężarówce. W obozie Fontenet po zdaniu teoretycznego egzaminu otrzymałem *driver's permit*, co upoważniało do prowadzenia samochodu, gdy obok siedział pełnowartościowy szofer.

Za radą dr Barskiego kupiłem czarną simkę aronde za 1200 dolarów, oczywiście na raty, przez PX (*Post Exchange*), co było taniej niż na francuskim rynku. Moją edukacją na szofera zajął się, co należało do jego obowiązków, por. Normark. Z wyglądu i temperamentu stanowił przeciwieństwo swego dowódcy, kpt. Iwańskiego. Niewysoki, otyły, łatwo się zaperzał, zwłaszcza gdy rozmowa schodziła na temat polityki, podczas gdy Iwański nigdy nie podnosił głosu, choć moim zdaniem, łatwo mu to nie przychodziło. Normark, każde odchylenie w lewo od własnych poglądów politycznych podejrzewał o kryptokomunizm. Właściwie pasowałoby do niego zdanie z dumą wypowiedziane przez członka jednego z europejskich parlamentów przed pierwszą wojną światową (chyba rosyjskiej Dumy): „Na prawo ode mnie jest tylko ściana”. W czasie obrad lewica siedziała po lewej stronie, prawica po prawej, a umiarkowani w środku.

Normark był świetnym instruktorem. Cierpliwy, wyrozumiały i doświadczony. Dawał rady, niektóre po czterdziestu latach jeszcze pamiętam. W czasie nauki jazdy przytrafił mi się pierwszy wypadek. W wąskiej uliczce uderzyłem w okiennicę. Okiennicy na szczęście nic się nie stało, samochód dostał pierwszą bliznę. Przejechawszy odpowiednią ilość kilometrów w towarzystwie instruktorów, po zdaniu egzaminu drogowego, otrzymałem prawo jazdy. Teraz byłem gotów, przynajmniej w teorii, pojechać do Niemiec po Marysię.

Zacząłem studiować automobilową mapę Francji, żeby ułożyć odpowiednią marszrutę do Kaiserslautern. Doświadczonemu kierowcy wystarczyłoby raz spojrzeć. Dla mnie była to wyprawa przez niebezpieczny teren, najeżony przeszkodami jak safari. Jak dotąd, przejechałem zaledwie pięćset kilometrów, i to po niemal pustych drogach.

W kompanii powszechnie uważano, że nie dojadę, ktoś podobno chętny był założyć się, że mi się nie uda. Jedynie porucznik twierdził, iż wrócę cały i własnym samochodem. Automobilowa mapa pocięta była czerwonymi, żółtymi i białymi liniami. Czerwone to główne arterie, trzeba ich unikać, żółte, mniej ważne i mniej zatłoczone, białe - to boczne drogi, najmniej uczęszczane, zwłaszcza teraz, u szczytu sezonu turystycznego. Głowie się, jak na biało

zaznaczonymi drogami przejechać od Atlantyku do Renu omijając co większe miasta. Im dłużej wpatruję się, tym większe obawy mnie opadają. Najprościej byłoby jechać na północ do Loary, potem skręcić na wschód wzdłuż rzeki. W ten sposób jednak zbliżałem się do Paryża, gdzie drogi bardziej zatłoczone były samochodami. Można było też skierować się z St Jean d'Angely wprost na wschód na Limoges i Clermont Ferrand, a potem na północny wschód. Zbliżało to mnie jednak do Masywu Centralnego, gdzie teren był mocno pofalowany. Niczego tak się nie obawiałem jak sytuacji, kiedy jadąc pod górę muszę zatrzymać się przed czerwonym światłem, a po tym próbować ruszyć manewrując gazem, hamulcem i sprzęgłem. Motor mi gaśnie, próbuję zastartować, samochód stacza się w dół, uderza tego z tyłu, robi się zator, trąbią na mnie, policjant biegnie...

Po wschodzie słońca ruszyłem w drogę z zapasem żywności i napojów. Przejechawszy kilkanaście kilometrów ujrzałem stojącego u skraju drogi chłopaka. Machnął na mnie ręką i przystanąłem. Celem jego podróży był Orlean. Mówił tylko po francusku, ale i tak było mi rażniej we dwóch. Okazało się, że nie na długo. W Poitier poprosił, abym się zatrzymał i wysiadł. Chyba mu się spieszyło, a ja jechałem za wolno, a może poczynił niekorzystne obserwacje odnośnie moich umiejętności prowadzenia samochodu.

Odtąd byłem sam. Obawiając się wjechać do Tours z uwagi na ruch uliczny, planowałem okrążyć je skręcając na wschód przed samym miastem. Znalazłem się jednak w środku „lawiny samochodów” - czegoś podobnego nigdy nie doświadczyłem w Saint Jean d'Angely - i na skrzyżowaniu nie udało mi się skręcić w prawo. Razem z innymi musiałem wjechać do centrum miasta, pełen najgorszych obaw i z uczuciem, że straciłem kontrolę. W końcu wydostałem się na szosę główną do Orleanu. Jechałem wolniej niż inni, którzy coraz to trąbiąc mijali mnie, bądź też trąbili z tyłu za mną, chyba abym dodał gazu albo zjechał na bok. Jak się później przekonałem, Francuzi nie są najgorsi jeśli chodzi o trąbienie. Włosi biją ich na głowę. Mijanie na wąskich dwukierunkowych szosach wymaga nie lada zręczności. Zwą to *coup de poisson* -mijając wykonuje się manewr przypominający ruchy ryby wyjętej z wody. Nowe samochody mają często doczepiony z tyłu napis *voiture en rodage* (wóz w dotarciu), aby ci z tyłu wiedzieli dlaczego wolno jedzie. Powinienem być przyczepić sobie taki sam albo podobny *voiture et chauffeur en rodage*. Wtedy daliby spokój z trąbieniem.

Robiło się coraz upalniej. Słońce już stało w zenicie, a Orlean wciąż był przede mną. Pamiętałem z historii, że miasto to bezskutecznie oblegał Attyla.

Od Tours do Orleanu prowadziła prosta szosa wzdłuż Loary, ale gdy minąłem Orlean, marszruta skomplikowała się. Od czasu do czasu zatrzymywałem się w cieniu drzew, aby sprawdzić na mapie dalszą drogę, aby zjeść, wypić, wyjść za potrzebą, wyprostować obolałe kości. Słońce zniżało się, a granica wciąż była daleko. Motor z lekka rzeził i zaczął zagrzewać się, strzałka termometru poszła w górę, choć jeszcze nie dotknęła czerwonej kreski. Musiałem naciskać mocniej gaz, aby utrzymać szybkość. Dopiero przystając zauważyłem, że jechałem na niskim biegu. Zapomniałem wrzucić z powrotem na czwarty wyjeżdżając z jakiegoś miasteczka. Za moimi plecami zachodziło słońce, zapalały się światła w oknach domów. Zapadła noc, a ja wciąż byłem we Francji. Wjechałem na złą drogę i musiałem zawrócić. Odtąd przystawałem u zbiegu szos, aby odczytać drogowskazy i porównywałem z mapą. Gdy oślepiały mnie reflektory zbliżających się pojazdów, zwalniałem i zjeżdżałem na skraj drogi. Doznawałem uczucia, jakbym był sam, zdany na własne siły, pośród bezkresnego oceanu, a samochód nabierał cech żywego stworzenia, towarzysza wędrówki. Drogi opustoszały, pociemniały. Pojawiły się germańskie nazwy miejscowości. Gdy przekroczyłem granicę, zniknęły pojazdy o żółtych światłach reflektorów, zastąpiło je białe światło, bardziej oślepiające. Gdy po północy wjeżdżałem do Kaiserslautern, czułem się już doświadczonego szoferem.

Po powrocie do Saint Jean d'Angely zamieszkaliśmy na poddaszu piętrowego domu przy ulicy rue de Banc, szerokiej do czterech metrów, przecinającej trochę zygzakiem południową część miasteczka, liczącego według jednych dwa, według innych pięć tysięcy mieszkańców. Nasza siedziba składała się z pokoiku i łazienki w korytarzu. Tam, gdzie stał nasz dom, u zbiegu rue de Banc i rue de Verdun, znajdował się mikroskopijny placzyk z drzewem pośrodku, a obok *boulangerie*. Rue de Verdun była tak wąska, że normalny amerykański samochód nie przecisnąłby się. Raz zaszedłem do *boulangerie* po ser.

- *S'il vous plaît, camamebert.*

Na to sklepikarz wskazał mi półkę, gdzie leżały różne jego odmiany. Gdy de Gaulle wracał do władzy w 1958 roku, grupa zaniepokojonych obywateli wyraziła obawy, że chce on ustanowić

dyktaturę, na co de Gaulle odpowiedział: „Nie może być dyktatury w kraju, gdzie jest dwieście gatunków sera”.

Od strony podwórza, piętro poniżej okna naszego pokoju, płaski dach służył kotom za miejsce zebrań towarzyskich. Schodziły się tam w różnych porach dnia. Zwykle było ich tam po kilka lub żaden. Siedziały osobno z przymrużonymi oczami, niby to drzemiąc, niby to nie zwracając na siebie uwagi. Jednak kiedykolwiek białoczarny kot pojawiał się, wkrótce rudy schodził z dachu.

Jak Paryż ma wieżę Eiffla, tak St Jean ma dwie bliźniacze wieże kościelne bez kościoła. Górują nad miastem. Widać je z daleka z otaczających wzgórz. W drugiej połowie osiemnastego wieku rozpoczęto budowę okazałego kościoła. Ukończono tylko dwie wieże i frontową ścianę, tam gdzie ołtarz, gdy wybuchła rewolucja. Budowę przerwano i nigdy do niej nie powrócono. O kilkanaście kroków od obu wież stał niski, prostokątny, płaski stary kościół, spalony wielokrotnie, pamiętający najazdy Normanów. W niedzielę o dziesiątej rano całą grupą przychodzili na mszę Polacy. Francuzów bywało niewiele i to tylko ci zamożniejsi. Chłopów nie widywało się. Przychodziliśmy oboje, aby nie wyróżniać się od innych. Jak Paryż Sekwana, tak St Jean przecina rzeczka Boutonne. Przy zdrowych nogach i dobrym rozbiegu dało się ją przeskoczyć. Oba brzegi łączył most. Od Fontenet wjeżdżało się do St Jean obok miniaturowego parku z klombami. Tu pierwszy raz w życiu zobaczyłem żywą palmę. W tym miejscu zbiegały się drogi: z północy z Niort i Poitiers, ze wschodu z Angouleme i z Cognac, a od południa z Saintes i Bordeaux. Do placu, gdzie stał ozdobny Hotel de Ville, jadąc samochodem trzeba było się przebić przez labirynt krętych wąskich uliczek, ostrożnie manewrując, aby o coś nie zaczepić. Obok Hotelu de Ville stał masywny budynek straży pożarnej, czyli *pompier*, gdzie od czasu do czasu odbywały się huczne zabawy. Ścisk bywał taki, że zamiast tańczyć dreptało się w miejscu. Na kawę z ciastkami można było zajść do Café de la Paix lub Café de Paris, gdzie w niedzielę o jedenastej spotykali się Polacy. O kilkadziesiąt kroków od naszego domu znajdowała się „dzielnica” eleganckich sklepów i starożytna baszta z zegarem.

W nocy średniowieczne centrum miasta, słabo oświetlone, nabierało tajemniczego uroku. Raz, wracając do domu o północy, natknąłem się na samotnego kota, który również dokądś podążał. Ruszyłem za nim pustymi krętymi uliczkami, ciekaw czy się tylko błąka, czy też idzie do z góry wyznaczonego celu. Oprócz nas obu

ani żywej duszy. Cisza była taka, że słyszałem tylko własne kroki i ich echo. Kot szedł bez pośpiechu, nie oglądając się na mnie. Skręcił w prawo, w lewo, w prawo i zatrzymał się przed jakimś domem, wskoczył na schody, siadł przy drzwiach, znieruchomiał i już się więcej nie ruszył.

Kierownik przychodni, dr Rees, był dopiero co po studiach, młody, a już otyły. Mieszkał z żoną. Sądząc z jego uwag był już rozczerowany do życia, a chyba i do małżeństwa. Pochodząc z Luizjany, mówił po francusku. W moczarach wokół dolnego biegu rzeki Missisipi zwanych *bayou*, gdzie się wychował, łamana francuszczyzna nadal była w użyciu. Spytałem mojego kolegę rodaka, dr. Barskiego, jak się wydostał na zachód. A oto co usłyszałem. Z Dolnego Śląska przeprawił się przez Nysę na niemiecki brzeg, ukradł rower i za dnia pedałowal w stronę Berlina, żywiąc się po drodze tym, co wziął ze sobą i czym popadło, nocą kryjąc się w życie. Policja po drogach legitymowała tylko pieszych, nie zaczepiała rowerzystów, bo rowerami jeździli robotnicy do pracy. Po paru dniach dotarł do Berlina i metrem przejechał ze wschodniego do zachodniego sektora. Włożyłem tę opowieść między bajki, chociaż podobne wątpliwości mieli ludzie słysząc o moich prawdziwych przygodach.

Naszymi pacjentami byli wojskowi i ich rodziny. Trudniejsze przypadki odsyłaliśmy do amerykańskiego szpitala koło La Rochelle. Poza przepisywaniem lekarstw do naszych obowiązków należało wykonywanie drobnych zabiegów chirurgicznych - jak usuwanie skrzepów z hemoroidów, wyjmowanie opilek metalu z rogówki. Nigdy mnie tego w polskich szkołach medycznych nie nauczyle. Poprosilem doktora Barskiego, aby mi pokazał, gdy będzie wykonywał zabieg. Dr Barski obiecał, ale mu nie szło z dotrzymaniem obietnicy, jakbym był jego konkurentem, którym nie byłem i być nie mogłem. Udawał, że zapomniał dać mi znać zawczasu, choć nasze gabinety znajdowały się obok siebie. W końcu dopilnowałem go, nie mógł mi otwarcie odmówić. Wolałem zwrócić się do niego niż do dr. Reesa. Po co szefowi i to obcemu wyjawiać swoje braki. Naradzałem się także z Barskim przed kupnem samochodu. Doradził mi czarny kolor, elegancki, brudu na nim nie widać.

Kupiwszy simkę aronde (miał taki sam wóz, tylko w innym kolorze), wkrótce przekonałem się, że brud na czarnym jest bardziej widoczny niż na innych kolorach. Gdy o tym wspomniałem Barskiemu, odparł: Oczywiście, po co pan kupił czarny, na czarnym

brud się dobrze uwidacznia. - Przecież to pan sam doradził mi czarny - odrzekłem. Na to on coś odchrząknął unikając mego wzroku. W rozmowie dr Barski tylko przelotnie spoglądał na swego rozmówcę. Nieraz wydawało się, jakby się zastanawiał nad każdym następnym słowem, zanim je wykrztusił. Nie to, żeby się zaciął czy jąkał, ale głos mu się zmieniał. W czasie zwykłej rozmowy często sprawiał wrażenie człowieka przesłuchiwanego, jakby coś ukrywał. Podobno ukradkiem widywał jakąś kobietę, „Francuzicę”. Nigdy jej nie pokazał, ale nasi wartownicy nie na darmo mieli dobrego nosa.

Trzecim oficerem kompanii był por. Janusz, żonaty z Francuzką z Angoulême. Nasi zwali go „Polish CIA”. Nie miał dzieci i bardzo nad tym bolał. Z tego powodu poddawał się nawet skomplikowanym operacjom. O kilka lat starszy ode mnie, dobrze orientował się w sytuacji w Czechach zaraz po zakończeniu wojny. Odgrywał jakąś rolę przy przerzucaniu kurierów między Polską a Zachodem. Według niego w Czechosłowacji wówczas operowały jednostki polsko-sowieckiego wywiadu udające agencje rządu londyńskiego, do ich zadań należało wyłapywanie uciekających z Polski na Zachód. Przechwyconych rozstrzeliwano. Por. Janusz zaprosił nas na kolację do Angoulême. Żona, ładna blondynka, nie mówiła ani po angielsku, ani po polsku. Marysia nie rozumiała francuskiego, a ja ze swoją francuszczyzną daleko nie zaszedłem.

Marysia poduczyła się angielskiego bardzo szybko, jeszcze w Niemczech, i dostała pracę w dziale finansowym klubu oficerskiego. Jej pensja wynosiła sto dolarów miesięcznie, moja dwieście siedemdziesiąt, i to bez podatku. W Niemczech razem zarabialiśmy sto dwadzieścia.

Młody dentysta, rodem z Brooklynu, często odwiedzał wujka mieszkającego niedaleko, w Cognac. Jego wujek tym się wyróżniał spośród milionów innych wujków, że za żonę miał światowej sławy murzyńską tancerkę Josephine Baker. Z jej to inicjatywy małżeństwo zaadoptowało kilkoro dzieci różnych ras. Dentysta był niskiego mniemania o jej macierzyńskich instynktach. Dziećmi zajmował się wujek.

Poza nielicznymi wyjątkami, wartownikami byli ludzie samotni. Wielu nawet nie poszukało sobie miejsca pośród miejscowej ludności, ale nadal, z własnego wyboru, gnieździło się w barakach, po kilku czy kilkunastu na jednej sali. Ci mieszkający w barakach ciągle sobie dogryzali, ale nie mogli się rozstać. Paru pożeniło się z Francuzkami, dwóch przywiozło zza Renu żony Niemki. Był Żyd

samotnik cieszący się uważaniem z racji swej reputacji „kozaka”. Był też i Czech udający Polaka. Opanował polszczyznę dość dobrze. Dowództwo oficjalnie uznało go za Polaka, bo inaczej nie otrzymałby pracy w kompanii. Straszny wypadek zdarzył się w innym obozie, położonym w pobliżu Atlantyku. Na sali ogólnej jeden z wartowników zaczął strzelać. Było kilku zabitych.

Co kilka miesięcy odbywały się rozgrywki szachowe i pingpongowe. W pierwszych łatwo pokonałem konkurentów. W drugich uplasowałem się na trzeciej pozycji i to na przemian z niejakim Lisem. Lis wyróżniał się tym, że trochę sepleniał, a poza tym przypominał lisa, nie charakterem, a wyglądem. Mistrzem pingpongowym kompanii był przystojny brunet Franek. Miły w obejściu, kiedyś boksował się. Sprawiał wrażenie człowieka, który mógłby i powinien być lepiej urządzić się w życiu, niż chodzić z karabinem wokół drutów kolczastych w pogodę i we słotę. Okazało się, że miał swoją szansę w życiu. Przed kilku laty poznał młodą Szwajcarkę. Dziewczyna musiała zakochać się w nim, bo go namawiała do ożenku. Miał do niej przyjechać w góry, pobrać się i osiedlić w Szwajcarii. Już miał ruszyć w drogę, gdy zaczęło się lato, słońce dopiekało. Kumple doradzali mu: „Co tam się będziesz spieszył Franuś, będziesz się tłukł pociągami, męczył w tym gorącu, pocił, poczekaj aż ochłódnie.” Dziewczyna czekała i czekała, listy pisała. Nie ochłodziło się aż jesienią, a tymczasem i jej wychłódło.

Straszny wypadek zdarzył się w kilka miesięcy przed moim przyjazdem. Kilku naszych wartowników nocą wracało z St Jean do Fontenet, miejscowości odległych o osiem kilometrów. Jechali, jak potem odczytano na szybkościomierzu, sto dziesięć mil na godzinę, czyli ponad sto siedemdziesiąt kilometrów. Tam, gdzie szosa nieco zagina się, samochód otarł się o jedno drzewo, zawinął się, uderzył dachem w następne, okręcił się wokół pnia i zawisł pół metra nad ziemią. Jeden tylko Heniek przeżył. Uderzenie wcisnęło go do bagażnika. Na przemian rozcinali metal tlenowymi palnikami i polewali wodą, aby chłodzić. Wyjęli go dopiero po trzech kwadransach. Najpierw przyjechało francuskie pogotowie, a że jęczał, dali mu zastrzyk morfiny tam, gdzie widoczny był kawałek ciała pomiędzy pogiętym żelastwem. Potem przyjechało amerykańskie pogotowie, a że wciąż jęczał, dali mu zastrzyk morfiny. W izbie przyjęć szpitala dostał jeszcze jeden zastrzyk i omal nie umarł z powodu przedawkowania morfiny. Po pół roku wyszedł ze szpitala. Pogruchotane kości jakoś się zrosły, choć nie wszędzie

prosto, i wrócił do pracy. Już nie chodził z karabinem wzdłuż drutów, dostał inny przydział - siedział w budce przy bramie. Od ubezpieczenia otrzymał dziesięć tysięcy dolarów, za jedną trzecią tej sumy kupił sobie luksusowy samochód, jakiego nikt nie miał w kompanii - simcę chambord. Moja simca aronde kosztowała tysiąc dwieście. Raz, gdy jechałem na plażę w jego simce chambord razem z kilku wartownikami, minął nas samochód stary i nie tak okazały jak jego. Kumple zaczęli go podpuszczać, a droga była kręta: „Heniuś, co, dasz się prześcignąć takiemu grzechotnikowi!”

Pomimo ostrzeżeń kapitana Iwańskiego zawadiacka jazda była w modzie. Najłagodniejszym jej przykładem było branie zakrętu przy takiej szybkości, aby opony zapiszczały. To się nazywało jechać ze śpiewem. Najniebezpieczniejszym popisem była szybka jazda, jak najszybciej, dwa samochody obok siebie, łeb w łeb, celem podania butelki wódki z jednego do drugiego.

Od czasu do czasu odbywały się obchody narodowych świąt. Na takie okazje zjawiał się pułkownik z dowództwa kompanii wartowniczych, czyli Labor Service z Orleanu oraz ksiądz kapelan, obaj Polacy. Do obchodów rocznicy Bitwy Warszawskiej 15 sierpnia przygotowania trwały kilka tygodni. Zaczęło się od okolicznościowych przemówień, nie tak długich jak w Polsce. Potem nastąpiła część artystyczna, popisy wokalne i deklamacje. Dwunastoletnia dziewczynka recytowała po polsku długi i trudny wiersz o treści patriotycznej. Była wyraźnie speszona od samego początku. Zaczynała się, zapominała, pot jej wystąpił na czoło. Sam czułem się nieswojo, widząc jak się męczy. Siedzący w pierwszym rzędzie uśmiechali się do niej, aby dodać jej odwagi. Wszyscy musieli jej współczuć, bo gdy dobrnęła do końca, uszczęśliwiona widownia nagrodziła ją hucznymi oklaskami. Następny punkt programu przygotowany był przeze mnie. Wykonawcami było dwoje dzieci kaprała kompanii, z matki Francuzki. Pięcioletnia dziewczynka i czteroletni chłopiec nie znały polskiego. Widownia oczekiwała bolesnej powtórki tego, czego przed chwilą doświadczyła, patriotycznego w treści i długiego w formie. Nauczyłem dzieci krótkiego wierszyka, którego z kolei nauczyła mnie mała pacjentka w klinice pediatrycznej w Warszawie. Dzieci stanęły na estradzie i trzymając się za ręce, bez żadnej tremy, szybko, nie modulując głosu wyrecytowały:

W pokoiku, na stoliku
stało mleczko i jajeczko
przyszedł kotek,

wypił mleczko
a ogonkiem zbił jajeczko.
Po czym ukloniły się, dziewczynka wpierv.

301

Str. 3

NICZEGO



Akademia w komp. 4085

niem Z okazji święta 11 listopada, kompania 4085 Fontenel zorganizowała uroczystą akademię, aby uczcić to wielkie dla Polaków wydarzenie i podkreślić, jak bardzo drogim nam jest dzień, który przyniósł wolność naszej Ojczyźnie.

Alat- Akademię urządzono w dniu 10 listopada, aby umożliwić członkom kompanii wzięcie udziału w licznych paradach następnego dnia, a organizowanych w okolicznych miastach (La Rochelle, St. Jean d'Angely, Angoulême) przez władze francuskie.

Prze- Program należy uważać za udany, ciekawy i żywy. Na wstępie d-ca kompanii, kpt. Feliks Iwański, w swoim zwięzłym a treściwym przemówieniu, zapoznał zebranych z przebiegiem wypadków, które były fundamentem uzyskania niepodległości i omówił działalność Marszałka Polski, Józefa Piłsudskiego.

nie Przemówienie zakończono odśpiewaniem hymnu państwowego.

W ramach programu, córeczka kol. Mańki, cztero i pół-letnia Kryśka, zadelklamowała wiersz Norwida „Moja piosenka”; pani Kurdwanowska odśpiewała bardzo przyjemnie „Żołnierską piosenkę”, „Umarł Maciek” oraz na bis — „Walc Warszawy”, za co została nagrodzona bucznymi brawami; cztero i pół-letnia Kacia Szczepańska, zadelklamowała bardzo ładnie wierszyk okolicznościowy z dużą swobodą, za co serdecznie ją oklaskiwano; kol. H. Winkiel odśpiewał „Stary kapral”, „Wiązankę pieśni legionowych”, oraz zajmował się nadawaniem z płyt muzyki polskiej, za co należał mu się osobne słowa podzięk.

Podkreślić należy, że koledzy, ma-

jacy żony cudzoziemki, uczą swoje dzieci polskiej mowy.

Rozdanie nagród uczestnikom kompanijnego turnieju szachowego, nie należało wprawdzie do programu akademii, ale korzystając z okazji, d-ca kompanii, kpt. F. Iwański, dokonał wręczenia nagród.

Nagrody otrzymali: za I miejsce — dr. Jan Kurdwanowski równowartość 15 \$, za II miejsce — Cpl Klejewski równowartość 10 \$, za III miejsce — Cpl. Malinowski równowartość 5\$. Nagroda pocieszenia, w postaci 3-dniowej przepustki przypadła, drogą losowania, kol. Franciszkowi Zieleniec.

Na zakończenie, uczestników akademii częstowano ciastkami i kawą.

Korespondent komp. 4085

OD REDAKCJI

Z powodu wolnego dnia od pracy — dn. 19. XI. — numer piątkowy „Ostatnich Wiadomości” nie ukazał się. Kolejny numer, 128, ma datę niedziela 23 listopad.

Srebrne gody

Niemal przypadkiem dowiedziałem się o radosnym obchodzie w rodzinie kol. Piotra Sikory, kierownika technicznego naszej Drukarni.

W ub. tygodniu obchodził on srebrne gody małżeńskie, co — jak wiadomo — znaczy, że 25 lat przetrwał zwycięsko i szczęśliwie u boku jednej i jedynej Małżonki.

Ponieważ zupełnie „na sucho” wy-

Fragment strony miejscowego dziennika „Ostatnie Wiadomości”

Minęło kilka sekund ciszy, zanim zaskoczona widownia zaniósł się śmiechem. Posypały się brawa.

Poleconą przesyłką przyszedł z Izraela mój dyplom lekarski. Odbił on długą i okrężną drogę. Przed wyjazdem z wycieczką do Włoch wetknęła go do mojej walizki, w tajemnicy przede mną, a za

wiedzą Marysi, moja matka. Szczęściem wyniuchałem, że coś się święci, w ostatniej chwili, już w wagonie, przejrzałem walizkę, znalazłem dyplom i wręczyłem go stojącej na peronie Irenie Kościółkowskiej. Ona z kolei dała dyplom znajomemu, który emigrował do Izraela. Można sobie tylko wyobrazić co by się stało, gdyby przy rewizji na granicy celnicy odkryli dyplom.

Pomimo wielkich postępów w angielskim od czasu gdy opuściłem obóz w Zirndorfie, nie przerywałem nauki. Było mi o tyle łatwiej, że nie musiałem wciąż zaglądać do słowników, bo pytałem sanitariuszy. Było ich trzech z różnych, odległych od siebie stanów, jeden z Michigan, drugi z Utah, trzeci z Oklahomy. W chwilach wolnych od pracy, a takich nie brakowało, zasięgałem ich rady. Mówili z różnymi akcentami i nieraz dawali mi rozbieżne instrukcje odnośnie wymowy niektórych długich wyrazów zwykle francusko-normańskiego pochodzenia. Więc wpadłem na taki pomysł. Ustawiałem ich w odległości kilku kroków od siebie, jeden czytał trudny wyraz, drugi miał go zrozumieć i napisać. Zaskakujące, jak często im się nie udawało. Uwzięłem się, aby przeczytać od deski do deski tygodnik „Time Magazine”. Zajęło mi to miesiąc.

Szofer przychodni, rodem z głębokiego południa Stanów, często wspominał swoje rodzinne strony. Słuchając jego opowiadań można było pomyśleć, że żyło tam więcej węży niż ludzi. Dzięki tym rozmowom nauczyłem się nie tylko nazw tych węży, ale także przyswoiłem sobie wiedzę o ich zwyczajach, wyglądzie, działaniu ich jadu, jak ich unikać i jak je łąpać.

Prosiłem Amerykanów, aby mnie poprawiali, gdy robię błędy. Zwykle odpowiedź była taka: „Mówi pan dobrze, jak chciałbym tak mówić po polsku, jak pan po angielsku”. Za to Francuzi czasami poprawiali mnie nieproszeni i to ludzie obcy, w sklepie, w biurze - nie robili tego złośliwie, chyba.

Jeszcze w Niemczech poznałem Angielkę wychowaną w Warszawie, zamężną za Amerykanina. Gdy byłem u nich z wizytą ich sąsiedzi, Amerykanie, wpadli na chwilę i stojąc we drzwiach rozmawiali z gospodarzami przez parę minut. Ja przysłuchiwałem się niewiele rozumiejąc, uśmiechnąłem się kilka razy, kiwnąłem głową, jakbym brał udział w konwersacji. Sąsiedzi byli zaskoczeni dowiedziawszy się, że dopiero co przyjechałem z Polski. Ich zdaniem mówiłem po angielsku bez akcentu. Jak mogli zauważyć akcent, jeśli poza przywitaniem „hi” i pożegnaniem „bye” nie odezwałem się ani słowem.

Francuzi, w przeciwieństwie do Amerykanów, udzielając mi informacji mówili tak wyraźnie, że mógłbym powtórzyć słowo po słowie, nawet gdy nie rozumiałem. Tylko najwyższe szarże amerykańskie i Polacy wymawiali moje nazwisko w całej rozciągłości. Pozostali zwracali się do mnie per doctor K. (wymawiali Kej). Pielęgniarką przychodni była niemłoda Francuzka, chuda i kulawa, po chorobie Heinego Mediny, którą przeszła w dzieciństwie. Sanitariusze jej nie lubili, ciągle zwracała uwagę innych na swe kalectwo. *Je suis comme l'oiseau avec la jambe cassee* - mówiła o sobie. Jej główną funkcją było asystowanie przy badaniu kobiet. Ja również korzystałem z jej pomocy. Ostrzeżono mnie bowiem, że zawsze trzeba mieć świadka-kobietę przy badaniu kobiet, aby nie zostać oskarżonym o niewłaściwe zachowanie się.

Najbliższe kino znajdowało się w Saintes, odległym o kilkanaście kilometrów. Przy wjeździe napis na tablicy drogowej informował: *Saintes, la ville roumaine, centre gastronomique, visitez ses monuments historique*. W samym miasteczku zachowały się ruiny rzymskich budowli, arena, łuk tryumfalny Germanika. Po drodze z St Jean do Saintes, które dwa tysiące lat temu zwało się Mediolanium i było stolicą Santones, mijano kamienną wioskę Asinière. Domyślałem się, że za czasów imperium hodowano tam osły i że nazwa pochodzi od słowa *asinus*. Inna wioska zwała się Argentière, chyba od *argentum* - srebro.

W połowie wyświetlania filmu następowała dwudziestominutowa przerwa. Podobnie było i w innych kinach tej ubogiej rolniczej dzielnicy Francji. Najoczywiej nikomu się nie spieszyło, czas nie był pieniądzem. Jeden film widzieliśmy więcej niż raz, komedię *Mon Oncle* z Jacques Tati. Jednym z najbardziej zabawnych momentów jest scena, gdy Jacques Tati zasypia przy maszynie produkującej plastikową rurę. Przy drugim oglądaniu Marysia nie wytrzymała i wybuchnęła gromkim śmiechem wśród zupełnej ciszy, wiedząc co za chwilę nastąpi, na kilkanaście sekund przed tą komiczną sceną. Jacques Tati nie odzywa się, wyjmuje fajkę z ust, wkłada fajkę do ust, przygina się, odgina się, zdaje się mówić, choć głosu nie słychać.

Z wybiciem godziny dwunastej w południe publiczne życie w St Jean zamierało, ruch samochodów ustawał, rozpoczynała się trzygodzinna sjesta. St Jean nie leży na południu Europy, bliskość Atlantyku łagodzi ostrość zim i letnie upały, więc tradycyjna sjesta nie jest uwarunkowana klimatem. Psy, dotąd unikające środka ulic z

powodu ruchu pojazdów, upodobały sobie jezdnie dla popołudniowej drzemki na ciepłym asfalcie. Prowadząc wóz w czasie sjeśty nieraz musiałem nagle zahamować, bo pies wylegujący się na jezdni ani się ruszył na widok zbliżającego się samochodu. Trzeba było podjechać bardzo blisko i potrącić. Wtedy dopiero pies unosił głowę, spojrzał zezem, wstawał niechętnie i odchodził powoli na chodnik utykając, jakby każdy krok sprawiał mu ból.

We Francji przejechanie psa było sądownie karane (koty nie miały takiego przywileju), więc kierowcy byli szczególnie ostrożni i dawali im pierwszeństwo. Psy musiały to zauważyć, bowiem nadużywały tego statusu „świętej krowy”, i jeśli ustępowały z drogi samochodom, robiły to opieszale i często w ostatniej chwili. Raz jechałem wolno szeroką ulicą przez wioskę Fontenet, gdy spomiędzy kamiennych chałup wybiegł wielki wilczur, nosem wyrznął w drzwi samochodu i upadł ogłuszony. Czyżby oczekiwał, że mu ustąpię. Nie zatrzymałem się mając nadzieję, że nikt nie zauważył, bo nie psa, ale mnie uznano by za winnego. Już we wstecznym lusterku widziałem jak wilczur podniósł się po kilku sekundach. Obserwując zachowanie się samochodów, psy, mądre zwierzęta, musiały wydedukować, że samochód jest to bojaźliwe stworzenie, coś w rodzaju wielkiej owcy czy krowy. Nocą w blasku reflektorów świeciły oczy zwierząt, zwykle zajęcy i kotów. Jedne zielone, drugie pomarańczowe. Zajęce miały głupi zwyczaj uciekać prosto oświetloną szosą, zamiast uskoczyć w bok w ciemność. Miejscowi mieszkańcy zabawiali się dodając gazu, aby je przejechać. Tak twierdzili Polacy, uważając to za dowód okrucieństwa w charakterze Francuzów. Nasza gospodyni przy Rue de Banc, zarzynając gęś, zamiast zwyczajnie odrąbać ptakowi łeb, tylko z lekka nacinała szyję i wieszała żywą gęś za nogi, tak aby krew powoli wyciekła. Ptak szarpał się, trwało to dość długo. Mięso przyrządzone w ten sposób miało lepiej smakować.

Nocą nie tylko kocie i zajęce oczy świeciły w ciemności. Raz jadąc wąską drogą wijącą się pośród lasu natknąłem się na sowę. Stała pośrodku asfaltu. Zahamowałem. Oślepią blaskiem reflektorów ani drgnęła, gdy podszedłem. Innym razem trzy siedziały na płocie otaczającym farmę, może zaskoczyłem je w czasie nocnego polowania na kurczaki. Podobno gdy są oślepione reflektorem, da je się złapać i wsadzić do worka. Wątpliwe, by poddały się bez walki, mając ostre dziób i szpony.

Do atlantyckiej plaży w Royan i St George de Didonne jechało się trzy kwadransy. W tym rejonie, przy morzu, Niemcy trzymali się

aż do samego końca wojny, choć Amerykanie nieustannie okładali ich bomba mi. Jedynym skutkiem tych nalotów było zniszczenie wszystkiego, co ludzka ręka od wieków zbudowała. Straty wśród ludności cywilnej miały być ogromne. Miejscowi wciąż z goryczą wspominali te bombardowania, ich zdaniem zupełnie nieuzasadnione w czasie, gdy już cała Francja była oswobodzona i alianci mieli do swej dyspozycji liczne porty.

Szerokie plaże o białym piasku przyciągały licznych turystów, wolno było postawić sobie namiot na piasku i przenocować kołysany do snu szumem bądź rykiem fal. Obok skał wrzynających się w morze gnieździły się krewetki. Można było ich nazbierać w ilości wystarczającej na śniadanie. Fale wyrzucały na piasek olbrzymie meduzy, czasem o metrowej średnicy, gniły one szybko w słońcu. Były to dalekie krewne bałtyckich meduz, małych, wielkości dłoni, o pastelowych kolorach, różowych, zielonkawych... niemal przezroczystych. Przykładało się je do ciała tam, gdzie ugryzła osa. Z Paryża przyjeżdżało na wakacje z dziećmi wiele kobiet. Nie wszystkie były przeciwne krótkotrwałym romansom pomiędzy poniedziałkiem a czwartkiem, z czego dobrze zdawali sobie sprawę polscy wartownicy. Mężowie czasem wpadali na weekendy.

Raz, gdy tak wychwalałem Francję w towarzystwie Polaka, który tu mieszkał oddawna, ten rzekł: ale z Francuzami to pan pewnie nigdy nie pracował.

Dr Jerzy Ochman, znajomy z obozu w Zirndorfie, dostał przydział do jednostki amerykańskiej w Chinon nad rzeką Vienne, dopływem Loary. Mieszkał tam z żoną i dwojgiem małych dzieci. Była „złota polska jesień”, gdy wybraliśmy się do niego z pierwszą wizytą. W rzeczywistości tutejsza jesień była bardziej złota, dłuższa i do tego cieplejsza. Jechałem niemal pustą szosą z drzewami wysadzonymi po obu jej stronach, ich korony spletały się u góry zasłaniając niebo, tworząc jakby tunel o ścianach z pni, gałęzi i liści o wszystkich kolorach jesieni.

Przystanęliśmy obok małego kamiennego kościoła, w środku pusto, tylko ktoś niewidoczny grał na organach melodię sprzed wieków. Była jakaś harmonia pomiędzy naturą a tym, co stworzył człowiek.

Nad Chinon górowały ruiny średniowiecznego zamku. Samo miasto, liczące kilka tysięcy mieszkańców, było równie starożytne jak zamek. Wąskie, kręte uliczki, domy ozdobione wieżyczkami. Za radą Ochmana zaparkowałem samochód w garażu. Gdybym zostawił na

ulicy, mógłbym rano znaleźć przekłute opony, ponieważ miałem amerykański numer rejestracyjny. W Chinon było wielu komunistów. W czasie wojny dr Ochman, wówczas jeszcze nie lekarz, służył w niemieckiej dywizji pancerniej, ja zaś walczyłem w Powstaniu Warszawskim, mieliśmy więc interesujący wspólny temat i w czasie moich kilkakrotnych wizyt spędziliśmy wiele godzin rozmawiając o naszych bojowych doświadczeniach. Pancerna dywizja Ochmana najpierw walczyła na Białorusi. Zniszczyli wielką ilość sowieckich czołgów. Według niego niemieckie czołgi miały lufy na specjalnym zawieszeniu, tak że nie trzęsły się w biegu. Sowieckie zaś, aby dobrze wycelować jadąc po nierównym terenie, musiały przystanąć. Z Białorusi przerzucili go na północ i brał udział w oblężeniu Leningradu, gdzie jego dywizja, cofając się, straciła całe zmotoryzowane wyposażenie. Z powodu straszliwego mrozu oliwa zamarzała i aby zastartować czołgi, najpierw musieli rozpalać pod nimi ogniska. Rosjanie wielokrotnie kontratakowali biegnąc po lodzie. Czołgiści, po drugiej stronie cementowego nabrzeża, wykopali w ziemi doły i umieścili tam karabiny maszynowe, a w murze wykuli otwory dla luf. W ten sposób, sami niewidoczni, kontrolowali ogniem ziemię niczyją. Na lodzie leżało mnóstwo ciał, których nikt nie zbierał. Ochman był dwukrotnie ranny. Z uwagi na stan zdrowia i odznaczenia został przeniesiony do tzw. *streify*. Funkcja *streify* polegała na patrolowaniu ulic. Żołnierzy *streify* poznawało się po specjalnej blasze zawieszanej na piersiach. Mieli oni prawo legitymować i zatrzymać każdego Niemca w mundurze, włączając oficerów. W Warszawie zwano ich blacharzami. W jego opowiadaniach o bojach na wschodnim froncie wyczuwało się żołnierską dumę. Przydział do *streify* uważał za wyróżnienie. Słuchając jego wspomnień z pola walki odnosiło się wrażenie, że to Niemiec mówiący po polsku, a nie Polak. Opisuując zwycięstwa Wehrmachtu używał formy „my”. „Zniszczyliśmy trzydzieści sowieckich czołgów”. Zawsze podkreślał, że jest Polakiem, do dzieci mówił tylko po polsku. Planował emigrować do Kanady, gdzie mieszkał ksiądz, krewny jego żony. Wkrótce po moim wyjeździe z Francji przyszła wieść, że umarł i został pochowany w Chinon nad rzeką Vienne, dopływem Loary. Żona z dziećmi wyemigrowała do Kanady. Ochman był wzrostu średniego, szczupły, nieco pochylony, o pociągłej twarzy z długim nosem, ziemistej cerze i jasnych włosach zaczesanych do góry. Ruchy miał energiczne. Z natury raczej małomówny, ale gdy mówił, to szybko i głośno.

Zbliżało się Boże Narodzenie. Liście z drzew już opadły, a zima nie nadchodziła. Taka prawdziwa zima ze śniegiem. Ochłodziło się wprawdzie, ale wystarczał sweter pod marynarką, nie trzeba było wkładać palta. Mgły unoszące się z pól zmiękczały i zamazywały kontury drzew i budynków, przesłaniały okolicę. Z pobliskiej szkoły powszechnej w obozie dobiegał śpiew.

Jingle bells, jingle bells, jingle all the way

Oh what fun it is to ride in a one horse open sleigh

Żywe dziecięce głosy kontrastowały z senną naturą.

Zgodnie z tradycją zakupiono wielką choinkę. Do jej strojenia kapitan Iwański wyznaczył tylko dwóch wartowników, zapewne aby uniknąć zamieszania i sporów, gdyby wszyscy brali w tym udział. W skład tego duetu wchodził sepleniący Lis, mój konkurent o trzecią pozycję w mistrzostwach pingpongowych kompanii oraz nowo przyjęty wartownik, młody człowiek, z zawodu kierowca w wyścigach samochodowych, który niedawno wymknął się z Polski. Był rozgoryczony, bo w Niemczech nie mógł znaleźć zatrudnienia w swoim zawodzie. Współpraca Lisa z nowym wartownikiem mogłaby posłużyć jako ilustracja trudności, których często doświadczają Polacy przy wypracowywaniu kompromisu. Od samego początku były tarcia, ale konflikt osiągnął punkt kulminacyjny, gdy przyszło do zawieszania bombek. Podczas gdy kierowca samochodów wyścigowych uważał, że małe bombki należy umieszczać bardziej wewnątrz, bliżej pnia drzewa, a duże na zewnątrz, Lisowi poczucie harmonii dyktowało odwrotne rozwiązanie - duże do środka, małe na wierzch.

Do obowiązków lekarzy należało nadzorowanie grubasów. Według regulaminu armii nie wolno było przekroczyć maksimum dopuszczalnej wagi. Delikwent dostawał ostrzeżenie i jeśli nie pozbył się nadmiaru tłuszczu w określonym czasie, mógł wylecieć do cywila z *medical discharge*, to znaczy niezdolny do służby z powodów zdrowotnych. Każdemu kończącemu służbę zależało na *honorable discharge*. Najgorszy był *dishonorable discharge*. Po zakończeniu obowiązkowej służby były żołnierz zwykle szukał zatrudnienia. Przyszły pracodawca chciał najpierw zobaczyć zaświadczenie z wojska. Otyły por. Normark, aby zrzucić wagę kupował niskokaloryczne bułki zwane bagietkami, droższe od zwykłego chleba. Nie tylko że smarował je masłem i wcale się z tym nie krył, ale i nie dostrzegał w tym żadnej sprzeczności. Po zbadaniu pacjent dostawał papierek zawierający między innymi przepisane leczenie,

informację czy może powrócić do służby i kiedy oraz ewentualne ograniczenia. Na dole tej notatki należało dopisać LOD-yes lub LOD-no. LOD, skrót od *Line of Duty* znaczyło, że żołnierz doznał uszczerbku zdrowia w czasie pełnienia służby. Nie było tygodnia, aby ktoś nie przyszedł z tryprem, a czasem i z syfilisem. Najoczywiście takie dolegliwości nabywało się nie podczas pełnienia służby. Tym pacjentom także pisało się LOD. Za to jeśli żołnierz zaraził się, gdy nie był na przepustce, albo gdy zszedł ze stanowiska, nazywało się to AWOL (*absent without leave*), wtedy dostawał LOD-no. Chorych badało się indywidualnie. Zdrowych przed wypisaniem do cywila grupowo po czterech i nago. Raz przyszedł podoficer po zaświadczenie, że jest zdrowy. Pytam się do czego potrzebne - do klubu masonskiego. Zdumiałem się. W Polsce przynależność do masonerii była wielkim sekretem, trzydzieści trzy stopnie wtajemniczenia, a Amerykanie przyznają się do tego, jakby to było członkostwo w klubie wioślarskim.

Na poddaszu przy Rue de Banc było nam ciasno w małym pokoiku, do tego wprowadziła się hałaśliwa sąsiadka, trudno było znaleźć miejsce do parkowania samochodu w wąskich uliczkach. Przenieśliśmy się więc na inne poddasze, bliżej peryferii miasta. Na nowym miejscu mieliśmy całe poddasze do naszej dyspozycji i nieograniczony parking. Dom był własnością starszego małżeństwa. On miał lat osiemdziesiąt, ona sześćdziesiąt. Pani mówiła płynnie po angielsku. Gospodarz nie udzielał się towarzysko. Wstawał każdego ranka o tej samej godzinie, wykonywał te same czynności o określonej godzinie, dzień po dniu. Można było odgadnąć co robił po odgłosach dochodzących spod podłogi. Raz zagadnąłem gospodynię, dlaczego we Francji jest więcej niechęci do Anglii niż do Niemiec, pomimo dwóch światowych wojen. „Proszę pana - odrzekła - my, Francuzi, walczyliśmy z Niemcami przez dwieście lat, a z Anglikami przez pięćset”.

Za granicą człowiek coraz to uczy się czegoś nowego, czasem na własnej skórze. Moja simca aronde o cenie przystępnej dla masowego konsumenta, miała podwójny klakson, głośny i cichy. Ten drugi do trąbienia w osiedlach. Mały dowód, ale jeden z wielu, o wyższości francuskiej kultury, nie tej w muzeach, ale w codziennym życiu. Za głośne trąbienie w niewłaściwym miejscu ryzykowało się mandat. Inną innowacją w moim samochodzie były światła parkingowe, które można było włączać po obu stronach lub tylko po jednej. Zaparkowałem samochód tam, gdzie wolno, rano przychodzę

- na szybie mandat. Okazało się, że nie zostawiłem na noc świateł parkingowych, wystarczało tylko po jednej stronie - od jezdni. Przez następne noce zostawiałem światła parkingowe - bateria wyładowała się. Odtąd, jak tylko obudziłem się, a było już widno, biegłem do samochodu wyłączyć światła, aż znalazłem lepsze miejsce do parkowania.

Wiele się słyszy o precyzji francuskiego języka i w ogóle o logice francuskiego myślenia. Posiadając tylko znikomą znajomość języka, nie mogę się na ten temat wypowiedzieć. A oto jeden przykład. Przy wysyłaniu listu poleconego zawierającego treść ważną pod względem prawnym istniała możliwość, że odbiorca oświadczy, iż koperta przyszła pusta. Aby temu zapobiec, list pisało się na wewnętrznej stronie koperty. Do tego celu służył specjalny papier listowy, który po napisaniu tekstu składało się w kopertę i nadawało poleconym. W USA praktykuje dwie trzecie prawników całej kuli ziemskiej, ale jeszcze im do głowy nie przyszło, że można wysłać pustą kopertę poleconym. Gdy brakowało świateł w samochodzie i policja cię zatrzymała, dostawałeś mandat. Jeśliś próbował wykręcić się twierdząc, że żarówka musiała się dopiero co przepalić, że światła były w porządku gdy ruszałeś w drogę, to nie pomagało, chyba żeś miał zapasową żarówkę i wkręcił ją w miejsce przepalonej w obecności policjanta. Policja jest uprzejma, ale nie wolno zapominać, że jest to uprzejmość tygrysa. I lepiej nie uciekać, gdy na ciebie zagwiżdżą, na swych motocyklach dogonią najszybszego.

Kompania wykosztowała się na kupno światowego atlasu geograficznego. Umieszczono go w świetlicy. Po kilku tygodniach zniknął. Spowodowało to lawinę podejrzeń. Usłyszałem od wartowników, że por. Janusz oświadczył, iż widział ten atlas w moim mieszkaniu. Zaprzeczyłem, nie wiedząc komu uwierzyć. Wkrótce w czasie jakiejś uroczystości, Marysia podeszła do por. Janusza: „Podobno widział pan ten atlas w naszym mieszkaniu...” Porucznik zaskoczony, w obecności wielu osób wyparł się, że kiedykolwiek widział atlas u mnie na poddaszu.

Po latach dowiedziałem się, że coś przeszkrobał, zwolniono go i dostał *dishonorable discharge*.

Nabierałem coraz więcej wprawy w kierowaniu samochodem. Na europejskich drogach jazda jest bardziej ryzykowna niż w USA, wymaga więcej zręczności i przytomności umysłu. Zwłaszcza gdy twoimi współzawodnikami na asfalcie są Francuzi. Krążył taki dowcip: Jak należy przechodzić ulicę, aby nie zostać przejechanym?

W Anglii z psem, w Niemczech z kimś w mundurze, we Włoszech z blondynką, we Francji pod żadnym pozorem.

Postanowiliśmy zobaczyć światową wystawę w Brukseli. Miała to być moja najdłuższa podróż, odkąd dostałem prawo jazdy. Już na samym początku powinęła mi się noga, niegroźnie, ale kosztownie. Droga prowadziła pod górę i zakręcała w prawo. Przede mną wlokła się ciężarówka. Nie sposób było ją objechać nie przekraczając żółtej linii pośrodku i nie ryzykując wypadku. W pewnym momencie szofer pomachał do mnie ręką, co zrozumiałem, że droga wolna. Ledwo zacząłem go wymijać, zobaczyłem zaczajonych policjantów. Mandat wynosił dziewięćset starych franków. Za mniejszą sumę można było przenocować w podrzędnym hoteliku w Paryżu. Omijając Paryż od zachodu i północy, o zmroku wypatrzyłem leśną ścieżkę i zjechałem z szosy pomiędzy drzewa. Simka aronde miała rozkładane siedzenia i był to jeden z powodów, dla którego kupiłem ten model. Przesadą byłoby nazwać torturą spanie we dwójkę w tym małym samochodzie. Prawdą było, że człowiek wstawał rano zmęczony i zmiętoszony. We Francji nikt się nie czepia, jeśli obcy zaparkuje samochód lub postawi namiot na terenie prywatnego lasu czy pola, jeśli nie powoduje zniszczeń, nie wycina drzew, nie gniecie zboża. Wielekroć się o tym przekonałem. Nie radziłbym nikomu próbować tego w USA. Najprościej byłoby zaparkować na noc obok szosy, ale wówczas przeszkadzałby w spaniu hałas. Kierowcy przystawaliby, aby sprawdzić czy nie potrzebujesz pomocy. W lesie zasłoniłem tylko czerwone szkiełka odbłaskowe, bo odbijały światła reflektorów z szosy i przyciągały uwagę. Moszcząc postanie przypadkowo dotknąłem klaksonu. Jakiś samochód zatrzymał się na szosie i stał długi czas.

Ocknąwszy się o świcie, wyszliśmy z lasu na drogę. Szarówka. Cała okolica zamglona. W dali, pośród pól posuwała się tyraliera. Walki w Algierze nasiliły się ostatnio i wojsko zaczęło się burzyć przeciw cywilnemu rządowi. Krążyły pogłoski o zamachu stanu. Moją pierwszą myślą było, że spadochroniarze wylądowali i idą na Paryż. Mgła ustępowała, rozjaśniało się. Co mnie jeszcze bardziej zaskoczyło, tyraliera składała się z uzbrojonych cywilów. Rewolucja? Okazało się, że był to pierwszy dzień polowania na zające.

W Brukseli dwa kolory zdały się dominować w centrum - czerń i złoto. Architektura nie miała tej lekkości co na południu Francji. W jednym z pawilonów wystawy pośród tłumu usłyszałem polską mowę. Pod ścianą siedziała grupka rodaków, a pośród nich rozpoznałem

pierwszego premiera Polski Ludowej, Osóbkę Morawskiego. Zaraz po wojnie jego podobizna zdobiła wszystkie urzędy w Polsce.

Odwróciwszy się do nich tyłem, aby nie zdradzić się wyrazem twarzy, że rozumiem, nadstawiłem uszu. Właśnie mówili o pieniądzach. Były premier włączył się do rozmowy: „A to by nam robotnicy dali, gdybyśmy wydali tyle pieniędzy”. Pomyślałem - ale drętwa mowa. Gdyby nie kłamał, powinien był powiedzieć - ale dali byśmy tym robotnikom, gdyby protestowali, że wydajemy tyle pieniędzy.

Spędziliśmy cały dzień obchodząc wystawę. Próba spożycia obiadu w restauracji, zamiast we własnym samochodzie przy drodze, co zwykle robiliśmy celem obniżenia kosztów podróży, zakończyła się niepowodzeniem. Jako że sklepu spożywczego nie udało się znaleźć, zaczęliśmy rozglądać się za skromną restauracją. Unikając luksusowych lokali w pobliżu rynku, wypatrzyliśmy jakąś niepokaźnie wyglądającą jadłodajnię z zacienionymi oknami przy wąskiej bocznej uliczce. Wewnątrz było niemal pusto. Czerwone lampki na stołach zaledwie rozpraszały mrok. Płomyki zakołysały się przy otwieraniu drzwi. Po nasłonecznionej ulicy minęło kilka długich chwil, zanim oczy przystosowały się do słabego oświetlenia. Spojrzawszy na menu zorientowałem się po przeliczeniu na dolary, że to nie na naszą kieszeń. Zaambarasowani własnym ubóstwem, poszeptawszy, wstaliśmy od stolika i wyszliśmy, prowadzeni do drzwi wzrokiem kelnera wystrojonego w czerń i biel z dodatkiem czerwieni czy też w czerń i czerwień z dodatkiem bieli, już dobrze nie pamiętam. Nie było widoków na znalezienie taniego hoteliku w Brukseli.

Spędziwszy większość dnia na wystawie, jeszcze za dnia opuściliśmy miasto, aby przed nocą dojechać do Francji, gdzie można było gdziekolwiek postawić namiot lub przenocować w samochodzie, gdyby nie udało się znaleźć taniego dachu nad głową. Belgia była gęściej zaludniona, nie wiadomo jakie tu były prawa i obyczaje. Po drodze do granicy zatrzymaliśmy się w Waterloo. Zwiedzanie sławnych pól bitwy zwykle kończy się rozczarowaniem. Ocalał domek, gdzie na piętrze spał generał Wellington przed bitwą. Za opłatą można było obejrzeć pokój i łóżko. W miasteczku wzniesiono kościół dla uczczenia pamięci poległych angielskich żołnierzy. Na ścianach wryto niektóre nazwiska. Przy nazwisku jakiegoś porucznika dopisano, że przed bitwą generał Wellington rozmawiał z nim (czy też podał mu rękę).

Zmrok już zapadał, gdy wyjeżdżaliśmy z Waterloo kierując się

ku granicy. Główna droga zaczęła się zwężać, przechodniów i samochodów nie było widać, najoczywściej zjechałem na bok i zgubiłem się. Pod jedną z nielicznych latarni, w kręgu światła, stało dwóch mężczyzn. Właśnie pożegnali się i rozeszli. Wyskoczyłem z samochodu i pobiegłem za jednym z nich. Zapytałem go o drogę, a on poznawszy po mowie cudzoziemca spytał, czy znam angielski. Okazało się że jest Anglikiem zamieszkałym w Waterlo. A to panu stąd bliżej do Londynu niż do Paryża, rzekłem, często pan odwiedza Anglię? Nie, powiada, ostatni raz byłem w Anglii w 1944 roku. Domyśliłem się reszty. W czasie wojny coś nabroił i ukrył się pewnie u jakiejś dziewczyny. Gdyby wrócił do Anglii, czekałby go sąd polowy. Podobna historia wydarzyła się we Francji. Żołnierz amerykański zasiedział się u dziewczyny i nie wrócił na czas do swojej jednostki. Była wojna, obawiał się surowej kary. Im dłużej odwlekał powrót do swego oddziału, tym więcej się bał. Zamieszkał u tej dziewczyny bez meldowania. Nie mogli się pobrać, bo nie miał dokumentów. I tak minęło trzynaście lat. Jednego dnia stał na ulicy gapiąc się, gdy dwa samochody zderzyły się tuż przed nim. Policjant podszedł i zażądał jego dokumentów jako świadka wypadku. I wszystko się wydało. Francuzi przekazali go armii amerykańskiej. Sąd polowy darował mu winę, z uwagi że dosyć przecierpiał ukrywając się tak długo.

Następnego dnia skręciłem na południowy wschód. Verdun - sławne pobojuwisko, sławne najbardziej z tego, że milion ludzi tu padło, a zwycięzcy nie było. Otoczona lasem krzyży stoi na wzniesieniu podłużna niska budowla, ma coś z bunkra, coś z fortu. W niej dwadzieścia otworów, za małe na okna, za duże na strzelnice. Pośrodku szpiczasta wieża. Wewnątrz korytarze w lewo i w prawo. W okienkach ciemnopomarańczowe szybki. Wnętrze wypełnia pomarańczowy półmrok. W oddzielnych jakby przegródkach czarne owalne kształty, ni to groby, ni to trumny - symbole francuskich dywizji, które to przyszły, aby zwyciężyć i zostały na wieczność.

Spadochroniarze z Algieru wylądowali na Korsyce bez pozwolenia rządu w Paryżu. Zanosilo się na zamach stanu przez armię. W Fontenet wstrzymano urlopy. Całą kompanię wartowniczą postawiono na nogi wobec możliwości sabotażu. Jedni wartownicy jak zwykle chodzili z bronią wzdłuż drutów, pozostali kręcili się bez broni wokół obozu pod pozorem wykonywania jakichś robót.

W czasie wakacji i weekendów robiliśmy wypadki, najpierw w najbliższą okolicę, potem coraz dalej. Zasięg tych wycieczek

wydłużał się po kraj Basków, Pireneje, Riwierę. Francja, a przynajmniej zachodnia jej część, obfitowała w mgły. Nigdy tyle ich nie widziałem co tu, zwłaszcza nocą. Niezwykłą właściwością tych francuskich mgieł było, że często nie dochodziły do samej ziemi. Ich pułap znajdował się na wysokości metra czy dwóch, zostawiając wolną przestrzeń. Jechało się jakby tunelem wyznaczonym powierzchnią drogi, pułapem mgły i pniami drzew po obu stronach.

Od rodaków dowiedziałem się o szwajcarskiej wytwórni zegarków INVICTA. Była ona jedną z tych mniej znanych w świecie, za to popularną wśród ubogich emigrantów. Zwykły zegarek na rękę kosztował osiem dolarów, z pokryciem kosztów przesyłki do Polski, gdzie był na nie popyt. Wysyłałem zegarki mojej matce, matce Marysi i żonie Andrzeja, odsiadującego kilkuletni wyrok. Te ostatnie, o czym wtedy nie wiedziałem, nie dochodziły do adresatki. Raz, wracając z Lombardii do St Jean przez Szwajcarię, odwiedziłem wytwórnię INVICTA. Gdy zdradziłem się z zamiarem zakupienia złotego zegarka dla Marysi, sprzedawca zaprowadził nas do osobnego pomieszczenia, gdzie otworzył coś w rodzaju wielkiej szafy. Na jej tylnej ścianie, niemal od podłogi aż do sufitu wisiały same złote zegarki: i małe, i duże, i te na rękę, i te cebulaste na łańcuszek, okrągłe, owalne, kanciaste, płaskie, brzuchate. Mieniły się hipnotycznym blaskiem wszelkich odcieni złota, podobnie jak promienie zachodzącego słońca przesączone przez opar dnia odbijają się w falach jeziora dziesiątkami słońc. Odczułem niemal ból, że nie mogą być moje - i ten, i ten, i tamten - wszystkie. Kupiłem najtańszy za 20 dolarów.

Do moich obowiązków należało udzielanie pierwszej pomocy ofiarom wypadków samochodowych amerykańskiego personelu. Zdarzało się to zwykle nocą i pośród mgły, gdy kierowca zasnął przy kierownicy i uderzył w drzewo. O wypadku powiadamiała francuska policja. Jechało się sanitarką, czasem w gęstej mgle, tak szybko, jak się tylko dało. Prawie wszystkie drogi były wysadzone „stuletnimi” drzewami, niektóre pamiętały chyba jeszcze królów i rewolucję. Stały gęsto, ich korony zlewały się. Za dnia jechało się jakby zielonym tunelem od wioski do wioski, od miasta do miasta. Jawory, klony, topole... Każdy odcinek drogi był wysadzony tylko jednym gatunkiem drzew, każdy tunel miał swój odmienny charakter. Gdy liście opadły, w słońcu szosa była w pręgach, jak skóra tygrysa. Nie sposób opisywać Francji nie wspominawszy kwiatów. Rosły w ogródkach, oplatały płoty, wspinały się na ściany, wyglądały z okien.

Raz na drodze z Perigueux do Tuluzy, zamiast jechać główną szosą przez Brive, puściłem się na ukos i zaplątałem w sieć krętych dróg wijących się pośród wzgórz. Już chyliło się ku wieczorowi, gdyomalże nie wpakowałem się do rowu. Wyciągnięcie samochodu zajęło dużo czasu. Wkrótce dojechałem do miasteczka Gourdon. Spieszyło mi się, aby jeszcze za dnia znaleźć gdzieś w polu odpowiednie miejsce na postawienie namiotu, co nie było łatwe w tym podgórskim terenie. Jadę, jadę, jadę przez Gourdon, wyjechać nie mogę. Sądząc po mapie, Gourdon to mała miejscina, a tu końca nie widać. Ściemniło się. Minęło z pół godziny, gdy jakiś budynek zwrócił moją uwagę... chyba już go widziałem. Okazało się, że główna ulica ma kształt zdeformowanego koła, a ja krążyłem i dopiero za trzecim obrotem połapałem się, że krążę. Noc już zapadła, gdy znalazłem jakiś hotelik z jedną gwiazdą czy bezgwiazdny. Łóżka okropne, jak wszędzie we Francji, człowiek zapadał się i wisiał jak w hamaku. Tak odkryliśmy dolinę rzeki Dordogne. Niezwykle piękno, więcej niż piękno. Góry porośnięte lasem, w dolinach sady. Potoki wrzynają się w skały rzeźbiąc je w niezwykle kształty. Kamiennie wioski na zboczach wzgórz, jaskinie, w których przed dwudziestu tysiącami lat mieszkał Cro-Magnon. Cisza, jeśli czymkolwiek zmałona, to szmerem drzew na wietrze. Doznałem uczucia, że gdybym tu umarł i tu został pogrzebany, to żyłbym wiecznie. Wracaliśmy do Dordogne kilkakrotnie, za każdym razem zwiedzając groty Lascaux. Wstęp kosztował pół dolara. Czasy zmieniły się, dziś, aby wejść do Lascaux, trzeba pozwolenia ministra kultury Francji. I Dordogne już nie jest taka sama. Obrosły ją hotele, motele, restauracje, *giftshops*. Czy artysta Cro-Magnon chciałby dziś tu mieszkać?

We Francji historia jest wszechobecna. Pozostałości rzymskich amfiteatrów i świątyń. Niezliczone zamki, pałace i kościoły z każdego stulecia. W każdej wsi kamienna tablica z nazwiskami poległych w obu wojnach światowych, wielu w pierwszej, nieliczni w drugiej. Francuzi zachowali coś niecoś na poboju pod Verdun. Można zwiedzać linię Maginota. Nie rozebrali na cegłę wymordowanego i spalonego przez hitlerowców miasteczka Oradour. Zostawili je tak, jak wyglądało w godzinę śmierci w czerwcu 1944 roku. Na bramie wejściowej widnieje napis: *Le temps est resté figé pour que tu te souviennes* (Czas zatrzymał się tu, abyś pamiętał).

Polacy lubują się w pomnikach. Rozebrali na cegły ruiny getta w Warszawie razem z otaczającym je murem, zamiast coś zostawić

na wieczną pamiątkę, i wystawili pomnik. Dla Żydów byłaby to Masada dwudziestego wieku. Rozebrali postrzelane wypalone ruiny wzdłuż Solca, gdzie na przyczółku czerniakowskim do ostatniego naboju walczyli Polacy, i wystawili pomnik Berlingowcom, cementowy.


Z Powstania Warszawskiego mogli zostawić jakiś podziurawiony bastion obrony na Starym Mieście. Rozebrali, co się dało, wystawili dwa pomniki. Na Starym Mieście, przy Długiej, przetrwał powstanie kościół garnizonowy. Ostał się, choć cały podziobany kulami, odłamkami, pociskami. Trzeba było go tak zostawić, wyremontować tylko od środka, naprawić dach. Byłby symbolem bohaterstwa i męczeństwa chrześcijańskiej Warszawy, pamiątką na wieczne czasy, wykutą żelazem w kamieniu. Nie, szczerby załatali, otynkowali, odmalowali i w sercu Starówki stoi ta budowla bez wyrazu, nijaka, jakich wiele, stoi na wieczne czasy. Kto nie jest przekonany, niech porówna fotografie z 1945 roku z obecną.

Około roku 1955, w Tatrach, ponad Halą Kondratową oberwał się kawałek góry. Tocząc się w dół i łamiąc las rozpadał się na części. Dwumetrowy głaz skręcił ku północy i już przystając uderzył w schronisko i utknął w drewnianej ścianie jadalni, pół na zewnątrz, pół w środku. Można go było zostawić tak jak stał, nikomu i niczemu nie zagrażał, obudować go deskami, byłaby pamiątka i turystyczna atrakcja. Nie...Sfotografowali głaz, rozbili go na kawałki, a dziurę w ścianie zabili deskami. Musiało to kosztować o wiele więcej trudu niż zwyczajne obudowanie deskami. Coś takiego nie zdarza się nawet raz na sto lat. Na pewno ani Moskwa, ani politbiuro PZPR w Warszawie nie nakazały rozbijać tego głazu młotkiem.

W styczniu 1959 roku Amerykański konsulat w Bordeaux powiadomił mnie, że przyszła nasza kolej na wyjazd do USA. List zawierał ponaglenie, by szybko złożyć wymagane dokumenty, jak świadectwo niekaralności, metryki urodzenia, a co najważniejsze *affidavit of support*. Ten ostatni miało dostarczyć NCWC (National Catholic Welfare Conference). *Affidavit of support* była to gwarancja udzielana przez organizacje, że emigrant w chwili przyjazdu do Stanów ma zapewnioną jakąś pracę i mieszkanie. Bez *affidavitu* nie można było dostać wizy imigracyjnej. Od razu powiadomiłem naszego sponsora czyli opiekuna - NCWC. Przyszła odmowna odpowiedź. *Affidavitu* nie otrzymamy, bo nie mamy ślubu kościelnego, a tylko cywilny. List zawierał jednak także furtkę w formie rady - zwróćcie się do kapelana i załatwcie tą sprawę. Doszło


do wymiany kilku listów między obu stronami. Ja wyraziłem decyzję nie brania ślubu kościelnego. Za kogo mnie biorą? Nie poszedłem na współpracę z komunizmem, pomimo korzyści jakie to ofiarowywało. Dlaczego miałbym teraz sprzedać duszę za *affidavit of support*? Ostatni strzał oddało NCWC. Skreślili nas z listy podopiecznych, czyli zamknęli nasze dossier. Ostatni list z NCWC kończył się zdaniem:

Vouiller croire, Monsieur, a l'assurance de nos meilleurs sentiments. Podpisał się: *John B McCloskey, directeur pour la France.*

CATHOLIC RELIEF SERVICES - NATIONAL CATHOLIC WELFARE CONFERENCE		
 <p>MOST REV. FRANCIS P. KEOUGH, ARCHBISHOP OF BALTIMORE CHAIRMAN, BOARD OF TRUSTEES</p>		
<p>NATIONAL HEADQUARTERS 1511 Massachusetts Ave., N. W. Washington, D. C.</p>	<p>SIÈGE CENTRAL POUR LA FRANCE : 140, RUE DU SAC PARIS - TEL. LITRE 78-81 " " " " 10-12 ADR. TELEGR. "CATHWEL"</p>	<p>ADMINISTRATION : 350 FIFTH AVENUE NEW YORK 1, N. Y.</p>
<p>WK/nk Pan Jan Kurdeanowski LSCompany 4085 Fontenot (Chite Mno)</p>		
<p>Parys, dnia 28.11.1958</p>		
<p>Szanowny Panie.</p> <p>Miniejszym pozwalamy sobie w krótko jasno Panu przedstawić stan pańskiej sprawy.</p> <ul style="list-style-type: none"> - Podanie o przeniesienie pańskich akt z Monachium do konsulatu USA w Bordeaux zostało wysłane i mamy nadzieję że przeniesienie akt w niedługim czasie nastąpi. - W następstwie, po zbadaniu pańskiej sprawy przyrzeczono Panu prawo otrzymania wizy na podstawie ustawy o uchodźcach PL 85-316. - wobec tego w najbliższym czasie trzeba będzie dostarczyć wszystkie do użycia - i tu zaznaczają nie trzymać. <p>: Dokumentem niezbędnym do uzyskania wizy na jakiegokolwiek podstawie jest Affidavit of Support. Niestety w tej dziedzinie nie możemy Panu pomóc tak długo jak długo nie będzie Pan miał ślubu zawartego w kościele - dlatego, że organizacja nasza jest organizacją katolicką i pomaga tylko tym katolikom którzy są w potrzebie i wymagają prawa kościelnego. W wypadku Pana chodzi o ślub kościelny, tym bardziej, że z listu Pana wynika, że nie ma państwo żadnych przeszkód aby ten ślub zawrzeć. Prosimy więc jak najprędzej w tej sprawie porozumieć się ze swoim ks. Kapłanem - i sprawę tę załatwić.</p> <p>: Jeżeli chodzi o sprawę azylu - to organizacja nasza tym nie zajmuje ani nie możemy Panu w tej sprawie pomóc finansowo. Jedyną pomoc finansową jaką ewentualnie moglibyśmy udzielić to niektóre pożyczka na opłacenie części kosztów transportu do USA - o ile dostarczy Pan gwarancji conajmniej dwu osób które zobowiązały się oddać te pożyczki w razie gdyby Pan jej nie oddał.</p> <p>: Zresztą o ile się nie mylimy - to będzie Pan mógł otrzymać wize majar Freudenpass - a nie konieczne Reispass. Prosimy jednak co do tego upewnić się - najlepiej prosto w konsulacie w Bordeaux, 4 rue Saprist-dan Lois - aby nie mieć żadnych niespodzianek.</p> <p>Czekamy na jak najszybszą odpowiedź Pana donoszącą nam o zawarciu ślubu kościelnego - (bo od tego wszystko zależy) i laczemy wyrazy poważania i szacunku</p> <p><i>J. B. McCloskey</i> John B. McCloskey Director French Mission.</p>		

Zwerbowała nas do NCWC przedstawicielka tej organizacji w obozie w Zirndorfie. Zgodziliśmy się po jej zapewnieniu, że brak ślubu kościelnego nie stanowi problemu. W obozie działały trzy organizacje zajmujące się oficjalnie sprawami emigracyjnymi uchodźców. Polish American Immigration and Relief Committee (PAIRC), NCWC i jakaś trzecia ponadnarodowa i ponadwyznaniowa, której nazwy nie pamiętam. Wszystkie trzy organizacje otrzymywały dotacje w wysokości zależnej od liczby podopiecznych, czyli od łebka

- tak powszechnie uważano. Poza tymi trzema głównymi czynni byli także kwakrzy. Nikogo nie werbowali, ale można było zwrócić się do nich o pomoc w różnych sprawach i pomagali.



Kolarklaute, den 11.2.1959
 Ingersstraße 5

Einschreiben!


An Frau
 Maria KURDZANOWSKA
 32 Rue des Bains
St. Jean d'Angely
 Charente Maritime
 Frankreich

Betr.: Verlängerung Ihres Fremdenpasses und Erteilung einer
 Aufenthaltserlaubnis.
 Bezug: Ihr Schreiben v. 30.12.58 u. v. 5.2.59.
 Anlg.: Fremdenpass.

In der Anlage wird Ihr Fremdenpass nach Verlängerung der
 Gültigkeitsdauer und nach Erteilung einer neuen Aufenthaltserlaub-
 nis wieder zurückgesandt. An Gebühren wurden berechnet: Gebühr für
 Passverlängerung und Auf. Erl. 4.50 DM + Porto 1.50 DM. Der Rest-
 betrag zu 2.- Dollar in Höhe von 2.30 DM liegt in Briefmarken bei.

In Auftrag?
v. Blohm

CATHOLIC-RELIEF SERVICES NATIONAL CATHOLIC WELFARE CONFERENCE



MOST REV. FRANCIS P. KEOUGH, ARCHBISHOP OF BALTIMORE
 CHAIRMAN, BOARD OF TRUSTEES

NATIONAL HEADQUARTERS
 121 Massachusetts Ave., N. W.
 Washington, D. C.

SIEGE CENTRAL POUR LA FRANCE
 140, RUE DU SAC
 PARIS 7 - TEL. LITTE 79-61
 " " " 17-18
 AD. TELEGR. "CATHWEL"

ADMINISTRATION I
 350 FIFTH AVENUE
 New York 1, N. Y.

SD/JF Paris, le 22 janvier 1959

Monsieur Jan KURDZANOWSKI
 L.S.C.O. 4085
FONFENET
 Charente Maritime

Monsieur,

Come suite à votre lettre du 5 janvier,
 nous regrettons de vous informer qu'il n'est pas possible
 à notre Organisation de vous aider davantage dans vos
 démarches d'émigration et nous nous voyons dans l'obli-
 gation de fermer votre dossier.

Le Consulat de Bordeaux a déjà un dossier
 vous concernant, par conséquent nous n'avons rien à leur
 transmettre. Vous devez désormais continuer à vous
 adresser directement au consulat de Bordeaux.

Veuillez croire, Monsieur, à l'assurance
 de nos meilleurs sentiments.

John B. McCloskey
 John B. McCloskey Jr.
 Directeur pour la France

Odmowa udzielenia *affidavit of support* należała do rzadkości; jedynym powodem o jakim słyszałem mogło być popełnienie przez podejrzanego czynu kryminalnego.

Zwierzyłem się ze swych kłopotów dentyście nazwiskiem Brudvik, rodem ze stanu Dakota. Pracował w tej samej przychodni. Niedawno poznałem jego ojca, bankiera, gdy przyjechał do St Jean odwiedzić syna. Nie martw się, pocieszył mnie Brudvik, mój ojciec jest przyjacielem senatora, załatwimy to. Zaraz napisał do ojca, aby poprosił senatora o interwencję w mojej sprawie. Przyszła odpowiedź, senator umarł.

POLISH AMERICAN IMMIGRATION & RELIEF COMMITTEE INC.

(formerly: Polish Immigration Committee)

Telephone 591629
Cables: PAIRC-MUENCHEN

EUROPEAN HEADQUARTERS

15 Bayerstr.
MUENCHEN 15, Germany

23 listopada 1959

W Pan Jan KURDZIANOWSKI
Fontenot, Ch-te M-me
349 Gen Disp
France

Szanowny Panie,

Szkoda, że dopiero teraz przysłał Pan nam kopie listu NCWC, który był pisany do Pana dn. 22 stycznia 1959. Mielibyśmy wówczas trochę więcej czasu na załatwienie formalne przeniesienia Pana z NCWC do nas. Dzisiaj otrzymaliśmy list NCWC z Paryża, którzy, mimo naszej interwencji nie zgadzają się wystąpić o transport dla Pana.

Umówiliśmy się więc z USEP-em, że my o ten transport wystąpimy i w związku z tym prosimy odwrotnie podać nam następujące dane :

Mr. paszportów Państwa, gdzie wystawione, kiedy i do kiedy ważne. Numery wiz (chodzi o numer wydrukowany tłustym drukiem w prawym górnym rogu na pierwszej stronie, zaczynający się od I-) jak i kategorii kwoty, kiedy wystawiona, gdzie i do kiedy ważna. Potem potrzeba nam daty urodzenia Państwa, miejsca urodzenia, narodowość, wyznanie, zawód. Również musimy wiedzieć, czy będzie Pan się umobilizował w Kaiserslautern, bo wówczas transport nastąpi z Niemiec, czy też będzie Pan mógł wyjechać wprost z Francji, - jeżeli tak, to czy wola Państwa wyjechać samolotem czy też statkiem. (za środek lokomocji gwarantować nie możemy, trzeba będzie wziąć ten, który dadzą). Od jakiej daty będą Państwo gotowi do wyjazdu ?

Wobec braku czasu, prosimy odwrotnie nadesłać nam powyższe informacje.

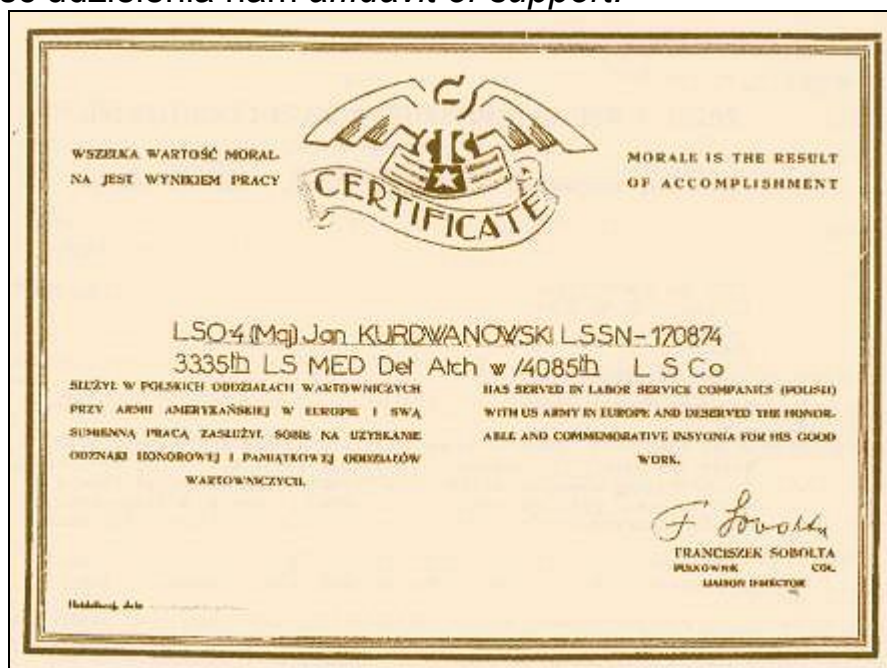
Z poważaniem

Ludwik Lublinski
Dyrektor na Niemcy

*Odpowiedzieć
na to*

*P.S. in pisał Pan do Komiteta dla
celu przywrócenia w New York
(vide list nasz z 6. VII. 1959)
Jakoż ma Pan plany w U.S.A.*

Zwróciłem się do Polish American Immigration and Relief Committee (PAIRC) w Monachium opisując nasze trudności z NCWC, z prośbą o przejęcie opieki nad nami. Na dwa listy nie było odpowiedzi. Czyżby rodacy w Monachium w ten sposób wyrażali solidarność ze stanowiskiem NCWC, czy też bali się zdrzeć z tą potężną organizacją. Zwróciłem się do kwaków, choć nie byli oni upoważnieni do załatwiania spraw emigracyjnych. Kwakrzy skontaktowali się z NCWC i z PAIRC. NCWC odmówiło zrobienia czegokolwiek w naszej sprawie. PAIRC obiecał przysłać mi kwestionariusz, ale nie przysłał. Po paru miesiącach napisałem do centrali PAIRC w Nowym Jorku i o dziwo w dwa tygodnie otrzymałem list od pana Rawskiego, dyrektora PAIRC na Europę, wyrażającego gotowość udzielenia nam *affidavit of support*.



Zaledwie sprawa wiz do USA zaczęła się posuwać naprzód po otrzymaniu *affidavitów* z PAIRC, znowu utknęła. Powodem był, mówiąc ogólnie, brak współpracy, żeby też nie użyć słowa sabotaż, ze strony NCWC, które nie mając zamiaru pomóc nam, jednak nie chciało wypuścić nas ze swoich „objęć” (czy też pazurów). Chodziło o pieniądze. United States Escapee Program (USEP) udzielił nam politycznego azylu i pokrywał koszty naszego przejazdu do Stanów. Jak wynikało z listów z PAIRC, NCWC nie chciało przerejestrować nas do PAIRC, blokując w ten sposób przelew pieniędzy przeznaczonych na transport chyba po to, aby nam uniemożliwić wyjazd do Stanów. Termin ważności naszych wiz upływał z końcem

lutego 1960 roku, a był to już listopad 1959 roku. Przed Nowym Rokiem przyszły dobre wieści. Dokumenty zostały skompletowane.

W Warszawie zostawiłem u matki słowniki polsko-francuski i polsko-angielski. Jako że nie miałem stałego miejsca zamieszkania, matka wysłała je do brata mojego przyjaciela, inżyniera zamieszkałego w Paryżu, w St Cloud. Po przyjeździe do Fontenet napisałem do niego raz i drugi, nie było odpowiedzi. Moje listy nie wróciły, domyśliłem się, że słowniki zatrzymał dla siebie. Mając już emigracyjne sprawy załatwione, przed sprzedażą samochodu wybraliśmy się po raz ostatni do Paryża. Na oku miałem też odzyskanie słowników. Zatrzymaliśmy się, jak zwykle, w dość obskurnym hoteliku w St Cloud, siedemset franków za noc. Po dziewiątej rano, a była to niedziela, wyruszyliśmy na poszukiwanie inżyniera. Częścią składową jego adresu było -ilot A, pavillon 16. Kilku przechodniów poinformowało mnie, że były to dawne nazwy bloków mieszkalnych, obecnie nieaktualne, już dawno przemianowano je. Gdy tak staliśmy pośrodku małego placyku bezradnie rozglądając się, zbliżał się ku nam mężczyzna z dziewczynką. Zwróciłem się do niego z tym samym pytaniem. Na to on, najwyraźniej zaskoczony, spytał kogo szukam. Wymieniłem nazwisko. *C'est moi*, odparł. Nigdy go nie widziałem, ale gdy był blisko przemknęło mi przez głowę, że to on. Zaprosił nas do siebie na herbatę z ciastkiem. Poznaliśmy jego rodzinę, odzyskałem słowniki. Spytałem, dlaczego wyszedł z domu o tej wczesnej porze. Odrzekł - powiedziałem do córki, chodźmy zobaczyć co grają w kinie.

Sprzedałem samochód i wynajęliśmy pokój w baraku na terenie obozu w Fontenet.

Musieliśmy zdecydować czym będziemy podróżować przez Atlantyk - okrętem czy samolotem. Wybraliśmy to pierwsze, z tonącego okrętu można się jeszcze uratować.

Żegnaj Saint Jean d'Angely, najmniejsze miasto o najdłuższej nazwie, w jakim kiedykolwiek mieszkałem. W Paryżu przesiadka na specjalny pociąg do Le Havre, gdzie już czekał transatlantyk AMERICA.

Do widzenia Francjo, spędziłem tu dwa najlepsze lata życia. Jeden z pisarzy powiedział, iż ten kraj ma taki czar ziemi, że ktokolwiek tu się osiedli, staje się Francuzem. Ja sam Francję z lat pięćdziesiątych porównałbym do pięknej kobiety, którą niedawno los ciężko doświadczył.

Piątego dnia żeglugi, po północy 22 lutego, roku 1960, okręt szybko zbliżał się do brzegów Ameryki. O świcie wyszliśmy oboje na pokład. Dał lodowaty wiatr. Tylko kilka osób odważyło się wysunąć z ciepłego wnętrza. Już dało się odróżnić linię horyzontu, tam gdzie morze stykało się z niebem. Ponad tą linią coś wysunęło się z wody, jedno, drugie, trzecie. Coraz liczniejsze wierzchołki drapaczy chmur wynurzały się z morza i rosły. Wreszcie ukazała się statua wolności, brzegi, mola, dźwigi portowe, okręty, a za nimi las wieżowców. Nowy Jork.

JAK WYBRAŁEM WOLNOŚĆ NA
ZACHODZIE

I INNE WSPOMNIENIA

Spis treści

Rozdziały

Część I. Jak wybrałem wolność ...

1	<u>ŻYRANDOL Z BRAZU</u>	4	
2	<u>JAK WYBRAŁEM WOLNOŚĆ NA ZACHODZIE</u>		25
3	<u>LIBERUM CONSPIRO</u>	70	
4	<u>TYFUS MYSI</u>	90	
5	<u>JAK WYBRAŁEM WOLNOŚĆ NA ZACHODZIE</u>		
	<u>PO RAZ DRUGI</u>	146	

Część II. Na Zachodzie

6	<u>TRUDNY POCZĄTEK WOLNOŚCI</u>	163
7	<u>W LABORACH</u>	219